

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Wacław Gąsiorowski

Rok 1809

**POWIEŚĆ Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ
W OPRACOWANIU DLA MŁODZIEŻY
DOKONANYM PRZEZ AUTORA**

TOWER PRESS

Gdańsk 2001

*Bardziej się temu potomnej wieki
dziwować aniżeli wierzyć będą.*
A. CHRYZ. ZAŁUSKI biskup

I

Była zima roku 1809. Mróz po kilkodniowej odwilży wrócił silniejszy. Wpółroztopione śniegi, kałuże a sople zaskoczył zniecka, przejął wskroś, szklistymi powłokami okrył, każdą spływającą kroplę wody w drodze zatrzymał, w perlę lodową zmienił. Jakby był dlatego na dni kilka odszedł, aby powrócić zbrojny w mocniejsze północnych wiatrów podmuchy, cięższe do przełamania okowy.

Mróz lutowy, mróz brodacz, każdą chatę strojący w stalaktytowe sople, śniegowe kozuchy zlewający w tafle, bardziej zawzięty, dokuczliwy, bo zjawiający się niespodziewanie po ludzającej ciepłem odwilży.

Luty miesiąc – luty mróz.

Mroki wieczorne otulały dwory i dworki Ostrowa, rozpały w oknach światelka, zapraszały do ognisk przy kominkach, niewymyślne miasteczko podlubelskie spowiły ciszą głęboką.

Dziewczęta ustawiały kołowrotki, chłopcy opatrywali koziki do drewn strugania, a starce już sunęli ku wygotowanym dla nich siedzeniom. Lada chwila miały się zerwać pieśni, wspominki lat dawnych, szeptem prawione dzieje przeszłości, lękliwe o ostatnich wydarzeniach uwagi. Ostrów bowiem na początku roku 1809 był po dawnemu, po rozbiore Rzeczypospolitej, pod władaniem Austriaków. Księstwo Warszawskie, które cesarz Napoleon ustanowił, nie objęło ani ziemi lubelskiej, ani Sandomierza, ani Zamościa, bo w ogóle jeno składało się z tej części dawnej Polski, którą rządzą Prusacy. Stąd Ostrów tęsknił do swobód

Księstwa Warszawskiego a jęczał, bo podówczas Austriacy w srogości z Prusakami szli w zawody.

Kiedy tak Ostrów do owych gawęd się sposobił a ogniskami w okienkach kamieniczek i domków mrugać zaczął, jeden tylko dworek dostatni imć pana Tadeusza Zabielskiego tonął jeszcze w ciemności.

Tam snadź nie pożądanego ani rozgwaru, ani opowieści. Oto trzy tygodnie upłynęło ledwie od chwili, gdy dworek ten był świadkiem przenosin młodego pana Tadeusza – trzy tygodnie, gdy dźwięczały tu wiwaty, a rynek ostrowiecki wypełniały bryki i kałamazki przybyłych z okolicy gości weselnych. Przed kilku dniami zaledwie wyciągnął dopiero imć pan Bonawentura Głuski, rodzic pani Tadeuszowej, zabierając ze sobą do Jastkowa drugą córkę, pannę Marysię.

Długie było a serdeczne pożegnanie. Pan Bonawentura chrząkał, burczał a tabakierką trzaskał, pani Tadeuszowa łzami się zalewała ostatnie zamieniając uściski z siostrą. Ale kiedy już konie przed ganku ruszyły, a młodzi zostali sami, jakoś i smutek prysł, i tęsknoty zabrakło.

Życie im było snem czarownym, chwila każda, spędzona przez imć pana Tadeusza w kancelarii nad papierami – niepowetowanym uszczerbkiem.

Niekiedy pan Zabielski wracał z magistrackiego domku zasepiony – ale jeden uśmiech Janki wypogadzał jasne jego czoło i wesele wracało. Niekiedy znów Janka wspominała na siostrę, na tęsknicę jej za zmówionym, a od lat dwóch blisko przepadłym na Staszkiem Gotartowskim liźałość zdejmowała dobre serduszko pani Tadeuszowej, i płakać się chciało, że Marysia tyle smutku w tej samej chwili zaznaje. Gdy jednak pan Tadeusz rozterkę spostrzegął a przemówił – żałość rozplywała się, nikła.

Tego atoli wieczora imć pan Zabielski wrócił do gniazdka swego bardziej niż zwykle zadumany. Janka w lot pochwyciła zmarszczki na czole.

– Jesteś nareszcie!... Niedobry! Czekałam dziś tak długo!

– Januś moja, widzisz, pilne sprawy!

– Wiem, wiem!... Tylko mi waćpan o nich nie myśl... Siadaj tu przy mnie! Jeszcze chmurny?! Takie waćpan ma dla mnie zachowanie?! Proszę się wysumitować!

– Kochanie ty moje!... Ot, kłopot... czasem przychodzi samoścąc.

– Więc to tak jegomość sobie poczyna? Za nic respekt należy?

– Janusiu! Co ci przychodzi!

– Ja... ja muszę wiedzieć... wszystko muszę wiedzieć... bo jak ciebie ma frasować, to i mnie także...

– Januś moja! Co tobie po tym! No, ale chcesz... chociaż, czy ciebie to obejdzie?

– Musi! – ucięła z powagą pani Zabielska.

– Więc słuchaj! Przyszedł dziś papier z Sandomierza od generała Egermana o ułożenie rozpisu na pobór rekruta. Nakaz pilny, przebąkują coś jakby o nowej wojnie!... Ciężko!...

– Prawda! – westchnęła pani Zabielska wspomniawszy na Marynię.

– Nie po sercu mi taki rozpis! Roku nie ma, jak na tej burmistrzówce osiadłem, ledwie co mieszczan poznałem bliżej, a tu ciągnij ich, wódz się, a w duszy się nie dziw, że im do białych mundurów niepilno! Wybrali nam oni przecież nie tak dawno tysiące ludu! Teraz znów! A przy tym ta wojna nowa!... Już ci nie trzeba się długo namyślać z kim! Bez Napoleona się nie obejdzie... a bez naszych z Księstwa także! I co? Swój swego będzie mordował! Złe!...

– Złe, źle – przytwierdziła Janka.

– Ot i frasunek! Jest czego, tu obowiązek niewoli, a tu żal zdejmuje. Weź Piętków – poczciwi ludziska mają dwóch synów, podobno chcieli do Warszawy się przebierać. Rodzice uprosili, a teraz przyjdzie na nich!

– Niech się salwują!

– Ba! Właśnie, ale im niebezpieczeństwo ani w głowie! Kto ich uprzedzi?

– Ja! – zakonkludowała energicznie pani Zabielska.

– Januś! Zastanów się! Myśleć o tym niepodobna – gardłowa sprawa! Pieczęć tajemnicy!...
Prócz mnie, pułkownika i komisarza

Mólskiego nikt o tym nie wie i wiedzieć nie może, dopóki werbunkowych oddziałów nie rozpuszczą! A wówczas będzie za późno!...

– Trzeba więc teraz koniecznie! – upierała się Janka. – Szkoda Piętków!

– Szkoda, lecz nie ma sposobu! Z pułkownikiem może by się udało, bo to dobry człek w gruncie rzeczy, lecz na Mólskiego nie ma sposobu. Człowiek mi nieszczerzy, czytam w jego każdym wejrzeniu! Podobno ja mu popsułem szyki. On o toż samo burmistrzostwo zabiegał w Rządzie Cyrkularnym Lubelskim i gdyby nie wstawiennictwo pana Józefa Podhorodeńskiego, to pan Domański nic by nie wskórał! Mólski żadnej mi krzywdy nie wyrządził, lecz nie ufam mu!... Niechby podejrzenie padło – wzięliby do fortecy i mnie, i na starych rodzicach Piętków by się mścili! Nie, nie!... Ot, nieszczęście naszło! Chociaż, kto wie, może się jeszcze co zmieni. A może lepiej, by wojna była.

Janka zadumała się smutnie.

Pan Tadeusz ciągnął jakby do siebie:

– Podobno takich niepewnych czasów dawno nie bywało! Kto ich wie zresztą! Papier lakoniczny bardzo! Ale, ale... Januś moja! Przepomniałem! Toż pułkownik do nas się dzisiaj zaprosił na wieczerzę. Należy go przyjąć pocziwie. Niemiec nam życzliwy...

Janka porwała się jak łania spłoszona.

– Nic mi nie powiedziałaś.

– Daruj! Ot, masz, zagadaliśmy się. Lecz przecież czym chata bogata!

W tejże chwili wbiegł do alkierza pacholik z wieścią, że pułkownik von Wassenfeld już przyszedł. Janka wysunęła się do izby czeladnej, pan Tadeusz zaś wyszedł naprzeciw gościowi i pomógł mu z płaszczem i pasów się uwolnić.

– *Mein Gott!* *Mein Gott!* – mruczał pułkownik strzepując szronem zasze wąsiska. – Panie Zabielski, jaki mróz! Brr!... Jeszcze takiego nie pamiętam!...

Zabielski powiódł gościa do obszernej, widnej izby na prawo, usadowił na krześle i zawołał na pacholika. Ten zawczasu przygotowane drewna w kominku ułożył i skrzesał ognia. Jasny płomień buchnął wesołym trzaskiem, oświetlając izbę a miłym ciepłem przejmując.

– O! Oh! Panie Zabielski, panie burmistrzu!... – zaczął po chwili Wassenfeld. – Co to za rozkosz tak siedzieć w ciszy i spokoju!... Pan tego nawet ocenić nie potrafisz... ale ja! Ile razy brakło nam w polu takiego kącika! Ile razy dałoby się pół życia za takie schronisko!

– Służba wojskowa ciężka! – zauważył pan Tadeusz.. – Bardzo! Bardzo ciężka – wzdychał pułkownik. – Jeszcze póki człowiek młody, to się rwie do niej... ale potem... pusto!

Pułkownik zamyślił się.

– Prawda, prawda! – potwierdził młody gospodarz domu.

– Tyle lat ciągłych przemarszów.

– I... i... dodaj: ciągłego niepowodzenia! Przegrana bitwa demoralizuje nie tylko żołnierza, ale i oficerów... zniechęca, budzi brak zaufania. A myśmy mieli przegranych bitew aż za wiele! Myślisz, że nasze wojsko było kiedy gorsze, mniej sprawne, gorzej zaopatrzone? Nigdy! Francuzi nie mieli ani takiej artylerii, ani takich grenadierów, ani takich strzelców jak nasi, tyrolscy... Ich przewaga – to jeden może Bonaparte...

– No i marszałkowie...

– Hm! Zapewne! Pod takim wodzem... Zresztą, powodzenie... daje pewność siebie! Krótko mówiąc, mieliśmy dawniej wszystko... prócz dowódców! Ale teraz... trudniej byłoby o Marengo, o Austerlitz, nawet o Hohenlinden!

Wassenfeld targnął z fantazją temblakiem, że aż pałasz zadzwonił, i dodał z przekonaniem:

– To jest, może się Marengo powtórzyć, ale nie dla nas! Nie dla nas!...

– Pułkowniku! – zagadnął żywo Zabielski. – Tak mówisz dziwnie! Przecież teraz, gdy o zerwaniu traktatu mowy nie ma...

– A któż o zerwaniu mówi! Traktat dotąd trwa, dopóki obie strony mają w tym korzyść. Ale z chwilą gdy jedna ma tylko widoki... zbiera armię i nachodzi granice nieprzyjacielskie!

– Więc te słuchy o wojnie...

– Nigdy nie są bezpodstawne!

– Czasy pokoju...

– Nie dla nas! – rzucił przez zęby Wassenfeld. – Zważ tylko, panie burmistrzu, z tobą mogę wszak mówić zupełnie szczerze – czy jego cesarska mość może zezwolić na to panoszenie się francuskiego generała, czy może ścierpieć, aby on dyktował mu prawa handlowe, aby samowolnie wydierał mocarzom korony i rozdawał je jak stopnie oficerskie swoim ulubieńcom czy krewniakom?! Czyż jego cesarska mość może znieść ten ucisk ludów?!

– Ucisk? – powtórzył przeciągle pan Tadeusz i urwał nagle.

– Ucisk, ucisk, panie Zabielski! Tak być dłużej nie może! Patrz, Prusy obezwładnione, z odebranymi prowincjami.

– Lecz, zdaje mi się, odebrano im tylko to, co nie było ich własnością?!

– Żartujesz, burmistrzu – w tym razie nastąpiło porozumienie!... No – no!... Choćby nawet... to Napoleonowi nic do tego...

– Więc ten pobór nakazany?... – zagadnął cicho pan Tadeusz.

– Ma, ma doniosłe znaczenie! Bardzo doniosłe! Ja wiem... wy tego nie lubicie, panowie! Obowiązek. Każda piędź ziemi musi złożyć podatek krwi. Prawo odwieczne!

– Nie przeczę! Ale przyznaj mi, pułkowniku, że przecież ta biedna ziemia nie miała jeszcze czasu, aby się zawziąć w miłości dla spraw wiedeńskich.

– Wiele, wiele by o tym można mówić! Mnie się nie pytaj! Jam nie polityk! Jakby mi sądzić przyszło, to... diabli wiedzą! Moja rzecz słuchać! Poboru i ja nie cierpię – zwłaszcza tu, u was! Ręk i tak mało do pracy! Ale kto temu winien? Masz, nikt inny, tylko Bonaparte! On ludzi w pole wyprowadza, on durzy – za nim lecą ci emigranci! Szaleństwo!...

– Pułkowniku! Bierzesz im to za złe? Gorszy cię?!

– Mnie? – przerwał żywo Wassenfeld. – Tu o mnie mowy nie ma! Tylko ludzi szkoda! Dokąd ich to zaprowadzi? Mało im jeszcze biedy! Niespełna rozumu...

¹ Mein Gott! (niem.) – Mój Boże!

Pan Tadeusz chciał ująć się za tak ostry sąd – lecz w izbie ukazała się Janka zakłopotana, zapłoniona i jęła prosić na wieczerzę.

Pułkownik porwał się z miejsca i z posuwistym ukłonem podał młodej gospodyni ramię, aby ją do stołu poprowadzić. Przy wieczerzy rozmowa potoczyła się gwarno a ochoczo. Wassenfeld ścigał gładkie liczko Janki, sadił się na komplementy, roztaczał całą swą obozową dworność a w uprzejmościach się rozpływał. Gdy nadto, po sutym bigosie, na stole ukazała się dobrze omszała butelka, w starego pułkownika jak gdyby nowe wstąpiło życie. Miotlaste wasy szarpał z fantazją, ostrogami pobrząkiwał, dzwonił pałaszem, a ku panu Tadeuszowi się chylił i za ręce go ścisnął.

– Dobrze mi tu u was! Jakbym odżył dzisiaj!... Opatrzność was tu sprowadziła! Jeden dom przynajmniej serdeczny! My z pani mężem przyłgnęliśmy do siebie od razu! Ja wiem. Mólski, komisarz, wam niechętny, lecz do czarta, von Wassenfeld jeszcze coś tu znaczy, jeszcze on coś wskóra, jakby było potrzeba. Na zdrowie! Za pomyślność!

Pułkownik pociągnął raz i drugi z kielicha i dodał ciszej:

– Dobrze lata! Eh! Może to na moje utrapienie... przywiązuje się człowiek do ludzi... a potem ciężko się rozstawać.

– Czyżby pan pułkownik myślał od nas rejterować? – zapytała ciekawie Janka.

– Ani mi to na myśli! Ale cóż, służba. Rozkaz przyjdzie i w jednej chwili... Bóg wie, gdzie może mnie zapędzić!

– W czasie wojennym – poprawił pan Tadeusz.

Wassenfeld nachmurzył się, a po długiej pauzie obejrzał się po izbie, jakby chcąc sprawdzić, czy nie ma kogo ze służby w pobliżu, i szepnął:

– Co tu ukrywać... wojna jest...

Pan Tadeusz pobladł z lekka. Janka nachyliła główkę ku pułkownikowi.

– Z kim?! – rzucił gorączkowo Zabielski.

– Z kim? Chyba nie mam potrzeby mówić! Przyszedł już rozkaz... Lada dzień wy maszerujemy, tylko pobór rekruta mamy skończyć! Nadejdzie tu po nas zbierająca się brygada generała Bikinga... pójdziemy pewnie prosto do Warszawy!...

– Do Warszawy! – zawołał ze wzruszeniem Zabielski.

Wassenfeld spojrział niepewnie na młodego burmistrza i odrzekł obojętnie:

– Do Warszawy... tam, skąd by nam na tyłach armii grozić mogło niebezpieczeństwo.

– Ależ! – ozwał się gorąco pan Tadeusz. – Jeżeli wojna z Napoleonem... to... cóż zawiniło Księstwo Warszawskie?

– Zawiniło?! Wojna! Więc wojna ze wszystkimi, co powiadają się być stronnikami Bonapartego! My zresztą wkroczymy do Księstwa jako sprzymierzeńcy! Arcyksiążę Ferdynand d’Este jest bardzo ludzkim! Jeżeli ludność zachowa się spokojnie, może być pewną łaskawości jego.

Janka milczała zadumana.

Pan Tadeusz gryzł wargi niecierpliwie.

– Więc wojna wypowiedziana? – zagadnął niepewnym głosem.

Pułkownik pociągnął potężny haust wina i rzekł ociągając się:

– Wypowiedziana! Jak będziemy w Warszawie... wówczas dowiedzą się o niej! Na to jest dosyć czasu! Z Bonapartem nie ma żartów! Tu nie idzie o groźby, lecz o wojnę! Im później o niej się dowiedzą, tym lepiej!

– To... podejście! – zauważył Zabielski.

– Zbawienne dla tego księstwa!... Tak, może myślałoby o oporze! Naraziłoby się na niepotrzebny rozlew krwi... a tak, złoży broń bez wystrzału. Bonaparte będzie pewno walczył,.. ale tym razem nie dotrzyma placu. Nasza armia...

Wassenfeld urwał nagle i powiódł wzrokiem po zadumanych twarzach Janki i Tadeusza.

– Was to nie cieszy?! – zapytał raptownie.

Zabielski uśmiechnął się kurczowo.

– Cieszyć? Pułkowniku, wojna, nawet zwycięska, zbyt wiele smutków sieje, aby radować się jej można...

– Masz, burmistrzu, rację! Chociaż, darujcie, gdybym was nie znał... gotów bym był podejrzewać o sprzyjanie Bonapartemu!

– Nie, pułkowniku, my sprzyjamy tylko sprawiedliwości!

– Wiem, wiem! I nie wątpię! Macie dowód, że wygadałem się przed wami z tajemnicą!... Lecz jestem zupełnie spokojnym! Wam zawierzyłbym bodaj własną głowę. Mało w naszym Rządzie Cyrkularnym jest tak sumiennych urzędników!

Janka pokręciła noskiem – zdawało jej się, że może byłoby lepiej, gdyby pan Tadeusz był mniej skrupulatny.

– Tak, tak! – ciągnął dalej Wassenfeld. – Byle teraz z tym poborem skończyć, a potem, co Bóg da!...

– Zapewne! – przytwierdził oschle Zabielski. – Byle z poborem... Chociaż – dodał niepewnie – sam nie wiem, co począć; jeżeli mi pułkownik nie pomoże w tym razie... sam nie wiem!

– Cóż takiego? Do czarta, przecież możecie ze mną robić, co wam się podoba! Mówcie!

Zabielski spojrział znacząco na Jankę i rzekł akcentując każdy wyraz:

– Mości pułkowniku! Nie dlatego, abym się uchylał... lecz wypadła mi ważna sprawa! Na tydzień może chciałbym wyjechać!...

– Gdzie? Dokąd?

– Niedaleko... Zawsze dzień drogi za Iłżę!... Właśnie, za Iłżę do... Krzyżanowic! Nie do samych Krzyżanowic... jeszcze w bok, kilka wiorst...

Wassenfeld utkwiał swój bystry wzrok w Tadeuszu. Janka pobladła z lekka.

– Do Krzyżanowic! Pilna sprawa?...

– Bardzo, bardzo pilna...

– No, no! Taki nagły wyjazd!... Przecież to werbunek! Nieobecność twoja może ci w dalszej karierze zaszkodzić!...

– Pułkowniku! Istotnie... Ale co robić!... Właśnie dawny komornik mego... teścia, dobrze mówię... teścia... ma pojutrze wypłacić sumkę na termin... kilka tysięcy dukatów.

Pan Tadeusz stropił się nagle i urwał. Wassenfeld gładził wypukłe czoło i wpatrywał się wciąż w Zabielskiego.

– Kilka tysięcy dukatów!... Piękny grosz!

– Tak, panie pułkowniku! – wmieszała się nagle Janka. – Musi, bo przepadnie... wszystko! A jeszcze niech zawierucha nadejdzie...

– O nią mi idzie! – pochwyił różniej Zabielski. – Jeżeli nie zdążę, potem ani myśli o odebraniu!

– Zapominasz, burmistrzu, że załogom nakazano zdwoić baczność.

– Mólski da sobie radę, nawet kontent będzie, do odznaczenia sposobność mu się nadarzy!...

– A co pan pułkownik... – odezwała się znów Janka – pewno dopomoże nam!... Musimy!

– Ha! Niechże i tak będzie! Tylko jeden warunek!

– Zgoda! Bodaj dwa nawet!

– Że pan pojedziesz sam, a żona zostanie tutaj... pod moją opieką!

Zabielski pobladł.

– Janka ma zostać? Ależ, pułkowniku!...

– Musi zostać! Nie bierz mi tego za złe! Zezwalając na twój wyjazd nagły czynię odstępstwo od instrukcji, niechże przynajmniej mam zakładnika...

Pan Tadeusz chciał oponować, lecz Wassenfeld rzekł z naciskiem:

– Inaczej nie mogę!

Pułkownik urwał nagle i próbował na inny przedmiot skierować rozmowę, lecz ta się nie kleiła, Zabielski częstował jeszcze winem. Wassenfeld pił, trącał się kielichem, przepijał do Janki, aż w końcu podniósł się ociężale i jął żegnać.

– Więc jutro, panie burmistrzu, ruszacie?...

– Ruszam! – powtórzył głucho Zabielski.

– Darujcie mi ten warunek... ale wam wyjdzie na pożytek, bo wrócicie teraz daleko prędzej... a gdybyście wyjechali z całym dworem, kto wie, czyby jaka denuncjacja nie zmusiła mnie do wysłania pogoni!

Wassenfeld uściskał rękę Tadeusza, skłonił się zamasyście Jance i wyszedł.

Gdy młodzi małżonkowie znów znaleźli się sami w alkierzu, Janka osunęła się bezwładnie na krzesło i ukryła twarzyczkę w dłoniach.

– Januś moja! Co tobie?!... Rozchmurz się.

– Jedziesz?! – szepnęła Janka drżącym głosem.

Zabielski porwał się nagle i jął wielkimi krokami mierzyć izbę.

– Czy jadę? Kochanie ty moje! Sam nie wiem!... Chciałem z tobą razem... Lecz bez ciebie!... Nie, niepodobna! Skąd mi taka myśl powstała nagle w głowie! Nie, ja nic nie pomogę, nic nie zmienię... nieszczęścia nie odwrócić!... Trudno! Już zostanę tym austriackim burmistrzem!

– Więc przecucie mnie nie omyliło? Myślałeś...

– Do Warszawy cichaczem umknąć... aby przede wszystkim uprzedzić o grożącym niebezpieczeństwie, a samemu wydostać się z tego piekła!... Januś, daruj mi! Przeznaczeniem moim było widocznie, abym był bezsilnym widzem nowego najazdu Austriaków! A przecież, gdyby tam wiedziano o zbierającej się burzy... kto wie?...

W oczach Janki zabłyśły gorączkowe ognie.

– Więc pisanie wygotuj i wyślij kogo natychmiast!

– Niepodobna! Tyle zaufanego nie mam, a gdyby przejęli list, snadnie dojść by mogli autora! Wówczas zgubiłbym i ciebie, i siebie!... Ha, cóż! Nie mówmy o tym więcej!...

– Więc jedź beze mnie! – odezwała się z mocą Janka.

Pan Tadeusz spojrział na szkarłatami okrytą twarz żony, na energicznie zsunięte brewki, na zacięte jej usteczka i zdumiał się.

– Jak to, Januś... bez ciebie?...

– Ja zostanę, poczekam, wrócisz...

– Wrócę... zapewne!

– Jedź, jedź, nie zwlekaj! – zachęcała drżącym głosem Janka. – Jeżeli ta wiadomość może tak zaważyć, nie wolno się ociągać! Byleś prędko powrócił!

– Zdradzę zaufanie pułkownika!...

– Albo ziemię, która nas wydała!...

– Prawda! A jeżeli?!... Nie! Wrócę z pewnością! Bóg cię natchnął myślą pocziwą!

– Czasu... wiele nie potrzebujesz; byleś dotarł do Warszawy... może do granicy wystarczy?! A potem wracaj!...

– A gdyby tu zaszło coś?...

– Bądź spokojnym!... Ja sobie poradzę. Jest stary Łukasz! Zresztą, nie lękam się o siebie!

Pan Tadeusz spoglądał z uwielbieniem na Jankę. Miał ją za taką słabą, tak płochliwą, aż oto znalazł w niej tyle hartu, tyle odwagi...

Zabielski chciał coś jeszcze mówić, lecz Janka nie dała mu przyjść do słowa i natychmiast ją przygotowywać dla męża zawiniątko, troszcząc się o każdy drobiazg i układając plan całej drogi. Uradzono, że pan Tadeusz własnym wózkiem dojedzie do Ilży, a tam dopiero wynajmie konie do Radomia, a z Radomia do Warszawy.

Janka pobiegła sama wydać rozkazy parobkowi, pan Tadeusz zaś wysunął się do kancelarii magistrackiej, w rynku położonej, i tam jął samemu sobie koncypować glejt² na przejazd granicy, mianując siebie samego Wojciechem Starczyńskim, obywatelem obwodu ostrowieckiego.

Kiedy glejt był już upstrzony pieczęciami, pan Tadeusz nakreślił jeszcze kilka słów do Mólskiego o tym, że sprawy rodzinne niewolą go do wyjazdu na dni kilka pod Ilżę i że obowiązki swoje powierza jego – Mólskiego – pieczy, i powrócił do domu,

Pan Tadeusz wahał się jeszcze, ociągał z wyjazdem. Bał się następstw swego kroku, bał się o Jankę, bał o przyszłość. Tłumaczył żonie obowiązki, prawił niby o intencjach, które go do kroku tego skłaniają – a w głębi może był przygotowanym, aby silniejszemu argumentowi Janki ustąpić i wyjazdu zaniechać. Lecz, o dziwo, Janka nie wymówiła słowa jednego, mogącego zachwiać postanowieniem. Przytwierdzała nawet prognostykom o szczęśliwym, niechybnym powrocie...

Aż panu Tadeuszowi zrobiło się przykro.

Po tej tkliwej, przywiązanej Jance nie spodziewał się być takiej oziębłości. Jeszcze był pewien, że może przy pożegnaniu dostrzeże silniejsze wrażenie, może usłyszy słowo „zostań”. Ale w Jance snadź zaszła nagła a nieoczekiwana przemiana.

² G l e j t – list bezpieczeństwa, zaświadczenie wydane przez władze, zezwalające na bezpieczny przejazd przez określone terytorium.

Gdy Tadeusz ostatni pocałunek składał na jej czole, zmrużyła powieki i szepnęła:

– Jedź!... Dotrzyj!... Powinieneś!... Niech cię Bóg prowadzi!

Pan Tadeusz wzruszony, a bardziej może podrażniony – wskoczył prędko do wózka. Konie pomknęły z kopyta i znikły w mgłach szarzejącego poranka.

Janka przez czas jakiś ścigała rozpalonym wzrokiem oddalający się wózek, a potem wróciła ociężale do alkierzyka i tam padła zemdlona.

II

Ze ściśniętym sercem jechał pan Tadeusz do Iłży. Ziąb lutowego poranku przejął go wskroś i do reszty zmroził w nim te zapaly, które wyrwały go z domowego, a tak niedawno rozetlonego ogniska. Przedsięwzięcie, zrazu łatwe do wykonania, teraz spiętrzyło się w oczach jego w rozliczne trudności a przeszkody. Lada chwila mógł, na pierwszej rogatce wzbudzić podejrzenie i dostać się w ręce żandarmerii polowej. Gdybyż jeszcze miał pewność, że wiadomość, którą wiezie, nie będzie spóźniona, że istotnie czynem swoim odda przysługę...

Zniechęcenie nurtowało w panu Tadeuszu. Wyrwał się niepotrzebnie zgoła. Co tu jego mizerna figura pomóc lub znaczyć mogła? Kancelistą był sobie cichym przez tyle lat – no i działało mu się nie najgorzej. Prawda, dokuczliwą była ta kancelaria. I jeszcze w Rządzie Cyrkularnym Lubelskim nieraz brała go ochota z Austriakami rozbrat wziąć i uciec bodaj za morza... Ba – kiedy znów i do wojaczki nie miał serca. Kto wie zresztą, żeby się była okazja znalazła!... Był czas nawet, że kiedy mu imć pan Głuski córki bronił a śluby odkładał – w panu Tadeuszu zbudziła się jakaś desperacka myśl za „Napolionem” wędrować!... Pan Podhorodeński go powstrzymał – i w samą porę! A tamto bodaj rozsądniejsze było niż dzisiaj...

Pan Tadeusz wzdychał a sapał gniewnie – sobie samemu robiąc wyrzuty. To znów chciał na woźnicę zakrzyknąć, aby do domu nawracał... ale wówczas jawiły mu się smutnie patrzące oczy Janki, a w uszach dźwięczały mu ostatnie jej słowa: „Jedź!... powinieneś!...”

Już dobrze dniało, gdy wózek pana Tadeusza stanął na rynku w Iłży. Zabielski odprawił pachółka do zajazdu, a sam jął przepytować się leniwie o konie do Radomia. Usłużny Żydek

wynalazł mu to, czego żądał, prędzej, niż się pan Tadeusz spodziewał. Sznur cały bryk ładownych stał już na trakcie gotowy do wyruszenia. Gromada kupców radomskich zbierała się z gorączkowym pośpiechem, byle do domu przed szabasem zajechać.

Młody burmistrz ani się spostrzegł, gdy wyrwano mu z rąk węzłki, ułokowano w wasągach, a za nimi i jego samego.

Pan Zabielski fukał, srożył się, lecz uległ, choć jeszcze sobie samemu nie wierzył, aby istotnie do Warszawy jechał. Jeżeli nie za Radomiem, to gdzieś pod granicą utknie, zatrzymany przez straż, wysumituje się, no i potem, *nolens volens*³, zawróci do Ostrowa.

Gdyby był już nawet na taką przeszkodę natrafił – wcale by się nią nie strapił – może rad by ją powitał... Trzeba jej było na zabicie w sobie nie znanej mu zgoła alteracji⁴, która nurtować w nim zaczęła. Oto zdało mu się, że jakiś dźwięk nieznanemu zrywa się w jego piersi i woła nań, że wierzby przydrożne, podmuchem wiatru kołysane, chwieją złodowaciałymi kiściami a jęczą na mrozie, że wyglądająca spod białych puchów ziemia pogląda ku niemu smutna, szerniała, a spod załamanych strzech, pochylonych chat, opustoszałych sadyb spływa doń żal, ostry, gryzący.

Pan Tadeusz otrząsnął się zabobonnie i, by myśli te odpędzić, spojrział ku skulonej postaci dziada siedzącego w kącie bryki i zagadnął:

– A wy dokąd?...

– Do Radomia, miłościwy panie!

– Po co wam?!... Nie lepiej doma siedzieć przy piecu... a nie na stare lata po mrozie się włóczyć!...

– Oj, prawda!... Nie z woli jadę! Bieda gna, pędzi człeka!

– Hm! Nie macie nikogo?!

– Nie mam i mam!... Zwyczajnie na świecie! Młodzi się rozbiegną!... Cóż? Staremu trzeba za torbę, za kij – kiedy inaczej nie można!...

– Pewnie! Pewnie! – mruknął niedbale pan Tadeusz i, sięgnąwszy do woreczka, wetknął dziadowi kilka srebrniaków.

– Bóg zapłać miłościwemu panu! I za mnie, i za to. niebożę... Zabielski podniósł oczy w stronę, gdzie dziad wskazał, i teraz dopiero spostrzegł tęgiego wyrostka, któremu ledwie para bystrych, świecących oczu spod nasuniętej na czoło czapy wyglądała.

– Wasz chłopak?

– Tak jakby i mój.

³ *Nolens volens* (łac.) – chcąc nie chcąc.

⁴ *Alteracja* – irytacja, wzruszenie, zmartwienie, niepewność.

– Czas by mu do roboty!

– Oj, czas, czas wielki! – przytwierdził dziad z przekonaniem.

– Do rzemiosła go chcecie?

– Ano juści! – uciał dziad i umilkł mierząc Tadeusza matowym spojrzeniem swych wyblakłych oczu.

– Hm! Dobrze! Trzeba! – przytwierdził obojętnie Zabielski i wrócił do gnębiących go myśli.

W Radomiu o konie było panu Tadeuszowi trudniej. Żydkiwie ani słyszeć nie chcieli o drodze w dzień sobotni, okoliczni wieśniacy po dniu targowym już się rozjechali. Zajazdy świeciły pustkami.

Pan Tadeusz dosyć obojętnie zdecydował się na przeczekanie, znów poddając się intencjom zaniechania dalszej podróży. W ustronnej karczynie, tuż przy trakcie warszawskim, upatrzył był sobie nocleg i tam zmierzał z tobołkami, przemyśliwając nad tym, czyby nie lepiej było rozpytać się o znanego mu z dawnych lat imć pana Lubienieckiego, woźnego trybunalskiego. Właśnie chciał dla samej bodaj ciekawości zagadnąć przechodzących mieszczan, gdy wtem usłyszał dobrze mu znajomy głos:

– Witam waćpana!

Tadeusz obejrzał się i skłonił niepewnie wółprzygiętej figurce niepozornego jegomości.

– Witam! Lecz wybacz waszmość... nie wiem, kogo...

– Che – che! – zaśmiał się nieznajomy podsuwając się nieznacznie. – Mości Zabielski! Nie poznajeszże mnie?! Tak żem się zmienił, do kaduka?! Schudło się trochę, ba, bo nie było mnie komu promować na burmistrzówkę!

Tadeusz postąpił krok naprzód i teraz dopiero poznał był żółtą, zwiędłą przedwcześnie twarz Dyzmy Rudzkiego, dawnego kancelisty.

– A... imć Rudzki! – ozwał się przeciągle Zabielski, nieprzyjemnie zdziwiony niespodziewanym spotkaniem.

– Widzisz waćpan! Góra z górą!... Weselisko, słyshałem!... Che – che!!...

– Tak... właśnie!...

– Ba! I cóż tu waćpan w tych stronach?!

– Pilne sprawy wypędziły mnie! Mus!

– Wierzę, wierzę!... No – no! Teraz mi się waćpan nie wykręcisz!... Do licha, przecież przepić do siebie pozwolił?!... Tyś wzrósł na personata! Phi!... A ja skromny człek, ot, ledwie się trzymam! Jeden w górze, drugi w dole!... Che – che!

Rudzki śmiał się sucho, ironicznie, mrugał mdłymi, świdrującymi oczkami i zapraszał Zabielskiego na poczęstunek. Panu Tadeuszowi niesporo było. Rudzkiego znał dawno, lecz jakąś niewytłumaczoną niechęć do niego żywił. Rudzki był nawet pilnym i zdolnym kancelistą, miał wielkie zachowanie u Austriaków, przeszedł wielu kolegów, a mimo to zginął był nagle z bruku lubelskiego. Powiadano wówczas, że jakiś ważny niezmiernie zajął urząd, że wielka kariera stanęła przed nim otworem. Nikt wprawdzie nie umiał nic pewniejszego się dowiedzieć. Rudzki przepadł, zniknął bez słowa pożegnania. A że w ogóle był nie lubianym, więc nie troszczono się o kolegę ani nie starano się zajmować domysłami.

Pan Tadeusz odpowiadał oziębłe na zaproszenia Rudzkiego, lecz ten nastawał uporczywie.

– Zdrożony jestem!... Do zajazdu pora.

– Doskonale! Idę z waćpanem! Ja przecież także popasam tylko! A gdzie waćpan myślisz?!

– Ja do karczmy przy trakcie warszawskim!

– U Dzięcioła! Che – che! Więc nie ma targów, bo i ja tam nocuję!

Tadeusz powlókł się niechętnie z Rudzkim.

W drodze ten ostatni jął wypytywać Zabielskiego, zagadując niby niedbale:

– Więc... waszmości sprawa pilna dokuczyła, tak?!

– Aha!... Po niewoli musiałem! Psi czas.

– Z Ostrowa do Radomia! Szmat drogi! Może wam wygodzić czym? Znam tu niejednego!

– Dziękuję. Ja w okolicę!...

– Ja także...

Pan Tadeusz zmierzył niepewnym okiem Rudzkiego. Ten ostatni ciągnął dalej:

– A wy w którą stronę?

– Na lewo i potem przed się! – rzucił niecierpliwie Zabielski.

Rudzki zaśmiał się sucho.

– Che – che... Coś jakby i ja!

Tadeusz zbył milczeniem odpowiedź Rudzkiego i przyśpieszył kroku, aby prędzej zdążyć do karczmy. Rudzki wciąż dogadywał i rechotał półgłosem.

– Che – che! Burmistrzu dobrodzieju! Gdyby nie dawna znajomość, myślałbym, że wam nie po myśli moja kompania... Che – che!... Ja to rozumiem! Co?... Che – che!... Znamy się na tym...

Zabielskiego ręka świerzbiała. Lecz chcąc uniknąć zajścia, usta zaciął i udał, że nie rozumie przymówek.

Ale od Rudzkiego nie było tak łatwo się odzepić, jak mu się zdawało z początku. W karczmie dawny kolega przysiadł się na dobre do Tadeusza i na chwilę go nie odstępował. Zabielskiego to natręctwo zaczęło bawić w końcu. Coraz lepiej odcinał się Rudzkiemu. Ten znów zawsze miał na ustach ten sam uśmiech nerwowy, nieszczerzy.

W karczmie było gwarno. Stoły obsiadły gromadki ubogiej szlachty, rozprawiając półgłosem. Kilku mieszczan kiwało się apatycznie nad dzbankami piwa; w rogu izby, na ławie, rozparło się trzech oficerów austriackich i hałaśliwą wiodło rozmowę. Niemczyzna raz po raz głużyła wszystkich. Szlachta niechętnie zerkąła ku mundurom oficerskim, mieszczanie poglądali spode łba. Oficerowie nie zwracali na to uwagi i zachowywali się coraz wrzaskliwiej, każdy ich ruch, każdy wyraz mówiły – my tu jesteśmy panami, my rządzymy, my rozkazujemy.

Pana Tadeusza podrażniło to.

– Tamtym zdaje się, jakby byli sami! – zauważył niechętnie.

– Che – che!... Mości burmistrzu! Są tu jak u siebie... Prawda? Czas na nich!...

Zabielski chciał przytwierdzić, lecz, pochwyciwszy świdrujące spojrzenie Rudzkiego, umilkł.

Tymczasem spod szynkwasu wysunął się na środek izby opasty łyk i z oznakami zadowolenia zbliżył się do stołu Zabielskiego i Rudzkiego.

– Ja tu waszmościów szukam, a waszmość panowie akurat, razem siedzą!...

Pan Tadeusz teraz dopiero poznał w przybyłym łyka, którego był się rozpytywał o konie.

– Za godzinę będzie bryka.

– To bardzo dobrze! – mruknął obojętnie Zabielski.

– Waszmość panowie...

– Ja tylko jeden! – przerwał Tadeusz.

– Kiedy bo... proszę waszmości... ten pan także przepyttywał się o konie do granicy... i wcześniej jeszcze. Bryki nie opłaciło mi się i dla dwóch wytaczać... ale kiedy znalazło się jeszcze dwóch innych...

– Nic nie rozumiem...

– Che – che!... Mości burmistrzu... Więc wy dokąd?...

– Pod Warkę, w pilnej sprawie!...

– Pod Warkę?... Patrzej – więc pojedziemy razem...

– A tamci dwaj jeszcze co za jedni?

– Et!... Biedota sobie...

Zabielski chciał się wymówić, lecz Rudzki nie dał mu przyjść do słowa.

Umowa stanęła, że za godzinę łyk czekać będzie na rynku z końmi.

Po oddaleniu się łyka Rudzki jął baczniej poglądać ku Zabielskiemu, a gdy ten zbywał go wciąż półsłówkami, odezwał się poważnie:

– Panie Tadeuszu! Coś mi waćpan krzyw! Dłaczego? Ja cieszę się wielce z waszej kompanii. Więc trzeba wam?...

– Pod Warkę!

– A może – dodał ciszej Rudzki – chcielibyście uniknąć na granicznej rogatece?...

– Uniknąć, czego? – odparł pewnym głosem Zabielski.

– No... widzisz waćpan... Czasy takie... Teraz może trudniej wydostać się. Żądają papierów...

Pan Tadeusz otworzył szeroko oczy.

– Waszmość dworujesz sobie ze mnie!

Ta prosta odpowiedź jakby zbiła z tropu Rudzkiego. Schylił głowę i z odcieniem uszanowania spojrzął na pana Tadeusza.

– Darujcie! – szepnął potulnie.

Noc już zapadła, gdy pan Tadeusz z Rudzkim usadowił się na bryce, szczelnie otulając się kożuchami. Przed nimi, około woźnicy, rysowały się dwa skulone cienie. Konie ruszyły. Bryka potoczyła się zgrzytając łańcuchami i piszcząc obmarzniętymi piastami. Pan Tadeusz pograżył się w zadumie. Rudzki uważnie wpatrywał się w sylwetki nieznajomych. W końcu mruknął niecierpliwie:

– Ciekawy jestem, co to za jedni?

– A ci?!... Cóż waćpanu po tym?

– Ba! Różni się teraz włóczą! Jeszcze pod granicą! Czasem dobrze wiedzieć!

W Jedlińsku, na popasie, podróżni wygramolili się z bryki, aby w przydrożnym zajeździe rozgrzać się i pokrzepić. Pan Tadeusz i Rudzki ruszyli żwawo naprzód i zasiedli do grzanego piwa w izbie gościnnej. Ledwie że się zdołali rozejrzeć a z rozspania otrząsnąć, gdy weszli dwaj nieznajomi towarzysze podróży. Rudzki zerknął ciekawie ku obcym, lecz ci zasunęli się w przeciwległy kąt i półgłosem zagadali z karczmarzem, nie rozpinając kubraków i nie odwijając postawionych kołnierzy.

Pan Tadeusz mimo woli spojrzął ku obcym i zdumiał się. Twarz starszego wydawała mu się być uderzająco podobną do twarzy dziada, z którym przyjechał do Ilży. Chciał się był właśnie swoim domysłem podzielić, lecz Rudzki ozwał się pierwszy:

– No, dałbym sobie rękę uciąć, że tym nie po myśli byłoby spotkać się z patrolem!

– Może!...

– Nawet zdaje mi się, że ja tych jegomościów skądciś znam!

– I mnie także!

– Widzisz waćpan! Pozwól! Dowiedzmy się, z kim mamy do czynienia!

Tu Rudzki podniósł głos:

– Czolem waćpanom! Dokądże to panów ziąb taki pędzi?

Starszy z nieznamomych poruszył się niespokojnie, a po dłuższej pauzie bąknął pod nosem:

– Ziąb, bo ziąb!

– Waćpanowie z daleka?

– Nie bardzo!

– Waćpanowie dokąd?

– Jedną bryką z waćpanem!

– Może piwa z nami?...

– Bóg zapłać, mamy swoje!

Rudzkiemu oczy zatliły się ponuro.

– Przysiągłbym, że to nie lada ptaszkanie! – szepnął do pana Tadeusza.

– Co nam do nich?! W drogę nie wchodzą!

– Hm! Tego mało!... Pozwólcie... Muszę ja im zajrzeć w oczy!

Rudzki podniósł się ociężale i jął niby to od niechcienia zbliżyć się do kąta, w którym siedzieli nieznamomi – lecz ci rzucili karczmarzowi pieniądze i, zanim Rudzki zdołał się spostrzec, wstali pośpiesznie i wyszli z izby.

Dyzma zachnął się niecierpliwie i kazał karczmarzowi przywołać woźnicę.

– Co to za jedni ci dwaj?!

Woźnica wzruszył ramionami.

– Kto ich wie!

– Nie znasz ich?!

– Jak i waszmość panów! Ni mniej, ni więcej!... Pan Tadeusz poglądał ze zdziwieniem na Rudzkiego, nie pojmując tej jego ciekawości.

– Co waćpanu?!... Niech sobie!... Przecież jest nas dwóch!... Króćcie mam dobrze opatrzone.

– Nie w tym rzecz!...

– Więc?

– Długo by mówić!... Nie podobają mi się!... No... ale sianem nie dam się im wykręcić!

– Co waćpan zamierzasz?!

– Zobaczymy! – syknął groźnie Rudzki.

Po krótkim postoju bryka potoczyła się dalej. Zabielski znużony podróżą drzemał i kiwał się automatycznie. Rudzki także wydawał się śpiącym, lecz spod nasuniętej na oczy czapy ścigał majaczące się przed nim cienie nieznajomych, którzy od czasu do czasu zamieniali ze sobą jakieś wyrazy.

Dyzma nadstawiał uszu, pochylał się ku przodowi niby chwiejąc się bezwładnie w takt dygocącej bryki; raz zdawało mu się, iż słyszy swoje własne nazwisko, wymawiane z naciskiem, ale chrzęst łańcuchów zgłuszył szeptem prowadzoną rozmowę.

Ujechano tak z dobrą milę. Aż na drodze jęły rysować się cienie chat, a tu i owdzie migotać niepewne światelka.

Woźnica ocknął się i zaciął konie.

– Hej! A co to za wieś? – rzucił Rudzki.

– Ksawerów! Zaraz nadjedziemy na rogatkę.!

Nieznajomi poruszyli się niespokojnie.

Rudzki uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem i pociągnął Tadeusza za rękaw.

– Mości Zabielski, rogatka!

Pan Tadeusz otrząsnął się ledwie z drzemki, gdy bryka zatoczyła się gwałtowniej i stanęła. Z chaty przydrożnej wysunęła się gromadka ludzi z pochodniami.

– Co to?! – mruczał rozespany Zabielski.

– Nic! Patrol strażniczy! – odparł flegmatycznie Rudzki.

Patrol zbliżył się tymczasem do bryki. Idący przodem podoficer zadał kilka pytań woźnicy, przerzucił podane mu przez nieznajomych papiery, a następnie podszedł do Zabielskiego i Rudzkiego. Tu legitymacja poszła nierównie szybciej. Podoficer rzucił okiem na pieczęcie i odezwał się sucho w stronę stojącego przy szlabanie szyldwacha:

– *Fertig!*⁵

Zawiasy szlabana już zgrzytnęły, konie potrząsnęły rażno łbami, lecz Rudzki pochylił się ku podoficerowi i szepnął doń kilka wyrazów po niemiecku.

Podoficer cofnął się raptownie.

– *Halt!*⁶ – rozeszła się ponownie komenda. A równocześnie podoficer przypadł do dwóch nieznajomych. – Zsiadać natychmiast! Aresztuję was!...

– Co? Za co? – bronił się starszy.

– Dowiecie się później! Dalej!... Herman! Hans! Do mnie!...

Strażnicy skupili się około podoficera, mierząc groźnie skurczone postacie nieznajomych.

⁵ Fertig! (niem.) – Gotowe!

⁶ Halt (niem.) – Stój!

– Jak się ważycie? Mamy papiery w porządku!!

– Słuchaj ty! – warknął zajadle podoficer. – Chcesz, żeby cię za uszy ściągnąć?!... Brać ich!

Strażnicy wyciągnęli żylaste ręce ku nieznanym, lecz w tejże chwili starszy z nich porwał się z miejsca i powalił najbliższego uderzeniem pięści i zanim podoficer i pozostali żołnierze zdążyli się opamiętać, wyskoczył na ziemię na przeciwną stronę bryki, wołając groźnie na towarzysza:

– Do mnie tu, Jędrak!

Nazwany Jędrkiem targnął się ku przodowi i już miał wyskoczyć, gdy Rudzki przytrzymał go za poję kubraka.

– Poczekaj, kawalerze, dokąd ci tak pilno?! – syknął Dyzma.

– Szpiegu austriacki! – huknął starszy z nieznanym.

– Ognia do nich! – pienieł się podoficer dobywając pałasza.

– Do mnie tu! – krzyczał Rudzki, któremu krzepki snadź młodzieniec z rąk się wyrwał.

Żołnierze rzucili się ku bryce. Dwa strzały padły jeden po drugim. Jedna z kul gwizdnęła tuż około zalterowanego pana Tadeusza. Ku piersi szamocącego się z Rudzkim młodzieńca wysunął się już był bagnet karabina. Ale starszy jego towarzysz wspiał się na brykę i, odepchnawszy oniemiałego z pomieszania woźnicę, schwycił gwałtownie za koniec karabina i wyrwał go z rąk żołnierza, potem zamierzył się na Rudzkiego. Dyzma puścił poję kubraka i zsunął się z bryki ku napastnikowi.

– Za mną! Z tej strony! Mości Zabielski, do mnie tu!...

Austriacy skoczyli na pomoc Rudzkiemu.

– Jędrak, bierz za krócić! – komenderował dalej starszy z nieznanym, młynkując przed sobą karabinem.

– Masz ją! – zaśmiał się Dyzma i wypalił z pistoletu. Kula raniła starszego w nogę. Ugodzony zatoczył się. Nie tracąc atoli przytomności, odpierał razy zadawane mu bagnetem.

– Poddaj się, bo będziesz wisiał! – rechotał Rudzki.

– Dyzma, milcz!...

– Kto jesteś, ty tchórze?!

– Jędrak, pał mu w łeb!...

Młodzieniec wystrzelił, lecz chybił. Żołnierze śmielej natarli. Starszemu już sił brakło do zasłaniania się. Dwóch piechurów opatrywało zamki karabinów, aby do pewnego strzału się złożyć.

– Cel! – rozkazał podoficer.

– Stójcie! – zawołał Rudzki. – Muszę ich mieć żywcem!

– Nigdy! Słyszysz, szpiegu?

– Zobaczymy! – śmiał się dziko Rudzki. – Powiesz ty więcej przy węgielkach!...
Zachodzić mu z tyłu!

– Z tyłu! Poczekaaj, przechero! Szymon, wal, nie pytaj!

Na to zawołanie woźnica wyrwał zasunięty pod siedzeniem drąg i skoczył z tyłu na Austriaków nie spodziewających się z tej strony napaści.

Raz i drugi zakręcił drągiem i uderzył po kaszkietach. Dwóch żołnierzy padło ogłuszonych.

Żołnierze, przerażeni odsieczą, nie mogąc wśród panujących ciemności dosięgnąć przeciwników, cofnęli się pośpiesznie.

Rudzki zaklął, zmuszony do ustąpienia. Młodzieniec, chowający się dotąd za plecami starszego swego towarzysza, sięgnął po karabin leżący około rozciągniętego na ziemi Austriaka i natarł na Rudzkiego.

Dyzma odskoczył od bryki, wołając rozpaczliwie:

– Do mnie! Do mnie, żołnierze! Mości Zabielski, ratuj przed tymi opryszkami!

W dali rozległy się głuche dźwięki alarmującego bębna. Na skraju drogi migały już pochodnie...

Rudzki chciał umknąć, lecz drogę miał zagrodzoną. Jedyńm ratunkiem dlań mógł być pan Tadeusz – lecz ten siedział bez ruchu, jak skamieniały, nie wiedząc, co ze sobą począć.

– Zabielski! – ryczał Rudzki wijąc się przed wysuniętymi ku niemu żądłami bagnetów. – Czego waćpan! – rzucił mimowolnie pan Tadeusz.

– Ratuj! Pał w opryszków!...

– Dyzmo! Szpiegu niktzemny... Tu twój koniec będzie!... Chciało ci się wypatrywać w Warszawie?! Pamiętasz, kto ci plagi wyliczyć kazał przed dwoma miesiącami?!...

– Oskierko! – zawył z wściekłością Rudzki i nagle odtrącił bagnet i z puginałem wpadł na przeciwnika. Jędrak z Szymonem chcieli pośpieszyć z pomocą – ale żołnierze znów skupili się, a widząc nadciągającą pomoc, natarli śmieiej. Rudzki dławił starego i mocował się z nim. Oskierko, któremu od postrzału noga silnie krwawiła, opierał się dzielnie, lecz w stalowym uścisku Dyzmy słabł i ledwie mógł utrzymać grożącą mu puginałem rękę. Po daremnym wysiłku – przechylił się i upadł. Rudzki przytłoczył go kolanami do ziemi i wznosił rękę do ciosu.

Naraz Rudzki zatrząsł się z przerażenia – ktoś z tyłu schwycił go za uzbrojoną puginałem rękę i szybkim ruchem w tył mu wyłamał.

- Zabielski, ratuj!
- Jestem! – huknął dźwięczny głos pana Tadeusza tuż za plecami Rudzkiego.
- Puszczaj mnie! Chcesz tego nikczemnika bronić! Wiesz, że za nim listy gończe...
- Milcz! – przerwał pan Tadeusz. – Coś waść za jeden?!
- Oskierko... kapitan drugiego pułku ułanów... Księżstwa!
- Puść go! – rozkazał sucho Zabielski, szarpiąc Rudzkiego.
- Oszalałeś!... Chcesz wisieć z nim razem! Nigdy! Do mnie, warta! Na pomoc!... Ty!

Dyzma nie dokończył, gdyż pan Tadeusz porwał go wpół, zatrząsł i odrzucił gwałtownie, uderzając obezwładnionym ciałem Rudzkiego o koło bryki. Rudzki stracił przytomność.

Zabielski poskoczył ku Oskierce, pomógł mu powstać i z nim razem sunął ku Szymonowi i Jędrkowi, którzy ostatkiem sił walczyli przeciwko przemagającej sile żołnierzy.

- Wał, Jędrak – wołał teraz Oskierko.
- Z tyłu im zachodzić! – wtórował pan Tadeusz, który, wyrwawszy z rąk osłabłego Szymona drąg, natarł z furią na Austriaków.

W młodym burmistrzu-kanceliście pasja zagrała. Oczy mu krwią nabiegły. Mimo nastawione bagnety, mimo strzały karabinowe następował, zadając krwawe razy. Austriacy próbowali się bronić, lecz noc czyniła ich strzały ślepyimi, dwoiła liczbę nieprzyjaciela. Gdy jednak Szymon z podniesionym karabinem, a za nim znów Jędrak i Oskierko napadli na żołnierzy z boku, ci pierchnęli w nieładzie, nawołując się i szukając oparcia w nadciągającej ze wsi pomocy.

Oskierko postrzegł niebezpieczeństwo i zawołał:

- Za mną teraz! W pole!

Zabielski i Jędrak bez wahania poszli za biegnącym Oskierką.

Szymon skoczył do woza, pochwycił za kobiałkę i poszedł za ich przykładem.

Austriacy, spostrzegłszy ucieczkę, rzucili się w pogoń. Kiedy jednak cienie uciekających skryły się w czerniejącym na skraju pola zagajniku, odeszła ich ochota do dalszego pościgu.

Zabielski ze swoimi przygodnymi towarzyszami biegł tymczasem, ile siły stało, klucząc w zagajniku, aby zmylić pościg. Zagajnik atoli przeszedł w las mocno podszyty od dołu, zawalony tu i owdzie, snadź przez huragan, kłódami drzewa, pełne zdradliwie sterczących, spróchniałych pni, śniegiem przyprószonych dołów a rozwierających się nad grząskami błotami powłok lodowych. Uciekający zwolnili kroku, lecz szli jeszcze, ledwie ostrzegając się niekiedy przed napotkaną przeszkodą.

Po godzinie takiej drogi Oskierke nagle przystanął, oparł się o sosnę i rzucił głucho:

- Kroku dalej stąpić nie mogę!

– Co waćpan?!... – zagadnął z niepokojem Zabielski.

– Noga! – jęknął Oskierko.

Szymon z Jędrkiem pośpieszyli Oskierce z pomocą. Usadowili go na kłodzie drzewa i jęli opatrywać mu ranę, trzeźwiąc wódką dobytą z kobiałki.

Pan Tadeusz przysiadł także na kłodzie i dyszał ciężko. Skronie mu pulsowały, ręce drżały. Jeszcze nie mógł odzyskać równowagi po przebytych tylko co wypadkach, jeszcze nie umiał zdać sobie sprawy, jak się to stało, że oto teraz znajduje się w lesie pośród obcych mu zgoła ludzi.

Bił się przecież tam! Stawił opór! Nic podobnego w życiu mu się nie przydarzyło!... A jak cofali się przed nim!...

Zabielski uśmiechnął się sam do siebie z zadowoleniem.

Nagle uczył jakieś niezrozumiałe dlań ciepło na lewym policzku. Sięgnął ręką. Zdało mu się, że strumień potu. Spojrzał mimo woli na rękę – wydała mu się czarną. Otarł ją o śnieg. Na śniegu ukazały mu się ciemne plamy... Dotknął po raz drugi, trzeci, za każdym razem wycierając rękę – plamy na śniegu zwiększały się... Wiatr mroźny szczypał go dotkliwie w lewy policzek.

Pan Tadeusz wziął grudkę śniegu i przyłożył do twarzy – odjął, grudka była czarna prawie.

Wtem poprzez wystrzeliste sosny wyrzwał rąbek księżycy. Plamy na śniegu poczerwieniały. Zabielski pochylił głowę bezwładnie...

W oczach jęły mu się ukazywać świetlane płatki i otulać kłębamii pary znaczącej każde drgnienie jego oddechu, a w końcu rozplýwać w mgłach nieuchwytnych i jasnych koliskach...

– Janka! – szepnął cicho pan Tadeusz i wyciągniętymi ramionami szukał tej, którą był widział tak siebie bliską, a tak nieuchwytną.

– W drogę! Czas! Dostyc bałamuctwa! – rozległ się znów raźny głos Oskierki.

– Wstawaj waszmość! – dorzucił Jędrak.

– Idę! – Jęknął pan Tadeusz. Zebrał siły, podniósł się, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa i runął na zmarzłą murawę.

III

Pan Tadeusz z wysiłkiem uniósł ociężałe powieki i znów je zmrużył, jakby szukając w umyśle swym tłumaczenia widoku, który mu się był przedstawił. Na próżno. Ani izby tej przypomnieć sobie nie mógł, ani postaci chłopca siedzącego pod oknem na ławie. Gdzież się znajdował? U kogo?... Jechał... jechał z Ilży. Może nocuje w Radomiu? Nie... Widział się przecież z tym... A potem?

Myśl jego pracowała gorączkowo. Jeszcze dręczyły go niepewności, jeszcze wspomnienia nocnej rozprawy kojarzyły się z dobrotliwie uśmiechniętą twarzą Wassenfelda i chudą postacią Mólskiego – aż naraz rzeczywistość stanęła przed nim jak nieuchwytnie mgnienie, jedne wątpliwości rozproszyła, drugie bardziej jeszcze zaplątała. Pan Tadeusz chciał głowę podnieść, aby lepiej, uważniej rozejrzeć się, lecz za pierwszym poruszeniem ból szalony, drętwy przejął mu czaszkę wskroś. Zabielski jęknął głucho.

Na dźwięk głosu pana Tadeusza chłop siedzący na ławie podniósł się i zbliżył do tapczana, na którym leżał Zabielski.

– Co waszmość? – mruknął chłop. – Boli?... Pewnie!... Napij no się waćpan! To cię orzeźwi! Niech no waszmość kruszynkę się wykręci! O tak! Gałgan świeży nałożę! Drasnął tego... nic, zażywie... bo schnie pod plastrem...

Pan Tadeusz syczał z bólu. Chłop z flegmą obmył mu ranę na skroni, odjął zręcznie odwilżoną a przylegającą szarpinę, osuszył krwawą szramę, plastrem oblepił i głowę spowinał.

– Skończone! – zakonkludował chłop. – Leżże sobie waćpan teraz, byle spokojnie, a za tydzień śladu nie zostanie.

Chłop zawrócił od tapczana, lecz Zabielski, któremu wino dodało sił, zagadnął niepewnie:

– Gdzież jestem?...

– Przecież nie u oczajduszy, mospanie; ci, co was przynieśli, Austriakom was nie wydali!... Dosyć! Przyjdzie pora, będziecie pytali.

– Powiadacie, tu mnie zostawili? Oskierko... pamiętam!...:

– No, Oskierko, mospanie, i cóż z tego.

- Jest tutaj?
- Juści! Miał czekać na waszmości!...
- Poszedł!.. Dawno?
- Dziś piąty dzień!...
- Piąty dzień... piąty! Więc ja tutaj leżę piąty...:
- Ósmo! – poprawił chłop. – Narobiliście takiego gwałtu pod Ksawerowem, że was w lesie trzymać musiałem!...
- Możeż to być? Jezus! Nie ma go! Może jest gdzie w pobliżu!...
- Pewnie, żeby go obwiesili albo w kajdanki zakuli! Poszedł do Warszawy. A waszmości, jak tylko lepiej będzie, radzę uczynić to samo, bo cię i u mnie wypatrzeć mogą!
- Tak, tak! – powtarzał Zabielski. – Ja muszę, muszę do Warszawy!... Zaraz muszę! Pilna sprawa!

Chłop machnął ręką.

- Nie ucieknie! Bądź waćpan kontent, żeś życie za ogon przytrzymał!
- Wojna! Rozumiecie... wojna idzie... a tam nie wiedzą... – bełkotał Zabielski.

Chłop ściągnął krzaczaste brwi.

- Co wy?!... Co?... Gorączka!
- Kto wy jesteście?

Chłop targnął się, sięgnął do wąsa, a napotkawszy na przystrzyżony przy skórze zarost, splunął z alteracją.

- Mospanie!... Kto zacz jestem, to jestem! Waćpana o rodowód nie pytam!
- Darujcie... lecz chcę waszmości powierzyć...
- Więc nie powierzaj !...
- Sprawa nie moja...
- Ani moja, mospanie!
- Nie waćpana... jeżeli cię nie obchodzą losy tego Księstwa, które nam zostało!...
- Jak to, mospanie! – zawołał surowo chłop i za pas się chwycił, jakby głowni karabeli szukając. – Cóż to za brednie!
- Wojna lada dzień!... Spod Sandomierza jadę!... Rekruta wybierają, oddziały ściągają... Austriacy ruszą chmarą... wprost na Warszawę! Tam dążyłem, aby uprzedzić, aby przestrzec... aby skłonić do czujności...

Chłop kręcił głową niedowierzająco.

- Dziwy, dziwy mi acan prawisz! Gdzie tu Austriacy?!... Jest przecież Napoleon!

– Wojna i z nim! Zanim zdąży, oni zagarną!... Widzicie sami... muszę... to, co powiadam, pewne... Wassenfeld... Janka... wahałem się... ale trzeba...

Siły Zabielskiego jęły opuszczać. Chłop zastanowił się, podał kubek rannemu, a gdy ten, nasyciwszy się, osunął się bezwładnie na posłanie, mruknął do siebie:

– No, teraz, mospanie, prześpisz ty i wojnę, i Austriaków!...:

Napłynie ci powoli krew, to i rozum wyklaruje.

Pan Tadeusz, odurzony trunkiem, zapadł w sen kamienny. Dobrze już dniało, kiedy Zabielski otworzył znów oczy, tym razem szerzej, pewniej. Ból w skroni ledwie że się odzywał, świadomość. wróciła.

Pan Tadeusz spojrział ku leżącemu w kącie izby swemu gospodarzowi i pozdrowił go. Chłop uśmiechnął się filuternie.

– A co? Lepiej! Mówiłem! Jeszcze wytrwania trochę i koniec, mospanie. Nie z takich okaleczeń się wychodziło... Jeść się pewno waszmości chce? Ba! Czekaj acan, żuru ci nagotuję.

Chłop zwłókł się z posłania i jął się krzątać przy kominie.

– Babie szłoby sporzej.

– Czy waszmość pamięta, co mówiłem doń? – zagadnął niespodzianie pan Tadeusz.

Chłop spojrział niepewnie na Zabielskiego.

– Czy pamiętam? Et... nie zważalem. W chorobie rozmaicie bywa... rozum swoje, język swoje. Ale co tam, nic takiegoście znów nie mówili.

– Mylisz się waćpan – odparł spokojnie pan Tadeusz – albo poczytujesz to za majaczenie, a to była prawda. Chłop odskoczył od komina.

– Co acan ? Co było prawdą ?

– Że natychmiast ruszać muszę do Warszawy, że wojna...

– Lecz te nowiny zakrawają mi na bajdy. Mospanie, o wojnie mówi się nie od dzisiaj. Nikt się jej nie obawia, raczej wygląda, pragnie. Waćpan trapisz się niepotrzebnie. Właśnie Oskierko... Wracaliście razem.

– Z Radomia.

– Wiedziałby coś, może więcej od waszmości. Chwałę mu zapał, tylko na licha będziesz bez pożytku zdrowie narażał? Wydobrejesz sobie, a potem sam cię stąd czym prędzej wyprawię czy z wiadomościami, czy bez.

– Austriacy lada dzień ukończą przygotowania...

– Za pozwoleniem, toć i ja tutaj w Galicji mieszkam, pod granicą wprawdzie, ale i mnie by się coś o uszy obilo.

– Tajemnica, pojmujesz waszmość... wojskowa! Nie mam tu czego ukrywać; jakbyś chciał... to i teraz starczyłoby argumentu na kazamaty... jestem Tadeusz Zabielski, burmistrz ostrowski... Żeby nie urząd mój, nie przyjacielstwo z dowódcą załogi... wiadomość byłaby mnie nie doszła.

Chłop zafrasował się.

– Może i tak! Mospanie... wierzę chętnie waćpanu... Trzeba by kogo do pikiet naszych wysłać... Macie pewno jakie papiery?...

– Papiery! Żadnych... to tylko, co wam powiedziałem!...

– To źle, mospanie! Tam waszego posłania nawet słuchać nie będą chcieli!...

– Dworujesz sobie waćpan!...

– Chciałbyś, żeby było inaczej! Słuchów rozmaitych do wolna... a między nimi co i rusz bałamuctwo!... Imaginuj sobie, mospanie, mości Zabielski, że ty sam trzymasz straż graniczną i że do ciebie zwiastun jaki nieznany przychodzi i deklaruje ci wojnę z Prusakami... Cóż byś uczynił?

– Wybadałbym gońca i starszyznę zawiadomił!

– Faramuski, mospanie, koszałki! Gdyby ci nowina taka raz do roku wypadła, nie neguję – ale tu co chwila inne wieści! Jedna straszniejsza od drugiej, a w każdej jakaś austriacka sztuczka przycupnęła i zęby szczyrzy!

– Sądzisz zatem waszmość, że lepiej by poniechać?!

– Nigdy, mospanie! Skoro waćpan masz utwierdzenie... trzeba! Jak cię obaczą, wysłuchają, kto wie, może i uwierzą!...

– Ależ dziwy prawicie! Toć niebezpieczeństwo zawisło, jakąż korzyść mógłby stąd wynieść nieprzyjaciel?...

– Mości Zabielski! Mnie przekładać tego nie potrzebujesz, ale co w Warszawie, nie pójdzie ci łatwo! Zdało ci się, że cię tam z otwartymi rękoma przyjmą! Życząc, abyś dobrze trafił!

Pan Tadeusz spojrział ze zdumieniem na marsowe oblicze chłopca i szepnął:

– Prawdziwie pojąć nie mogę!

– Nie waćpan pierwszy i nie ostatni! – zaczął gorączkowo chłop. – Nie wiem, jak sobie imaginujesz one rządy w naszym Księstwie. Król, chociaż i wielkiej zacności, ale nie żołnierz i nie wódz, więcej za swoją Saksonią się ogląda i bardziej Napoleona słuchać musi niżli sam rozkazywać. Rada Stanu chciałaby niejednego, lecz z francuskim gubernatorem sprawa niełatwa, a co i rusz, między panami, obcych potencji zausznicy a tajni klienci! Każdy tam

czego innego chce i do czego innego namawia! Szlachta chciałaby wojny, lecz z czym ją zacząć?!

– Pozwól waszmość, przecież wojsko...

– Mospanie! – odparł chłop chwiejąc smutnie głową. – Wojsko, mówisz? Gdzie bo ono jest?! Co przedniejszy żołnierz to wyprowadzony w świat! Liczże! Legia nadwiślańska, najdzielniejsza piechota Kaśinowskiego, Szotta, Chłopickiego i Estki w Hiszpanii, tam-ci są i co najlepsze ułany Konopki. Czwartą pułk Feliksa Potockiego we Francji, szósty i dziewiąty Sierakowskiego i Sułkowskiego także hiberny⁷ odprawuje gdzieś pod Paryżem, z piątego pułku Michała Radziwiłła ledwie garstka została w kraju, a policz no teraz regiment gwardii, który nam co tęszą i sprawniejszą młodź wyprowadził, policz, ile to ochotnika polskiego wysługuje się we francuskich pułkach, ile wyciągnęło z domów za sławą, za zaszczytem, za Bonapartowymi orłami! I któż został?! Garść ledwie nie zaprawiona do boju, nazbyt zadufana i zapalczywa! Oficerów braknie, szesnastolatkom nakładają szlufy⁸, rozdają porucznikowskie instrumenty i co?! Miły sercu widok patrzeć na rogate czapy, granatowe mundury, amarantowe proporce, lecz gdzie takim do wojny! Mospanie, z austriackim żołnierzem rozprawa niełatwa!

– Gorzkie wróżby waćpana! Prawda, żołnierz młody, ale wodzów ma...

– Wodzów?! – przerwał gorączkowo chłop. – Znać, że waszmość z daleka przybywasz! Bezrząd, nieład, mataczyny i zawiść! Księżę Józef chciałby naczelnej władzy, Zajączek raczej by do rokoszu się porwał, niżby Poniatowskiego słuchał, no, a przecież jest jeszcze i Dąbrowski, temu podobno nie żartem należało się dyktatorstwo i to go nurtuje a doskwiera. Trzech wodzów, trzy legiony, trzy partie zawzięte. Inwidia⁹ zaraziła żołnierzy! Między pułkami Zajączka a dąbrowszczykami już do krwawych przychodziło bijatyk!

Zabielski słuchał ze wzrastającym zdziwieniem gorącej przemowy gospodarza, przyglądając się jego wyniosłej postawie, twarzy wyrazistej, ruchom pełnym szlachetności nie licującym ani z kubrakiem, w który był odziany, ani z ubóstwem wyzierającym z każdego kąta izby. Pan Tadeusz nie mógł dłużej oprzeć się niepewności i zagadnął znięcka:

– Daruj waszmość, zdumiewać mi się przychodzi twemu rzeczy rozumieniu. Pozwól, niech wiem, z kim mam honor.

Chłop zmieszał się, po czym wzrok spuścił ku ziemi i ozwał się ponuro:

– Kazimierczak jestem...

⁷ Hiberna – zimowe leże wojsk.

⁸ Szlufy – szlify; naramienniki uniformu wojskowego z oznaczeniem rangi i przynależności do określonej formacji.

⁹ I n w i d i a – zawiść.

- Kazimierczak ? – powtórzył machinalnie pan Tadeusz.
- Kazimierczak... właśnie! – przytwierdził chłop surowo.
- Tu osiadły?!
- Jak waćpan widzisz!...
- A gdzież ja... w której stronie się znajduję?
- Niedaleko Magnuszewa... na leśniczówce...
- Więc waszmość jest...
- Jestem, mospanie! – uciał groźnie Kazimierczak.
- Waszmość musiał służyć wojskowo?!...
- Musiał, nie musiał. Leż acan spokojnie i myśl o sobie, bo ani żuru się nie doczekasz, ani niczego się ode mnie nie dowiesz!

Zabielski zrozumiał, że daremne tu będą pytania, i zadumał się, co mu przedsiębrać należy. Słowa Kazimierczaka odebrały mu ochotę do przebierania się do Warszawy. Po co jechać, kiedy mu nie uwierzą? Raczej by co prędzej bocznymi drogami do domu zawracać się należało. Teraz wszak inaczej postąpić nie może. Chybiona wyprawa! Szczęście, że i tak żyw uszedł.

W panu Tadeuszu zimne refleksje jęły brać górę. Ciągnęła go zaciszna burmistrzówka, rwało serce do Janki.

Gdzie jemu, biedakowi takiemu, kopytka nadstawiać a w zamysły o salwowaniu Księstwa się bawić. Ot, ledwie człeka godziwego napotkał a w gawędę się wdał i już pobitym został. Warszawa akurat miałaby czekać, aż zza Hły szlachetka przywędruje i *periculum in mora*¹⁰ zwiastować jej będzie!

Zabielski uśmiechnął się do siebie. Januś ma złote serce, a czego im obojgu nie stało – zastanowienia. Ten przecież rzetelnie wywodzi!... Zawiadomić, ostrzec... Łatwo się wymówi. A tu nawet gadać nie zechcą... Dokąd? Wassenfeld, pułkowniczyso sobie uczciwe, lecz i on także napłótl może... Ale ten stary – frant nie lada! Kazimierczak, mówi, jestem... za prostaka się wydaje, a rozprawia jak statysta¹¹.

Pan Tadeusz podniósł głowę, aby, na potwierdzenie swych domysłów, obrzucić badawczym spojrzeniem swego gospodarza, lecz nagle usłyszał tuż za sobą jego stalowy głos:

– Mospanie, bierzcie się do jada! Sił wam trzeba!

Zabielski sięgnął po podaną mu misę. Kazimierczak usadowił się tymczasem za tapczanem od strony wezgłowia, tak że pan Tadeusz nie mógł go widzieć, i ozwał się pierwszy:

¹⁰ *Periculum in mora* (łac.) – niebezpieczeństwo w zwłocze; hasło wyrażające potrzebę szybkiej pomocy.

¹¹ Statysta – tu: mąż stanu, polityk.

– Jakże więc waćpan myślisz począć?

– At, cóż? Słusznie wywieśliście. Wracać trzeba, byle co tchu, w zaścianku się zaszyć i podejrzenia nie dawać.

– Piękne postanowienie! – mruknął ironicznie Kazimierczak. – Rozmachu starczyło wam ledwie do granicy.

– Jak to? – odparł Zabielski stropiony niespodziewanym zwrotem. – Powiadaliście, nie uwierzą...

– Co powiadałem? – zaperzył się stary. – Otóż i zło, co nie od dziś się rozpleniło. Lada przeszkoda – i już gotowy wykret, a mnie co do tego?

– Jam człek skromny...

– Ano właśnie! – przedrzeźniał Kazimierczak. – Ja nie do tego! Ja nie uratuję, nieszczęścia nie odwrócę! Takich było miliony! Rozumiesz, mospanie?!... Miliony patrzyły, jako i ty bezradne, z założonymi rękoma, i oglądały się za siebie, kędy garść szamotała się, i miliony mówiły sobie – przecież są tacy, co robią, a gdzie nam, chudeuszom czy niezdarom!... Tfy, mospanie!... Acan kpinki sobie robisz z dobrej sprawy!... Jam stary! Mnie zwątpienie porze, ale tobie wara od tego! Jeżeli cię ziębił, to nie dla odwiedzenia cię od zamiaru, jedynie dla przygotowania, zaprawienia, byś nie roił sobie zbyt wiele, by cię lada przeszkoda nie zwarzyła w supozycjach, byś wytrwał!...

Kazimierczak odsapnął ciężko i rzucił rozkazująco:

– Powiadaj mi, acan, co, jak i od kogo wiesz?!

Zabielski, oszołomiony stanowczością głosu swego opiekuna, rozpoczął tłumaczyć się ze wszystkiego a spowiadać.

Kazimierczak wysłuchał uważnie i zakonkludował:

– Żona waćpana ma więcej impetu a serdecznej myśli w jednym palcu!... Musisz rzecz doprowadzić! Przyjmą cię, ocenią posługę czy nie... acan zrób swoje, abyś w sumieniu był czystym! Zadrgała w tobie skra pocziwsza, nie dajże jej zagasnąć!... A i o tym pamiętaj, że o powrocie myśleć ci nie wolno, chyba że chcesz wpaść gdzie w pułapkę! Pościg jest, i to nie lada, no, a kiedy Rudzkiego żywym zostawiliście... będzie on i o waćpanu pamiętał...

– Tak, prawda, lecz ósmy... dziewiąty dzień, prawie dwie niedziele... późno...

– Nie twoja rzecz! Spóźnisz się, będą już o wszystkim wiedzieli – to się ucieszysz, bo chyba nie o popisanie ci idzie, jeno o skutek!... Kiedyż ruszasz?

Zabielski mimo woli wyciągnął rękę do obandażowanej głowy. Stary zrozumiał odpowiedź.

– Raną się nie turbuj... Wczoraj myślałem, żeś majaczył, i lękałem się, bo z takich okaleczeń czasem i rozum ucierpieć może! Dziś niebezpieczeństwo minęło... Wypoczniesz sobie, a jutro, na noc... w drogę. Samego cię nie puszcze, żebyś nie utknął... Okazja będzie! Do Warszawy blisko! Znacie miasto? Nie? Coś się obmyśli!... Dostyc tego! O nic mnie nie pytajcie, bo tu koniec, mospanie, debatam!

Kazimierczak skinął Zabielskiemu i powlókł się ociężale do sąsiedniej izby, pozostawiając, rannego własnym myślom. Powrócił niemal o zmierzchu, zajął się przygotowaniem posiłku i opatrzeniem rany, nie odpowiadając na pytania Zabielskiego, a ledwie kilka rzuciwszy wyrazów.

Ranek dnia następnego zeszedł również milcząco. Pan Tadeusz gorączkował się, po kilkakroć pytał o przygotowania do drogi i zawsze odbierał suchą odpowiedź, że czas jeszcze. Dopiero gdy ściemniać się zaczęło, Kazimierczak ożywił się. Opatrzył znów Zabielskiemu ranę, zastawił przed nim obfite jadło i zachęcał do posiłku:

– Jedz waćpan, pij, sił ci trzeba na drogę!... Kto wie, może się przygoda zdarzyć!

– Więc dziś?!...

– Chciałbyś acan odłożyć?

– Nie! Tylko powiadaliście o przewodniku, a nie widać go!

– Bądź acan spokojnym! Będzie!... Przed północą ruszysz!

– Hm!... Nie lepiej by wcześniej? Przecież noc już zapadła, czego zwlekać?!

– Napierasz się, może i lepiej! – odrzekł obojętnie i klasnął w dłonie.

Na ten znak z sąsiedniej izby wyszedł barczysty, krępy kmieć w siwym kożuchu i stanął z uszanowaniem przy drzwiach.

– Oto przewodnik waćpana! – objaśnił Kazimierczak. – Możesz mu zaufać, doprowadzi cię, gdzie trzeba! Zbieraj się więc! Weź tę króciwą na drogę od wypadku, no i ten kożuch! Nie wzdragaj się, mnie nic po nim!

Zabielski jął żegnać się a dziękować.

– O tym potem! – przerwał sucho Kazimierczak. – Idźcie z Bogiem... a o mnie zapomnijcie!

Pan Tadeusz chciał odpowiedzieć, lecz stary popchnął go ku drzwiom, szepnął jeszcze kilka wyrazów przewodnikowi i powlókł się w głąb izby. Zabielski rad nierad wyszedł za kmieciem przed chatę i rozejrzał się niepewnie po zasłanej śniegiem polanie leśnej,

– Wielmożny pan niech się mnie trzyma, skręcimy zaraz. Kmieć zawrócił z wydeptanej ścieżki na przełaj w głąb lasu, klucząc między zaroślami, omijając wilcze doły, a od czasu do czasu spoglądając ku wierzchołkom drzew. Szli tak w milczeniu długi czas, aż pan Tadeusz

zaczął ustawać, potykać się a dyszeć ciężko. Kmieć postrzegł zmęczenie Zabielskiego i przystanął.

Zabielski przysiadł pod drzewem. Kmieć wyjął z zanadru zawiniątko, a z kieszeni wyciągnął butelkę gorzalki.

– Niech wielmożny pan się posilą. Przed północą ani chybi mróz chwyci.

– Daleko jeszcze?

– Będzie z mila... może lepiej. Ale co potem lżej, byle szlabany ominąć z daleka i Pilicę przejść... Czas dobry. Lód jak kamień.

– A wy co za jedni?

– Ja? Karaś... Rybak, wielmożny panie.

– A tamten... Wasz gospodarz?...

– Tamten? – powtórzył przeciągle kmieć. – Juści... Kazimierczak...,

– Znacie go dawno? – badał dalej pan Tadeusz.

– Kto by tam spamiętał? Człowiek rozmaitych ludzi spotyka.

– Cóż on tu robi na tym pustkowiu?

– Pewnie, co i wszyscy... Zima, to i siedzi, pod piecem a grzeje się...

– Mówicie tak, jakbyście mi nie ufali – zauważył pan Tadeusz.

Karaś zmrużył oczy filuternie i odrzekł:

– Wielmożny panie, a gdzieżbym ja śmiał! Co wiem, to i gadam...

– Przecież tamtemu zła nie życzę. Opieki, gościnności zaznałem... a że chciałbym wiedzieć, komu ją zawdzięczam, to was zastanawiać nie powinno!...

– Ho, ho!... Toć wiem, wielmożny panie! Dlatego powiadam: siedzi na tej leśniczówce i tak sobie dycha!

– Wyście u niego w służbie?!

– Niby ja? – zastanowił się chłop. – Gdzie zaś! Przecież teraz u wielmożnego pana! Zabielski zagryzł wargi.

– Frant z ciebie nie lada!...

– Rybak, do usług! Zwyczajnie... zima... Z przerebli niewielka obrada – wędruje się po świecie na posługach. Aby dalej, aby do wiosny, a jak kra spłynie – to się idzie nad wodę, na Wiselkę!

Zabielski rozumiejąc, że od chłopu słowa nie dobędzie, podniósł się i rzucił ostro:

– Możemy iść, więc nie marudźmy!

– Wola wielmożnego pana! – odrzekł potulnie Karaś. – Tylko co teraz króćca może się zdać!

Pan Tadeusz zbył milczeniem uwagę rybaka i dał znak do ruszenia w drogę.

Karaś wysunął się naprzód.

Las tymczasem jał rzednąć, przeświecać tu i owdzie jasnym horyzontem wyiskrzonego nieba, wreszcie jał ginąć w porozrzucanych bezładnie kępach drzew, aż przeszedł w otwarte pole.

Karaś rozejrzał się uważnie dokoła i wskazał Zabielskiemu szarzejące na lewo cienie.

– Tam stoją! – rzekł szeptem. – A tam wprost... gdzie krzaki... tam jest Pilica. Byle nas nie dojrzeli, boby na nas ćma zleciała.

– Jest ich czym przyjąć! – mruknął zuchowato pan Tadeusz.

– Wielmożny panie! Byle nie przed czasem... Gdyby co... mam paszporty. A teraz, aby dostać się tu na prawo.

Chłop, nie czekając odpowiedzi, ruszył chyłkiem przez pole. Zabielski pośpieszył za nim.

Karaś prowadził wprost ku małej rzeczce, która, wpadając do Pilicy, przecinała pole szerokim a wyniosłym po obu stronach rowem. Rzeczka, pokryta mocną skorupą lodu a okolona krzakami wikliny, stanowiła doskonałą osłonę, a nadto wiodła do zamierzonego celu.

Rybak pierwszy przybiegł na brzeg i jak kula stoczył się na lód. Panu Tadeuszowi noga się podwinęła i runął w zaspę śniegową. Karaś pośpieszył mu z pomocą. Zanim atoli Zabielski zdołał wydostać się z zasy – w oddali rozległ się wystrzał, a w ślad za nim dźwięki trąbki.

– Dostrzegli nas! Za mną, wielmożny panie... na lód...

Zabielski zsunął się po stromym brzegu za rybakim i jał bieć, ile tchu starczyło. Alarm wszczęty wzmagął się, rósł. Panu Tadeuszowi nogi odmawiać zaczęły posłuszeństwa. Karaś naglił wskazując poprzez wiklinę snujące się po polu cienie.

– Wielmożny panie... Każdej chwili szkoda! Teraz już paszportami się nie wykreści... Jeszcze krzynekę...

– Nie mogę! – jęknął Zabielski.

Karaś pochwycił w ramiona ślaniającego się pana Tadeusza i uniósł.

Koryto rzeczki rozszerzało się już, w odległości kilkudziesięciu kroków widać było Pilicę.

Karaś odetchnął, lecz naraz wzrok jego padł na brzegi – i ciarki go przeszły. W miejscu gdzie rzeczka wpadała do Pilicy, stał huzar z karabinkiem wspartym na siodle.

– Wielmożny panie... króćce! – szepnął rybak do pana Tadeusza. Lecz ten poruszył ledwie wargami i zwiśł bezwładnie na rękach Karasia.

Rybak przystanął, zafrasował się, a po chwili jał sunąć dalej, kryjąc się pod wikliną od strony, kędy widniała sylwetka huzara. W ten sposób myszkując podsunął się tak blisko że prawie mógł rozpoznać nastroszone wąsy kawalerzysty i niespokojnie zapatrzone w

przestrzeń oczy. Jeszcze kilka kroków, a Karaś dotrze do Pilicy, a tam, na drugiej stronie... austriackie pikiety nie sięgają.

Lecz nowa zjawiała się przeszkoda. Oto w miejscu gdzie stał huzar, wiklina nikła. Niepodobieństwem było przesunąć się tak, żeby nie być widzianym,

Rybak ułożył pana Tadeusza pod krzakiem wyjął mu króćce, opatrzył i postanowił czekać, póki Zabielski nie wypocznie.

Ale od pola nadchodzić zaczęły odgłosy przyśpieszonych kroków, a za nimi tuż w górze rzeczki zarysowały się cienie piechoty.

– W trzy pacierze nas pochwyć – mruknął Karaś – Czy tak, czy siak, jeden koniec!

Nie namyślając się dłużej, wygramolił się na czworakach na brzeg i jął zataczać szerokie koło, aby z tyłu zająć huzara. Z początku posuwał się szybko, lecz w miarę przybliżania się jego do kawalerzysty, koń ostatniego jął strzyc niespokojnie uszami, przestępować z nogi na nogę, wreszcie targać się niespokojnie.

Rybak oka nie spuszczał z huzara, śledząc każdy jego ruch. Widział, jak ściągał cugle, jak odwiódł kurek karabina i jak ze wzrastającą uwagą wpatrywał się w wiklinę. Koń tymczasem coraz większy zdradzał niepokój. Huzar, dla uspokojenia go, cmoknął cicho i kilka kroków przejechał, po czym zawrócił na miejsce. Karaś rozplaszczyl się prawie na ziemi. Jedno poruszenie głowy huzara – i byłby odkrytym. Koń targał się, zżymał jeszcze. Huzar po raz wtóry ruszył. Rybak dłużej się nie namyślał. Porwał się z miejsca, zmierzył i wypalił do huzara... Kawalerzysta pochylił się na siodle. Wystraszony koń poniósł go w pole.

Karaś nie zwlekając rzucił się znów ku rzeczce, do miejsca gdzie był pozostawił Zabielskiego, porwał go na ręce i ślizgając się, biegł prosto do koryta Pilicy.

Wystrzał pistoletowy milczący brzeg rzeki napełnił odgłosem alarmujących sygnałów. Spoza krzaków, pagórków, z bezbrzeżnej szarzyni horyzontów wyłaniać się zaczęły ostrza bagnetów.

Karaś sunął coraz śmieiej, coraz pewniej.

– No! – mrucał do siebie. – Hukajcie sobie teraz... hukajcie... Bez mała a już!

Zabielski odzyskał przytomność.

– Gdzie jesteśmy?

– Nic, wielmożny panie! Na Pilicy!

– Puśćcie mnie! Sam pójdę!

– Kiedy wola... Jegomość ciężki! Niech się wielmożny pan wesprze... O, dalej... Jezus Maria... idą na lód! Goniają... Uciekajmy! Do brzegu... do brzegu!...

Zabielski obejrzał się. Pluton piechoty austriackiej sunął po lodzie.

Pan Tadeusz, trzymając się ramienia rybaka, zdążył, ile mu sił starczyło. Na szczęście, brzeg przeciwny był już blisko. Karaś w kilku susach dopadł go, wskoczył i podał rękę Zabielskiemu.

– Teraz jesteśmy u siebie! Tu nam nic nie mogą zrobić... Ba!... Drą się za nami!... Taka i to granica!

Pluton Austriaków istotnie snadź niewiele sobie robił z tylżyckiego traktatu, bo przeszedłszy linię graniczną z tą samą zaciekłością ścigał uciekających na ziemi Księstwa Warszawskiego. Pościg atoli teraz miał być dla straży granicznej o wiele pomyślniejszym. Zbiegów siły opuszczały. Karaś raz jeszcze próbował unieść Zabielskiego, lecz i jemu mocy nie stało. Zebrał jeszcze ostatek sił i zdołał wpaść w kępę rysujących się w bliskości brzegu zarośli i tam razem z panem Tadeuszem za króćice chwycić.

– Brońmy się! – zachęcał Zabielski rozgrzany niebezpieczeństwem.

– Trzeba, wielmożny panie! – przytwierdził Karaś. – Jedna dola... Chociaż, co tu poradzi? Dwie króćice – moja trzecia... a tu ani kija!

– Nic! Może ich spłoszy... Mierzyć ostrożnie!

Zaledwie pan Tadeusz zdołał podaną mu przez rybaka a wystrzeloną króćicę nabić – około zarośli rozległy się miarowe kroki warty... Oficer dowodzący, ażeby mu zdobycz nie uciekła, otoczył zarośla, a następnie trzem żołnierzom z podoficerem kazał ująć zwierzynę.

Żołnierze ruszyli z nastawionymi bagnetami, rozgarniając krzaki i wzywając do poddania. Karaś z Zabielskim dopuścili ich na odległość strzału i dopiero wypalili równocześnie powalając dwóch najbliższych, drudzy dwaj cofnęli się pośpiesznie.

Oficer zębami zgrzytnął i zakomenderował: cel do środka. Zabielski, który był zrozumiał niemiecką komendę, ledwie miał czas uprzedzić Karasia, aby na ziemi się położył – gdy raz i drugi gruchnęła salwa karabinowa. Kule krzyżowały się, zasypały ukrytych zbiegów odłamkami gałęzi i potoczyły się bezwładnie, ryjąc bruzdy w śniegu.

Nowy strzał pistoletowy z krzaków raz jeszcze spłoszył następujących. Oficer, poruszony śmiałością oporu, kazał pochylić bagnety i pierścieniem przeciskać się ku środkowi zarośli.

– Już nas pochwyca! Chybaby na drzewo się skryć... ale daremna fatyga... wielmożny panie!

Bagnety ze wszech stron wysuwały swe stalowe ostrza. Zabielski właśnie miał być zawołać, że opierać się dłużej nie będą, gdy naraz dały się słyszeć dźwięczne tony trąbki, a w ślad za nimi gwałtowna komenda oficera dowodzącego.

– Do mnie tu!... Równaj się! W tył!

Żołnierze wypadli pośpiesznie z krzaków i skupili się w zwarty czworobok. Trąbka umilkła... oddział kawalerii otaczał zarośla razem ze stojącymi obok nich Austriakami.

– Kto tu dowodzi? – huknął donośny głos.

– Porucznik von Bock!...

– Jaki pułk?!

– Brygada barona von Trautenberg, piechota Baillot-Latour!...

– Austriacka!... Co pan tu robisz?!...

– To samo, co i pan – odparł hardo porucznik.

– Hola, panie kawalerze! Naruszyłeś samowolnie prawo graniczne!

– Nie panu o tym sądzić!

– Jestem szefem szwadronu pierwszego pułku strzelców Księstwa Warszawskiego!

– Niepotrzebnie, panie majorze, unosisz się gniewem! – rzekł łagodniej porucznik. – Gonilem zbiegów, którzy ukryli się w tych krzakach, tutaj... a przeszli granicę od naszej strony! Pozwól więc skończyć z nimi!

– O tym mowy być nie może!

– Bronisz ich?! Złożę raport memu dowódcy! A tymczasem pozwól się pożegnać, panie majorze.

Szef szwadronu w odpowiedzi dobył pałasza i zakomenderował krótko:

– Cel!

– Co to ma znaczyć?! – rzucił pomieszany porucznik.

– Że masz do czynienia z Sokolnickim, który sobie nie pozwoli grać na nosie ani obław tu urządzić! Jesteś pan winien przejścia granicy z bronią w rękę!

– Służę panu rekurs do mego komendanta!

– Pójdiesz acan po niego sam! Ja tu sobie wymierzę sprawiedliwość... Według instrukcji u nas obowiązujących wzywam pana i jego żołnierzy do złożenia broni i wydania całego rynsztunku!

– Gwałt!... Nabijaj broń!...

– Cel!... – powtórzył z zimną krwią Sokolnicki.

– Panie majorze, na co się ważysz?!

– Na wystrzelanie was w razie oporu co do nogi!

Porucznik powiódł bezsilnie wściekłym wzrokiem po skierowanych przeciwko niemu zewsząd karabinkach strzelców i syknął przez zęby:

– Przemoc... o którą będę się umiał upomnieć.

– Przemoc! Nie wiem po czyjej stronie! Hola, kawalerze! Złożyć broń!

Porucznik rzucił ze złością pałasz pod nogi majora, żołnierze jęli kolejno wyzywać się karabinów i ładownic.

– Dwa plutony z koni! – rozkazywał dalej major. – Otoczyć ich! Odebrać im mundury, płaszcze, tornistry i buty.

– Rabunek!

– Kara na bandy uzbrojone!... A teraz odprowadzić ich za kordon, niech ruszają, skąd przyszli...

– Panie majorze, jeszcze się zobaczymy!

– Wybierasz się tu do nas? Nie radzę, bo cię gorsze może spotkać przywitanie!

– Żebyś tylko dzisiejszego grubiaństwa nie żałował!

Strzelcy otoczyli piechurów i pociągnęli ich ku rzece. Major tymczasem kazał obszukać zarośla, aby przekonać się, jakich to zbiegów ścigali Austriacy – lecz Karaś z Zabielskim wysunęli się z krzaków. Strzelcy przywiedli ich przed majora.

– Coście za jedni? Co tu robicie?!

Pan Tadeusz chciał odpowiedzieć – gdy Karaś wyciągnął zza cholewy złożony papier i wręczył go Sokolnickiemu. Podano zapalone pochodnie. Major rzucił okiem na nagłówek i ozwał się półgłosem:

– Wycelowałem z tym podjazdem! Waćpanów proszę ze sobą. Co to, Karaś tu?...

– Do usług pana majora.

– Gdzie was licho nosiło?!

– Licho nie licho, czasy teraz takie!

– Pewnie! Pewnie! Hm... Dobrze. Podać tu dwa konie!

Dwóch strzelców ustąpiło wierzchowców.

Major dał rozkaz kapitanowi, aby pozostał jeszcze na wszelki wypadek z trzema plutonami, dopóki eskorta nie wróci, a potem dał znak do pochodu. Karaś z Zabielskim dosiedli rażno koni i pociągnęli z oddziałem.

W drodze major przybliżył się do pana Tadeusza i zaczął z nim przyjacielską gawędę, wypytując o szczegóły ucieczki. Kiedy Zabielski skończył, rzekł major z przekonaniem:

– Karaś – zuch! Znam ja go po trosze... chociaż, żeby w tę stronę przypadkiem nie nadciągnął – mogliby was pochwyć! Co im tam granica! Drą się ani pytają! Dzisiaj dostali dobrą nauczkę!... Dawniej układaliśmy skargi, raporty, ale co teraz, to niech oni piszą, nam już się naprzykrzyło!

– Panie majorze – zauważył z intencją Zabielski – może oni i nie bez kozery tak sobie pozwalają?!...

– Jak to waszmość rozumiesz?!

– Że może i o wojnie...

Sokolnicki roześmiał się serdecznie.

– Ot, znać zaraz, że waćpan nie statysta. (Oni do wojny?! Prawda, że u nas wre, kipi, a prze do wzięcia się z nimi za bary! Ale oni?... Małoc im cesarz zadał pod Austerlitzem?! Ile lat wojowali?! Bądź waszmość spokojny – nie oni do nas, ale my do nich iść będziemy musieli, żeby ich w pole wyciągnąć. Ale oni na wojnę?! Cha, cha!... Wybacz waćpan, aleś niezły koncept wymyślił!

Sokolnicki śmiał się tak, że aż się za boki brał. Panu Tadeuszowi zrobiło się przykro. Słowa Kazimierczaka przyszły mu na myśl. Na razie nie próbował nawet obstawać przy swoich obawach, odkładając dalsze wywody na później.

Nad ranem oddział Sokolnickiego dotarł do Tarczyna, gdzie było jego leże. Major poprosił Zabielskiego do siebie, a Karasiowi wyznaczył kwatery w izbie ordynansowej. Tadeusz udał się natychmiast na spoczynek; dopiero pod wieczór – gdy chirurg przysłany przez Sokolnickiego raz jeszcze ranę mu opatrzył – podniósł się i poszedł do majora.

Sokolnicki właśnie był zasiadał do stołu z kapitanem Grabskim.

Widokiem pana Tadeusza ucieszył się wielce.

– W porę waćpan przybywasz! Właśnie myślałem nad tym, czy cię zbudzić. Siadajże z nami. Chirurg mi powiadał, że rana twoja jest już na wygojeniu... Ot, widzisz, bez wojny, bez munduru, a szramy się doczekałeś!... O wszystkim wiem, bo czego mi... nie napisano... wiesz kto...

– Wiem, Kazimierczak!... – przytwierdził machinalnie *pan* Tadeusz.

– Kazimierczak ?! Bodaj waćpana! Cha, cha! Otóż, czego mi Kazimierczak nie napisał, to Karaś dopowiedział. Jedz, jedz. Pij! Spałeś setnie. Niech ci będzie na zdrowie!... Zrobiłbym był to samo, ale Prebendowski ze skóry by wyskoczył, gdybym mu był raportu nie przesłał. Dziwak i rygorysta!

Major w pysznym humorze rozprawiał szeroko, wspominając wszystkie szczegóły ostatniego zajścia, koloryzując lekko skonfundowanie warty austriackiej, a przepijając co chwila do kapitana Grabskiego i Zabielskiego.

Kiedy już wszechstronnie wyczerpana pogadanka o przygodzie rwać się zaczęła, Sokolnicki z właściwą sobie żywością zagadnął raptownie:

– Mości Zabielski... pisze mi ten... jak go nazwałeś, Kazimierczak, że mam być mu w czymś pomocnym. Więc do rzeczy. Z czym przybywasz ?

Pan Tadeusz spojrział mimo woli na Grabskiego. Sokolnicki w lot zrozumiał intencję.

– Możesz mówić przy kapitanie. Dla niego nie mam sekretów. Mów waszmość.

Zabielski, przyparty do muru, jął rzecz całą wyprowadzać, Sokolnicki słuchał, głową chwiał niedowierzająco, niekiedy uśmiechał się pobłaźliwie i poglądał ku Grabskiemu, który wsparty na głowni pałasza słuchała obojętnie z oznakami znudzenia na twarzy.

Pan Tadeusz urwał krótko opowiadanie, skonfundowany wywołanym wrażeniem. Sokolnicki spoważniał nagle.

– Mości Zabielski – rzekł łagodnie. – Już to z każdego wyrazu widać dobrą intencję waćpana, jeno niepotrzebnie na tyle guzów i przykrości się narażałeś! Wierz mi, Sokolnicki siedzi nad granicą i nie od dziś sam na podjazdy wychodzi, a za językiem wysyła dalej niż pod Radom! Otóż, mości Zabielski... twoje wiadomości są zgoła bałamutne i dziwaczne! Juści nic złego się nie stanie, choćbyś na Starym Mieście w Warszawie obębnił swoją nowinę, tylko dla waszeci wypaść może stąd... śmieszność...

– I drwiny! – dodał z przekonaniem Grabski.

– Ale! Ja się od przyrzeczenia nie uchylam. Dam pisanie z zaleceniem do Hornowskiego majora i do stryja mego, generała brygady, tylko pod warunkiem, że nie wyłuszcze, z czym przybywasz, ani waszmość nie wspomnisz słowem, żeś ze mną w tej sprawie rozmowy jakie prowadził!...

Zabielski próbował bronić jeszcze swoich obaw, lecz Sokolnicki do słowa mu przyjść nie dał.

– Wspomnisz, przekonasz się. Nie mówmy o tym, postąpisz, jak zechcesz.

Wieczera u Sokolnickiego przeciągała się do późnej nocy. Kapitan Grabski pierwszy podniósł się z miejsca. Pan Tadeusz poszedł za jego przykładem. Major zatrzymywał jeszcze.

– Grabski – mówił – co innego. Do dnia musi do Piaseczna... Prebendowskiemu się meldować... ale waszmość?...

– I mnie pora w drogę...

– Pilno ci? Nie śmiem zatrzymywać... nie śmiem! Dam rozkaz sprowadzenia dla cię podwody wojskowej i skoro świt, jak zechcesz, ruszysz! Ba, no i pisanie jeszcze wygotować przyrzekłem. Siedźże u mnie, a o resztę się nie turbuj.

Grabski wyszedł. Sokolnicki zaś wysłał po służbowego oficera, a gdy ten się stawił, dał mu rozkaz napisania dwóch jednobrzmiących listów polecających do Warszawy i sprowadzenia podwody, po czym znów zasiadł do dalszej gawędy.

Pan Tadeusz słuchał szerokich rozpraw majora o pułkowniku Prebendowskim, jego gwałtownej bezwzględności, o zajściach i ostrych przemówieniach z nim, o dziwactwach stryja generała, który, miast pamiętać o bratanku a przemówić za nim, sam przyczynił się, że

on jeszcze podpułkownikowskich bulionów¹² nie dostał, chociaż młodszy od niego pułkami dowodził.

Zabielski słuchał cierpliwie tych zwierzeń, przytakiwał im, chociaż zgoła czym innym miał głowę zajęta.

Oto postać tego Kazimierczaka nie schodziła mu z pamięci, a owo znaczące odezwanie się Sokolnickiego znów pobudziło w panu Tadeuszu przypuszczenie, że w samotniku tym kryć się musi nie lada osoba. Kiedy więc Sokolnicki urwał, zmęczony własnymi wywodami, Zabielski zapytał niespodziewanie:

– Pozwól, mości majorze, kto zacz jest ów Kazimierczak?

Major spojrzał zdumiany na Zabielskiego.

– Waszmość nie wiesz?

– Nie wiem! Zanieśli mnie doń nieprzytomnego, a potem... Kazimierczakiem się powiadał, a gdym nalegać chciałem, odmówił wyjaśnienia...

– Więc waszmość nie wiesz?! – powtórzył ze szczególnym namysłem Sokolnicki. – Ha... w takim razie... daruj... nie mogę,

– Więc to aż taka tajemnica?! – rzucił urażonym tonem pan Tadeusz.

– Może! Nie wiem nic! – uciął Sokolnicki, a po chwili, podniósłszy prawą rękę na wysokość łokcia, jął palcami jakby znaki czynić.

Zabielski siedział namarszczony, nie patrząc na majora. Sokolnicki zagadnął krótko, powtarzając znaki:

– Wiesz?!...

– Gdybym wiedział, tobym się nie pytał.. A nie próżna ciekawość mną kieruje! Przygarnął mnie, opatrzył, bez mała życie uratował...

Sokolnicki machnął ręką niecierpliwie, dając niby do zrozumienia, że o co innego pytał, i zakonkludował:

– Ufam waszmości, lecz skoro od niego się nie dowiedziałeś, ja tym bardziej rzec nic nie mogę! Szarzeje!... Czas na waszmości i na mnie!... Patrz, żołnierskie życie!... Jedna noc na koniu, druga na gawędzie! Co tam! Rozchmurz się waćpan! Jedź z Bogiem... a ostrożnym bądź... osobliwie ze stryjem generałem!

Zabielski podziękował Sokolnickiemu, a przeprowadzony przez oficera służbowego do wygotowanej bryki, na której znalazł był już Karasia – ruszył do Warszawy.

Po nie przespanej nocy pan Tadeusz czuł się znużonym. Ziąb poranku wskroś go przejmował, głowa ciążyła, a podniecona trunkami myśl dręczyła go a doskwierała. Zły był

¹² Buliony – frędzle złote albo srebrne zdobące szlify oficerskie.

na samego siebie, na ludzi, na woźnicę sumitującego się, iż pośpieszać nie może, bo mu lewa klacz zołzuje, na Karasia, który skulił się i spał jak zabity, na tę złą godzinę wreszcie, co go z domowego zacisza w świat wypędziła. Chwilami biegł myślą do burmistrzówki, przezierał kąty dworku, widział Jankę smutną, zapłakaną, tęskniącą; to znów jawiła mu się szyderczo uśmiechnięta twarz Mólskiego, marsowato poglądujące nań oblicze Wassenfelda, a potem jeszcze Janka i Rudzki, Kazimierczak tajemniczy i Oskierko. I pytał siebie z alteracją, dlaczego dał się unieść nieszczęsnemu junactwu, dlaczego wdał się w to przedsięwzięcie, gdzie żadnego, krom śmieszności a ciężkich dla niego rozpraw, rezultatu dlań być nie może.

Gorzej jeszcze dokuczało mu przypomnienie, co się tam bez niego w domu dzieje. Janka wygląda go już z powrotem, a on ledwie do Warszawy dojeżdża. Wassenfeld może powziąć złe wyobrażenie... Mólski pewno niejedno do Lublina na opak napisze... a przy tym gdyby Dyżma się wdał!....

Około południa bryczka wtoczyła się na ulicę Warszawy i, za radą Karasia, zdążyła prosto Nowym Światem na ulicę Napoleona, do domu Nesty – gdzie i zajazd był, i nocleg dostatni.

Pan Tadeusz, pociągnięty widokiem wielkiego miasta, które był od lat tylu chciał oglądać, rozczmychał się.

Warszawa przedstawiała się majestatycznie. Pogodny dzień lutowy otoczył ją błękitem, śnieg wybielił ulice, kozuchami okrył szerniałe dachówki, zmurszałe strzechy, nawet „Blachę” pod Zamkiem – mróz wystroił okna pałaców wzorzystymi deseniami, kryształami ubrał, studnie zamienił w bogate krynice i chrząścił ochoczo pod stopami ludzi, a skrzeczał swawolnie w zamarzłych osiach i kołach.

Ulicami płynęły sanie rozłożyste, na łyżwy przeniesione pudła kolebek i karoc, tłoczyły się wozy, wózki, kałamaszki i bryki, a w nich to spowinięte futrami a chustami twarzyczki, to surowe oblicza pańskie, wyglądające spod nasuniętych kaszkietów, to kozuchy szlacheckie, to kubraki a wełniaki chłopskie. Gdzieniedzie mieszczańska czamara znaczyła bogatego kupca, gdzieniedzie mignął futrem podbity kontusik, ówdzie łachman zdawał się być plamą tej jasności bijącej zewsząd.

Lecz rdzeniem tłumu były mundury wojskowe. Pan Tadeusz patrzył i nadziwił się nie mógł postawie, wojackiej minie a pięknym strojom oficerów. A już aż serce mu się ścisnęło, kiedy około Bernardynów dojrzał oddział piechoty maszerujący na zmianę odwachu. Były to właśnie dwie kompanie drugiego pułku „Stasia” Potockiego – żołnierz w żołnierza, młodzieńcy na schwał.

Zabielski poglądał na amarantowe wyłogi mundurów, na lśniące ledewerki, groźnie połyskujące ostrza bagnatów, na iskry tryskające z ócz, na ów zamach, z jakim oddział kroczył. Dopieroż gdy ku idącym na przedzie spojrział!

Przodem szło chłopię dwunastoletnie. Czapa na lewym uchu, broda w kołnierzu, rękawy do połowy kiści, przez ramię, na szerokiej wstędze, bęben, w rączynach pałki. Za chłopięciem czterech trębaczy sumiastych i jeden tamburzysta, brodacz z laską. Naraz laska podniosła się do góry, zakreśliła zygzak i spadła, a z nią razem pałki w rękach maleńkiego dobosza zadygotały i uderzył w bęben, trąbki zawtórzyły. Chłopię bębniło, mocno trzymając się taktu i ani na włos nie tracąc wyprostowanej postawy. Twarzyczka mu pokraśniała, ręce krwią nabiegły, lecz dobosz szedł.

Zabielskiemu poweselało w duszy, przyglądał się z zajęciem, wsłuchiwał się w pobudki i z żalem patrzył, jak oddział wojska oddala się... ginie w załomie Senatorskiej ulicy.

Wiew mroźny musnął pana Tadeusza. Zaciągnął mocniej kozuch i spojrział na Karasia.

– No, no! – rzekł z intencją. – Ochota ochotą, a mroź mrozem. Zamiast munduru lepszy na dziś półkożuszek...

– Żeby był, wielmożny panie!...

– Et, pleciesz!...

– Juści, prosty człek jestem, ale co pod Zamkiem na mustrze rekruta, to nie tylko munduru nie dojrzy, ale i butów!.., Co, butów?!... O karabin ciężko!...

Zabielski puścił mimo uszu odpowiedź Karasia, co tym łatwiej mu przyszło, że bryka zatrzymała się właśnie przed domem Nesty. Rozgościwszy się w zajeździe, pan Tadeusz bez zwłoki, przeprowadzony przez Karasia, udał się do majora Hornowskiego.

Hornowski przyjął go ze zwykłą sobie rubasnością, a gdy mu Zabielski przedstawienie swoje wyłuszczył – ujął go za rękę, uścisnął i rzekł:

– Wielce jestem waćpanowi pblogpwamy. i tego... Phi... do pioruna tedy... cóż myślisz?... Kiedy cesarz austriacki wojnę nam przez ciebie zapowiedział... Hm!..

– Mości majorze... jeżeli...

– Sza! Cicho! Zabielsiu, dobrodzieju, złote masz serce... i dlatego daj, niech cię uściskam, lecz co o tym zbrojeniu, nie mówmy. Przyjdzie co do czego, to obaczymy! Droga do Warszawy nie taka dziś bliska. Na Paryż, kochanku, na Austerlitz, na Hohenlinden, na Marengo!

Pan Tadeusz, poznawszy, że niczego krom odprawy ostrzejszej spodziewać się nie może, pożegnał czym prędzej Hornowskiego, wyrzekając się już bytności u generała. Atoli, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zmienił postanowienie i nie aby lepszego spodziewał się

przyjęcia, lecz by mógł sobie samemu powiedzieć, że wytrwał, że żadnej sposobności nie zaniedbał. Ale kiedy w kilka chwil później znalazł się przed pergaminowym obliczem Sokolnickiego, kiedy ten po pierwszym odezwaniu się pana Tadeusza jął zadawać mu pytania tonem ostrym, zimnym, mierzyć go stalowym wejrzeniem – znów żałował swej gorliwości. Bo generał już nie tylko wątpił o prawdzie słów Zabielskiego, ale i wręcz intencje jego podejrzewał, czym tak dojął Zabielskiemu, iż ten – nie bacząc na osobę generała – odezwał się porywczo:

– Panie generale... żałować mi przychodzi, że się nie do swojej rzeczy wmieszałem... Nie darmo byli tacy, co mnie ostrzegali.

– I słusznie! Najlepiej, kiedy każdy swego pilnuje!

– Dlatego i ja się ważyłem, bo mniemałem, iż mam prawo, jako inni, pamiętać, że ziemi tej obcym nie jestem... Zapomniałem, że aby być wysłuchanym, braknie mi szlif generalskich!

Zabielski chciał odchodzić. Sokolnicki zatrzymał go niecierpliwym ruchem ręki.

– Waćpan myślisz zostać w Warszawie?

– Jutro chcę wracać! Nie wiem, jak sobie dam radę, bo Austriacy – mogą żywiej przyjąć moją wolontarską misję.

– U kogo kwaterujesz?

– W domu Nesty.

– Czy mógłbyś w danym razie przedstawić mi zaręczenie o sobie od kogoś znanego w Warszawie?

– Zaręczenie?... Nie znam nikogo!

Sokolnicki zachnął się.

– Otóż właśnie!... Imaginuj sobie acan, ja ci ufam, nie neguję... wierzę w niebezpieczeństwo, które nam grozi. Biorę sprawę do serca... Prezentuję na Radzie i cóż?! Zapytują, skąd mam wieści? Powiedzieć muszę... ot, zjawił się do mnie człek obcy... Nierozwaga. Chciałeś oddać usługę, trzeba ci było przywieźć ze sobą choć papier jaki, dokument, nie wiem co. W czynie twym może jest dobra wola, ale i lekkomyślność. Ba! Widzisz acan, iż gdybym złożył Radzie Wojennej instrument ministra austriackiego, nakazujący natychmiastowy marsz na Warszawę, to jeszcze niełatwo by poszło. Alarmu wszczynać bez porozumienia się z marszałkiem Davoutem bodaj i królowi nie wolno!... To wszystko! Gdybym acana potrzebował, przysię poń.

Generał skinął protekcjonalnie Zabielskiemu i wyszedł. Pan Tadeusz powrócił kwaśny do gospody. Karaś oczekiwał na niego w izdebce. Zabielski poczytał to za chęć wyłudzenia datku za poniesioną dlań fatygę i sięgnął do woreczka.

– Macie tu za trud wasz... szkoda, że daremny.

Karaś podniósł nieśmiało swoje jasne, wyraziste oczy i odrzekł zakłopotany:

– Kiedy bo... proszę jegomości... mnie nic się nie należy, bo i przecież jeszcze i zdać się mogę...

– Prawda... Wracać mi przyjdzie... moglibyście jako niepostrzeżenie mnie stąd wyprowadzić?

Karaś mrugnął znacząco.

– Dlaczego by nie? Tylko przecie nie zaraz!

– Dziś choćby, a najdalej jutro!... Tu nie ma co robić. Im prędzej, tym i lepiej. Szkoda było zachodu. Dom, żonę, spokój opuścić... Et! Nie ma o czym mówić poniewczasie.

Karaś zafrasował się jeszcze więcej.

– Kiedy bo gospodarz z leśniczówki powiadał, że póki pisania generałowi nie oddam... to żebym póty prosił jegomości o cierpliwość...

– Pisania?! Do generała? Maci?!

– A juści jest, wielmożny panie... – rzekł flegmatycznie chłop i pokazał panu Tadeuszowi zapieczętowany woskiem zwitek papierów. Zabielski rzucił okiem na napis i wykrzyknął z zadowoleniem.

Do generała Dąbrowskiego!

Ano właśnie...

Czemuż mi nic nie mówiłeś?

Zabaczyłem, proszę jegomości! – odpowiedział spokojnie

– Jakże więc?..;

– Myślę, jegomość niech poczekają, żeby daremnie nie chodzić... a ja skoczę duchem i powrócę...

– Byle prędko, bo jak co... to dziś jeszcze wracam... będę na dole w gospodzie.

Karaś poszedł nie zwlekając, pan Tadeusz zaś usadowił się w izbie gościnnej na dole i posiłek kazał sobie dawać, lecz nie było to rzeczą łatwą dla gospodarza. Tego wieczora gości chmara się zeszyła, tak że ani kuchnia, ani zasobna piwniczka imć pana Antoniego nastarczyć nie mogła. Stoły obsiadł gwarny tłum wojskowych rozmaitych stopni, wśród których nie brak było nawet i wyższych oficerów. Przy winie, miodzie a piwie prowadzono ożywione gawędy, wiwatowano, a tu i owdzie zacięte toczono spory o tym, kto większym jest generałem: Dąbrowski czy Zajączek.

Pan Tadeusz, znalazłszy wolny stół, czekał na zamówione jadło; kiedy naraz wśród ciszy ukazał się młody porucznik w adiutanckim, karmazynowym mundurze, zamienił kilka

ukłonów ze znajomymi i zajął miejsce obok Zabielskiego, nawołując ostro na służbę. Służba atoli nie miała dziś zachowania dla pięknego munduru młodego porucznika. Kręcący się pacholik po dwakroć odpowiedział na zawołanie adiutanta: „Uważam, panie poruczniku!” – i, pociągnięty za połę przez innego gościa, umknął za szynkwias i komu innemu usługiwał.

Porucznik zaperzył się.

– Jakubek, do milion!

– Uważam już... zaraz! – pisnął pacholik i z próżnym dzbankiem pobiegł w przeciwną stronę izby.

– Bodajś skisł! – huknął porucznik, a po chwili, pogładając ku osowiałemu panu Tadeuszowi, ozwał się, jakby szukając u niego współczucia:

– Co taki sobie myśli? Gospodarz niby innego dnia to skarży się, zaprasza, błaga, żeby go nie omijać, gdzie indziej nie chodzić, a o nim pamiętać!

– Chleb bodzie! – wtrącił pan Tadeusz.

– Pewnie. Jak na utrapienie... jestem wygłodzony, wołu bym połknął! Na prezentacji w szkole aplikacyjnej przetrzymali nas do wieczora!

– Współczuję waćpanu, bo sam kawał drogi ujechałem i nachodziłem się po mieście... barszczu mi obiecali z rurą, no i oblizuję się tu smakiem i czekam!

– Uum!... Barszczu! Przednia myśl! Waćpan z daleka?!.

– Spod łąży!

– Ba, ba... No i nie widać nikogo! Jakubek, do kroćset! – huknął znów porucznik.

Tym razem spośród zwartych stołów wychyliła się puciołowata twarz pacholika, a z nią razem przed Zabielskim stanęła brzuchata wazka barszczu.

Pan Tadeusz jął się łyżki i talerza. Porucznik natarł na Jakubka.

– Laboga, tyle państwa naszło, ani wytchnąć!... Co pan porucznik każą?

– Daj mi takiego barszczu!

– Nie ma, panie poruczniku! Właśnie ostatnia wazka wyszła dla jegomości!

– Więc przynoś, co jest!

– Zrazy z kaszą!

– Dawaj!

Chłopak, jak kula, potoczył się do kuchni. Porucznik gryzł wargi a zezował na dymiącą się misę barszczu.

Pan Tadeusz bez namysłu podsunął swój talerz porucznikowi.

– At... cóż znowu! – wzdragał się porucznik.

– Uczyn mi waszmość ten honor... obadwaj jesteście głodni, zmęczeni...

– Ha! Chyba że waszmość moimi zrazami nie pogardzisz...

– A waszmość kubkiem miodu!

– Zgoda!... Warunek, że potem zieleniaczek mój!...

– Wola wasza!

– Setny z waszeci kompan! Niech wiem, z kim? Jestem... Jan Skrzynecki, adiutant księcia ministra wojny.

– Tadeusz Zabielski, burmistrz ostrowiecki!

– Bierzmy się do barszczu! Smakowity. Uf! Nie uwierzysz, jaka to męka dziś była! Coś ze czterdziestu ochotników było na obszlegi podoficerskie... Komisja egzaminacyjna nudzi, osobliwie Pelletier! A tu stój za księciem!... Już mi się przykrzy ten karmazynowy mundur...

– Piękny – zauważył Zabielski.

– Prawda! – odrzekł Skrzynecki poglądając z zadowoleniem na srebrem szyte rękawy a mięsiście kręcone akselbanty. – Ale ciężko! Jeden adiutantuje na socjecie a przy kielichu, a drugi musi wystawać! Jedz waćpan!...

– Waszmość nie odstawaj!...

Przy ochoczej gawędzie znikł barszcz, za barszczem zrazy. Przy kielichu rozmowa potoczyła się jeszcze gładziej, żwawiej.

Porucznik szczerym okiem poglądał na Zabielskiego. pan Tadeusz rozmiłował się w otwartym, jasnym obliczu Skrzyneckiego. Młodzi towarzysze przeszli powoli do zwierzeń, do wynurzeń Pan Tadeusz wygadał się ze swoimi troskami, pan Jan ze swoimi, a w końcu zaopiniował, że jego są większe i dokuczliwsze.

– Bo – mówił – waćpan, panie Tadeuszu, masz zachód z tego niefortunnego wyjazdu... ale przecież dasz sobie radę. A ja? Miałem szczęście czy nieszczęście, żem ugrzązł wyżej. Ile lat mi trzeba jeszcze pracować a dręczyć się, zanim szarża dzisiejszy podział wyrówna! Nie mówmy!... Lepiej nie rozpamiętywać!

– Aha, jesteś tedy, mości poruczniku, afektu niepewny?

– Konia z rzędem temu, kto by na moim miejscu coś wiedział... Deklarowałem się... niby nie odpędziła... szkaplerzyk mi przewiesiła i – dystynguj¹³ się waść wojskowo – powiada.

Skrzynecki zasepił się i urwał. Pan Tadeusz myślą pobiegł do swej Janki, lecz iza w oku mu się zakręciła, więc odwrócił się nieznacznie od porucznika, aby alteracji swej nie zdradzić, a potem udał, że rozpatruje się obojętnie dokoła. Kiedy tak wodził wzrokiem po opustoszałej izbie – uderzyła go, bokiem doń odwrócona, twarz mieszczanina w czarnej czamarze. Zabielski wpatrzył się uważniej i naraz drgnął, i chwycił Skrzyneckiego za rękę.

– Mości poruczniku... Rudzki, o którym ci powiadałem, jest tutaj! Patrz – tam!...

Skrzynecki spojrzał badawczo na nieznanego i roześmiał się szczerze.

– Panie Tadeuszu! Troi się wam w oczach! Ten... Rudzki?... Ależ ja go znam!... To jest Szczygielski... ma kamieniczkę na Zapiecku !

– Nie może być... nie może być!

– Wierz mi na słowo... u tego człowieka kwaterowałem po powrocie spod Gdańska!

– Niepojęte dla mnie podobieństwo.

– Przywidzenie! Pan Michał Szczygielski, toć go tu każdy kamień zna. Siedzi i ciągnie swoje ulubione piwo grzane.

Pan Tadeusz oka nie spuszczał ze Szczygielskiego. Naraz ten odwrócił się twarzą, Zabielski teraz dopiero dostrzegł, że sobowtór Rudzkiego ma przewiązane chustką lewe oko. Nazwany Szczygielskim przekręcił głowę silniej... i jakby drgnął nagle. Pan Tadeusz nie mógł opanować dłużej wrażenia i rzucił stłumionym głosem do porucznika:

– To on! Rudzki!

– Ależ, mości Zabielski! – perswadował Skrzynecki. – Bądź ostrożny, możesz wywołać chryję!...

– Uważaj waćpan! Podnosi się! Umknąć gotów!...

– Ależ uspokój się waszmość – przerwał niecierpliwie porucznik. – Nie wierzysz, więc daj... pójde... sam go zagadnę i sprowadzę ci go tutaj!... Rozmówisz się... przekonasz się, zobaczysz!

Skrzynecki, uspokoiwszy tak pana Tadeusza, odwrócił się, aby do Szczygielskiego podejść, gdy ten ostatni zbliżył się pierwszy do porucznika, uściskał nerwowo rękę Skrzyneckiego i rzucił:

– Pozwól, panie adiutancie, kto zacz jest jegomość dotrzymujący panu kompanii?...

– Imć pan Zabielski Tadeusz... burmistrz...:

– Znasz go dawno?! – badał Szczygielski.

Porucznik się zmieszał. Pan Tadeusz pięści zacisnął i mierzył groźnie Szczygielskiego; ten nie zdawał się być zgoła skonfundowanym.

– Doprawdy... nie rozumiem!... – plątał się Skrzynecki. – Przed chwilą właśnie... miałem honor poznać... imć pana burmistrza...

– Tedy on i waćpana w pole wyprowadził?!

– Słuchaj ty! – huknął nagle Zabielski.

¹³ Dystygować – zasłużyć się, wyróżnić.

– Ostrożnie... ostrożnie! – przerwał szyderczo Szczygielski. – Zaraz się to pokaże. Panie adiutancie... ten tu jegomość... jest szpiegiem austriackim... Sądzę, że mi pomożesz pochwycić nareszcie tego ptaszka i oddać na ratusz!!

Zabielski zatrząsł się ze zgrozy i oburzenia.

– Rudzki, łotrze!... Ty śmiesz!.. Hola! Ja ciebie przytrzymam... ja nie puszcę!..

Szczygielski chwycił za ramię Zabielskiego.

– Ho! Ho! Nie wykręcisz się mi! Panie adiutancie, obliguję waszmości! Chwytać sprzedawczyka!

W izbie tumult powstał. Kto żyw, śpieszył na zawołanie Szczygielskiego.

– Brać go... Na ratusz!... Na policję!... Trzymać dobrze! – rozległy się głosy dokoła. Pan Tadeusz szamotał się i zwracał się o pomoc do Skrzyneckiego.

– Poruczniku! Wspomóż!... Fałsz!... Szelmowski fortel – Bogiem ci się klnę! Sam zdrajca!..

Lecz adiutant odprawił go zimno.

– Nie mogę acana bronić... Zbyt krótka znajomość. Pana Michała znam nie od dziś... i muszę mu dać wiarę!

– Wiązać sprzedawczyka! – huczał Szczygielski.

– Ludzie... zaklinam was! Oszczerstwo!

– Zobaczmy!... Pewniejsze dla nas, jak z waszecią pogadają pachółkowie imć pana Joachima Moszyńskiego! – ozwał się głos z tłumu.

– Rudzki!

– Panowie! Skończyć z nim!.. I po straż! – zakomenderował Szczygielski.

Pan Tadeusz próbował stawić opór, lecz wywołał tym jeno gwałtowniejsze skrepowanie go i poturbowanie.

Dobra godzina upłynęła, zanim zjawili się pachółkowie miejscy. Kiedy brali go na drągi – Rudzki pochylił się do ucha Zabielskiego i szepnął:

– Widzisz... masz Oskierkę!... Pociesz się, będzie i on dyndał niedługo!... Przyjemnych batów... mości burmistrz.

Pan Tadeusz szarpnął się i spojrzał na Dyzmę z taką nienawiścią, że aż ten cofnął się mruczając:

– Jak zawiśniesz... to cię złość opuści.

Pachółkowie, nie zwlekając, ponieśli pana Tadeusza. Tymczasem wieść o pojmaniu szpiega austriackiego lotem błyskawicy rozniosła się po sąsiednich kamieniczkach. Tłum gawiedzi zaległ ulicę, witając pachółków zajadłymi okrzykami:

– Na szubienicę!... Obwiesić!... Poćwiartować go!...

Grudy błota i kamieni sypały się na pana Tadeusza. Bliżsi pachołków zaglądali mu w oczy i lżyli.

Zabielski od przytomności odchodził. Łzy kręciły mu się w oczach. Nie mogąc głosu dobyć, zgrzytał zębami i, mocując się z postronkami, rył na własnym ciele sine bruzdy.

Na ratuszu do słowa mu nie dano przyjść. Dwóch pachołków obszukało kieszenie Zabielskiego. Odebrano mu pieniądze i paszport, który był sobie wygotował na cudze nazwisko, a dawszy posłuch szerokim wywodom Rudzkiego, po krótkiej naradzie, wysłano raport panu Moszyńskiemu. Odpowiedź lakoniczna nadeszła niebawem:

– Nałożyć kajdanki i w Prochowni osadzić.

Rozkaz spełniono natychmiast. Zabielski, mimo późnej nocy, na wozie, otoczony halabardnikami, odwieziony został do Prochowni nad Wisłą i tam do lochu wtrącony.

Kiedy po nowej rewizji zawarto za panem Tadeuszem wrzeciądze wilgotnej nory – Zabielski padł na ziemię wółprzytomny.

W kilkanaście godzin później zgrzyt zamków i światło latarni wyprowadziło go ledwie z odrętwienia. Dwaj dozorczy szarpnęli nim i ponieśli prawie do sklepionej izby, kędy zasiadał pan Moszyński. Nastąpiło tłumaczenie. Z początku Zabielski plątał się, nie mógł prawie odpowiadać na zadawane mu pytania, lecz stopniowo odzyskiwał panowanie nad sobą i, siłąc się na spokój, jał drobiazgowo wyjaśniać, skąd i jak, i po co przybył.

Pan Maszyński wysłuchał cierpliwie Zabielskiego, a kiedy ten skończył, rzekł oschle:

– Widzę, że jesteś rafinowanym nicponiem!...

– Jak waszmość śmiesz?!...

– Milcz! – rzucił ostro Moszyński. – Masz jeden dzień czasu do namysłu. Jeżeli mi jutro będziesz takie historie koncypował, a zamożnych obywateli kalumnią obrzucał... to tu znajdą się sposoby, aby ci język rozwiązać! Rozumiesz?!

– Jestem niewinny!

– Radzę ci wyrzec się kłamstwa! Przyznaniem możesz wyjednać złagodzenie kary... na opór są obcegi, chłosta!

– Sprawiedliwości błagam!

– Sprawiedliwość będziesz miał! Pamiętaj tylko, że na zdrajców nie masz takiej męki, której by im nie zadano... A teraz precz z nim!

Zabielski chciał jeszcze mówić, lecz dozorczy schwycili go i ponieśli do lochu.

Pan Tadeusz był w rozpacz. Widział się być wplątany w matnię. Obejście pana Moszyńskiego nappełniało go lękiem i oburzeniem. Bez należytego wysłuchania go, bez

sprawdzenia poczytano go za szpiega, wtrącono do ciemnicy i jeszcze grożą krwawymi spytkami. Daremnie Zabielski szukał był w myśli kogokolwiek, kto by świadectwem swoim dopomógł mu do uwolnienia, którego wstawiennictwo odwróciłoby hańbiące posądzenie. W Warszawie nie znał nikogo. Sokolnicki, Hornowski, a nawet major z Tarczyna ujmować się nie będą, a jeżeliby do nich się zwrócił, kto wie, czy jego zabiegów nie poczytają mu za dowód winy. O Kazimierzaku, siedzącym za granicą austriacką, nawet nie było warto wspominać. Był jeden Karaś, lecz cóż taki prosty chłop mógł poradzić?

Na trzeci dzień dopiero wyprowadzono znów Zabielskiego z lochu do niskiej, sklepionej mocno izby. Pan Tadeusz rozejrzał się niepewnie dokoła i krew skrzepla mu w żyłach. Twarze zbirów mierzących go ponurym spojrzeniem, szerniałe narzędzia dziwnego kształtu, porozrzucone pęki powrozów i łańcuchów – utwierdziły go, że znajdował się w kaźni. W głębi, przy stoliku założonym papierami, siedział skulony jegomość i pociągał z zadowoleniem tabaczkę, trzaskając głośno tabakierką i otrzepując, z klaskaniem palce. Zabielski poruszył się niespokojnie i ozwał się drżącym głosem:

– Pozwól waszmość... niech się dowiem.

– Hę? – mruknął zapytany nadstawiając ucha. – Delikwent chce mówić?! Aha!

– Jestem niewinny!

– Aha! Niewinny... Bardzo dobrze, kochanku, u nas takich zawsze pełna Prochownia.

– Przysięgam, że mówię prawdę!

– Przysięgasz, kochanku! To... bardzo dobrze. Bardzo dobrze...

– Waszmość oskarżasz...

– Ja? Kochanku, a mnie co do tego!... Serdeńko!... Ja wiem... ho, ho! Przyłapali cię, baranka, opadli, poturbowali, a ty nic... bielszej duszyczki, choćby świat schodził, nie znajdziesz.

Pana Tadeusza ciarki przeszły, nie tracąc jednak panowania nad sobą, ozwał się gorąco:

– Wysłuchaj mnie waszmość!... Chcę powiedzieć rzetelną prawdę...

– Hę!... Ano słucham acana! – rzekł jegomość chwytając pióro.

– Jestem niewinny...

Jegomość rzucił z niechęcią pióro.

– O tym już słyszałem!...

– Więc żądasz waćpan, abym dobrowolnie za szpiega się wydał, nie będąc nim!...

– Nikt, kochanku, niczego od ciebie nie żąda! Przyjdzie pora, powiesz, bo u nas, serdeńko, mówią wszyscy!..

– Waszmość grozisz mi spytkami?!... Ufam, że urzędnicy wolnego Księstwa naszego nie posuną się do gwałtu!..

Jegomość zaśmiał się jowialnie.

– Serdeńko!... Mylne wyobrażenia!... Brak eksperiencji¹⁴!... Rządy są tutaj zawsze jedne! Rozumiesz acan?!... Che, che! Patrz. acan, posiwiąłem, wyłysiałem, i ciągle toż samo!... Był Kohler dawniej i pan de Tilly. Prochownia stała. Wyszli Prusacy – kto żyw, umknął z Prochowni! Bez mała na rękach ich wynieśli!... Che, che!... A że Prochownia pustkami stać nie może, osadzili innych:

– Waszmość dworujesz sobie z nieszczęścia!...

– Ja?! Serdeńko, kochanku! Nigdy!... Widzisz, mam zachowanie dla ciebie, i to wielkie!... Che, che! Za parę lat może będziemy jeszcze przyjaciółmi!... Poznasz acan Łazanka!... Czterdzieści lat z górą!... Tam, na górze, rozmaicie bywało, i siak, i tak, ale tu jednakowo, kochanku!

Pan Tadeusz zaciął usta, czując, że z tym siepaczem do ładu nie dojdzie. Jegomość pociągnął tabaczkę i skinął na siedzącego opodał draba.

– Jędrku! – ozwał się pieszczotliwie. – Coś sędzigo nie widać!... Może by tymczasem przygotować?!

– Co jegomość każą?

– Hm! Serdeńko!... Na przywitanie?! Hm! Węgielków i łózczo!... Przeciagnie się kawalera, zdrowiej mu będzie... żelazka masz?...

– Aż się przepaliły!...

– Powiadasz? Ejże? Spróbujże, czy mu wystarczą. Niech się delikwent oswoi...

Nazwany Jędrkiem dał znak stojącym w głębi drabom. Trzech z nich pochwyciło Zabielskiego, ściągnęło mu pęta na rękach i nogach i zdarłszy zeń zwierzchni kubrak, przywiązało go do pieńka pod ścianą. Jędrzek równocześnie wyciągnął z gary wypełnionej tlejącymi węglami żelazny kosztur i musnął nim po ramieniu więźnia.

Swąd palonego żywca ciała rozszedł się po izbie. Pan Tadeusz jęknął nieludzkim głosem. Łazanek powstał spokojnie zza stoła i z miną znawcy pochylił się nad Zabielskim.

– Hm... Nie najgorzej... Mocny... Boli acana? Boli?

– Rakarzu!...

– Zaczynamy się gniewać, to bardzo dobrze! Chociaż, na wszelki wypadek, pomyśl, Jędrku, o pierścionkach.

¹⁴ Eksperiencja – doświadczenie.

Łazanek podreptał spokojnie do stołu i usadowił się wygodnie na krześle. Pan Tadeusz stękał z bólu i wił się.

– No, no, serdeńko! Nie masz czego znów tak się skarżyć... Jeszcze nic takiego ci się nie stało! To przecież była próba...

Łazanek urwał nagle, ile że drzwi boczne z trzaskiem się otwały – do izby wbiegł pan Joachim Moszyński. Łazanek porwał się na równe nogi i zgiął służalczo.

– Gdzie więzień?!

– Na miejscu, proszę waszej miłości!...

Pan Moszyński rzucił wzrokiem na Zabielskiego, a dojrawszy krwawą pręgę na jego plecach, zmarszczył się.

– Zwykła próba, proszę waszej miłości... delikwent będzie zwawszy...

– Jak śmiesz bez przytomności sędziego?! Chcesz, aby do ciebie nareszcie się wziąć?!

Łazanek zmieszał się.

– Wasza miłość daruje!... U nas ład taki odwieczny, jak Prochownia Prochownią...

– Uwolnić go natychmiast z więzów!

Łazanek skoczył czym prędzej sam spełnić rozkaz. Pan Moszyński osunął się ciężko na ławę, a gdy panu Tadeuszowi zdjęto pęta, ozwał się z widocznym wzruszeniem:

– Mości Zabielski... powziąłem wiadomość, że istotnie stałeś się ofiarą okrutnej zemsty... Brak mi jeszcze dowodów, aby cię uwolnić zupełnie, lecz zastanów się, pomyśl, może zdołasz mnie naprowadzić... Całą moją dobrą wolę ofiaruję ci!... Wyrządzono ci krzywdę bolesną... Pamiętaj na to, że ta biedna połać naszej ziemi wszystkimi zębami bronić się musi przed matactwem tych, co radzi by ją zgnieść... Lepiej czasem, niestety; aby bodaj trzech niewinnych ucierpiało, niżby jeden przedawczyk miał nam ujść!...

– Czego wy chcecie ode mnie? – rzucił gwałtownie pan Tadeusz. – Nie wskazałem wam Rudzkiego? Nie pamiętacie, że....

– Acan znów powracasz do swego! Ów Rudzki ci się przewidział! Zaczego a spokojnego obywatela oskarżasz!

– Więc zapytaj waszmość Oskierki... Oskierko go zna – on wie o nim! Ten cię przekona! Tak, Oskierko... kapitan drugiego pułku ułanów... Boże! Że ja o nim nie pamiętałem!... Nikt inny, tylko on! Przywołajcie go!... Zapytajcie!... Rudzki jest szpiegiem...

Pan Moszyński spoglądał z niedowierzaniem na pana Tadeusza i głową chwiało.

– Acan jesteś w gorączce!... Powtarzasz swoje! A wiesz, że rzucając tak ciężką obelgę możesz. być zniewolonym do zdania porachunku!...

– Przyzwijcie Oskierkę!... Niech to mam przynajmniej za krzywdę, za pohańbienie... Inaczej... skoro mnie uwolnicie, wołać będę, że wy sami sprzedawczyków chowacie.

Pan Moszyński nachmurzył się.

– Mości Zabielski! – ozwał się hamując gniew. – Jeszcze wolnym nie jesteś! – a po namyśle podniósł się i wyszedł pośpiesznie z izby.

Łazanek, który był stał pokornie na uboczu, podsunął się teraz do pana Tadeusza i wyciągnął doń tabakierkę.

– Pozwól jegomości dobrodziej!... Nie gniewaj się, serdeńko, nie ma o co! Sparzyli cię odrobinę, ale maści dam i zażywie w trzy dni!

– Siepacze! – zachnął się Zabielski, w którym myśl o doznanej krzywdzie coraz silniej nurtować zaczęła. – Bez sprawdzenia, bez sądu niewinnego człeka...

– Te-te!... Serdeńko! Dziad swoje, baba swoje!... Pomnisz, kochanku, z infimy¹⁵ ... *sum, es, est, sumus, estis, sunt*¹⁶?! Owóz w tej koniugacji cała mądrość leży... Młody jesteś, wierz staremu!... Na Prochownię się nie burz, bo ona każdego przygarnia! Zapytaj się, kto w niej nie był!... Myślisz, imć pan Moszyński? Był... A kto tu jeszcze nie będzie! *Tempora mutantur*¹⁷! Phi! Groch z kapustą, jak Prochownia Prochownią!... Siadaj waszmość!... Już się nie turbuj, puszcze cię do domu, boś ty nie z tej partii, co dziś na węgielki idzie!

– Ja tu na was sprawiedliwość znajdę! Płazem tego nie puszcze!...

– Kochanku, jegomościuniu, nie wydziwiał!... Wyjdiesz, to spluń i zmykaj a ciesz się, że cię nie poszatkowali! Che, che! Zapytaj się Jędrusia!... Na wszystko ma sposób: delikwent milczy – zaraz uczyni go mownym; nie trzeba, żeby rozpowiadał... to ani piśnie!...

Jędrus wyszczerzył zęby i zaśmiał się dziko. Pan Tadeusz zapadł w ponure milczenie. Łazanek jął rozpatrywać leżące na stole papiery. Upłynęła długa, męcząca chwila. Staruszek kręcił się niecierpliwie, poglądał ku drzwiom, aż wreszcie ozwał się ku drabom:

– Trzeba się zbierać! Nic pewno dziś nie będzie!...

– A cóż z tym? – mruknął Jędrak.

– Hm... związać go na wszelki wypadek, żeby kochankowi za przestronno nie było, i niech śpi spokojnie!

Pachołkowie rzucili się na Zabielskiego, lecz ten, miotany rozpaczą, stawiał zacięty opór.

Łazanek zbladł, małe jego oczka zaświeciły ponurymi blaskami.

– Wiązać go! A teraz trzy pręty na podziękę!...

¹⁵ I n f i m a – najniższa (klasa w szkole).

¹⁶ Sum, es, est, sumus, estis, s u n t (łac.) – jestem, jesteś, jest, jesteśmy, jesteście, są.

¹⁷ Tempora mutantur (łac.) – czasy się zmieniają.

Jędrzek skoczył do gary z węglami. Rozpalone żelazce zatoczyło już krąg w powietrzu, aby spaść na obnażone plecy pana Tadeusza, kiedy do izby wpadł pan Moszyński.

– Precz mi! – huknął groźnie.

– Uwolnić go i do pierwszej kancelarii!

Pan Moszyński wybiegł na korytarz, a w ślad za nim pachołkowie powiedli Zabielskiego.

Pan Tadeusz znalazł się w obszernej izbie, jasno oświetlonej – w rogu jej stał oficer ułanów.

– Mości kapitanie! – zaczął żywo pan Moszyński: – Oto właśnie ten tu więzień odwoływał się do waćpanowego świadectwa!...

Kapitan spojrział na pana Tadeusza z oznakami niekłamanego zdziwienia.

– Waszmość odwoływałaś się?!

Zabielski nie mniej był stropionym.

– Ja... ja... istotnie wzywałem kapitana drugiego pułku ułanów... Oskierkę...

– Jestem nim!...

– To niepojęte!... Waćpan więc byłeś tej pamiętnej nocy, kiedy jadąc z Radomia mieliśmy oną rozprawę z Rudzkiem!...

Kapitan wzruszył ramionami.

– Waszmość postradałeś zmysły! Jak żyję, nie byłem w Radomiu!...

– Więc chyba jest drugi Oskierko tego samego imienia!...;

Oficer ułanów zwrócił się do pana Moszyńskiego:

– Człowiek niespełna rozumu albo frant nad franty!

– Byłem tego pewnym! Wybacz, mości kapitanie, zem cię trudził...

Kapitan pożegnał pana Moszyńskiego i wyszedł. Ten ostatni zwrócił się z surowym napomnieniem do Zabielskiego.

– Napierałeś się acan świadectwa! Masz je teraz! Po tym, co nastąpiło, powinienem cię przetrzymać na chlebie i wodzie!... Pójdiesz sobie wolno, bo widzę, żeś nie tyle złym, co nieopatrzny! Puszczam acana za wstawiennictwem człowieka, któremu ufam... ale radzę ci porzucić i te przestrogi, co je obnosiłeś po Warszawie, i oczernianie ludzi!... Niejeden już chciał wojować tą bronią i zginął od niej!....

– A mnie wolno było oskarżyć... temu?..

– Bądź też pewien, że imię Szczygielski napomnienie odbierze!... Dla niego wyjątku nie będzie. Co dnia jeden drugiemu w złości zdradę zarzuca, z czego dla nas męka i praca, a dla prawdziwych łotrzyków bezkarność. Idź acan i zapomnij, żeś tu był kiedy... W sieniach znajdziesz swego kamrata!

Pan Moszyński klasnął na pacholków, polecił oddać Zabielskiemu zabrane mu papiery, pieniądze i zwierzchni kubrak i wyprowadzić z Prochowni.

Pan Tadeusz powlókł się w milczeniu za pacholkami. U wejścia powitał go Karaś. Zabielski ledwie odpowiedział i jał dążyć przed siebie, nie bacząc dokąd. Jediną myślą pana Tadeusza było uciec jak najdalej od tych strasznych murów.

Na dworze zmrok już zapadł – szara, mglista noc rozpościerała swój melancholijny, smutny płaszcz. Zabielski przyspieszył kroku. W uszach dźwięczał mu jeszcze przenikliwy, szyderyczy śmiech Łazanka. Dokoła siebie widział krwawe płachty, rozpalone do białości żelaza, słyszał syk i skwierk żywcem palonego ciała, a trzaskająca pod jego stopami żłódź zdała mu się być ponurym odzewem łańcuchów.

„Szpieg! Szpieg!” – wołały nań wierzby, leniwie kołyszące zlodowaciałymi konarami.

„Szpieg!” – wył wiatr, rozhukany ponad skrzepłą Wisłą.

„Szpieg!” – mówiła doń głusza nocna.

Zabielski chciał uciec od tych głosów nienawistnych – na próżno. Biegły one za nim bezustannie, ścigały, szarpały nim, zwały go. Chwilami czuł, jak na twarz rozpaloną padają mu jeszcze plwociny ludzkie... jak grad kamieni i zmarzłego błota obsypuje go, powala, hańbi!...

Siły Zabielskiego opuszczały z wolna. „Nie uciekniesz!” – szumił wicher. Zabielski raz jeszcze zmógł się, raz jeszcze się rzucił całym ciężarem naprzód, aż ustał i padł wyczerpany na stwardniałą opokę. Przez czas jakiś dyszał ciężko, przyłożywszy rozpalone usta do zmarzłej ziemi, a potem wznosił oczy ku niebu, jakby pytać chciał, za co podeptano go w tym, co mu było najświętszym, za co na taki skazano go przegierz?!...

Niepokalane imię wziął z dziada i pradziada, nie splamił się niczemnością – na samym sobie zniósł wszystkie skutki tego, że Zabielscy nie chodzili za prywatą, nie zaprzędali się pankom, nie kupczyli głosem, a do ostatniej kropli krwi szli, kędy wołał ich obowiązek.

Nagle, tuż za plecami Zabielskiego, rozległo się rażne zawołanie Karasia:

– Ledwie nogami starcze jegomości!... Gdzie, wielmożny paniel A toż tu ani droga, ani miasto!

Pan Tadeusz powstał w milczeniu, otrząsnął się i ozwał się głucho:

– Prowadź mnie do domu Nesty!

Rybak podrapał się w głowę, zakłopotany tym rozkazem.

– Et! Może lepiej byłoby gdzie indziej.

– Tam chcę!...

– Ha! Wola jegomości! Mnie się widzi u Kasperka, za Panną Marią, byłoby przestronniej... Ale jegomość każą... A może by przedtem odpocząć? Wielmożny pan zmęczony... Tu na prawo, ze dwie staje, mieszka mój kumoter, co trzyma izby gościnne dla flisów. Tam zdałoby się wytchnąć, do sił przyjść, a potem choćby i do Nesty, kiedy wola.

Pan Tadeusz skinął przyzwalająco głową.

Karaś wysunął się naprzód i żwawo poprowadził Zabielskiego do osamotnionego domku nad Wisłą. Tam poszeptał z gospodarzem i usadowił pana Tadeusza w ustronnym alkierzu, kazawszy co prędzej zastawić posiłek.

Zabielski w milczeniu przyjmował zabiegi Karasia, dał sobie i kubrak ściągnąć, i ranę na plecach opatrzeć, i od jadła się nie wymawiał. Dopiero kiedy pierwszy głód zaspokoił a palące go pragnienie ugasił – odezwał się do rybaka:

– Więc to wy szukaliście mnie?

– Ano, bo się tak należało, wielmożny panie... Wracam do gospody markotny, bo naszego pana generała nie zastałem, wyjechał, mówili, pod pruską granicę... A tu, powiadają mi u Nesty, że wielmożnego pana do Prochowni powlekli! Dzięki Bogu są dobrzy ludzie... Pomogli!...

– Więc bez ich pomocy gotowi mnie byli obwiesić! Przeklęty gród!... Na nieszczęście mnie tu lichy przyniosło...

Karaś obejrzał się trwożliwie dokoła.

– Wielmożny panie... byle kto nie usłyszał!

– Co mi tam! Na rynek pójde, na rynku wołać będę! No... słuchajcie... możecie przeprowadzić mnie z powrotem do Kazimierczaka? On jeden wie, gdzie szukać trzeba Oskierki... A ten mi jest potrzebnym, abym krzywdy mojej doszedł! Tu tego właśnie Rudzkiego nazywają zacnym obywatelem, imć panem Szczygielskim! Więc pójdziesz ze mną?

– Wielmożny panie... nie mogę!... Sam rad jestem, żem się do Warszawy dostał. Przez granicę coraz trudniej. Lepiej by i jegomości poniechać.

– Wszystko mi jedno! Co się ma stać, niech się stanie! Oskierkę bodajby spod ziemi wydostać przyszło – wydostanę!...

– Ba... a może by też się można o niego przepytać? Albo, co lepiej, bez Oskierki się obejść?

– Zdaje się wam... Jam tu obcy, a imć pan Szczygielski swojak, brat lata. Takiemu nie dość powiedzieć, trzeba za rękę złapać, świadka postawić!...

Rybak głową kręcił niedowierzająco.

– Ciężka sprawa... O Szczygielskim i ja słyszałem. Ma kamratów, musi familiant. A, wielmożny panie, kto wie? Jak nie ten?!

– Oszalałeś, człowieku?! Bacz, mnie nikt tu nie znał, nikt na oczy nie widział! Tam, u Nesty, siedziałem z adiutantem Skrzyneckim. Patrę – Rudzki. Wyrwam się do niego, adiutant, nieświadomy, perswaduje... W końcu idę, aby dopaść go, za ramię chwycić a zawołać, jaki to ptaszek w Warszawie sobie bobruje, gdy tamten spostrzegł mnie i woła: „Szpiega bierzcie!”

Zabielski urwał nagle, tocząc dokoła oczyma krwią nabiegłymi,

A po chwili dodał:

– Gdybym ja tu miał władzę, gdybym miał przyjaciół – nic łatwiejszego nie byłoby, jak takiego pochwyć. Bo albo jest sobie pospolitym łotrzykiem, a wtedy żeber mu policzyć nie zawadzi, albo jest szpiegiem, a wówczas sam na siebie dowody ma... Szpieg nie po to siedzi, aby u Nesty piwo spijał... Musi donosić o tym, co nie każdemu jest wiadomym... O, gdybym miał ludzi! Ha! Nie ma o czym debatować. Bez Oskierki nie poradzę nic... Jakże tedy? Pójdziecie ze mną? Nagrodzę hojnie!

– Kiedy bo, wielmożny panie, z dwojga złego, o ludzi byłoby łatwiej...

– Miałyś takich?!

– Toć są. Tylko z nimi ciężko... Lud niepewny... Juści; wiadomo, nie każdy by się na taką wyprawę ważył.

– Zła sprawa?!

– Nie to, lecz zawsze gwałt! Jakby się nie udało, to już z panem Moszyńskim byłoby ciężko...

– Ja odpowiadam za wszystko! Byle prędko. Bo wiesz, jeżeli się Rudzki dowie, że mnie wypuszczono z Prochowni, nie będzie sam czekał powtórnego oskarżenia i umknie cichaczem, a potem szukaj wiatru w polu!

Karaś ociągał się jeszcze. Zabielski nastawał coraz gwałtowniej. Rybak w końcu dał się namówić i poszedł na naradę do kumotra. Po długiej chwili powrócił zafrasowany.

– Cóż będzie? Cóż?! – gorączkował się Zabielski.

– Są, wielmożny panie!...

– Dawaj ich natychmiast!

– Ale bo... między nimi smoluchy nie lada...

– Nic! Moja sprawa!

– Wielmożny panie. Ich puścić a naprowadzić... Rany Boskie!

– Wybierz mi czterech, pięciu, co sprawniejszych.

Karaś poglądał ze zdumieniem na pana Tadeusza. Ten ostatni pojał niepewność rybaka.

– Jakże?! Nie ufasz mi, boisz się... albo masz mnie za niespełna rozumu! Pewno, że od takiej przeprawy niejednemu pomieszać się może. Bądź spokojny, dam sobie z nimi radę!

– Toć wiem, tylko gdzie takich w mieście pokazać? Jegomość kazali... w pierwszej chwili nie zmiarkowałem.

– Masz skrupuły! No więc, kiedy nie chcesz, sam do nich wyjdę, a zobaczysz!...

Karaś chciał odpowiedzieć, lecz Zabielski, trawiony gorączką, wpadł do izby sąsiedniej, powiódł wzrokiem po gromadzie ponurej, obdarłej, zbitej w rogu izby w bezkształtną, szarą masę, i zawołał ostro:

– Hej! Który z was pójdzie ze mną?

Masa poruszyła się nieufnie. Pan Tadeusz ciągnął dalej:

– Pięciu drabów mi potrzeba co najtęższych! Po dukacie na tydzień, przyodziewek. Głodu nie będzie!...

W rogu izby dał się słyszeć głuchy pomruk. Karaś stanął za Zabielskim i ostrzegał:

– Wielmożny panie, do nich się lepiej nie odzywać.

Pan Tadeusz nie zważał na Karasia. – Cóż do licha?! Rusz się który!

– Znalazł się frant! – bąknął chrapliwie jakiś głos w rogu izby.

– Warto by z takim pogadać! – warknął przez zęby leżący pod ławą chłop.

– Niech gada, z czym przyszedł?

– Dukatami straszy!

– Milczeć! – huknął Zabielski. – Powiadano mi, że tu znajdę potrzebnych zuchów, a tu, widzę, gromada wałkoniów i tchórzów.

Zabielski chciał zawrócić do alkierza, gdy nagle barczysty chłop zaszedł go z tyłu i zastąpił drogę.

– Komuż to jegomość myślisz wygrażać dukatami?! – zaczął wyzywająco chłop.

– Tobie, trutniu! Idziesz ze mną?! Wolisz leżeć pod piecem?! Łachmany ledwie na tobie wiszą, słoniny może od tygodni nie oglądałeś?!

– A jakaż u jegomości robota?...

– Chcesz, więc zabieraj się! Pójdiesz ze mną! Jak cię zwać?

– Kuba.

– Chodź ze mną do alkierza!

Chłop, oszołomiony stanowczością pana Tadeusza, powlókł się za nim do alkierza. Równocześnie atoli masa ludzkich ciał w rogu izby zakołysała się, zaszamotała i sunęła za odchodzącymi.

Zabielski z Karasiem zamknęli drzwi za sobą. Kuba stał nieufny, pochylony, jak gdyby gotów każdej chwili rzucić się na swojego nowego pana. Lecz ten nie stracił pewności siebie.

– Kuba! Dobierz mi jeszcze czterech, bodaj większych od ciebie nicponiów!

– Cyganek... Mięczak... Cichoń... Kielbik!...

– Zgoda! Wołaj mi ich!

Kuba uchylił drzwi i rzucił kilka słów do stłoczonej gromady. Do alkierza wsunęły się cztery postacie zbirów. Zabielski poglądał na swój zaciąg i mimo całej swej desperacji przyznawał w duchu, że takich znaleźć się nie spodziewał.

Kuba, chłop wielki, o twarzy szerokiej, zwierzęco wydłużonej szczęce, oczach skośnych, niepewnych, miał w sobie coś z tygrysa i hieny. Kielbik, mały, chudy, wątły prawie, o brwiach nasuniętych na oczy, szyderczo wykrzywionych ustach, dźwigając co chwila pałakowato wygięte ramiona, wyglądał na palestranta¹⁸ lub starościńskiego kancelistę, a na niskim, zoranym czole miał sinoczerwony znak pręgierza, na poły przysłonięty zaczesanymi włosami. Mięczak rudy, obrośnięty, rozłożysty w barach jak i Cichoń, tylko mniej głupkowaty w uśmiechu. Cyganek wreszcie, o twarzy jasnej, pogodnej, łagodnej, ruchach układnych, dworskich prawie. Pan Tadeusz obrzucił bystrym spojrzeniem zbirów i ozwał się:

– Który nie miał gardłowej sprawy?

Opryszki spojrzeli po sobie. Kielbik zaśmiał się sucho. Zabielskiego ciarki przeszły, lecz nie tracąc przytomności dodał:

– No, to wasze szczęście! Niedołęgów mi nie potrzeba. Służba u mnie nieciężka... O dukata i o dziesięć turbować się nie będziecie. Moja rzecz, żeby wam nie brakło! Na domiar, z kondemnatek¹⁹ możecie drwić... Żadna was nie dosięgnie! Moja głowa!

– Jegomość od kapucynów z nami myślisz? – syknął Cyganek.

– Milczeć! Za takie odezwanie na drugi raz weźmiesz w gębę!

Odpowiadajcie!... Chcecie za mną?

Zbirowie zamienili znaczące spojrzenie. Cyganek skłonił się z przesadną grzecznością.

– Jeżeli wasza wielmożność raczy... Spróbować można! Naprzykrzy się, to zawsze czas będzie waszej wielmożności trzewia wypruć!

– Więc skończone! Zbierać się natychmiast, pójdziecie ze mną... Najpierw mi odpędzić spode drzwi tę hołotę!

– A naczynia wziąć? – mruknął Kuba.

– Naczynia? Aha! Jakże chciałeś... Żywo naprzód!

¹⁸ Palestrant – prawnik

¹⁹ Kondemnata – potępienie, wyrok sądowy.

Opryszkowie ruszyli z alkierza. Karaś wylękły podsunął się do ucha pana Tadeusza.

– Proszę jegomości... na biedę, na nieszczęście chyba. Zakrzyknę na kumotra, on ich uspokoi i odejdziemy.

– Nigdy! Rozumiesz? Ciebie niewolić nie myślę... możesz odejść... zostaw mnie samego!... Rybak zafrasował się.

– Et! Co tam ja! Gdzieżby jegomości samego ostawić z tymi... nie uchodzi!

– Wracajcie z Bogiem do domu!... O mnie się nie turbujcie!...

– Niech jegomość choć pozwolą do jutra!...

– Jak chcesz!... Wracają! Krócićę miej na pogotowiu... Idź z tyłu i uważaj!...

Opryszkowie stali już przygotowani do drogi. Pan Tadeusz dał znak, aby ruszono naprzód.

– Dokąd? – zagadnął Karaś.

– Prowadź nas do jakiego kupca, gdzie by można dostatniego przyodziewku dostać! Trzeba ich ogarnąć!...

Zawrócono brzegiem Wisły na Zamek pod Nowe Miasto. Tam u handlarza, krawca, Zabielski przedzierzgnął swój zaciąg we wcale dostatnio wyglądającą kompanię. Opryszkowie, wystroiwszy się w schludną odzież, nie posiadali się z zadowolenia. Pan Tadeusz pamiętał i o sobie, zmieniając wyszarzane w Prochowni ubranie. Kiedy przyszło do płacenia, Kielbik przysunął się nieznacznie do Zabielskiego i rzekł doń z intencją:

– Daj, jegomość... my się sami porachujemy!...

– Szkoda fatygi!... Biedak taki, niech zarobi!... Niewarte zachodu !

Wieczora tego zajazd w domu Nesty świecił pustkami. W kącie pod oknem kilku zaledwie mieszczan raczyło się miodem, rozprawiając szeroko o minionych rządach pruskich. Brzuchaty gospodarz z kwaśną miną siedział nad wysuniętą szufladą szynkwasu i przerzucał miedziaki, w pobliżu dreptała opasła gospodyni, stukając naczyniami.

– Marcinowa! – odezwał się gospodarz. – Nie był pan Michał?

– Niby... Szczygielski?

– Przecież nie inny! – rzucił niecierpliwie właściciel gospody.

– Et! Gdzie zaś! Taki dzień! Od rana ludzi jak wymiótł!...

– Daj ich katu z takim handlem! Jednego dnia ani się opędzić, urwanie głowy, a potem, choć na olej nie zarobisz! Tfy!... A tego... tego... wiecie, co to z panem Michałem siada?

– Niby... ten Niemiec?

– Niemiec czy nie Niemiec, bierz go lichu! Był?...

– Nie zważałam...

– Wy byście wiedzieli o czym!...

Baba ze złością zadzwoniła kubkami.

– Nie mam pewno roboty, tylko po izbie ślepiac! Był, nie był, co mi do tego! Jakubek, obwiesiu jeden! Już przycupnął sobie i kiwa się! Podźwigałeś się półdzbankiem piwa przez cały dzień?...

Perorę baby skierowaną ku pacholikowi przerwał głośny stukot drzwi wchodowych. Marcinowa strzepnęła rękami.

– No, chciał jegomość pana Michała, jest pan Michał...

Gospodarz podniósł głowę. Do izby wszedł pośpiesznie Szczygielski i skinął znacząco na właściciela zajazdu.

– Witam imć pana dobrodzieja! – zawołał z obojętną uprzejmością gospodarz. – Jakubek! Piwo grzane!

Pacholik pośpieszył spełnić rozkaz. Szczygielski rozsiadł się wygodnie i z całym spokojem zaczął ciągnąć piwo, smakując z miną człowieka, któremu po całodziennych trudach ta czynność jedynie pozostała. Gospodarz tymczasem wysunął się ociężale zza szynkwasu i podszedł do gwarzących w kącie mieszczan, zamienił z nimi kilka słów, a potem, spełniając niby dalej akt zwykłej grzeczności, zbliżył się do Szczygielskiego.

– Masz co nowego? – zagadnął półgłosem ostatni.

– Nic!...Z Paryża przyjechał ordynans... Rozkazy porządkowe...

– A od Davouta?

– Jak zwykle... Napomnienia!... Przestrogi!...

– Więc dotąd cicho? A w sztabie?...

– Jedno i toż samo... plany fortyfikacji Modlina są!...

– Wybornie! – bąknął Szczygielski. – Dobrze się złożyło... Dziś jadę!...

– Gdzie, dokąd?!

– Pilno!... Rozumiesz, czekają na mnie!...

– A miałeś zabrać protokół posiedzenia Rady Wojennej...

– Nie ma czasu!... Ale, uważasz, na domiar tego kpa... pamiętasz, co go od ciebie wyciągnęli ludzie Moszyńskiego, wypuścili z Prochowni...

– Niepodobna!...

– Wiem z pewnością! Szelma wykręcił się!... Czuję w tym robotę wolnomularzy²⁰. Inaczej być nie może! Kto go wie zresztą, dość że go puszczono!

²⁰ Wolnomularze – mowa o członkach tajnej, międzynarodowej organizacji politycznej i antyreligijnej zwanej wolnomularstwem albo masonerią. Masoneria powstała w Anglii w r. 1717. Głosząc początkowo idee równości, i powszechnego braterstwa między narodami, występując przeciw nietolerancji religijnej Kościoła i przeciw feudalizmowi, ściągnęła na siebie wrogość Kościoła i ugrupowań konserwatywnych. Wolnomularstwo w Polsce

– Można by go drugi raz posadzić.

– Nie tak łatwo!... Trafie ją do niego jeszcze, ale nie teraz. Nie ma czasu na zaprzątanie sobie nim głowy.

Szczygielski potarł sfałdowane czoło i rzucił wzrokiem ku drzwiom, w których ukazały się barczyste postacie dwóch mieszczan.

– Co to za jedni? – zagadnął machinalnie Szczygielski.

Gospodarz rzucił ku nieznanym badawcze spojrzenie i odrzekł kwaśno:

– Nie wiem! Co rusz, to się ktoś obcy jawi. O... masz znów dwóch... choćby mnie kto krajał... na oczy ich nie widziałem!

– Hm! – rzekł niepewnie Szczygielski. – Coś mi się nie podobają! Wolę pójść do izdebki...

– Wola wasza, chociaż płonne obawy... Wycierusy jakieś!

– Niech sobie... Idę!... Przyjdźcie później do mnie. Będę się zbierał do drogi!... Ale gdyby Gotlieb nadszedł, przywieźcie go do mnie!

Gospodarz skinął głową i powrócił za szynkwą. Szczygielski powstał ociężale ze stołka, przeciągnął się, zawołał na pacholika, aby wziął należność za piwo, i powłókł się w stronę bocznego wejścia prowadzącego do pokojów gościnnych. Gdy przechodził około stołu, przy którym siedziało dwóch mieszczan nieznanym, zdawało mu się, że jeden z nich z dziwnym uporem nań spogląda. Szczygielski mimo woli drgnął, lecz śpiesznie opanowawszy wrażenie odwrócił się plecami i wyszedł.

W izbie tymczasem zrobiło się nieco gwarniej. Mimo późnej nocy trzech jeszcze gości przybyło. Gospodarz nie był zadowolonym z tego ożywienia. Dreptał niecierpliwie, dzwonił kluczami, kazał pacholikowi zamknąć okiennice, zgasić wiszący na środku izby pajak, wreszcie raz i drugi zapowiedział uroczysto:

– Mości panowie... noc!

Goście atoli zdawali się nie baczyć na wezwanie gospodarza. Ledwie mieszczanie z kąta wynieśli się. Sześciu pozostałych raczyło się piwem i o coraz to nowe dzbanki wołało. Gospodarz wpadł w rozdrażnienie i na babę fuknął:

– Znów piwo nastawiacie?! Ognia szkoda! Oleju szkoda!...

– Jegomość... toć dobrze, że choć żywa dusza się pokazała.

– Dosyć tego!... Żal fatygi!... Niechby kto porządny... a to zbieranina z końca świata! Nie dawać piwa! Jakubek, zamykaj drzwi!..., Po północy!

było w XVIII w. ośrodkiem skupiającym wielu wybitnych postępowych działaczy, walczących o reformy gospodarcze, polityczne, społeczne. W pierwszej połowie XIX w. wolnomularstwo polskie było ściśle związane z ruchem niepodległościowym.

Pacholik z trzaskiem jął zasuwać skoble. Goście z uporem dzwonili próżnymi kuflami.

– Piwa! Piwa, gospodarzu! – wołano.

Właściciel zajazdu podszedł do najbliższego stołu i rzekł oschle:

– Moćpanowie darują!... Zamykamy!... Nie ma ognia... nie ma piwa!... Noc!

Mieszczuch, do którego się był gospodarz zwrócił, zmrużył drwiąco lewe oko i wycodził przez zęby:

– Ejże!... A jakbym się zawział?

– Co acanowi w głowie? Bądźże acan wyrozumiałym... Konsensu²¹ nie mam!... Niechby magistracy spostrzegli, do tłumaczenia by mnie wzięli!

– No, a naszego tłumaczenia się nie boisz? – wtrącił pogardliwie siedzący przy sąsiednim stole mężczyzna. Goście wybuchnęli śmiechem. Gospodarz rozejrzał się niepewnie po izbie i, łagodząc odezwanie się, rzekł z perswazją:

– Moćpanowie!... Dalipan... niepodobna!... Patrzcież, zamknięte... światła nie staje!... Czas!...

– Prawda, że czas! – zaskrzeczał rudy drab.

– Więc do roboty! – huknął dźwięczny głos.

Goście porwali się zza stołów. Trzech z nich powaliło na ziemię gospodarza, trzech innych rzuciło się na babę i pacholika. Zanim który z napadniętych zdołał pomyśleć o obronie lub ucieczce, leżał już związany na ziemi. Gospodarz wił się i szamotał.

– No, dosyć tych ceregieli! – rozkazał jeden z napastników. – Brać go na stół i do rzeczy! Kuba!... Cyganek!

Gospodarza ułożono na szynkwasio. W ręku Cyganka błysnął nóż. Właściciel zajazdu podniósł błagalnie oczy na pochylonego nad nim zbira i zatrząsł się.

– To... waszmość... waszmość... panie Zabielski – wybełkotał.

– Poznajesz mnie? Tymci lepiej – odparł zimno pan Tadeusz. – Łatwiej trafimy do ładu!...

Gdzie Rudzki?

– Nie wiem! – jęknął gospodarz.

– Mów prawdę!... W której izbie?

– Nie wiem.

– Cyganek! Bierz się do niego!

Zbir podrzucił nóż, błysnął ostrzem nad głową właściciela i przyłożył mu do gardła.

– Odpowiadaj! – groził Zabielski.

– Litości!

– Mów, mów prawdę!

– Jest – wyszeptał z trudem mordowany – w korytarzu na pierwszym piętrze.

– Puście go! Za mną teraz! Brać światło! – rozkazywał Zabielski. – Karaś na dole, na straży!

Zbiry podążyli za panem Tadeuszem. Nie upłynęło dwóch pacierzy, gdy Rudzki leżał skrepowany w izbie na dole. Napad odbył się tak szybko, że Dyzma nie miał czasu opamiętać się, w czyje dostał się ręce. A spostrzegłszy dziko wykrzywioną twarz Kuby, nabrał otuchy i ozwał się:

– Cóż wy, zuchy, ludzi spokojnych napastujecie? O co wam idzie? Zaprzestańcie tych głupich gwałtów!... Dwieście dukatów wykupu... no i wszystko, co mam przy sobie!

Zabielski roześmiał się szyderczo. Rudzki zbladł.

– Nie poznajesz mnie... mości Dyzmo?

– A... to ty?... Co wyrabiasz?... Oszalałeś?...

– Nie, tylko chcę się z tobą skwitować.

– Myślałem, że już kwita dawno z nami. Jam ci w drogę nie wchodził!... Tyś mnie napadł raz i drugi!

– Gdzie masz papiery?

– Słuchaj, porzuć dziwactwa. Żądasz – dam ci okup! Zejdźmy sobie z drogi! Co tobie z tego?

– Pytasz się jeszcze?... A moja hańba?... Rozumiesz? Wziąć ją musisz ode mnie. Ja ci pokażę, kto z nas dwóch jest szpiegiem!... Kuba! Kielbik! Obszukać go, przetrząść jego izdebkę!... Każdy świstek mnie oddać!

Opryszki rzucili się do przetrząsania gospody, szperania po kufrach i zakamarkach. Karaś opatrywał Rudzkiego. Ten ostatni wił się z wściekłości i zębami zgrzytał. Pan Tadeusz przeglądał znoszone mu papiery. Ręce mu drżały ze wzruszenia. Dowody winy przechodziły jego oczekiwania. Dyzmie piana na usta wystąpiła.

– Chcesz się zasłużyć tym, co cię skopali – szydził. – Cha.. cha!... Pewno! Dziś twoje na wierzchu! Bawisz się w pana Moszyńskiego?

– Będziesz wisiał!

– Co ze mną zamierzasz zrobić?

– Nic! Pójdiesz tam, skąd mnie wypuszczono.

Dyzma odetchnął.

– Z burmistrza zeszedłeś na psa gończego.

²¹ Konsens. – zezwolenie, zgoda.

– Jeszcze słowo, a łeb ci roztrzaskam!

– Prawda! Że bezbronnemu byś potrafił.

– Będziesz milczał... szpiegu!

– Kto większy szpieg? Ja służę temu, co mi daje chleb! A ty tam się łasisz, tam kłaniasz komisarzom, łapy liżesz mandatariuszom, a tu udajesz cnotę... ty... ty... Judaszu!

Zabielski zatrząsał się, porwał za dzban i zamierzył się, żeby rozbić go o głowę Dyzmy – gdy naraz przyszło mu na myśl, że musi go oszczędzać, musi go mieć żywym, aby krzywdy swej dowieść. Panu Tadeuszowi ręce opadły. Rozejrzał się dookoła i zawołał na swych podkomendnych. Lecz niełatwa to była sprawa. Opryszki bobrowali po zajęździe. Dwóch z nich znosiło do izby wszystko, co im zdawało się być cenniejszym – a reszta wdzierała się do komnatek na górze, zajmowanych przez gości nocujących w zajęździe, i rabowała ich.

Krzyki i wezwania o pomoc rozlegały się coraz silniej, coraz głośniej. Zabielski skinął na Karasia i rzucił się do spędzania opryszków. Po groźbach, krzykach, a nawet i razach udało się zebrać zaciąg. Pan Tadeusz wskazał na Rudzkiego.

– Brać go natychmiast!... Idziemy!

– Niech idzie Kuba z Mięczakiem! – ozwał się hardo Kielbik dzwoniąc srebrnymi naczyniami. – Dla nas dowolna do dźwigania!

– Ani mi się ważyć! Pieniądze wasze, lecz niech mi nikt źdźbła jednego nie ruszy!...

Kielbik zaśmiał się dziko i łysnął dwoma rzędami zębów.

– Komu wola, niech jegomości słucha!... Ja mam dosyć tej służby! Jeszcze tego starego sprawię!

– Kielbik!... Ani kroku!

Rozpasany zbir wzruszył obojętnie ramionami i, ustawivszy naczynia na ławie, podszedł z nożem do właściciela gospody.

– Stary! Gdzie masz dukaty? Pokaż pas!

– Ma rację! Gdzie nam! Nam przewodu nie trzeba! – warczeli opryszkowie, ośmieleni oporem Kielbika.

Zabielski wydobyl krócięcę.

– Kielbik, ani kroku!...

– Phi! Gadaj jegomość zdrów! – odparł hardo opryszek, a zwracając się do swej ofiary, rzucił zajadle: – No! Dawaj!...

Niech się dobiore do pasa!... Nie chcesz?!

Zanim pan Tadeusz zdołał ruszyć się z miejsca, nóż błysnął w powietrzu, ciało nieszczęśliwego właściciela gospody drgnęło raz i drugi w śmiertelnym skurczu. Kielbik

roześmiał się szyderczo i jął zbierać z plużącego krwią trupa mocno wyładowany trzos, lecz w tejże chwili Zabielski skoczył ku zbirowi, zmierzył i wypalił mu w skroń.

Kiełbik zwał się jak podcięta kłoda na ziemię, na ustach zamarł mu piekielny śmiech. Na widok padającego towarzysza Cichoń z Mięczakiem rzucili się na pana Tadeusza, lecz tych pochwycił z tyłu Karaś za barki, a potem, składając wyprężone ręce, uderzył nimi o siebie. Głowy zbirów zastukały głucho i zalały się krwią.

– Brać tego i za mną! – nawoływał Zabielski wskazując na Rudzkiego. Ten atoli, doczołgawszy się do progu sieni, prowadzącej na schody wewnętrzne, wołał, ile mu sił starczyło, i wzywał pomocy.

– Brać go! – rozkazywał Zabielski nabijając pośpiesznie wystrzeloną króćcę.

Kuba z Cygankiem sunęli ociężale, mierząc ponurym wejrzeniem swego dowódcę.

– Tysiąc dukatów na głowę, jeżeli mnie puścicie! – wołał na opryszków Rudzki. – Słyszycie! Pomoc nadchodzi! Brońcie mnie! Ja was ocale!...

Kuba z Cygankiem zawahali się. Gwar i popłoch szedł z głębi domu, zbliżał się.

– Karaś! – huknął rozpaczliwie pan Tadeusz. – Pał w łeb!

Niech żaden nie ujdzie!

Rybak atoli nie stracił przytomności.

Takiego żywcem trzeba! – odrzekł flegmatycznie i, pochyliwszy się nad Rudzkim, porwał go za postronki, uniósł, rzucił sobie na plecy i wybiegł na ulicę. Zabielski, a za nim Kuba z Cygankiem wypadli i poszli za Karasiem.

IV

Mord dokonany w domu Nesty poruszył Warszawę. Dyrektor policji, imię pan Joachim Moszyński, zbudzony o świcie, sam zjechał na miejsce, sam badał pacholika i gospodynię, sam pilnował ażeby, dwóch mieszczuchów, którzy dawali znaki życia, do przytomności doprowadzić i wiadomości jakich od nich powziąć. Sprawa była zagmatwaną, ciemną. Baba i chłopiec, pozostając pod wrażeniem okropnych scen, dawali niejasne, dziwaczne odpowiedzi, gmatwali się, przesadzali ilość napastników, wręcz sprzecznych udzielali wskazówek, godząc

się ledwie na to, że pan Szczygielski także był zamordowanym, ale że trupa jego zabrali rozbójnicy.

Mieszczanie zaś ledwie że dychali, a tu ani ich nikt nie mógł rozpoznać, ani oni sami coś powiedzieć. Na domiar zbrodnia tym bardziej wydawała się być niezwykłą, że porzucone w izbie kosztowności, trzos pozostawiony na ciele właściciela gospody – przywodziły na myśl, że nie o rabunek tu szło, nie o pospolitą grabież.

Pan Moszyński zabiegał, prowadził śledztwa, myszkował sam z pachółkami między włóczęgami, lecz ani rusz wątku pochwycić nie mógł, ani zaniepokojonej tym wypadkiem Radzie Stanu raportu złożyć.

Alteracja tymczasem była obustronną. Sprawca bowiem główny całego zajścia, ochłonąwszy ze wzburzenia, łamał się sam w sobie, nie wiedząc, co dalej począć mu należy. Przy pomocy Karasia udało mu się zaszyć w dobrze upatrzoną kryjówkę, jaką była jedna z łyżew mostu na Wiśle. Łyżwy te, odprawujące właśnie zimowe leże w ustronnym wgłębieniu rzeki, w połowie zaciągnięte na piasek, a w połowie zasunięte w obmarzające przeręble, były pod dozorem starego Wojciecha przewoźnika, z którym rybak w dawnej pozostawał znajomości. Karaś bez trudu wyjednał u Wojciecha schronienie pod jedną z łyżew, do góry dnem wywróconą, i tam legowisko był urządził. Ciasno tu było i mroźno, a na dobitek z trzymanym w więzach Rudzkim kłopot niemały, a i z Kubą, i Cygankiem ustawiczne zatargi, powściągane trzaskiem odwodzonych kurków.

Zabielski rwał się na wolność, chciał Rudzkiego panu Moszyńskiemu oddać, lecz rybak mitygował, prosił, tłumaczył, że mimo wszelkie oczywiste dowody winy Dyzmy na pana Tadeusza spaść może odpowiedzialność za zabójstwo, zwłaszcza że sam przyniósł był z miasta niepomyślne nowiny o nieustających poszukiwaniach.

Dni kilka wytrwał jeszcze pan Tadeusz w kryjówce, lecz w końcu pobyt dłuższy stał się nie do zniesienia. Zbirowie coraz większej nabierali pewności siebie i śmiałości, przyrzeczenia, które im powtarzał Rudzki, zachęcały ich do buntu. Puścić zaś ich od siebie było niebezpiecznym, bo gotowi by byli straż naprowadzić i całą sprawę wykryć. Karaś z Zabielskim dzień i noc zmieniali się pilnując i kompanów swoich, i więźnia. Mróz, który był znów chwycił niespodziewanie, dokuczał dzień i noc. Cyganek z Kubą zamieniali z sobą coraz częściej ponure spojrzenia.

Zabielski zęby zaciskał. Inaczej planował był sobie pochwycenie Rudzkiego. Gdyby nie te dwa trupy, dawno byłby się stawił przed panem Moszyńskim. A ta fatalność pokrzyżowała mu plany. Popelnione zabójstwo przeważać mogło zasługę pochwycenia szpiega.

Szóstego dnia Kuba jął zbierać się do opuszczenia kryjówki – Cyganek poszedł za jego przykładem. Zabielski perswadował, prosił, wreszcie chciał grozić, lecz zbir zębami zgrzytnął i odparł hardo:

– Dosyć mam jegomościnych obietnic! Zdychać jak pies pod tą budą nie myślę! A króciwą acan nie wojuj, bo ty masz jedną, a ja drugą!... Zapłaciłeś acan – odchodzim. Tykać was nie będę, ale wy nas także,

Rozwaga zniewoliła pana Tadeusza do porzucenia myśli o wszelkim oporze.

Zbirowie odeszli. Rudzki ścigał ich tryumfującym wzrokiem. Pan Tadeusz ręce załamał. Niebezpieczeństwo zawisło groźniejsze niż przedtem. Opryszki albo wydać mogli, albo, co gorsze, zebrać gromadę i napaść, aby odebrać mu resztę pieniędzy, o których wiedzieli.

Karaś, który był nieobecny przy odejściu zbirów, niemniej był przerażonym ich oddaleniem się. Jeden Rudzki nabrał fantazji.

– Puść mnie wolno, puść, mości burmistrzu! Che, che, usłuchaj Rudzkiego... porzuć zaciętość, bo będziesz wisiał!

– Lecz chyba pierwszej ciebie uduszę!

– Boli cię prawda... mniejsza o to. Przekomarzać się z tobą nie myślę!... Rozum postradałeś!... Chciałeś się zasłużyć, patrz, a boisz się, żeby za dobrodziejstwo skóry ci nie zdarto!... Zła sprawa, mości Zabielski.

Karaś, widząc irytację pana Tadeusza, pochylił się nad więźniem i usta mu zakneblował, a potem podszedł do Zabielskiego i zagadnął z cicha:

. – Jegomość, czas chyba, by się zbierać?!

– Dokąd?! – wybuchnął pan Tadeusz. – Chyba łotra tego rozciągnąć i za granicę ujść. Rybak pokręcił głową.

– Za granicą może być burza!... Kto go wie, co ten już nagmatwał, lepiej by się tu gdzie obejrzyć... bodaj w mieście!

– A cóż z tym poczniemy?!

– Et! Nie ma strachu!... Pójdzie z nami!... Na Bednarskiej mieszka mistrz szewcki!

Zabielski wahał się jednak i upierał.

– Szalona myśl! Ten nicpoń zdradzić nas może! Byle zbierać się szybko, bo tamtym ani chybi uwięzło coś w głowie!...

Karaś, nie ociągając się, wyrzucił słomę z worka służącego w kryjówce za posłanie, a potem, podszedłszy do Rudzkiego, poprawił mu postronki, zaciągnął mocniej knebla, wdział nań worek i zawiązał. O potem odezwał się rażno do Zabielskiego:

– Worek żyta gotowy!... Idziemy!... Pościg będzie, no, alem ja tu także nieobcy, jeszcze w Warszawie radę sobie dam!...

Pan Tadeusz ruszył za rybakiem, który poniósł żywo worek z Rudzkim. Rachuby Karasia się sprawdziły. Mistrz Kwiatkowski bez ociągania się odstąpił, za niewielką opłatą, swojej izdebki, a sam z żoną i dziećmi do warsztatu się przeniósł.

Zabielski w nowym schronisku odetchnął był, ale nie na długo. Dręczące myśli wróciły doń znów. Ukrywanie zawartości worka stało się nieznośnym. Co chwila groziło Zabielskiemu wykrycie prawdy, tym więcej że Rudzki, wyczerpany brakiem ruchu a osłabiony kneblami, pod którymi go trzymano, szarpał się, szamotał i jęczał nawet. W pierwszych dniach pobytu u mistrza szewckiego, dla odwrócenia podejrzeń, pan Tadeusz udawał wciąż chorego, a Karaś, spełniając niby to rozmaite posługi, zręcznie wstrzymywał gospodarza od zaglądania do izdebki. W końcu już i tego wybiegu nie starczyło, już dwakroć niemal przypadkowi zawdzięczano, że mistrz Kwiatkowski nie postrzegł zasuniętego za tapczanem Dyzmy. Na dobitek, ten ostatni, podsłuchawszy rozmowę Karasia z Zabielskim, zdawał się umyślnie czynić wszystko, byle na siebie uwagę zwrócić.

Zabielski co dzień stawał się smutniejszym – wreszcie, pewnego wieczoru, gdy Kwiatkowski znów zagadnął go o nocny chrobot, który prawie bez przerwy w izdebce się rozlegał, skinął na Karasia i rzekł doń stanowczo:

– Jutro musimy coś przedsięwziąć!... Ja tu dłużej godziny nie ostanę. Kwiatkowski coś podejrzewa!

Chłop zafrasował się i próbował nakłonić do cierpliwości, lecz pan Tadeusz słuchać nie chciał.

– Ani myśli! Siedzimy między młotem a kowadłem, ani w tę, ani w tamtą stronę! Żłem zrobił, żem cię słuchał, żem od razu, powróciwszy od generała Sokolnickiego, nie wziął nóg za pas i nie wracał.

– Jakże tedy jegomość zamyśla?!

– Nic! Tego nicponia oddać Kwiatkowskiemu razem z papierami i niech sobie z nim czyni, co mu się podoba!... A samym ujść! Niech go sprawiedliwość Boska dosięgnie!...

– Ba!... Tylko z mistrzem nie taka łatwa sprawa!... Kiedy Rudzkiego zobaczy, gotów nas nie puścić!... Zapamiętały! Tak sobie człek serdeczny, ale to mistrza Kilińskiego kompan! Poczuję jakąś sprawę i strzymywać będzie!...

– Więc kiedy tak nie można, to zostawić go i pójść samemu! Niech go sobie puszcza! Pal lichu! Niech mu order dadzą za położone zasługi!

– Wielmożny panie, a jak on sianem się wykręci i umknie, a jegomości u Austriaków buty uszyje?...

– Drwię z tego!... Powiedziałem! Przyjdzie co do czego, będę umiał się rozprawić. Tu niczego się nie doczekam!

– Wielmożny panie, gdyby pan generał!..

– Powtarzasz mi jedno w koło! Gdyby był, ale go nie ma! I pewno długo jeszcze nie będzie!... Czekać niepodobna!

Karaś namawiał jeszcze. Stało na tym, że nazajutrz rybak raz jeszcze pójdzie się dowiedzieć, czy przypadkiem generał nie zjechał do Warszawy, a. gdyby go nie było, to bez zwłoki obadwaj ruszą ku granicy, pozostawiając Dyzmę swojemu losowi,

Dnia następnego rybak, skoro świt, ruszył do miasta. Pan Tadeusz, sprawdziwszy postronki, krępujące więźnia, i nakarmiwszy go, zakneblował mu usta i rzucił się na tapczan, nadsluchując, czy rybak nie wraca. Kiedy tak leżał, do drzwi wiodących do warsztatu ktoś z lekka zapukał. Zabielski poszedł otworzyć. Był to szewcki terminator.

– Czego?! – zagadnął pan Tadeusz.

– Mistrz jegomość proszą do siebie na drugą stronę w pilnej bardzo sprawie!...

– Powiedz, że później przyjdę!

– Kiedy to, proszę jegomości, coś bardzo pilnego.

Pan Tadeusz zmiarkował, że ociągać się niepodobna, bo Kwiatkowski mógłby się sam do niego zamówić, co byłoby daleko niebezpieczniejszym.

– Gdzie mistrz?

– Niech jegomość pozwolą, byle na chwileczkę.

Zabielski poszedł niechętnie za chłopcem przez sień na drugą stronę domku, do dużej, widnej izby. Pan Tadeusz rozejrzał się niepewnie po próżnych kątach i rzucił chłopcu niecierpliwie:

– Gdzież mistrz?

– Zaraz, zaraz, proszę jegomości, w tej chwileczce będą! – odrzekł z filuternym uśmiechem terminator i wybiegł z izby do sieni, pozostawiając pana Tadeusza samego. Pan Zabielski mierzył wielkimi krokami izbę, poglądając niespokojnie na drzwi, lecz Kwiatkowski nie nadchodził. Zniecierpliwiony oczekiwaniem, pan Tadeusz zawrócił z powrotem do swej kwatery, przypuszczając, że może w warsztacie spotka się z mistrzem. Lecz warsztat, jak i przedtem, był pusty. Zabielski, nie namyślając się dłużej, wyjął klucz, żeby drzwi do zajmowanej izdebki otworzyć, lecz, ku wielkiemu przerażeniu, dostrzegł, że w

zamku tkwi klucz z przeciwnej strony. Nacisnął machinalnie skobelek i oczom jego przedstawił się widok, który mu krew ściał w żyłach.

Przy stole, pod oknem, siedział Rudzki i ożywioną prowadził rozmowę z mistrzem Kwiatkowskim. Pan Tadeusz oczy przetarł. Zachwiał się, a potem mimowolnie rzucił się w tył, jakby chcąc się ratować ucieczką, lecz naraz, poza swoimi plecami, zobaczył krępego, przysadzistego czeladnika szewckiego.

– Dokąd to jegomość? – zagadnął ostro ten ostatni. – Prosimy dalej, prosimy dalej!

– Che, che! Chodź, dobrodzieju! Chodź! – śmiał się z daleka Rudzki.

Pan Tadeusz, popchnięty naprzód, znalazł się tuż przy stoliku.

Mistrz Kwiatkowski mierzył go groźnym spojrzeniem.

– Myślałem, że w dom przyjąłem uczciwych ludzi!... Acan zaś, pod moim dachem, urządziłeś sobie z tym przecherà łotrowskie zachowanko!... Symulowałeś przede mną chorobę, powiadałeś się być cierpiącym, a niewinnego człeka tuś, pod moim bokiem, dręczył?!

– Pozwól acan!

Kwiatkowski uderzył pięścią w stół.

– Ani słowa! Nie tłumacz mi się!... Jam nie twój sędzia!... Nie drażnij, bo gotówem i ja z ciebie wziąć porachunek!...

– Weźcie mu papiery!... Weźcie papiery! – nalegał Rudzki. – Z nich dopiero się dowiecie, co to za ptaszek!...

– Dawaj! – rozkazał Kwiatkowski.

Zabielski dobył króciwę i zmierzył do Rudzkiego.

– Ani kroku do mnie!

– Nie strasz, farmazonie! – ozwał się za plecami pana Tadeusza czeladnik i zanim ten zdołał się ruszyć, schwycił go z tyłu za rękę i wydarł mu króciwę. Równocześnie Rudzki z Kwiatkowskim wpadli na niego, powalili i spętali. Dyżma nie posiadał się z ukontentowania.

– Widzisz! Ostrzegałem, prosiłem! Nie chciałeś słuchać! Na te same idziesz postronki. Ja nie będę takim zawziętym jak ty... na kajdanki ci je zmienią dzisiaj jeszcze! Jak mnie tu żywym widzisz!... O! Patrzcie, mistrzu... szpieg wierutny! Co on tu ma!...

Raporty wojskowe, plany fortyfikacyj!...

– Nicpoń! Sprzedawczyk! – mruknął groźnie Kwiatkowski. – Plany, mówicie?... Będzie mu za to, będzie!... Walek, leć na ratusz i sprowadź duchem straż!

– Mości Kwiatkowski! – próbował tłumaczyć się pan Tadeusz. – Daj mówić, nie potępij!... Nie broń tego...

– Nie chcę o niczym wiedzieć! – przerwał surowo mistrz szewcki.

– Zapytajcie Karasia!... Znacie go przecież!...

– Prawda, poznałem go dokumentnie! Ale dobrze, że przypomniał! Walek, zaczekaj!... On tu wróci jeszcze! Przydasz się!... Gotów by umknąć!...

Zaledwie Kwiatkowski słów tych dokończył, kiedy przez otwarte do warsztatu drzwi dostrzegł niepewnie poglądującego przed siebie rybaka. Mistrz podniósł się z miejsca.

– Prosimy do kompanii. Chodźcie bliżej!

Karaś postąpił naprzód i już miał znaleźć się w objęciach czającego się nań czeladnika, gdy wtem rozległ się donośny głos Zabielskiego:

– Zdrada! Karaś, uciekaj!... Ratuj!...

– Chwytaj, trzymaj! – ryknął Dyzma.

Mistrz z czeladnikiem rzucili się naprzód, lecz daremnie. Karaś skoczył do sieni i zaparł za sobą drzwi porzuconym kołem. Zanim zdołano uporać się z przeszkodą, Karasia już widać nie było.

– Uszedł szelma! – pinił się Rudzki.

– Nic to!... Mamy jednego, drugiego sobie znajdą!... Walek, na ratusz!

– Pozwólcie, ja z nim – wtrącił Rudzki.

– Na miły Bóg, nie daj mu kroku stąd ruszyć. Bo zobaczysz, kto ci naprawdę umknie! – ostrzegł pan Tadeusz.

Rudzki zgrzytnął zębami i, chcąc odwrócić rzucone nań podejrzenie, zwłaszcza że dostrzegł lekkie zaniepokojenie na twarzy Kwiatkowskiego, ozwał się szybko:

– Tak byś rad kota ogonem wykręcić! Nic z tego, bratku!... Zostanę z tobą, zostanę, aby ci wybieg nowy do głowy nie przyszedł!

Walek pośpieszył na ratusz. Rudzki siadł naprzeciwko pana Tadeusza i przerzucał odebrane temu ostatniemu papiery. Mistrz przechadzał się po izbie.

Zabielski oczy zmrużył, byle nie patrzeć na szyderczo uśmiechającą się twarz Dyzmy. Wściekłość ogarniała znów pana Tadeusza, wściekłość na własną niezaradność, na brak stanowczości, brak woli. Znów dał powodować sobą temu chłopu i znów wpadł w pułapkę. Znów jest na lasce Rudzkiego, ale co tym razem nieprędko się z niej wydostanie. Nie o podejrzenie iść będzie, ale o kryminał, o gardłową sprawę!

Pan Tadeusz machinalnie otworzył przymrużone oczy i zdumiał się. Oto Rudzki, korzystając z tego, że Kwiatkowski nań uwagi nie zwracał, darł na kawałki jeden z papierów. Zabielski zatrzęsł się.

– Mości Kwiatkowski!... Patrz! Drze papiery!... Trzymaj go! Nie zezwalaj! Własne szpiegostwo chce ukryć!

Dyzma porwał się z miejsca, pochylił się nad Zabielskim i zatkał mu chustą usta.

– Zapomniałem ci zamknąć gęby. Dobrze ci teraz! Pogadasz ty gdzie indziej!... Pogadasz!

Kwiatkowski obojętnie przypatrywał się tej scenie, nie przywiązując snadź wartości do słów Tadeusza.

Była chwila, iż mistrz Kwiatkowski zdawał się przechylać na stronę Zabielskiego, lecz zadufana w sobie a pewna bezczelnie twarz Dyzmy budziła w szewcu wątpliwości i z ręcznie podsycala raz obudzone podejrzenie.

Zabielski chciał korzystać z okazji, chciał rozpowiadać, lecz na pertraktacje było za późno. Pachołkowie miejscy pod przewodem imię pana Węgrzeckiego otoczyli domek mistrza i, nie dopuszczając żadnych wyjaśnień, wzięli pana Tadeusza, okazując Rudzkiemu uległość i czolobitność, jako ofierze przemocy.

Daremnie Zabielski próbował przekładać, daremnie na argumenty się silił, daremnie błagał przynajmniej o przytrzymanie bodaj Dyzmy. Imię pan Węgrzecki ironicznie przyjmował wszelkie jego protesty, dając posłuch wszystkiemu, co mu szanowny obywatel, imię pan Szczygielski, wyłożył.

I znów pochwycono pana Tadeusza i skrupowano go, aby zaciągnąć przed oblicze dyrektora policji, który by pierwsze zarządzenia na tak niebezpiecznego ptaszka wydał. Mistrz Kwiatkowski nie posiadał się z ukontentowania. On to był właśnie, co złe na gorącym pochwyił.

Ludek okoliczny, poruszony niespodziewanym zjawieniem się pachołków miejskich, wyległ na ulicę, otoczył domek Kwiatkowskiego i czekał, rychło oczom jego ukaże się przechera-sprzedawczyk, prowadzony przez służbę policyjną.

Już halabardnicy jęli rozsuwać zbitą ciżbę ludu, już imię pan Węgrzecki wyszedł na ulicę, aby swoją powagą uchronić więźnia przed doraźnym sądem, już Dyzma, zebrawszy skrzętnie porzucone na stole papiery, miał się ukazać na progu, już na głowę Zabielskiego miały się posypać przekleństwa i złorzeczenia... gdy wtem od strony Krakowskiego Przedmieścia rozległ się głuchy, gwałtowny odgłos bębna.

Tłum, zalterpwany wojskowym odzewem, zwrócił głowy, sądząc, że to kompania piechoty przeciąga wracając ze zwykłej musztry. Atoli odzew warczał coraz silniej, coraz zajadlej, coraz mocniej.

Imć pan Węgrzecki zaledwie zdołał spostrzec, co się dzieje, kiedy już piechota drugiego pułku otoczyła dom Kwiatkowskiego, a oficer dowodzący darł się wprost ku drzwiom, wydając lakoniczne rozkazy:

– Pierwszy pluton za mną!

Imć pan Węgrzecki stropił się, do dowodzącego oficera podszedł i zapytał ostro:

– Mości kapitanie, co znaczy, że waszmość zdajesz się tu czynić jakieś zarządzenia?! Jestem Węgrzecki...

– Kapitan drugiego pułku, Łagowski – odparł oficer. – Z rozkazu generała Henryka Dąbrowskiego!

Węgrzecki zmieszał się.

– Daruj, mości kapitanie, lecz pojąć nie mogę waszmościowego ordynansu.

– Mam rozkaz przyprowadzenia imć pana Tadeusza Zabielskiego i ujęcia niejakiego pana Szczygielskiego.

– Mości kapitanie! Waćpan dworujesz sobie ze mnie! Toć tu nie ma dwóch zarządzeń! Zabielski w kajdankach! Patrz, oto rozkaz ministra policji!

– Mnie rozkazuje – odrzekł chmurnie Łagowski – generał Dąbrowski! Jego rzecz, kogo w dyby, a komu honory wojskowe oddać!

– Waszmość w błędzie! Jam tu z pachołkami! Ja tu mam prawo!

– Baczność! – zakomenderował sucho Łagowski.

– To przemoc! Gwałt! – pienił się Węgrzecki.

– Rozkaz generała! – uciął obojętnie Łagowski. – Acan masz swoje racje! Dla mnie jest jedna. Chwila oporu, a każę wygnieść was bagnetami.

Imć pan Węgrzecki próbował jeszcze obstawać, chciał rozkazem pana Moszyńskiego się zasłaniać, chciał przedstawiać kapitanowi, ale Łagowski był nieubłagany. Zwarł szeregi, bagnety nastawił i napierał tak silnie, że pachołkowie zmuszeni byli ustąpić.

Pan Tadeusz ani się spostrzegł, gdy zdjęto zeń więzy, otoczono karabinami i poprowadzono wraz z Rudzkim w głąb miasta. Zabielski to wydarzenie chciał przypisać jakiemuś wyjątkowemu a nie znanemu mu wypadkowi, nie potrafił wyrozumieć, skąd ta straż się wzięła ani to niespodziewane wmieszanie się oficera. Zdumiewał się wyzwoleniu i tej odsieczy, która brała go w obronę. Zdumienie to doszło do zenitu, kiedy pan Tadeusz znalazł się przed obliczem obcego mu zgoła człowieka, przyodzianego w wielki mundur generalski, zdobny w krzyże a wstęgi.

– Acan jesteś Tadeuszem Zabielskim, burmistrzem ostrowskim? – zapytał dźwięcznym głosem generał.

– Ja, miłościwy panie.

– Powiadaj mi o sobie prawdę, muszę wiedzieć o wszystkim! To, co mi napisano a mówiono o tobie, jest podobno źdźbłem chaosu, w który cię fatum jakieś wplątało. Rad bym acanowi dopomóc. Mów zatem. Dąbrowski jestem.

Zabielski uląkł się był z początku orlego wzroku generała, którym zdawał się być wskroś go przenikać a zgadywać. Uląkł się był głosu, hartowanego na najczystsza stal, głosu, co tysiące był zaklął a prowadził na krwawe rozprawy, na wawrzyny, na boje rozpaczne, na nieśmiertelność, głosu, za którym szły wszystkie nadzieje, który wżerał się w serca a porywał duszę – uląkł się był twarzy promiennej jasnością, twarzy szczerej jak ten poryw święty, co w imię miłości ojczyzny, pod błękitami Italii krwawe składał haracze.

Lecz gdy Zabielski otrząsnął się był z niemocy a postrzegł na ustach Dąbrowskiego uśmiech pogodny, ten uśmiech, który niewolił legiony, który wśród gradu kul jutrzenką był tysiącom, który płynął z otwartej natury żołnierskiej i z jodeł poszumu, i z cichego szmeru Wisły, i z bólu prawego syna ziemi – jakaś rzewność w niego wstąpiła, jakaś skrucha mu dotąd nie znana.

Pan Tadeusz ozwał się z początku nieśmiało, niepewnie, wahająco, a potem wezbrały w nim zaznane krzywdy, wezbrały żalem i skargą. Pan Tadeusz mówił długo. Niekiedy nie starczyło mu głosu. Rwał zdania, łamał, w jednym słowie chciał zakląć i te złudy, co nim owładnęły, i te zapaly Janki.

Dąbrowski słuchał. Jego jasne, szaroniebieskie oczy każde drgnięcie twarzy Zabielskiego śledziły, przezierały serce, odgadywały duszę.

Gdy Zabielski skończył, generał wyciągnął doń rękę.

– Mości Tadeuszu – rzekł – dokumentów żadnych mi nie wypominaj! Gorzkie czasy, smutne dzieje. Nie pierwszy raz podobno najzacniejsza myśl, najpocziwsze serce taką znajduje zapłatę! Nie żyw gniewu, nie daj się zawziętości, a raczej zawziętość swoją zachowaj tam, gdzie nie nędzne mataczyny, lecz istotny wróg się kryje. Nie sromaj się, że twoim wieściom i obawom nie dano posłuchu! Nowiny twoje są nie lada jakiej wagi!... Pozostaniesz u mnie. Dziś jeszcze zeznania poczynisz, a z Moszyńskiego drwij sobie, włos z głowy ci spaść nie może!

Zabielski chciał dziękować Dąbrowskiemu, generał przerwał mu żywo:

– Z nas dwóch nie mnie, ale tobie się podzięką należy! Mnie cieszy tylko, że mogę ci dopomóc. Gdyby wszyscy, w każdym zakątku ojczyzny, tak serdecznie o losy jej się troszczyli...

Generał urwał nagle i zadzwonił. Do izby wpadł młody adiutant i wyprężył się jak struna. Dąbrowski z zadowoleniem spojrział na swego ulubionego ordynansa.

– Lutek! – rzekł łagodnie. – Oto imć pan Zabielski. Weź go pod swoją opiekę. Wieczorem przyprowadzisz go do łoży... Miej go w zachowaniu. A więźnia mi strzeż.

– Według rozkazu!... Panie generale, w antykamerze czeka imć pan Moszyński... Chce przedłożenie czynić bodaj w sprawie rozbrojenia pacholców miejskich!

– Powiedz mu, że nie mam czasu!

– A gdyby się napierał?

– Pozbędziesz go się! Żadnych wyjaśnień!

– Imć pan Moszyński sumituje się rozkazem Rady Stanu...

– Wszystko jedno!... Nie mam czasu na rozprawy! Straż zaciągnij podwójną!

Adiutant skłonił się, dał znak Zabielskiemu i wyprowadził go do bocznej izdebki, po czym szepnąwszy coś młodszemu od siebie oficerowi, wyciągnął rękę do pana Tadeusza.

– Szczaniecki jestem, tam do licha! Bądź waszmość jak u siebie. Wiem ci ja o waszecinych perypetiach!... Ale to nic... Tu drwij sobie z całego świata! Generał z tobą... Poszatkuje każdego, kto by cię śmiał tknąć! Moszyński się rzuca, *larum*²² narobi, tam do licha! Niech sobie!... Tego orzecha nie zgryzie!... Z naszym generałem sam Sonier liczyć się musi... Król jegomość w łaskawościach się rozprasza! Bo, tam do licha, jeżeli jest to, co jest dzisiaj, to chyba z Dąbrowskiego krwawicy powstało!...

– Niezawodnie, niezawodnie... panie adiutancie! Imieniem generała cały kraj rozbrzmiewa, wszystkie serca biją, każda myśl zacna ku niemu się skłania...

– Ano, sam widzisz! – podchwycił z zadowoleniem Szczaniecki. – A gdybyś go ty tak jak ja znał, gdybyś nań patrzył... Et!.. Tam do licha, porąbać się za takiego, zginać pod takim!... To nie książątko; co się w nim zrywa rycerska fantazja, to nie Zajączek, co za to, że egipskie piramidy widział, chciałby do gotowego przyjść a honory od całego narodu odbierać... to widzisz... Et!... Nie wygadam chyba!... Uważasz, pod Gdańskiem... w potyczce syna mu wpółżywego niosą... Nicpoń chirurg głową trzęsie, już by go na tamten świat chciał wyprowadzić! Generał pokraśniał tylko, łzę otarł, dobył szabli i huknął: „Za mną, chłopcy!” Nieprzyjaciela zrąbaliśmy na drzazgi! Dwa konie pod generałem padły... kontuzję sam wziął... a jeszcze nie o siebie się troszczył, jeno Giełguda wezwał i co i jak ma stanowić, mówił... Morowy człek!... Ziemi syn, żołnierzowi ojciec!...

²² Larum (łac.) – alarm, zgiewk.

Szczaniecki rozgadał się na dobre. Generał z ust mu nie schodził, a każde słowo, każda opowieść zdawała się płynąć z najczystszej uczucia, z głębokiego oddania, z tego, czego żadna przeciwność nie złamie, nie skruszy, z czym umierać trzeba.

Opowieści adiutanta ²²rozogniły wyobraźnię Zabielskiego.

– Daj, panie adiutancie, niech raz jeszcze twą zacną prawicę uścisknę! Pierwszy raz bodaj takiej szczerzej dzielności się przysłuchuję... Skromnym jestem człowiekiem, lecz mnie chwyciło. Takie odezwanie idzie do głowy, pęta a grzeje!

– Dawaj gęby! Udałeś mi się!... Mów mi Lutek! No, bez ceregieli! Tam do licha u mnie pan! Waszmość to z daleka od mości, a jak przyjacielstwo, to pyska dawaj, drabie, i koniec!...

– Gdzież mnie z wami!... Grzech powiedzieć, gdy waszmość głowy nadstawiał, jam ją chylił nad bibułą i inkaustem...

– Drwij z tego! Natura jedna... Znałem różnych... Nad bibułą siedzi, relacje układu, palestrant sobie, ani mu w głowie wojaczka... A potem zmoże go, zagra mu pobudka i już ci na takiego zucha wyrasta, że mu nie strzymasz!... Każdy sobie... Nie przecz, bo cię chwyciło!...

– Poczciwość, zacność!...

– A generał ci się wydał?...

– Wypowiedzieć trudno... Jedno mnie zastanawia, o co bałem się wprost go zapytać... to, czemu zawdzięczam moje wstawiennictwo?...

– Jak to?! Przecież Karaś, młodszy braciszek, przyniósł pisanie od mistrza.

– Od mistrza?!...

– Dobrze mówię, wielkiego mistrza²³. A potem przybiegł z alarmem, że cię magistracy biorą. Generał na równe nogi się porwał. U niego polecenie Astrei za świętość poczytane!

– Wybacz, ale nie mogę pojąć... Astrei?...

– Naszej loży²⁴ ...

– Pierwsze słyszę.

– Nie jesteś więc... wolnomularzem?!

– Ja? Skądże!...

– Hm... Bądź co bądź jesteś przez mistrza polecony!...

– Ależ ja nie znam żadnego mistrza!

Szczaniecki pokręcił głową niedowierzająco. Pan Tadeusz żywiej natarł:

²³ Wielki mistrz — najwyższy stopień organizacyjny (stopień wtajemniczenia) danej loży masońskiej.

²⁴ Loża masońska — jednostka organizacyjna masonerii.

– Przysięgam ci, o nie znanych mi rzeczach się dowiaduję! O wolnomularzach coś mi powiadano, ale to za bajki uważałem...

– Wierzę ci, skoro tak mówisz!... No, zobaczysz dzisiaj... Wszak generał kazał cię przyprowadzić na zebranie. Będziesz miał znakomitą okazję... A radzę ci nie zaniechać jej i od razu prosić, aby cię do związku przyjęto. Rycerze Astrei są tu bodaj najsilniejsi. Cesarz do nich należy. Rycerze Gwiazdy Północnej i Kazimierza Wielkiego intrygują, chcieli Astreę zabić, ale daremnie... Co ważniejsza, że gdy w tamtych łóżach znajdziesz wielu, co radzi by od wierności Bonapartemu nas odciągnąć, a pod stopy innego cesarza nas podesłać – Astrea pozostała dotąd nie skalaną... Dość ci wiedzieć, że trzyma z nią Dąbrowski!

– A, pozwól jeszcze, że cię zagadnę, a ów Karaś?...

– Karaś-rybak – odrzekł z uśmiechem Szczaniecki. – Ho, ho! Takiego drugiego zucha daremnie byś szukał!... Stary żołnierz, no, a teraz braciszek młodszy... Wie, jak trawa rośnie! Chłop sobie prosty, ale z serca, z prawości, z położonych zasług przeszedł niejednego, co to indygenat²⁵ wziął i worek, i nauki!

– A, darujcie natarczywości... nie znacie przypadkiem Kazimierczaka?!

– Kazimierczaka?! Nie słyszałem!

– On pisanie bodaj do imię pana Dąbrowskiego słał...

Szczaniecki zadumał się, a po chwili ozwał się z intencją:

– Tam do licha, w dociekanie się nie zabawiaj! Generałowi się przymów i do nas przystawaj!... A wówczas nie na jedno oczy ci się otworzą! Będziesz miał dziś okazję nie lada! Rozmaitych się napatrzysz... toć powiem jedno, że kto myśli pocziwie a patrzy dalej, ten ci u nas jest... Namawiam cię, boś mi przypadł, bo widzę, jako byłbyś pożytecznym!

Rozmowa ze Szczanieckim pokrzepiła na duchu pana Tadeusza i niemal że zwerbowała go dla związku, o którym był mu adiutant Dąbrowskiego powiadał. Na razie atoli nic przedsiębrać nie mógł ani też deklarować się. Szczaniecki bowiem do wieczora sprawę odkładał, a nadto po kilkakroć przerywał rozmowę bądź odbierając rozkazy od Dąbrowskiego, bądź je wydając ordynansom.

Zabielski poddawał się bez szemrania wszystkim zarządzeniom Szczanieckiego – krokiem nie wychodził z wyznaczonej mu izdebki, rad w duchu, że takie znalazł schronisko i opiekę. Niepokoje, które go rano jeszcze trawiły, znikwały. Po trosze już sam żartować zaczynał ze swoich obaw, nie przeczuwając, iż dopiero teraz nad głową jego zaczynały zbierać się chmury.

²⁵ Indygenat – nadanie szlachectwa, szlachectwo.

Imci pan Moszyński, uwiadomiony o gwałcie popełnionym przez kompanię piechoty na imię panu Węgrzeckim, zaalarmował Radę Stanu, a kiedy wydany przez nią rozkaz do generała Dąbrowskiego skutku nie wywarł – razem z ministrem policji srogi gotował odwet. Sztafeta za sztafetą obiegała miasto. W godzinę niespełna po lakonicznej odprawie otrzymanej od Dąbrowskiego zawiadomiono wszystkich senatorów, poruszono sztab, a nawet u rezydenta francuskiego poczyniono przedstawienia. Powaga władz Księstwa została dotknięta do żywego. Samowola generała oczywista.

Sędziwy marszałek Sejmu Czteroletniego ręce załamał. Po Dąbrowskim spodziewał się był wszystkiego, lecz nie podeptania praw, nie przemocy, nie jawnego buntu przeciwko rządowi.

Księżę Józef przyjął wiadomość z obojętnym spokojem, po dwakroć zapytał o nazwisko winowajcy, po dwakroć kazał sobie powtórzyć imię Dąbrowskiego, a w końcu, nie wysłuchawszy nawet złośliwych uwag Rautenstraucha, jał obojętnie przerzucać raporty wojskowe. Flegmy tej nie podzielał generał Zajączek. Pierwsza pogłoska o zajściu porwała go na równe nogi, w głęboko osadzonych jego oczach zatliły się iskry. Nareszcie ustąpi jeden z tych dwóch, co mu przeszkodą byli do osiągnięcia najwyższych szczytów!

Zajączek nie namyślał się długo. Wdział wielki mundur i kazał się wieźć do pałacu Pod Blachą. Plan miał prosty. Dąbrowski ma szerokie kredyty u Soniera. Francuz gotów go wziąć w obronę, poprzeć i sprawa skończy się na niczym. On sam nie upora się z Dąbrowskim. Do porozumienia trzeba księcia Józefa. Zajączek wolałby był sojuszu tego uniknąć, ale miała to być chwilowa konwencja dwóch nieprzyjaciół przeciwko wspólnemu wrogowi.

Zajączek, jak burza, wpadł do zacisznych pokoi Pod Blachą. Będącemu na służbie Skrzyneckiemu rzucił przez zęby słów kilka o gwałtownej potrzebie widzenia się z księciem i prawie bez meldowania wszedł do gabinetu Poniatowskiego.

Księżę Józef powstał na powitanie przybyłego i ozwał się wyniośle:

– Czemu mam przypisać, generale, pańskie niespodziewane przybycie?!

– Słyszałeś, mości księżę, o Dąbrowskim?!

– Przed chwilą właśnie otrzymałem raport.

– I co, mości księżę, zamierzasz?!

– Nie wiem! Sprawa zagmatwana!... Zarzuty jednostronne! Rada Stanu ma się zebrać na nadzwyczajne posiedzenie!

Zajączek, urażony wspomnieniem Rady Stanu, do której był nie należał, odparł porywczo:

– Co tam Rada Stanu zadecyduje, to mnie nie obchodzi!... Władzom cywilnym nie podlegam i nie mam z nią do czynienia! Natomiast chciałbym wiedzieć, co, mości księżę, postanawiasz uczynić jako żołnierz wobec tak jawnego gwałtu?!

– Powtarzam, trzeba zbadać!... A co do mnie, akomodować²⁶ się będę do Rady Stanu!
 – Widzę, że na punkcie Rady Stanu trudno mi się porozumieć!
 – Jakże chcesz, generale?!... Król jegomość w Dreźnie, no, a bodaj ani on, ani ja nie mam prawa odebrać panu Dąbrowskiemu dowództwa!...

– O tym się nie mówi, mości książę... wszyscy trzej jesteśmy tu generałami dywizji!...

Poniatowski zbladł, szarpnął niecierpliwie temblakiem pałasza i zagadnął sucho:

– Czyś pan, generale, po to przybył, aby mi to powiedzieć?!

Zajączek przeszedł się parę razy po pokoju, a potem, hamując wewnętrzne wzburzenie, rzekł pojednawczo:

– Mości książę! Znasz mnie, jestem szczery nawet w niechęci, lecz zapomnijmy na chwilę o różnicach, które nas dotąd dzieliły! Nie wiem, jakie jest zdanie książęcej mości, ale coś imć pan Dąbrowski za wiele sobie pozwala! Wspierany przez Wybickiego, rządy tu sprawował prawie, zabiegając u generalicji francuskiej i lada sztabowcowi czapkując! Co tu długo mówić, gdyby jego nie było, może porządek rzeczy byłby inny.

Ostatnie wyrazy Zajączka snadź trafiły do Poniatowskiego, bo głowę pochylił i oczy spuścił, jakby chcąc ukryć te ognie, które mu pod powiekami rozgorzały. Zajączek nacierał dalej:

– Trzeba imć panu Dąbrowskiemu ukrócić cugli, trzeba, żeby nareszcie w tym Księstwie pan Wybicki nie był wyższym od króla, a generał dywizji na swoją rękę z dworem francuskim rozhworów nie prowadził!...

– Cóż chcesz zatem uczynić?!...

– Współ z książęcą mością poczynić natychmiast przedstawienia u pana de Sonier... potem wysłać sztafety do Dreżna, marszałka Davouta i pana de Serre'a... a tu zarządzić zawieszenie winnego w dowództwie!... Mam nadzieję, że skoro my dwaj wystąpimy, stanie się tak, jak będziemy chcieli!...

Poniatowski milczał. Zajączek przez pewien czas mierzył księcia pytającym wzrokiem, a w końcu zapytał niecierpliwie:

– Mogę więc liczyć na pomoc waszej książęcej mości?!...

Poniatowski brwi zesunął, a potem rzekł z mocą:

– Nie, generale, nigdy!...

Zajączek poczerwieniał.

– Innymi słowy... gwałtownik, samowolnik, nie szanujący munduru, który nosi, znajduje u książęcej mości zachowanie, opiekę?!...

²⁶ Akomodować – zastosować się.

– Nie, generale – odparł spokojnie Poniatowski – daleki jestem od osłaniania... ale pamiętać muszę o czterdziestu bitwach wygranych przez Dąbrowskiego lub za jego przyczynieniem się – pamiętać muszę nie tylko na błędy jego, lecz i wielkie zasługi!... Zresztą wina dowiedziona nie jest! Rada Stanu się zbierze, potem może Rada Wojenna... ale nie tylko potępić trzeba, lecz i wysłuchać!...

– Dziękuję księciu za naukę! – rzucił hardo Zajączek. – Bodaj pierwsza to była z mojej strony propozycja jednomyślności, ale klnę się, że ostatnia!

– Do czego pan zmierza?!...

– Do tego, że za dzisiejsze moje wystąpienie czuję się winnym przed samym sobą. Zajączek jeszcze niejednego nauczy rozumu!... Przepraszam za natarczywość. Mam honor pożegnać księcia.

Niefortunny wynik rozmowy z księciem nie zachwiał Zajączkiem. Odpowiedź Poniatowskiego roznieciła w nim tylko większą zajadłość, rozdmuchała skry nieubłaganej zawiści, jaką żywił dla obojgu swoich współzawodników.

Zajączek postawił na swoim. Objechał pół Warszawy, trafił do wszystkich ministrów, uchodził Małachowskiego, zjednął dla swoich planów Gutakowskiego, wreszcie przeciągnął na swoją stronę nawet generałów brygady.

Dąbrowski ani się spodziewał tymczasem, jaka nad nim chmura nienawiści zawisła. Dobrze już nad wieczorem powrócił do kwatery od imię pana Józefa Wybickiego, z którym był ułożył, aby fundowanie trzech batalionów przyspieszyć, a nadto skłonić Radę Stanu do wydania odezwy zwołującej pospolite ruszenie.

Adiutant Szczaniecki przedstawił generałowi listę osób, co w czasie jego nieobecności były z rozmaitymi sprawami, a potem zwiastował mu wiadomość, że gubernator Sonier dwa razy przysyłał ordynansa z zapytaniem, czy Dąbrowski jest w domu.

Generał bez zdumienia przyjął raport Szczanieckiego – nie po raz pierwszy zabiegano tak o chwilę z nim rozmowy – i nakazawszy, aby Zabielski był gotów udać się do łoża, zasiadł do wertowania nadesłanych mu z dywizji raportów.

Wieczór zapadł, wielki zegar w gabinecie, generała jął wygrywać kuranta na siódmą godzinę. Dąbrowski zadzwonił na służbę, kazał przynieść światło, a poleciwszy, aby kałamaszka była gotową do wyjazdu, jął pośpiesznie ostatnie papiery podpisywać. Potem doręczył papiery Szczanieckiemu, a sam zaczął przypasywać pałasz i o płaszczy wołać.

Szczaniecki zagadnął o Zabielskiego, czy ma się wybierać,

– Oczywiście!... Pojedzie ze mną!...

– Ale! – wtrącił Szczaniecki i urwał nagle.

– Cóż takiego! Mów!...

– Nie wiem, czy pan generał wie, że oddziały dywizji generała Zajączka dostały rozkaz wystąpienia pod broni...

– Pierwsze słyszę – odrzekł dobrodusznie Dąbrowski. – Ćwiczenia jakie, inspekcja?!...

– Nie wiem, generale!

– Wolno panu Zajączkowi!

– Kiedy bo, panie generale... właśnie i dywizja księcia Józefa spodziewa się takiego samego rozkazu!...

Dąbrowski spojrział bystro na Szczanieckiego.

– Lutek! Cóż to niby jest? Masz wiadomości jakie?...

– Generale, powtarzam... rozkazy te łączą się z naszą ranną sprawą! Właśnie kapitan dowodzący tą kompanią był u mnie... wracał od szefa sztabu, dokąd wzywano go na śledztwo!...

– *Saperlotte!*²⁷ Tak im się nie podobało? No, proszę!... Et!... Nie miałeś sobie czym głowy zaprzętać!... Moszyński się pieni! No, pokażę ja mu, jak to należy strzec miasta!... Wołaj mi Zabielskiego!

Szczaniecki wybiegł spełnić rozkaz, lecz po chwili wrócił do gabinetu generała z oznakami wzruszenia.

– No?... Jakże?!...

– Panie generale! Pułkownik ósmego pułku, Cyprian Godebski, z rozkazu Rady Wojennej!

Dąbrowski ucieszył się szczerze, niewiele zwracając uwagi na urzędowy ton zameldowania.

– Godebski tutaj – a nie w Modlinie?! Dawajże go prędzej! Prowadź! Jestem... jestem... dla niego zawsze!...

Zanim generał skończył, we drzwiach ukazała się marsowa postać pułkownika w pełnym mundurze. Dąbrowski z uśmiechem serdecznym wyciągnął ręce do przybyłego.

– Witaj mi, stary towarzyszu!

– Godebski wyprężył się i rzekł drżącym głosem:

– Generale! Pozwól, że spełnię rozkaz!

– Ty... ty do mnie z rozkazem?!

– Tak, generale! Rada Wojenna wzywa cię, abys natychmiast stawił się przed nią!

Dąbrowski oczy przetaił i poglądał ze zdumieniem na pułkownika, jakby uszom własnym nie wierząc.

– Rada mnie wzywa?!... Więc zebrała się beze mnie?! Nie wiedziała, że przybył do Warszawy?!...

– Taki odebrałem rozkaz!

– Rozkaz! – powtórzył z naciskiem Dąbrowski. – Rada mi rozkaz przysłała!!... A któż ją zwołał beze mnie?! Wojny zadeklarowanej nie ma!... Jestem na miejscu! Mości pułkowniku... odpowiesz, że Rady takiej nie uznaję!

– Panie generale – rzekł z odcieniem smutku Godebski. – Wybacz śmiałe słowa... trzeba, żebyś się udał, trzeba, żebyś szedł! Czekają!...

– Kto czeka, do stu par diabłów?

– Wszyscy!...

– Kto taki?!

– Wszyscy generałowie... pułkownicy, obecni w Warszawie... gubernator Sonier... wszyscy!...

– Prócz mnie?

– Prócz ciebie, generale! – przytwierdził ponuro Godebski.

– No – odparł dumnie Dąbrowski, – To powiesz tym wszystkim, że ja dziś nie przybędę, bo... zamiast spóźnionego rozkazu, powinienem był odebrać wczesne zaproszenie!

Godebski milczał, a po chwili ozwał się gorąco:

– Panie generale... Jeżeli odrobinę żywisz przyjaźni dla oddanego ci oficera spod Werony, Leibach, Hochstaedt, Hohenlinden... zawierz mi!... Nie ociągaj się dłużej... tu nie o przepomnienie należnego ci szacunku idzie, nie o chęć uchybienia twemu stanowisku w Radzie... ale... o honor, o odparcie krzywdzących zarzutów, jakie ci stawiają!...

Dąbrowski zatrzęsł się.

– Dosyć! Nie kończ! Szczaniecki!...

Adiutant wbiegł do gabinetu.

– Generale... Zabielski czeka przy pojeździe!

– Nie trzeba! Wróć go! Konie dla mnie!... Dwie kompanie piechoty w pełnym rynsztunku tu pod dom!... Czekam! Ruszaj!

Szczaniecki znikł. Generał mierzył wielkimi krokami gabinet trzaskając pałaszem. Godebski stał blady, jakby w ziemię wryty.

– Generale! Cóż chcesz uczynić?!... Na Boga! Jednym słowem zamkniesz im usta!...

– Hola, mości pułkowniku! Stamtąd, skąd przeciwko mnie takie wyrazy – mogę i muszę spodziewać się czegoś najgorszego!... Długo zamykałem uszy na intrygi, na podszepty, nie

²⁷ Saperlotte! (franc.) – Do diaska!

chciałem wielu rzeczy widzieć, nie chciałem ich się tknąć!... Dostyc cierpliwości! Nie znam żadnych personatów, nie znam żadnych panów – sobie jestem! Sobie byłem!... Zaciągnąłem się na służbę ojczyźnie, a nie żadnym panom ministrom, rezydentom, marszałkom!... Od nich ani rangi, ani krwawego dorobku nie brałem! Wara ode mnie!... Zasię chmyzom a sługusom!

Głos Dąbrowskiego dźwięczał coraz ostrzej, coraz groźniej:

– Ja mam tłumaczyć się przed tymi, którzy może tej ręce zawdzięczają, że miast w pruskich antykamerach żebrać łaski landratów, mogą się sami rządzić! Mości pułkowniku... a już by mi nie dziwno nawet było, gdyby się tu zjawił u mnie jaki faworyt, paniczyk. Ale ty, stary towarzyszu!... A nadto... śmiałeś mi wypomnieć Hohenlinden, Weronę!...

– Generale!... Spełniłem rozkaz! Wybrano mnie podobno umyślnie! Wdzięczen im jestem, bo inny, nie rozumiejąc ukutej intrygi, mógłby... zlecenie uczynić bardziej drażniącym!

– Więc na to mi przyszło! Ha!... Dobrze powiedziałaś, rozkazów słuchać trzeba samemu, aby potem mieć prawo, by ich słuchali inni!...

Generał klasnął na pokojowca i kazał sobie podać wielki mundur generalski, przypasał szpadę, przypiął krzyże, wdział stosowany kapelusz i czekał poglądając niecierpliwie ku drzwiom.

Za oknami rozległ się miarowy krok maszerującego wojska. Dąbrowski powstał z miejsca i podszedł do okna.

– Są moje zuchy! Ruszajmy więc!... Kiedy Rada daje rozkaz... trzebaż się stawić ze stosowną paradą!...

Dąbrowski nacisnął mocniej kapelusz i wyszedł przed podjazd. Dwie kompanie piechoty stały w pogotowiu. Rozległa się krótka komenda.

– Baaczność!... Prezentuj broń!...

– Jak się macie, smyki?!... – rzucił rażno generał.

Żołnierze odpowiedzieli okrzykiem pełnym zapału.

– Kto dowodzi?

– Z prawa starszeństwa kapitan trzeciej kompanii, drugiego batalionu, piątego pułku, Osipowski.

– A druga kompania czyja?

– Łagowskiego, z drugiego pułku.

– Trzonowe zęby dwóch pułków. Wybornie! Ostre ładunki macie?!

– Według rozkazu, generale!

– Słuchajcie, chłopcy! Ja potrzebuję dziś waszej eskorty... *Saperlotte*, niejeden był ze mną pod Gdańskiem! Tam co innego, a tu czasem trzeba!... Osipowski! Udasz się waszmość ze

mną! Zaciągać będziesz warty tam, gdzie się zatrzymam. Pół plutonu z porucznikiem za mną w krok!

– Według rozkazu!

– Lutek! Żeby mi tu żywa dusza nie weszła ani wyszła!

Dąbrowski wskoczył na konia. Godebski stał bezradny nie wiedząc sam, co ze sobą czynić. Generał spostrzegł zaambarasowanie pułkownika.

– No, panie Cyprianie! Deklarowałeś się!... Wędruj na piechotę! Konia pod ręką nie mam drugiego... Kapitanie, pozwól pułkownikowi na prawym skrzydle! Toć zaszczyt takiego oficera mieć w szeregu!...

Godebski stanął obok Osipowskiego. Żołnierze powitali go szmerem zadowolenia.

Dąbrowski spiął konia ostrogami, zatoczył nim raz i drugi przed szeregami, wreszcie skinął pałaszem. Bębny zawarzały przeciągle, a potem uderzyły w takt marsza. Trębacze tego tylko czekali, obejrzeni się po sobie i zagrali „Dąbrowskiego” tak, jak go tylko Dąbrowskiemu grać umiano.

Dźwięki znanego marsza o tak spóźnionej porze zbudziły Warszawę z przedwieczornej drzemki. Lud zewsząd wylegał na ulicę; wiedziano już, kogo te dźwięki zapowiadają, że to oddział z dywizji pana Henryka. A cóż dopiero, kiedy oczom tłumów ukazał się ukochany generał w wielkim, kapiącym od srebra mundurze, o twarzy jasnej, uśmiechniętej a pełnej hartu i męskości.

– Wiwat Dąbrowski! Nich żyje! – huknęły tłumy.

Generał wojskowym ukłonem odpowiedział na powitanie, a gdy rozgorączkowany lud jął z kolei okrzyki wznosić na cześć żołnierzy, Dąbrowski zdarł konia i zawołał stalowym głosem:

– Słyszycie, smyki?! Na podziękowanie... prezentuj broń!

Bagnety łysnęły wśród światła bijących z okien domów i rozwartych drzwi sklepów. Lud jeszcze gorętszymi okrzykami odpowiedział za zaszczyt, który go spotkał, i stłoczył się tak silnie około oddziału wojska, że ten ledwie posuwać się zdołał. Śmielsi z ludu podsuwali się do generała, byle go dotknąć, byle kraj czapraka do ust przycisnąć. Matki unosiły dzieci na rękach do góry. Starcy oczy łzami zasze przysłaniali, a znakiem krzyża witali miłowanego.

– On nasz! Krew z krwi! Z nim i za nim wszędzie! Za jego przewodem!

Lud kołysał się, parł falą, aż wreszcie, dźwiękami marsza rozmarzony, odpowiedział pieśnią. Pieśń z początku cicha, nieśmiało wtórująca trębaczom, rosła, potężniała, brzmiała coraz pełniej, płynęła i wiarą w przyszłość, i ufnością odmłodzonych sił i fantazją, i tęsknicą legionów, które każdą zwrotkę tylekroć razy własną krwią święciły.

Pieśń wstrząsnęła murami Warszawy, odzywała się echem w izdebkach, w dworkach witały ją rozognione twarze, w pałacach chmurne oblicza, bo tam nazywać ją chciano jeszcze pieśnią generała, tam zgryźliwie pytano często, iżali Dąbrowskiemu nie śnią się Bonapartowe gronostaje.

I szła ta pieśń, szła radosna, harda tym, od którego się poczęła, aż dosięgnęła sali zamkowej, gdzie za wielkim stołem zasiadała Rada Wojenna.

Prezydował książę Józef mając po prawej ręce gubernatora, pana de Sonier, a po lewej generała Zajączka. Obok tych dopiero usadowili się dokoła: Fiszer, szef sztabu głównego, Pelletier, dowódca artylerii, Sokolnicki, pierwszy po Fiszerze kandydat na dywizję, a dalej Biegański, Hauke i Niemojewski, Hebdowski, Woyczyński, Kamieniecki, Grabowski, Izidor Krasieński i Roźniecki. Za nimi pułkownicy: Rautenstrauch, pozujący na polskiego Murata, Prebendowski i Tyszkiewicz, Małachowski i Staś Potocki, a wreszcie Bontemps, Sierawski, Górski Antoni i Żółtowski. W głębi gromadka adiutantów, między którymi przeważały karmazynowe mundury ordynansów księcia, czekała na rozkazy.

Milczenie zalegało salę. Świece, osadzone w wielkie dwuramiennne lichtarze, skwierczały hałaśliwie. Pan de Sonier opowiadał półszepem księciu jakąś plotkę paryską i chichotał cicho. Książę chwiał obojętnie głową, usiłując się uśmiechać. Na przeciwnym końcu stołu Rautenstrauch ze Stasiem Potockim rozmawiali z zajęciem, przyglądając się miniaturze, którą pierwszy odebrał był Hebdowskiemu. Zajączek próbował był zagadać do Fiszera, lecz ten, pochylony nad rozłożoną przed nim mapą, zbył go milczeniem. Pozostali członkowie Rady nie starali się nawet rozpraszać ciszy. Z głowami lekko pochylonymi, ze ściągniętymi brwiami, poglądali niespokojnie ku drzwiom. Niekiedy zza munduru wychylała się złota cebula, a naciśnięty dzwonek wybijał kwadrans więcej...

Zajączek raz i drugi odchrząknął niecierpliwie – wreszcie odezwał się sucho:

- Może by... posłać, dowiedzieć się!... Pułkownik Godebski powinien już być z powrotem.
- Kto wie, czy zastał generała! – wtrącił pojednawczo Pelletier.
- Trzeba czekać! – zawyrokował książę.

I znów cisza zaległa. Pan de Sonier szukał był właśnie nowego przedmiotu do rozmowy, gdy spoza okien wpadł do sali lekki odgłos bębnow, a w ślad za nim dalekie echo pieśni.

Poniatowski zagryzł wargi. Zebrani spojrzeli po sobie pytającym wzrokiem. Tymczasem pieśń brzmiała coraz silniej... uderzeniom bębnow zaczęły odpowiadać szyby zamkowe. Zajączek targnął się gniewnie.

- Oddział dywizji... generała Dąbrowskiego o tej porze!
- Czy miał skąd nadciągnąć? – rzekł cicho Poniatowski do Fiszera.

- Nie, wasza książęca mość.
- Zwykła swywola oficerów pana Dąbrowskiego! – dorzucił Zajączek.
- Lubi to lud! – zauważył pan de Sonier.
- Mais *c'est trop!* ²⁸ – odrzekł Poniatowski.

Jakby na potwierdzenie tych słów, pieśń, wydostawszy się już na plac przed Zamkiem, zatrzęsła murami. Zajączek zaczął się niecierpliwić.

Książę odwrócił głowę ku stojącym w głębi adiutantom i skinął. Skrzynecki zbliżył się do Poniatowskiego.

- Zobacz, proszę... poruczniku... co za zbiegowisko! A... zapytaj, kto prowadzi oddział.

Skrzynecki oddalił się pośpiesznie. Książę Józef zaś odwrócił się do generała Fiszera i ozwał się cicho:

- Przypomnij mi, proszę, generale... trzeba będzie w rozkazie dziennym wydać w tej mierze instrukcję...

Fischer pochylił głowę i znów powrócił do rozpatrywania mapy. We drzwiach tymczasem ukazał się Skrzynecki.

- Cóż, poruczniku?... – zapytał książę hamując rozdrażnienie.

– Generał Dąbrowski z dwiema kompaniami piechoty nadciąga pod Zamek... Tłum ludu idzie za nim.

- Więc... oczywiście pułkownik Godebski musiał go nie znaleźć, nie przypuszczając zapewne, że generał parade... wieczorną odprawia!...

- Wasza książęca mość... pułkownik Godebski idzie w pierwszym szeregu!...

Poniatowski powstał z miejsca.

- Mości panowie! Słyszeliście?! Nadto śmiało!

– Pozwolę sobie dodać, że to jest jawne wyzwanie rzucone Radzie! – podchwycił porywczo Zajączek.

– *Toujours le même!* ²⁹ – wtrącił pan de Sonier, któremu Hauke przetłumaczył był raport Skrzyneckiego.

– Generał dywizji, Henryk Dąbrowski! – rozległ się w tej chwili donośny głos oficera służbowego.

– Prosić! – rzekł sucho książę. – Pułkownik Żółtowski zechce rozpocząć protokół... a pan, panie generale Roźniecki, odczytasz oświadczenie Rady Stanu!...

²⁸ Mais c'est trop! – (franc.) – Ale tego za wiele!

²⁹ Toujours le même! (franc.) – Zawsze ten sam!

Poniatowski osunął się ociężale na fotel. Nastąpiła krótka chwila oczekiwania. Drzwi otworzyły się na ścieżaj. Wszedł Dąbrowski z głową podniesioną dumnie, tuż za nim ukazał się pułkownik Godebski, a dalej Osipowski z plutonem żołnierzy.

Rada Wojenna jakby oniemiała ze zdumienia. Dąbrowski postąpił krok naprzód, rozejrzał się dokoła i zapytał spokojnie:

– Wzywaliście mnie, panowie!... Jestem! Słucham!... Niechże się dowiem, czemu przypisać, że Rada Wojenna zebrała się tak niespodziewanie... i aż rozkazem szukać mnie raczyła?... Jestem!

Poniatowski głowę podniósł.

– Panie generale! – rzekł z naciskiem. – Zanim przyjdzie nam dać ci poznać przyczynę naszego zebrania i... tego niespodziewanego, jak słusznie się wyraziłeś, rozkazu... wytłumacz nam, co to znaczy... że tu, na posiedzenie Rady, przybywasz... z eskortą?!... Co te karabiny znaczą?! Co ta warta?!

– Za oczywistą obrazę ją poczytuję! – wtrącił porywczo Zajączek.

– Imć pan Zajączek się myli – eskorta jest tylko obroną tego, komu służy! Odebrawszy rozkaz, uznałem za właściwe stawić się, tak jak mi przynależy z rangi!...

– Wątpię, żeby ktokolwiek z obecnych przystał na świętą waszmości! – syknął przez zęby Zajączek.

Oczy zebranych zwróciły się na pana de Sonier. Lecz gubernator zdawał się być w tej chwili zajęty wyłącznie złotym galonem swego prawego rękawa. Poniatowski bębnił palcami po stole. Fiszer na chwilę nie odrywał się od mapy.

– Głosujmy zatem! – rzekł po namyśle książę Józef. – Przede wszystkim... należy rozstrzygnąć, czy... generał Dąbrowski... może być badanym... czy eskorta jego jest uchybieniem!... Więc, pułkowniku Górski!

– Jest! – odpowiedział zapytany.

– Pułkownik Prebendowski?

– Nie!

Głosowanie szło powoli. Zdania ważyły się. Zajączek zaciskał pięście. Dąbrowski wsparł się na głowni pałasza i poglądał ironicznie.

Gdy przyszła kolej na Sokolnickiego, wstał, brwi ściągnął i ozwał się niespodziewanie:

– Ja bym suponował do rzeczy przystąpić... boć przed nami nie winowajca, ale przede wszystkim jednym towarzysz, drugim... wódz i zwierzchnik, a trzecim wzór niedościgniony... Nie głosuję!

– Ani ja! – uciał Fiszer i znów zatopił się w swej mapie.

Zajączkowi skry z oczu trysnęły.

– Tu nie pora na wypominanie, kto jakie i czy położył zasługi, kto komu czym wypada! Imć pan generał Dąbrowski został wezwany do tłumaczenia... przeto niestosownym jest, by tu nam przed stołem... pluton wyprowadzał...

– Dla mnie to kwestia drugorzędna! – zauważył nagle pan de Sonier.

– I błaha! – podtrzymał Pelletier.

– W takim razie – rzekł z wybuchem Zajączek – ja odchodzę... i sądzę, że mości panowie, którzy jednego ze mną byli zdania, uczynią toż samo!

Dąbrowski targnął się i postąpił naprzód.

– Hola! Ani kroku stąd!

– Co?!... Gwałt?! – zawołał Zajączek porywając za szpadę.

Dąbrowski obrócił się do żołnierzy.

– Nabijaj broń!...

– Generale! – zgromił pan de Sonier.

– Do broni, panowie! – zachęcał Roźniecki.

Członkowie Rady ruszyli z miejsc. Adiutanci z dobytymi pałaszami stanęli około swoich dowódców. Pelletier uspokajał Zajączka. Poniatowski siedział jak skamieniały.

– Z drogi! Zdaje ci się, mości Dąbrowski, że mnie przestraszysz bagnietami?!...

– Nie! Tylko, do czarta, nikt żywym stąd nie wyjdzie dopóty, dopóki ja od waćpanów nie wezmę porachunku!... Mielicie odwagę przysłać do mnie pułkownika Godebskiego i zawiadomić mnie, że tu o honor mój idzie!... Więc ja go przybyłem bronić!... I dlatego nie dam ujść nikomu... osobliwie tym, co zza płota najchętniej radzi kamieniem rzucać... Żołnierze – słyszeliście, na kurkach waszych karabinów honor Dąbrowskiego!... Broń do oka! Cel!...

Karabiny zachrzęściły ponuro. Zajączek skupił się w sobie, jakby gotując się do natarcia. Lecz naraz między członkami Rady ruch powstał. Sokolnicki, Prebendowski, Bontemps przesunęli się i zajęli miejsce po stronie Dąbrowskiego, wprost Zajączka. Około tego ostatniego znów zebrali się Roźniecki, Hauke, Kamieniecki, Hebdowski i Żółtowski... Reszta bądź stanęła przy księciu, bądź otoczyła gubernatora. Nastąpiła krótka chwila obustronnego oczekiwania – jeden wyraz mógł krwią zbryzgać salę Rady Wojennej. Poniatowski podniósł się i ozwał surowo:

– Panie generale Dąbrowski! Panie generale Zajączek! Ufam waszej powściągliwości i odwołuję się do niej!... Nie tu miejsce na wasze porachunki! Ja pierwszy obstaję przy tym, że generał Dąbrowski dopuścił się uchybienia porządkowego, jawiąc się w tym miejscu z

eskortą, ale nie w tym rzecz!... Więc gorąco obliguję mości panów przystąpić do obrad! Najpierw, jako tu rzucono pytanie, mamy rozstrzygnąć o tym, co sięga dalej, poza wykroczenie regulaminowe!... A pana, panie generale Dąbrowski, obliguję, byś wstrzymał wyrzeczone tu dopiero słowa!... Tu zarzutów z pałaszem w ręku odpierać nie można!... Na dowody – dowodów potrzeba!

– Jam tu właśnie po to przybył! – odparł oschle Dąbrowski,

– Panowie, proszę na miejsca! – wezwał po raz drugi ksiązę.

Generałowie i pułkownicy powracali z wolna do swoich foteli. Dąbrowski dał znak Osipowskiemu – karabiny osunęły się na podłogę.

Ksiązę, zamieniwszy kilka wyrazów z panem Sonier, zawyrokował, spoglądając znacząco na Zajączka:

– Generale Roźniecki, proszę wnieść sprawę!

Roźniecki przystąpił do oskarżenia, odczytując kolejno przedstawione raporty i akta.

Wina była oczywistą. Straż miejska, po długich poszukiwaniach sprawcy mordu na ulicy Napoleona, dzięki przypadkowi wykryła go... a kiedy miała ująć winowajcę, natrafiła na zbrojny opór, uczyniony jej przez oddział piechoty zasłaniający się rozkazem generała Dąbrowskiego. Zbrodniarz znalazł opiekę wojska, a nadto, według zeznań świadka, mistrza szewckiego, który był mu udzielił przytułku jako spokojnemu obywatelowi... zbrodzień był niebezpiecznym bardzo, bo podobno szpiegiem ościennego mocarstwa.

Oskarżenie kończyła odezwa Rady Stanu, zwracająca się do Rady Wojennej o natychmiastowe rozpatrzenie sprawy i danie odpowiedzi, która przez umyślnych kurierów wysłaną zostanie do marszałka Davouta, jako zawiadującego wojskami Księstwa, do króla jegomości i do głównej kwatery cesarskiej.

Dąbrowski z zaciśniętymi ustami wysłuchał zarzutów, uśmiechając się pogardliwie, a niekiedy wodząc dumnie spojrzeniem po twarzach zebranych.

Gdy Roźniecki skończył, ksiązę zagadnął cicho:

– Co, generale, masz do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie?

– Nic!...

– Więc... przyznajesz się do zarzucanego ci gwałtu?

– Najzupełniej! Był on dokonany z mojego rozkazu!

Członkowie Rady spojrzeli po sobie zdumieni. Nawet Zajączek tym szczerym wyznaniem był zaskoczony. Wszyscy spodziewali się gorącej obrony, byli przygotowani na to, że generał nie tak łatwo pozwoli sobie dowieść winy, a tu on nawet nie myślał się usprawiedliwiać.

– Więc w takim razie, mości panowie, nie pozostaje nam nic innego... jak powziąć decyzję... i zakomunikować ją...

– Pozwól, wasza książęca mość! – przerwał żywo Bontemps. Toć jeszcze szereg pytań nie wyczerpany!

– Cóż jeszcze?! – rzucił niechętnie Poniatowski.

– Należałoby poznać pobudki, które wpłynęły...

– Ach tak! Nie mam nic przeciwko temu!... Więc, panie generale, pozwól... zapytać się... co skłoniło cię do wzięcia w obronę tego przestępcy?

– Mości książę! – rzekł po chwili milczenia Dąbrowski. – Na zapytanie zadane nie odpowiem, bom ja tu, powtarzam, nie po to przybył, aby się tłumaczyć! Muszę jeno prosić cię, mości książę, byś w mojej obecności nie nazywał mianem przestępcy człowieka, który w tym gronie mało ma sobie równych serdecznymi intencjami i zacnością czynów... Nie posiada, prawda, ani tytułu, ani rangi, ale bo też one o prawości niczyjej nie stanowią!... Ale to powinno już wam było być rękojmią, iż Dąbrowski nicponia w obronę by nie brał! Lecz mnie to ani dziwi, ani nie przygotowanym zastaje!...

– A zatem widoczna pomyłka! – podchwycił Bontemps. – W raportach nie ma bynajmniej zapewnienia, że osoba broniona przez generała jest właśnie tą samą...

– Jest, stanowczo jest! – upierał się Zajączek.

– Wiadome jest nawet jej nazwisko! – dodał Roźniecki. – Podał się za niejakiego Zabielskiego. Pan Moszyński miał go już w Prochowni, lecz dla braku dowodów go wypuścił...

– I za to nękanie człowieka powinien by być oćwiczonym! – rzucił zapalczywie Dąbrowski.

Pan de Sonier, któremu każde wyrzeczone słowo wykladał po francusku stojący za nim adiutant, poruszył się nagle niespokojnie i odezwał się kwaśno:

– Panie generale! Doprawdy jesteś zbyt porywczym! Odpowiedzi twoje drażnią, a nie wyjaśniają!...

– Zbyt mało liczono się tu ze mną, abym miał się poczuwać do względów...

– Przypuśćmy... Ale zechciej pamiętać, że ja tu mam zaszczyt reprezentować najjaśniejszego pana... cesarza Francuzów!

Ostra uwaga pana de Sonier wstrząsnęła członkami Rady, twarz Dąbrowskiego okryła krwawym rumieńcem. Zajączek aż głowę pochylił, aby nie zdradzić się z ukontentowaniem, które nim owładnęło. W całej tej sprawie obawiał się właśnie zdania pana de Sonier, zdania

ważnego w Paryżu, miarodajnego w Dreźnie, a rozstrzygającego w Warszawie, Lecz nareszcie i tu oceniono należycie Dąbrowskiego.

Niežnośnie długie milczenie przerwał Dąbrowski głuchym, chroboczącym głosem, będącym jakby odzwaniem burzy, która mu piersi rozsadzała.

– Ekscelencjo! Ja bym mógł też upomnieć się o należne mi prawa!... I odwołać się do imienia najjaśniejszego pana!

– Generale! – przerwał pojednawczo pan de Sonier. – Właśnie zasługi twoje skłoniły mnie do przybycia tutaj!... Chciałem pierwszy mieć szczęście przedstawienia najjaśniejszemu panu, jak dalece stoisz ponad wszelkimi zarzutami.

– Żądacie, abym się usprawiedliwił! *Saperlotte!* Dobrze. Lecz i ja potrzebuję odebrać satysfakcję od tych, co się w tej intrydze czają!... Osipowski! Wysłać żołnierza do mojej kwatery!... Niech Szczaniecki natychmiast przyjeżdża z Zabielskim!... Będziecie mieli moją odpowiedź!

Znów nastąpiła chwila oczekiwania. Księżę bębnił niecierpliwie palcami po stole, pan de Sonier trząsał złotą tabakierką noszącą cyfry cesarskie, Fiszer oczu od mapy nie odrywał. Zajęczek usiłował maską obojętności pokryć niepokój.

Wreszcie we drzwiach ukazał się Szczaniecki z Zabielskim.

Imć pan Tadeusz poglądał niepewnie po bogatych mundurach nie rozumiejąc, na co go tu stawiono, co znaczyło to wysokie zgromadzenie. Dąbrowski atoli nie dał mu ochłonąć.

– Mości Zabielski! – rzekł. – Tu poczytują acana za łotrzyka. Przyzwałem cię, abyś nade wszystko opowiedział dzieje swego przybycia do Warszawy, a potem dopiero powiem ci, komu mas zawdzięczać takie o tobie mniemanie!... Co tu w bawelnę obwijać, mają cię za szpiega i mordercę!

Nogi ugięły się pod panem Tadeuszem. Chciał odpowiedzieć, nie mógł, kurcz go za gardło chwycił i nie dał słowa przemówić. Dąbrowski się gorączkował.

– Cóż, nie mówisz? Broń się!... Prawdę wyrzuć... przed oczy!..

Pan Tadeusz dobył kilka pierwszych wyrazów, a naciśnięty ponownie przez Dąbrowskiego, jął dzieje swoje opowiadać z początki głosem cichym, stłumionym, hamującym nawałnicę, która w nim wrzała, aż potem głos jego brzmiał coraz silniej, coraz mocniej coraz groźniej, coraz zajadlej.

Usta Zabielskiego pobladły, na twarzy wystąpiły płomienie, w oczach rozgorzały ognie. Jak burza, co z dalekich pędzona horyzontów ledwie lekkim podmuchem wiatru zapowiada swoje przybycie, ledwie cichym pomrukiem zwiastuje zjawienie się swoje, aż potem z

hukiem i gromem wpada ponad lasy i równiny, tratuje, miażdży, stuletnie skręca dęby – tak z piersi Zabielskiego płynęła gorycz, żal, boleśnie zadraśnięta duma, gniew i ból.

Pan Tadeusz, nie szukając wyrazów, nie układając przygód swych, nie dobierając porównań – opowiedział historię dni swoich od tego pamiętnego wieczora aż do chwili, gdy adiutant Szczaniecki przed to zebranie go przywiódł. Kiedy skończył, a ostatnie słowa skonały mu na ustach, znacząc na nich dwie białe smugi piany... Dąbrowski ozwał się szyderczo:

– Czy, mości panowie, macie jeszcze wątpliwości?

Zajączek nachmurzył się.

– To, co nam imć pan Zabielski wyłożył... wygląda na smutne zrządzenie losu... ale... nam nie słów trzeba, ale dowodów!

– Deklaruję, że imć pan Zabielski był u mnie i prezentował swoje obawy – odezwał się ostro Sokolnicki.

– Na to zatem wychodzi – wtrącił ironicznie Roźniecki – że myśmy raczej imć panu Zabielskiemu podziękować winni... no i wieściami jego się przejąć... Żałuję mocno, że w te austriackie groźby i szpiegowskie sieci, mimo całego zachowania dla osoby imć pana burmistrza, uwierzyć nie mogę!

Pan Tadeusz w odpowiedzi sięgnął w zanadrze, dobył zwój papierów i rzucił na stół.

– Może tych dowodów starczy na przekonanie, że nawet zamysły sztabu nie są dla Austriaków tajemnicą!

Fiszer oderwał się od swojej mapy i jął przeglądać papiery – nagle szpakowata czupryna zjeżyła mu się, brwi ściągnął ponuro.

– Co to za papiery, co za papiery? – pytał nerwowo Zajączek.

Fiszer pięści zacisnął.

– Zdrada, panowie! Plany fortyfikacji!... Rozpisy wojskowe! Postanowienia sekretne! Poniatowski poruszył się niespokojnie.

– Generale!... Chyba niepodobna!...

– Wszystko, wszystko jest, mości książę!... Dokumenty wprost z mego biurka odpisane... ostatnie zamysły nasze! Jesteśmy zdradzeni, odkryci w najtajniejszych zamiarach!... Straszne, okropne!...

Fiszer trząsł się i dygotał ze wzruszenia. Papiery z rąk mu wypadły. Rada Wojenna siedziała osłupiała. Odkrycie uderzyło w nią jak grom. Pan de Sonier kręcił się niespokojnie, a skinąwszy na Bontempsa szeptał coś doń z oznakami zaniepokojenia. Fiszer z bezsilną rozpaczą osunął się na fotel, głowę na rękach wsparł i powtarzał smutnie:

– Tyle pracy!... Tyle bezsennych nocy... zabrali wszystko, wykryli!... Nie ma tajemnicy... nie ma planów!

– A teraz, mości panowie, wątpicież jeszcze? – rozległ się wyzywająco dźwięczny głos Dąbrowskiego.

– Nie... nie, generale! – odrzekł cicho Poniatowski.

– Za pozwoleniem! – wmieszał się ostro Zajączek. – Dla mnie jest tu dotąd oczywistą rzeczą, że oto stoimy wobec szpiegostwa, że gdyby nie to wystąpienie nasze... wyobrażenia byśmy nie mieli o tym, co nam grozi.

– Mości Zajączek zdaje się zapominać, że ja wiedziałem.

– Jednak, mości Dąbrowski, nie uwiadomiłeś nas o tym.

– Do waszmości się nie zwracałem, bo to byłoby daremnym. Lecz wie już o tym ten, którego radzie i zacności najwięcej ufałem!... Wie wojewoda Wybicki...

– Pan wojewoda nic nie ma do spraw wojskowych!

– Owszem... Boć jego wstawiennictwom niektórzy dowództwo dywizji zawdzięczają!

– Wolę odpowiedź zamilczeć! Nie w tym rzecz! Mości panowie, tu śledztwa trzeba, żeby wyświecić, jaką drogą te papiery doszły rąk Zabielskiego!

– A mnie tu nie śledztwo potrzebne, lecz rozważenie niebezpieczeństwa! Słyszeliście!... Wojna nam grozi! Do zapewnień imć Zabielskiego dodam tyle od siebie, że moje wiadomości, które mnie doszły już przez pruską granicę, potwierdzają te obawy!...

– Wojna! – wmieszał się książę, chcąc zatrzeć odezwanie się Zajączka. – Wojna jest możliwą, ale... moim zdaniem, będzie czas o niej pomyśleć.

– Oczywiście! Bez wątpienia! – przytwierdzili Hauke z Roźnieckim.

– Przewidywać ją trzeba... lecz i ja sędzę, że jeszcze do niej daleko – zauważył Pelletier.

– Więc wojna schodzi z porządku rzeczy a zostają tylko dowody szpiegostwa!

Dąbrowski szarpnął się, aż mu pałasz zadzwonił, i chciał odpowiedzieć, gdy przy drzwiach wchodowych wszczął się rozruch. Straż Osipowskiego wzbraniała wejścia do sali oficerowi,

– Kto to? Co to? – rozległy się głosy.

– Ha! Imć pan Dąbrowski trzyma nas pod wartą! – szydził Zajączek.

Dąbrowski skinął na Osipowskiego.

– Co się tam dzieje?

– Pułkownik Mallet... z raportem do księcia!

– Wpuścić!

– Mości panowie!... Imć pan Dąbrowski raczył zezwolić! – drwił dalej Zajączek.

– Tego za wiele! – mrucał pan de Sonier trzaskając coraz gwałtowniej tabakierką.

– Cha!...; Cha!... Wojna naprawdę się zaczyna!– śmiał się któryś z nieprzyjaznych Dąbrowskiemu pułkowników.

Śród wzrastającego zamieszania ukazała się wyniosła postać pułkownika Malleta.

Poniatowski powitał go lekkim skrzywieniem ust.

– Skąd przybywasz?!

– Spod Nowego Miasta!

– Aha!... Podjazd!... I cóż?

– Wasza książęca mość! Wojsko austriackie zbliża się ku granicy!

– Co?... Wojsko?...

– Sześć pułków piechoty... dwa regimenty dragonów i trzy huzarów postępuje w przedniej straży... Proklamacje wydane! Dowodzi arcyksiążę Ferdynand d’Este... Lada chwila przejdą Pilicę!...

Poniatowski przez chwilę poglądał zdumiony na Malleta, jakby własnym uszom nie wierząc – potem wyprostował się, targnął temblakiem i podniósł głowę.

Członkowie Rady szeptali między sobą, silniej jeszcze zaczęli zaznaczać swoje sympatie, wyraźniej opowiadali się stronnikami Dąbrowskiego, mocniej skupiali się około Zajączka. Na prężącą się przed księciem postać pułkownika nikt nie zwracał uwagi. Zwykły raport służbowy gorliwego Francuza.

Poniatowski zadzwonił na ucieszenie się – daremnie. Stronnicy Zajączka szemrali coraz głośniej, coraz śmielej.

– Nas wojną straszyć? Lada plotkom dawać może wiarę?

– Precz z wartą! Siłą iść!

Książe Józef zadzwonił po raz drugi, a gdy i to wezwanie nie poskutkowało, porwał się z za stołu, stanął pośród dwóch wrogo ku sobie poglądających partyj i zawołał gromko:

– Mości panowie;... Zważcie na własne mundury! Nie pora na prywaty... Wojna! Wojsko austriackie stoi na granicy... Wzywam was do natychmiastowego powzięcia postanowień.

Cisza grobowa zaległa zebranie po tych słowach. W piersi członków Rady jakby zamarły oddechy. Pierwszy odezwał się pan de Sonier:

– Mości książę! – rzekł cicho. – Czy dobrze słyszałem? *Duc*³⁰ Bassano w ostatnim liście... zapewniał, że choć z Wiedniem stosunki są nie najlepsze... jednak nie zapowiada zatargu!

– Dla nas, żołnierzy, najlepszą rękojmą jest raport pułkownika Malleta! Mości panowie!... Zawieszam wszelkie rozprawy... w przedmiocie, który nas tu zebrał raczej jedynie dlatego, aby raz jeszcze przekonać się, jak prawego obrońcę ma ta ziemia w imię panu generale

Henryku Dąbrowskim!... Jak dalece niebezpiecznym jest jego nie słuchać wskazań. Mości panowie, za obowiązek poczytuję sobie rękę doń wyciągnąć i prosić, aby w obliczu grożącego ojczyźnie niebezpieczeństwa darował wyświadczoną mu krzywdę.

– Niech żyje Dąbrowski! – podchwycili z zapalem generałowie stojący przy nim.

– Niech żyje! – mruknęli stronnicy Zajączka, czując, że tracą punkt oparcia.

– Dziękuję ci, mości książe! – odrzekł chłodno generał. – Takie krzywdy bołą, ale nie ranią. Chcę wierzyć, że to, co się stało, było wynikiem przypadku!... Zresztą są zarzuty, które Dąbrowskiego dosięgnąć nie mogą! Ale, mości książe!... Patrz na tego obywatela, patrz, do czego go przywiodła serdeczna gorliwość! Jemu nagroźcie!... Jego proście o darowanie obelg!

Poniatowski w szlachetnym porywie podszedł do stojącego na uboczu pana Tadeusza i położył mu rękę na ramieniu.

– Dłużnikiem twoim jestem!... Mości Skrzynecki, zajmij się imć panem Zabielskim! Chciałbym z nim dzisiaj jeszcze się rozmówić.

– Hola! Mości książe! – wmieszał się Dąbrowski. – Zabielskiego od siebie ci nie pozwolę zabrać!

– Dziś, generale, dziś!

– Tylko dziś!

Skrzynecki wyprowadził pana Tadeusza z sali.

Książę Józef zaś ogłosił Radę za nieustającą – po czym, w krótkich wyrazach przedstawiwszy grożące niebezpieczeństwo, w te słowa się odezwał:

– Mości panowie! Wojna chwyta nas nie tylko nie przygotowanych, ale i odciętych od króla jegomości, od cesarza!... Los pozostawia nas w tak doniosłej chwili samym sobie, naszym własnym siłom i środkom! Jedno tylko niebezpieczeństwo znów nad naszymi głowami, jedna klęska mogłaby nas złamać, jedna zburzyć najhartowniejsze czyny i zamysły, a klęską tą jest niezgoda myśli, nakazów, postanowień!... Mości panowie, suponować śmiem, że gdyby czas był po temu, zarówno król jegomość, jak i najjaśniejszy cesarz wraz z rozkazem o wystąpienie w pole daliby nam wodza, któremu by podlegali wszyscy!... Otóż to żywię mniemanie, że zanim z Drezna czy Paryża dojdzie nas postanowienie, w tak ważnej chwili sami powinniśmy między sobą wybrać!... Podobało się cesarzowi powołać mnie na ministra i dowódcę dywizji; przyjąłem te stanowiska, dzieląc władzę z równoznacznymi generałami Dąbrowskim i Zajączkiem! Dziś uznaję potrzebę naczelnego dowództwa, któremu by i moja ranga podlegała!

³⁰ Duc (franc.) – książe.

Poniatowski zatrzymał się, powiódł oczyma po twarzach zebranych i rzekł z mocą:

– Mości panowie! Na naczelnego wodza wojsk Księstwa Warszawskiego przedstawiam wam tego, którego uznaję za najgodniejszego... jest nim... generał dywizji, wojewoda Henryk Dąbrowski!... Oficer doświadczony, twórca legionów, od roku dziewięćdziesiątego drugiego nie ustający w swych serdecznych dla ojczyzny służbach, kochany przez żołnierzy, wielbiony przez lud!... Mości panowie! Jego pieśń niech nas wiedzie!... Za nim, za Dąbrowskim!!

– Za nim! Za Dąbrowskim! Na śmierć! – huknęli członkowie Rady i jęli się do Dąbrowskiego cisnąć a za ręce ścisnąć. Nawet Zajączek, nie mogąc się oprzeć porywowi, podsunął się do Dąbrowskiego i jął bełkotać słowa uznania. Zapał wzrastał, potężniał.

– Prowadź nas! Wiedź! Za twoim przewodem chcemy iść! Ty dokończysz, coś rozpoczął.

Oblicza gorzały, z ócz szły skry jasne, czyste i rozchmurzyły twarze, i gorzały serca.

Pod drzwiami sali obrad, w pierwszym szeregu plutonu, na prawym skrzydle stał stary sierżant Klimkiewicz, stał z karabinem u nogi. Gdy księżę wymówił nazwisko Dąbrowskiego, sierżant drgnął; gdy wspomniał o jego zasługach, karabin zadygotał w ręku Klimkiewicza, a kiedy sala zabrzmiała okrzykami, sierżant pochylił się, złamał szereg i jęknął.

Kapitan Osipowski, który znów dziwnie marszczył się, spostrzegł uchybienie i, korzystając z rozgwaru, napomniał surowo:

– Klimkiewicz!...

– Jes... jes... tem, panie kapitanie!...

– W miejsce, do czarta!... Oszalałeś?!...

Sierżant kiwnął się mocniej.

– Cztery dni aresztu! – burczał Osipowski.

– Tydzień, panie kapitanie! – szepnął sierżant. – Ale... toć... on... nasz! Nasz generał!...

Dąbrowski mienił się kolorami, w milczeniu przyjmował uściski, a kiedy w końcu Poniatowski powołał go, aby zajął pierwsze miejsce i, jako wódz, naradom przewodniczył – generała oczy rozbłysły.

– Pozwólcie, mości panowie! – rzekł drżącym głosem. – Pozwólcie odpowiedzieć!... Ta chwila, to mgnienie, którego daliście mi zaznać, jest mi najdroższą nagrodą, jest mi najmiłszą!

– Niech żyje Dąbrowski!... Niech żyje wódz naczelny!!!

Dąbrowski wyprostował się, orlim spojrzeniem obrzucił salę i zaczął nagle głosem stanowczym, męskim, pełnym, który zdawał się wskroś przenikać każdego:

– Ja honoru ofiarowywanego mi wspaniałomyślnie przyjąć nie mogę. Tu nie skromność, nie obawa przed ciężkim brzemieniem mnie obowiązuje, lecz najświętsze uczucia miłości

ziemi tej. Jam nie szedł do niej, aby się w niej panoszyć, jam nie władzy sobie chciał dobywać, jam nie pragnął dla niej nowych panów, jam dążył do tego, by pasmo jej żywota nie rwało się. Zanim legiony zebrałem, już chodziłem pod dowództwem tu przytomnego księcia Józefa! Mości panowie, wodzem naszym musi być nie tylko generał, ale i ten, którego imię byłoby ciągiem naszych dziejów, które by samo przez się mówiło do ludu, do Europy! A ten nade wszystko, co tylekroć razy broń w najświętszej sprawie podnosił! On nam wodzem! On! Krew nasza, krew królewska!

Zebrani ze zdumieniem przyjęli słowa Dąbrowskiego, lecz ten nie dał nikomu ochłonąć z wrażenia, odwrócił się do warty i zakomenderował gwałtownie: „Bacność! Prezentuj broń!” – a kiedy ostrza bagnatów błysnęły i najeżyły się, ozwał się donośnie:

– Kapitanie Osipowski!

– Słucham, generale!

– To sobie zapamiętaj, że gdyby kiedykolwiek jego książęca mość, wódz naczelny, kazał ci mnie, Dąbrowskiego, rozstrzelać, uczynisz to bez wahania!... On tu naszym wodzem! Każde słowo jego jest ostatnim!

– Według rozkazu, generale!

– Te słowa powtarzać będziesz co dzień przy apelu, aby, *saperlotte*, twoi drągale z dzisiejszej warty naukę wzięli.

– Według rozkazu!

– Baacność! – komenderował dalej Dąbrowski. – W prawo w tył! Odmień front! Na ramię broń! Marsz! Do... koszar!

Warta, idąc za głosem generała, zwarła się, zakręciła i miarowym krokiem wyszła z sali.

Przez chwilę wśród milczenia głębokiego słychać było jeszcze chrzęst, stąpanie oddalającego się oddziału i surowe pomrukiwanie Osipowskiego, znane w całym wojsku:

– Jeden z drugim... Znacz krok! Znacz krok!

Aż naraz do Dąbrowskiego zbliżył się Pelletier, chwycił go oburącz za rękę.

– Generale!... Ceniłem w tobie wielkiego żołnierza, od dziś wielbię obywatela!...

– Gdzie tacy się rodzą, tam naród nie zginie! – wołał z zapalem Prebendowski.

– Niech żyje Dąbrowski!...

Książę zbliżył się z kolei do generała – był wzruszony do głębi, z czoła jego znikła duma, twarz jaśniała szczerością.

– Nie tylko cię szanować trzeba, generale, ale i kochać! Ale... nie ustępuj... widzisz, wszyscy są z tobą.

– Nigdy, mości książę!... Rzekłem, mości panowie. Niech żyje książę Józef Poniatowski, wódz naczelny!...

– Niech żyje!... – odpowiedziano chórem.

– Rozkazuj, mości książę!... Czas!... – przytwierdzili członkowie Rady skupiając się, garnąc dokoła Poniatowskiego.

– Dobrze, mości panowie! Przyjmuję! – rzekł książę Józef.

Jeden tylko stawiam warunek, że generał Dąbrowski nie tylko radą będzie mi służył, ale i swej przyjaźni nie odmówi!...

– Wiwat!...

Poniatowski padł na szyję Dąbrowskiemu.

– Z tobą, generale, na dobrą i złą dolę!...

– *Saperlotte!*... Mości książę... z tobą i za tobą!...

Wzruszenie wstrząsnęło przytomnymi. Hauke ledwie od łez mógł się wstrzymać, a gdy tylko Poniatowski puścił Dąbrowskiego przypadł do ramienia tego ostatniego.

– Generale! Patrz, beczę!... Beczę, żem ważył się ciebie sądzić!..

Gdy się to działo, pan Tadeusz siedział z adiutantem Skrzyneckim, wyczekując na widzenie się z księciem, które mu ten ostatni był zapowiedział. Adiutant starał się rozerwać Zabielskiego, silił się na grzeczności, a współczuł niby to głęboko jego doli – lecz pan Tadeusz ozięble przyjmował wynurzenia Skrzyneckiego i zbywał go lakonicznymi uwagami. Adiutant uczuł się dotknięty tym zachowaniem.

– Waćpan, widzę, żywisz do mnie urazę!

– Mylisz się, mości poruczniku! – odrzekł sucho pan Tadeusz. – Jeno nie rozumiem tego zaszczytu, jaki mi jego książęca mość chce okazać!... Noc późna.

– Uzbrój się waszmość w cierpliwość!

– Cenię wielce ten honor, ale mi teraz nic do niego! – oburknął się pan Tadeusz, w którym rogata dusza szlachecka brać zaczęła przewagę.

– Otóż właśnie!... Słyszałeś, książę ubolewał nad tym, co się stało!...

– Zbyteczna fatyga!...

– A przy tym kto wie, co zamyśla dla waszmości!...

– Nie ciekawym wiedzieć! Od nikogo nic nie potrzebuję, a krzywdy wyrządzonej nikt mi tu nie powróci!...

– Mości Zabielski – zauważył, urażony tym lekceważeniem Skrzynecki – nie poddawaj się alteracji! Pamiętaj, że inni miesiącami zabiegają o to, przed czym ty zdajesz się bronić! Toć książę!

Zabielski zęby zaciął.

– Powtarzam waszmości, mnie nic po tym! – odrzekł hardo. – Mnie tu żadne promocje nie nęcą! Niczego nie potrzebuję, niczego zawdzięczać nie chcę. A zresztą tego wystawania w antykamerze³¹ mam dosyć. Z supliką³² nie przybyłem – odchodzę!

Skrzynecki nie wiedział, co począć.

– Nie róbże mi tego waszmość, proszę cię, jak o łaskę zaklinam!... Zaufaj mojej przyjaźni!

– Bóg zapłać! Wiem... jak daleko pójdzie, dość by tu było jednego przechery, aby na mnie palcem wskazał, byś mnie asan za sprzedawczyka miał.

Adiutant zastąpił drogę Zabielskiemu.

– Choćbyś mnie zarąbał, nie puszcę!

– Więc chcesz mnie siłą zatrzymać?!

– Choćby!

Pan Tadeusz zbladł i mierzył lekceważąco spojrzeniem Skrzyneckiego. Lada chwila miały paść ostre słowa. Gdy wtem niespodziewanie do pokoju wpadł Szczaniecki, a postrzegłszy wzburzenie pana Tadeusza, zagadnął pośpiesznie:

– Co tu się stało? Czego się boczysz? Mości Skrzynecki!

Adiutant księcia Józefa wyjaśnił mu przyczynę sporu. Szczaniecki zmarszczył się.

– Tam do licha, niech mnie kule biją, jeżeli Zabielski nie ma racji... A jemu co? Na służbę tu przyszedł czy co?... Chce iść, i koniec.

– Ale zważ, mości Szczaniecki, książkę sobie życzył!

– No a jemu się to wyczekiwanie naprzykrzyło. Chodź, idziemy razem! Generał rusza w tej chwili na noc z Warszawy.

– Mości Szczaniecki, nie róbże mi tego!

– Więc, tam do licha, miast tu się targować, idź wasze do księcia i powiedz mu, że Zabielski odchodzi.

Skrzynecki zafrasował się, a po krótkim wahaniu poszedł do sali obrad. Upłynęła długa chwila. Zabielski znów wpadł w gorączkowe zniecierpliwienie.

– Idźmy stąd! Co mnie do niego! Już sobą nie władnę! Niech się raz to skończy!

Szczaniecki ujął łagodnie pana Tadeusza za rękę.

– Tam do licha! A cóż, rejterować chcesz?... Tfy!... A tobie co?

³¹ Antykamera – przedpokój, przedsionek.

³² Suplika – pokorna prośba pisemna.

Powiedz mu właśnie, niech wie, że onej rozmowy za zaszczyt sobie nie masz!... Ot i jest rada! Okoniem stawaj, ale, tam do licha, prostakiem nie jesteś; obligował cię, więc mu strzymaj!...

Pan Tadeusz chciał się jeszcze upierać, gdy naraz we drzwiach stanął Poniatowski, Szczaniecki cofnął się z uszanowaniem na stronę. Księżę pozdrowił przyjaźnie Zabielskiego i zagadnął:

– Waszmości pilno! Słyszę, uciekać chcesz?

– Tak! – bąknął Zabielski.

– Strzymywać cię nie śmiem! Jeżeli na rozmowę cię przyzywał, to jedynie dlatego, aby ci raz jeszcze podziękować za pocziwą ochęć a upewnić, że szczerze pragnąłbym nagrodzić ci to, co cię spotkało. Właśnie generał Dąbrowski powiadał mi jeszcze o tobie... Powracać ci do dom teraz niepodobna! Owóż tymczasem... póki o stosownej promocji nie będzie można pomyśleć, weź urzędowanie u imię pana RembIELIŃskiego w prefekturze departamentu pŁockiego. Tam spokojnie przeczekaś zawieruchę i do dom powrócisz!

– Pokornie dziękuję waszej książęcej mości... niczego mi nie potrzeba! – odparł pan Tadeusz.

Poniatowski stropił się niespodziewaną odpowiedzią, lecz nie dając znać po sobie zniechęcenia rzekł spokojnie:

– Aha! Rozumiem!... Acanowi nie bardzo po myśli prefektura, bo i wypoczynek ci się należy!... Weźże tę oto kartkę... w pałacu u mnie wypłacą ci dwieście dukatów! Nie dziękuj, toć... pomoc tylko!...

Lecz Zabielski nie myślał nawet dziękować. Głowę zwiesił i milczał. Księżę Józef skrzywił się, potrząsając raz i drugi trzymaną kartką, w końcu ozwał się niecierpliwie:

– Weź acan... tymczasem... a jutro zgłoś się do mnie, a każę ci dodać!...

Pan Tadeusz drgnął i zmierzył piorunującym spojrzeniem księcia.

– Czy na to kazał mi jego książęca mość czekać?!

– Cóż acan imaginujesz sobie?!...

– Więc nie dość waszej książęcej mości było, żeś przed chwilą tam... z lekkim sercem zelżył niewinnego?!

– Mości Zabielski!...

– Jeszcześ mu chciał zapłacić!... Zdawało się waszej książęcej mości, że ja szedł tutaj, aby ostrzeżenia swoje sprzedać... a teraz za oplwanie, za hańbę wezmę datek?!... Suponowałeś, mości książę, że dla ubogiego szlachcica starczy dwieście dukatów, bo mitrę można by za tysiąc do honoru przywrócić?!... Także mam rozumieć?!...

Poniatowski zbladł. Szczaniecki doskoczył do Zabielskiego.

– Mityguj się!... Bacz, do kogo mówisz!...

– Czegóż więc żądasz?... – rzucił ostro Poniatowski.

– To ja raczej powinienem zapytać!... Mnie niczego nie trzeba! Coście mi wzięli, tego nie wróćcie!... Nie chcę żadnych łask! Jeżeli miałem coś uczynić, to nie dla generalności, nie dla zwierzchności! A teraz jeno odejść stąd chcę co prędzej...

Poniatowski podsunął się szybko do Tadeusza i wziął go za rękę.

– Nie, tak odejść ci stąd nie dam! Wyświadczyć mi łaskę! Daj, niech mogę uczynić coś dla ciebie!... Serce przez ciebie przemówiło!...

– Nic, nic zupełnie!...

– Więc zostań przy mnie!... Za przyjaciela chcę cię mieć!... Zapomnij!...

– Dziękuję waszej książęcej mości! Zaszczytu nie mogę przyjąć!...

– Masz zatem moje słowo na to, że gdyby ci Poniatowski czymkolwiek mógł pomóc... jaw się! Z otwartymi rękoma będziesz przyjęty, uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy! A nie dajże czekać długo, bo mi słowa twoje kamieniem na sercu zaciążyły!...

Poniatowski oddalił się. Szczaniecki rzucił się na szyję Zabielskiemu.

– Bodaj cię! Toś mu zadał! Takiej cholery u ciebie się nie spodziewałem!... Dawaj gęby! Dobrze mu tak – niech wie na drugi raz!... Mitygowałem cię, boś się tak nasrożył, że myślałem!... No, a widzisz, gdybyś był mu ubliżył, to... tam do licha, głupstwo by się stało! W nim jakby dwóch ludzi: spojrzysz – przed tobą książętko pyszne, wymuskane, wychuchane, wycackane, kapryśne a nadęte – a czasem, jak ci usta otworzy, to z nimi razem i serce gorące, proste, otwarte, żołnierskie zgoła! Aleś, człeku, choleryk! Senator a generał nie każdy tak by potrafił!...

– Do żywego dopieki! – bąknął pan Tadeusz bynajmniej nie radując się z pochwał Szczanieckiego, a w głębi prawie żalując swego uniesienia. Sam nie wiedział dlaczego, lecz owa własna hardość goryczą go napoiła a żółcią. Tłumaczył sobie, że właśnie tak, a nie inaczej powinien był się znaleźć – na próżno. Widział ciągle wpatrzony w siebie ciemnoniebieskie, łzawe, smutne oczy księcia, ciągle jeszcze rysował się mu ten uśmiech gorzki, błakający się w kątach ust Poniatowskiego.

Szczaniecki nie dał długo zastanawiać się panu Tadeuszowi.

– No, teraz na kwaterę do mnie, a tam zobaczymy! Generał może na noc jeszcze ruszy do Poznania... ja może z nim! Moja rada, jedź z nami, wytchniesz, zapomnisz wkrótce, a tobie tutaj co?!...

– Nie, niepodobna! Wolę tu, bliżej domu! Aż strach mi pomyśleć, co się tam dzieje!...

– Faramuszki, tam do licha! Jejmość pewno trochę się smuci, ot i cała parada! Przeczekasz, zawierucha przejdzie! A kto wie, jeszcze Austriak po skórze weźmie i odda, co wziął, a wtedy!... Hej!... Tak czy owak, na moje wychodzi... wolej ci jechać z nami! Wythniesz, rozejrzysz się po świecie... a może serce uderzy ci do żołnierki. Tam do licha, kto ma jako ty zdrowe pięści, ten iść powinien! W polu rezon! Statyści niech szermują językami, a młodym do szeregu! Rąk trzeba!...

Zabielski w milczeniu wysłuchał racyj Szczanieckiego, a gdy ten nalegał, rzekł cierpko:

– Każdy sobie inaczej zamyśla: z wami nie mogę!

Szczaniecki jeszcze chciał namawiać, lecz pan Tadeusz pozostał głuchym na wszelkie namowy, chociaż w duchu sam przyznawał porucznikowi rację. Do Ostrowa ani myśli było powracać, a tu, w Warszawie, cóż sam pocznie? Z początku liczył był sobie, że przy pomocy Karasia kwaterę jaką znajdzie i przeczeka jakoś, póki uspokojenie nie przyjdzie – lecz powróciwszy ze Szczanieckim do domu generała dowiedział się był, że rybak poszedł ze zleceniami aż pod Modlin i nie wiadomo, kiedy znów będzie w Warszawie. Ta nowina pokrzyżowała i te ostatnie rachuby pana Tadeusza, ale i ona nie zdołała go skłonić do pójścia za radą Szczanieckiego.

Tymczasem mimo późnej nocy w domu zajmowanym przez generała Dąbrowskiego zagorzały światła, a w ślad za nimi ruch zawrzał gorączkowy. Sam generał był jeszcze nie powrócił z Rady Wojennej, a tu już czyniono przygotowania do jego wyjazdu.

Szczaniecki przez podoficerów co chwila odbierał lakoniczne rozkazy nadsyłane z Zamku, niekiedy odpowiadał na nie równie zwięźle, niekiedy pytał jeszcze, a najczęściej wzywał kurierów i wyprawiał w drogę daleko albo szedł na pokoje, kędy pani Barbara Dąbrowska z garderobianymi gotowała mężowi podróżne węzélki.

Nad ranem spadł Dąbrowski jak burza – rzucił kilka zapytań Szczanieckiemu i zakonkludował krótko:

– Konie natychmiast, ruszamy! Dwóch kurierów naprzód – niech pilnują rozstawnych!

Za Dąbrowskim zjechał wojewoda Wybicki, także do drogi wygotowany, i szedł bez meldowania prosto na pokoje. Po Wybickim jęli się zjeżdżać generałowie i pułkownicy, chcący odjeżdżającemu Dąbrowskiemu dać dowód serdecznej przyjaźni czy uszanowania.

Zabielski siedział w adiutanckiej antykamerze i przyglądał się nowemu dlań zgoła widokowi. Z urywanych słów Szczanieckiego tyle tylko zrozumiał, że generał jedzie do Wielkopolski z wojewodą Wybickim, powołanym na komisarza cywilnego departamentu poznańskiego, aby zarządzić powołanie gwardii narodowej i zająć się zbieraniem posiłków w Kaliszu, i że Szczaniecki jedzie razem, a więc jemu, Zabielskiemu, nie pozostaje nic innego,

jak co prędzej innego szukać schronienia. Pan Tadeusz chciał od razu nawet ustąpić, lecz Szczaniecki zatrzymał go, przedstawiając, że w noc nawet do zajazdu nie trafi i że tu do rana przeczeka może, a bodaj, jeżeli takie ma skrupuły, by zawadą nie był, u odźwiernego kąta znajdzie.

Zabielski przyznał słuszność Szczanieckiemu i został.

Przed gankiem stanęła kolaska generała. Służba przy świetle pochodni jęła troczyć pośpiesznie mantelzaki i tłumoczki. Pluton ułanów stanął na uboczu. Dąbrowski w ustronnej komnatce żegnał się z żoną. Pani Barbara oczy miała pełne łez.

– Znów... Znów!... – szepnęła z cichą skargą.

– Basieńko! Trzeba!... Mamże ustać?...

– Henryku, bacz na siebie!... Nie narażaj się! Na Michałka miej oko... żywy nadto, zapalczywy!... Ledwie blizny ostatnie mu zażyły!...

– Twój syn! Twój syn, Basieńko! Możeż być innym? – rzeki generał, z dumą a miłością poglądając na jasne oblicze żony.

Bóg dał, Bóg powoła... jak czas przyjdzie! Dąbrowskim jest!... Bywaj mi!...

Generał osunął się do kolan żony. Pani Barbara z płaczem padła mu na szyję. Przez chwilę pozostawali tak spleceni serdecznym uściskiem, aż generał podniósł się, ucałował ręce żony i zawołał rażno:

– Jegomościuniu moja... teraz do ludzi!... I w drogę!...

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Dąbrowski ruszył znowu do sali, gdzie czekali nań przybyli z pożegnaniem towarzysze, za nim szła pani Barbara już spokojna, ze zwykłym swym smętkiem w spojrzeniu wielkich, niebieskich oczu z ustami zaciśniętymi wołą do uśmiechu.

– Bywajcie mi! – ozwał się ochoczo Dąbrowski. – Jednego mi żal, że świadkiem nie będę przywitania, jakie tu nieprzyjacielowi wyprawicie!... Ciężkie chwile nastały, lecz chyba nie damy sobie wydrzeć tego, co zdobyliśmy tylu krwawymi ofiarami! Bywajcie, starzy towarzysze! Z serca dziękuję za drogą pamięć waszą!

– Do lepszych czasów, generale! Niech cię Bóg strzeże! – Do widzenia!... Ufam, że zobaczymy się wszyscy!... Lutek!

– Jestem, generale!

– Gotowe wszystko?

– Według rozkazu!

Wojewoda Wybicki jął z kolei żegnać się z panią Barbarą i oficerami. Dąbrowski wypadł był do antykamery i zakrzyknął na hajduka o płaszcz. Już miał wybiec przed ganek, gdy wzrok jego padł na stojącego w kącie pana Tadeusza.

– Ba! Mości Zabielski, a waszeć cóż ze sobą poczynać zamierzasz?!...

– Ja, panie generale... nie wiem sam jeszcze...

– Hm... Czekaj no... Pułkowniku Godebski! Miej zachowanie dla imci Zabielskiego... Słyszałeś o terminach, które biedaka tu zmordowały... Gdyby czego potrzebował, pamiętaj!...

– Generale, co tylko w mej mocy będzie!

– Uczciwa dusza... Może go do Astrei?... Zobaczysz!... Więc, mości Zabielski, pułkownik Godebski w razie czego... A teraz radzę ci tu zostać, bobyś mi panią Dąbrowską obraził. Rzuć humory, pluń za siebie i za karabin!...

Pan Tadeusz chciał odpowiedzieć na łaskawe słowa, chciał dziękować, lecz Dąbrowski wyszedł na ganek. Służba, wojskowi, domownicy ruszyli tłumnie za generałem.

Przy świetle pochodni generał sadowił się z Wybickim w kolasce. Ostatnie padły wyrazy, ostatnie słowa pożegnania. Szczaniecki zataczał już kręgi na ognistym gniadoszu. Konie ułanów parskwały a wyrzucały łbami. Woźnica zebrał lejce. Czwórka źrebców zaprzęgnięta do kolaski tupotała niecierpliwie, czekając na rozluźnienie ściągniętych wędzideł.

Dąbrowski wychylił się ku żonie, aby wraz z ostatnim skinieniem dać znak do wyjazdu, gdy wtem w ulicy rozległ się gwałtowny tętent galopującego konia. Generał obrócił się mimo woli, spodziewając się, że może spóźniony kurier doń przybywa. Jeździec osadził konia tuż przy powozie. Światła pochodni padły na niego. Dąbrowski jeszcze nie mógł rozeznaczyć, kto by to mógł być. Lecz jeździec zawołał śmiało:

– Mości generale!... Raz jeszcze rękę twoją chciałem uścisnąć!...

– Książę!...

– Jedź i wracaj do nas! Bo nam tu twego serca, twego ramienia braknąć będzie!...

– Póki życia... póki życia!... – szepnął Dąbrowski ściskając podaną rękę Poniatowskiego.

– Mości panowie! Niech żyje Dąbrowski!

– Niech żyje!

– Ruszaj! – huknął generał na woźnicę. – Bywajcie! Basieńko! Do ostatniej kropli krwi... za księciem!...

Pojazd ruszył z kopyta, ułani pochyłili się na siodłach. Na ganku ozwały się okrzyki pełne zapału.

Ale nie tu był koniec pożegnania zgotowanego naprędce generałowi. Na Lesznie, tuż pod Wolą, wśród mrokami spowitej ulicy zabłyśły światła, zachręściły karabiny wyciągniętego

pod linię drugiego pułku, ozwała się przeciągła pobudka, a tuż po niej ochocze dźwięki marsza.

Poniatowski galopował przed powozem aż do ostatniej kompanii pułku. Tu osadził konia, dobył pałasza i salutował Dąbrowskiego.

Generał był wzruszony do głębi.

– Panie Józefie – mówił do Wybickiego. – Jakie w nim serce! Jaka dusza prawa!... Mówiono o nim „zamorski paniczyk, sfrancuziałe książątko”! Fałsz!... Proch z prochu, kość z kości! Nasza krew, nasza tęgość, nasza zatracona!! W nim mogły rycerskie zapaly hiberny odprawiać, drzemać zgoła, lecz nigdy szczeznąć! Patrz! Dość mu było odzewu, aby ze zgorzkniałego ministra stał się znów tym, czym był!... Ile ognia w nim, ile zapalu!...

„Dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy!...” – huczał w dali chór wracających do koszar żołnierzy.

V

Wojna! Nikomu ona nie była straszną w Warszawie. Jeżeli nadto niespodziewanie się zjawiała, to zawsze przychodziła oczekiwana dawno – bo wojna na tej ziemi zakłęta w sobie wszystkie rachuby, wszystkie nadzieje. Kiedy w roku 1807 Europa z pełnym ulgi westchnieniem powitała wieść o tylżyckim pokoju – nad Wisłą żalność ogarnęła nawet najwierniejszych stronników Bonapartego! Pokój tylżycki był pogrzebem nadziei, był obuchem dla myśli o niezawisłości, o wielkim, dawnym bycie. Pokój tylżycki skądinąd był dobrodziejstwem dla wyniszczonej ziemi, dla opustoszałych spichlerzy, dla ogłodzonej przemarszami wojsk roli – lecz i okrutną rzeczywistością, bolesnym zawodem. Te pakta, poręczające granice, te wynurzenia przyjaźni, te węzły, mające utrwalić potęgę Napoleona – przyjęte były nad Wisłą goryczą.

I oto, jak pokój tylżycki zwarzył serca, zgasił otuchę – tak teraz wojna napełniła wiarą i radością.

Warszawa nie ważyła sił następującego nieprzyjaciela, nie postrzegła nawet, że tak pysznie łopoczący sztandar na pałacu francuskiego gubernatora – znikł nagle, że oddział wojska

saskiego zbierał się tak, jakby uchodzić zamierzał. Dla niej wojna była obudzeniem się do życia, ocknieniem, dalszym ciągiem zapasów.

Z wiarą i zapałem rzucono się do czynów. Rada Stanu wzywała do powiększenia gwardii narodowej, do stawania w szeregach pospolitego ruszenia. Szli wszyscy, szli, zaprzysięgając lec na wałach raczej niż piędzi ziemi ustąpić.

Zabielski, po odjeździe generała Dąbrowskiego zatrzymany przez generałową, pozostał był do rana w pałacu, obiecując sobie nazajutrz poszukać schronienia. I gdy pierwsze promienie kwietniowego słońca zjrzały do wyznaczonej mu na spęcznienie komnatki, wybieżał na miasto, upatrując dla się pomieszczenia. Jakoż po krótkich poszukiwaniach znalazł był pokoik na Piekarskiej ulicy u pani Bączkowskiej, żony oficera gwardii narodowej, i tam postanowił się sprowadzić. Przedtem atoli rzeczą przystojną mu się wydało podziękować pani generałowej za gościnę. Wrócił więc do pałacu i opowiedział się hajdukowi, aby go zameldował, skoro pora stosowna nadejdzie. Około południa pani Dąbrowska kazała go do siebie przywołać i zagadnęła łaskawie:

– Powiadano, że waćpan miałeś mi coś do przedłożenia?

– Tak, pani generałowo dobrodziejko... dziękczynienia chciałem złożyć... Pora mi!

– Dokądże acan zamierzasz?... Do Galicji może myślisz? Niech cię Bóg broni od tej myśli! Między dwa ognie mógłbyś się dostać.

Zabielski oczy spuścił.

– Pani generałowo! Nie chciałbym moją osobą zawadą być!.. Na komorne iść się deklarowałem.

– A cóż potem myślisz?!

– Nic! Czekać będę! – odparł niepewnie pan Tadeusz. Pani Dąbrowska zmierzyła bystrym spojrzeniem Zabielskiego i rzekła, ważąc każdy wyraz:

– Na komorne?!... A oneż pobudki wojskowe, które dziś po mieście całym rozbrzmiewają, one wezwania, które, słyszę, publikują... nic do acana nie przemówiły?

Pan Tadeusz zarumienił się. Generałowa westchnęła lekko i dodała po namyśle:

– Tak... tak... może acan masz słuszość... wojna, a przy tym i gra nie lada, o sobie myśleć trzeba, a nie na niepewność iść! Takich znajdzie się wielu!... A mój mąż łudził się, że za pierwszymi odzewem pójdą wszyscy!

Panu Tadeuszowi krew w żyłach zagrała, słowa pani Dąbrowskiej wstrząsnęły nim, poruszyły naraz wszystkie zakamarki serca, Wyprostował się, podniósł głowę i odparł z mocą:

– I pójdą, pani generałowo!

Pani Dąbrowska sądziła, że Zabielski nie pojął intencji, bo smutnie zapatrzyła się w dal i rzekła cicho:

– Nie wierz acan... nie!... Pójdą, ale nie tam, gdzie powinni! Sam rzekłeś...

– Bo... bo... nijako było!... Ale ja dziś myślę jeszcze do gwardii czyli do pułku!... Kędy trzeba! I nie ja jeden, lecz tysiące to uczynią...

– Deklarowałeś się przecież na komorne?!

– Wymówiło się! Zamysł był inny! Zdawało mi się przystojniejszym nie objawiać go nazbyt hałaśliwie... bo ani wiem, czy zdam się na co!... Lata przesiedziałem nad papierami!

Generałowa wyciągnęła rękę do pana Tadeusza.

– Gdzie ochota, gdzie wiara w sprawę, tam i zdolności się znajdują! Radość mi sprawiłeś swoim odezwaniem!... Aby tak myśleli wszyscy, a troska o losy wojny nigdy w nas nie postanie!

Zabielski ucałował rękę pani Dąbrowskiej i, kłaniając się, do drzwi zmierzał – lecz ta go zatrzymała skinieniem.

– Pozwól acan! Nie dam ci, abyś miał się błąkać i werbunku szukać! Niechże ja poszczycę się, że jednego żołnierzyka przysporzyłam! Mąż polecał cię pułkownikowi Godebskiemu, tedy do niego przeprowadzi cię mój hajduk! A skoro pułk sobie wybierzesz... ja o twoim wyekwipowaniu pomyślę!

– Pani generałowo dobrodziejko... gdzieżbym śmiał!... Toć własnego grosza trochę się kołacze!

– Zachowaj go! A tej uciechy mi nie odmawiaj, abyś nie żałował! Gorączka lada godzina wybuchnie, a wówczas i pieniądz twój nic znaczyć nie będzie! Kto nie ma ręki życzliwej, ten się ani munduru nie doczeka, ani kaszkietu nie znajdzie! O ładownicę a karabin będzie trudno!...

Pan Tadeusz chciał dziękować, lecz pani generałowa nie pozwoliła.

– Najmilszą nagrodą będzie mi, kiedy się dowiem czegoś o waszmości!... Dystynguj się, a nade wszystko zasługuj się ojczyźnie. Masz młodą żonę!... Opuściłeś ją, boli cię jej troska, niepokój, lecz pamiętaj, jeżeli myśli poczciwe, to gorzej by ją smuciło, gdybyś przy niej życie pędził w obojętnym zasklepieniu! Jej droższym będziesz, a samemu sobie godniejszym! Ruszaj i niech cię Opatrzność strzeże ode złego!... W potrzebie do mnie się adresuj, a jako rzekłam, ekwipowanie mnie zostaw!...

Pan Tadeusz raz jeszcze ucałował rękę pani Dąbrowskiej i, przeprowadzony przez hajduka, udał się do pułkownika Godebskiego, stojącego kwaterą u generała Sokolnickiego.

Godebski ucieszył się przybyciem pana Tadeusza.

– Dobrześ uczynił, pocziwie!... Dokąd więc chcesz?... Do piechoty, do kawalerii, do gwardii?! Może do artylerii?...

– Nie wiem sam, do jakiej broni byłbym zdatniejszy...

– Wszędzie ludzi trzeba! Moja rada: do piechoty! W kawalerii i artylerii trudniej by ci było!... A w gwardii narodowej za duszno. Tam imć panowie obywatele sami się rządzą, a waćpana mogliby snadnie za intruza mieć! Co tobie zresztą do pospolitaków! Do szeregu, do frontu, do kompanii wyborczej! Jakże myślisz? Możeś sobie pułk upatrzył?... He?!...

– Tak, pułkowniku!

– No, no! Mów śmiało!

– Ósmy!...

Godebski pokręcił bokobrodów z ukontentowaniem.

– Chcesz do mego pułku?! A nie lękasz się służby?! Zapytaj wprzódy! Powiedzą ci niejedno! Godebski gwałtownik, Godebski impetyk, choleryk – lada guz naderwany o pasję go przyprawia!... Dręczyciel!... Ej! Lepiej by może do innego się przypisać, lżej będzie!

– Nie, panie pułkowniku, pozwól mi w ósmym!...

– Biorę chętnie acana! Mój pułk stoi w Modlinie! Dziś w nocy nadejdą tu dwa bataliony i te ruszą ze mną, trzeci zostanie na załodze w fortecy!... Chyba każę cię odesłać do Modlina – tam powoli zaprawisz się!... Tu bo może do rozprawy przyjść!...

Pan Tadeusz poruszył się niespokojnie.

– Kiedy bo, panie pułkowniku... jak do załogi, to... nie chcę!... Iść to iść!

– Dobrześ powiedział! Zatrzymam cię przy sobie! A próżnować ci nie dam! Do jutra zostawiam ci czas do rozmyślu!... Rozważ sam; jak ci się nie wyda tutaj, możesz do Modlina czy gdzie indziej! Pan generał Dąbrowski cię polecał – a ja tyle od siebie dodam, że słysząc cię wczoraj... cenię w tobie już obywatela! Hola! Acan, widzę, chcesz się zbierać!...

– Pan pułkownik mówił do jutra!

– Tak ci jest! Jutro dasz mi respons³³, lecz dziś moja rzecz służbę ci obrzydzić! A stary Świerzyński to bodaj najlepiej potrafi!...

Pułkownik klasnął w dłonie. W pokoju zjawił się stary, zeschnięty na poły sierżant ósmego pułku.

– Świerzyński!

– Uważam, panie pułkowniku!

³³ Respons – odpowiedź.

– Widzisz tego zucha?! Jest to ochotnik, imię pan Tadeusz Zabielski!... Serce wielkie, ale co do karabina, ani w ząb... Weź go na eksperyment, morduj i albo żołnierza z niego uczyn, albo mu obrzydź jego własne zapaly!

– Według rozkazu, panie pułkowniku!

– Tylko znów miej odrobinę wyrozumienia, bo to taki zuch, że za nim gotów by się generał Dąbrowski ująć!... Bierz go jak swego!

– Według rozkazu!

– A z ordynansu zwalniam cię tymczasem! Patrz! Materiał jest – masz z czego żołnierza wykroić!

Świerzyński wyprężył się, przeszył stalowym wzrokiem pana Tadeusza, rzucił raz jeszcze uroczystym głosem: „Według rozkazu” – a potem do nowozaciężnego: „Chodź za mną!”

Zabielski skłonił się pułkownikowi i w milczeniu poszedł za sierżantem, ciekawie przyglądając się jego marsowej postawie, twarzy ściągłej, pomarszczonej, żółtej, nastroszonym groźnie siwym, miotlastym wąsom i ruchom, znaczącym w każdym drgnienu jakiś rytm żołnierski.

Świerzyński wyprowadził pana Tadeusza do ustronnego za domem ogródka, tam zatrzymał go, ustawił, wyprostował i jął opatrywać.

Dziwne to były oględziny. Sierżant zginał mu ręce i nogi, po kilkakroć zaglądał w oczy, mierzył długość kroku, badał zęby, przyglądał się delikatnym kościom. A przy tej ceremonii mruczał coś pod nosem, sapał i od czasu do czasu sięgał do tabakierki za pazuchę i, trzaskając, pociągał potężny niuch.

Te oględziny znudziły w końcu pana Tadeusza.

– Mości panie sierżancie... kaleką nie jestem!

Świerzyński burknął i syknął przez zęby:

– Milczeć!

– Daruj, waszmość...

– Mów mi: sierżancie! Mościów w wojsku nie ma! Od porucznika dodaj pan– niżej jest sierżant-major, furier, „kapral... a ty... *jesteś „ty”*...

– Ależ, mości!...

– Milcz, smyku!... Równaj się! Głowa do góry! Pierś naprzód!... Bierz cię diabli, pięty do siebie! Patrz w oczy... Smyku jeden!

Pan Tadeusz, skonfundowany nauką, chciał prosić, by mu Świerzyński wyłożył wskazówki pierwsze, objaśnił nade wszystko to, co się zdało Zabielskiemu

najpotrzebniejszym, lecz sierżant do słowa mu nie dał przyjść – a gdy młody ochotnik po raz trzeci ozwał się doń, rzucił się jak ryś, doskoczył doń i huknął zajadle.

– Smyku, bierz cię diabli... milczeć! Łeb skręć! Opłazuję! Wypatroszę! Naszpikuję!... Bierz cię diabli... Smyku jeden...

Zabielski usta do krwi zagryzł, byle ogarniające go wzburzenie opanować. Sierżant wydał mu się gburem, nie mającym wyobrażenia o obchodzeniu się z ludźmi, gburem obozowym, prostakiem. Pan Tadeusz żałował prawie swego pośpiechu w wyborze pułku i siłą woli powstrzymywał się od wybuchu, aby, co za tym idzie, słabości swej przed generałową nie zdradzić, a z pułkownikiem Godebskim nie mieć zatargu, a bodaj przemówienia. Umacniał więc samego siebie i powtarzał, że przecież to się musi skończyć. Lecz nauka tymczasem z godziny na godzinę się przeciągała. Świerzyński chwili nie dał spocząć panu Tadeuszowi. Od postawy przeszedł do wyciągniętego marszu, od marszu do zwrotów, od zwrotów do pierwszych ćwiczeń karabinem, do poruszeń na komendę.

Głos sierżanta syczał co chwila, a wzrok każde uchybienie w lot chwycił. Żelazna dłoń Świerzyńskiego to Zabielskiego prostowała, to równała pierś, to do większego naprężenia mięśni zmuszała. Na dobitkę, w miarę postępowania nauki – sierżant kłął coraz zawzięciej, gromił coraz ostrzej. Sam każdy ruch, każde poruszenie pokazywał, czynione przez pana Tadeusza przedrzeźniał, a z niczego nie był zadowolonym. Dobrze już się ściemniać zaczęło, gdy nareszcie Świerzyński ustał, otarł potem zroszone czoło, splunął pogardliwie i zaopiniował krótko:

– Bierz cię diabli, smyku... niedołęga, i koniec!

– Widzę to, sierżancie, że co do waszej komendy się nie zdałem! – mruknął opryskliwie Zabielski. Świerzyński brwi ściągnął.

– Milczeć! Subordynacja. Smyk!... Rekrut! Bierz cię diabli... ale nie głupis – będzie z ciebie żołnierz! Rozumiesz?! A wiesz ty, smyku, co to jest żołnierz?... Zobaczysz!... Dosyć tego!... Marsz za mną – teraz regulamin!

Z ogródka sierżant zaprowadził pana Tadeusza do izdebki swojej – tam usadowił go na kufrze, zapalił fajkę i jął wyklądać mu zasady służby wojskowej, przechodząc kolejno wszystko: od oddawania honorów do obowiązków sztydwacha, od hasła i odzewu do starszeństwa wojskowego, nie opuszczając ani różnicy zachodzącej między kompanią wyborczą a grenadierską, a ordynansem i kurierem, grangardą i pikietą, rekonesansem pułkowym a rekonesansem wielkiej armii, i streszczając istotę obowiązków żołnierza. Świerzyński miał przy tym swój sposób przedstawiania rzeczy czasem tak osobliwy, że Zabielskiego, mimo niechęci, jaką budził w nim ten stary, posiwiaty ryś pułkowy, coś czasem

za gardło chwyciło i aż mu oddech zapierało. Zwłaszcza kiedy Świerzyński kreślił mu obraz żołnierza w szeregu na polu bitwy.

– Smyku, bierz cię diabli! Pułk wyprowadzili, czworobokiem zwarli, broń do nogi i baczność... niedołego! Stoisz! Na prawym skrzydle dobosze huczą, trąbki zawodzą! Serce ci dygocze, a ty nic, bierz cię diabli! Stoisz a dychasz. Spod lasu, hen, idzie kolumna nieprzyjacielska, ustawiła baterię, plunęła raz i drugi, i czai się a linią ciągnie, jak okiem sięgniesz!... Plunęli bliżej. Świsnęła ci jedna nad uchem. Ten twój najbliższy z plutonu zachwiał się, musnął cię ręką po ramieniu... „Szlusuj”! – woła pułkownik. „Szlusuj”! – wtórują majorowie. Posuwasz się od prawej ku lewej i nic, stoisz – bierz cię diabli! Bateria znów rzygnęła! Szelmy wypatrzyli! Kaszkiety się posypały!... Ścisnąłeś karabin, mać starucha spojrziała na cię, pozdrowili cię ojce, kolnęło cię – spojrzalesz po sobie i nic, stoisz – bierz cię diabli!... W dali tymczasem tuman się poderwał, zaczerwienił się chorągiewkami, błysnął stalą – nasi szarżują, ziemia jęczy. Bateria ryczy. Kule gwizdzą a po uszach cię głaszczą!... Ty nic! Jak ci gwizdnie, to nie twoja!... Ta, co tobie sądzona, warknąć nie raczy!... W kompanii twojej ubytek!... Najbliższy kapral sierżantuje, najbliższy kapralowi kapraluje!... Co raz... sprzątają ci towarzysza! Jeszcze odrobina, a nie będzie ani z kim do kotła zasiąść, ani o swoich zagadać, ani się ucieszyć! Ściskasz lufę, ładownicę pieścisz i nic, stoisz – bierz cię diabli!...

Pod lasem baterie umilkły – łomot jeno idzie a trzask! Ułani wgrzyźć się nie mogą!... Wtem, od sztabu pędzi adiutant. Na siodle się pochylił, akselbanty srebrzą mu się w słońcu, czapę wiatr zerwał, zawisła na sznurach i łopocze się a kitą trzęsie. Dopadł adiutant pułkownika, salutował, rozkaz generała przywiózł. Bębny ozwały się, trąbki zagrały pobudkę. Komenda – podwójny krok i marsz! Idziesz! Kaszkiet na ucho, lederwerki³⁴ bieluteńkie, na białych rabatach amarant, na amarancie blacha pozłocista a biała. Idziesz! Bateria waruje – lonty już się tlą, powitanie gotują. Czworobok sunie, zbliża się... strzelili... Zakotłowało się w szeregu! „Naprzód, dzieci! Za mną!” – huknął głos pułkownika. Ciebie aż poderwało, zachwiałeś się, zatoczyłeś z całym czworobokiem, a potem pochyliłeś karabin i pędzisz – bierz cię diabli!...

Okamgnienie, a przed tobą mur ludzi, mur żelaza... „Za mną dzieci!”... Skupiłeś się w sobie, wpakowałeś ładunek najbliższemu, bagnet do dołu i po zebrach. Przed tobą kapitan! Pałaszem podbija wymierzone ciosy i prze! Dwakroć spod ręki zasłoniłeś go i aż ci się z

³⁴ Lederwerki – w XVIII i XIX w. rzemienie w oporządzeniu żołnierskim, które służyły do noszenia tornistra, ładownicy, tasaka i bagnetu.

radości ścisnęło serce – burczymucha kapitan, ale ot, swojak... Trzeci raz go opadli, nie zdążyłeś, zachwiał się, krwią broczy i jęczy: „Naprzód... dzieci!”

Ciebie – gdyby żelazem rozpalonym...

Nie starczy ci bagnetu, za lufę chwytasz i następujesz a pierzesz! Bierz cię diabli! Pierzesz za kapitana, za sierżanta, za kaprała, za mundur, który ci bagnetem rozdarło, za kaszkiet strzaskany kulą, za mac staruchę, co we łzach powrotu twego wygląda, za ojce, co także na polu legli, za blaszkę pozłocistą, co ci ją zrysowali, za ziemię, za generała, za cesarza!... Pierzesz!... A dookoła ciebie polana... ty, bierz cię diabli, następujesz, a co rusz, ubroczysz... Aż nie stało przed tobą wroga!... Trąbki grają – ledwie nogami wleciesz ze znużenia, a czegoś ci lekko na sercu, czegoś w duszy gra, coś się w sercu grzeje!... Nadjechał pułkownik, spojrzał na cię i powiedział do cię: „Zuchu”. Idziesz, patrzysz, porucznik twój zмага się, powstać nie może. Ty do niego, w ramiona go bierzesz i niesiesz, on do ciebie: „Bracie”... Bierz cię diabli, niesiesz!...

Pułk się zbiera, sztandar turkocze strzępami – trzy bataliony się składają i ledwie z nich cztery kompanie... Wódz nadjeżdża salutuje, przemówił, aż ci pierś dygocze, łzy się cisną, beczalbyś... bierz cię diabli!... Pułkownik na ciebie wskazał... Bębny zagrzmiały! Wódz do ciebie! A pod tobą nogi drżą, chwiejesz się, trzęsiesz... kapitan cię salutuje!... Jezu! W oczach ci pociemniało! Bledniesz jak chusta... Bębny grzmiały! Na piersiach twych krzyż... Rozumiesz, smyku, rekrucie!... Bierz cię diabli wtedy!... Wracasz do domu... krzyż ucałowałaś, z żalem na złachmaniony mundur spoglądasz... Patrzysz, na ramieniu sznurek krwi wije się, ślizga, czerwienią znaczy swą drogę! Myślisz, boli? Tfy!... Bierz cię diabli! Śmiejesz się do niej, przyglądasz się; cieszysz i mówisz... płyn, ciecz, psiawiaro zatracona, bierz cię diabli... za kapitana, za sierżanta, za kaprała, za mundur, za kaszkiet strzaskany, za mac staruchę, za ojce, co polegli, za blachę pozłocistą, za ziemię rodzoną, za generała, za cesarza!... I... i wtedy, rekrucie, smyku... niedołego... żołnierzem jesteś!...

Świerzyńskiemu głos uwiązał w gardle, głowę zwiesił i umilkł. Pan Tadeusz porwany urokiem, który nań rzuciły proste słowa sierżanta, zadumał się. Jakże małym samemu sobie się wydał, jakże mizernym!... Ten sierżant zdawał mu się olbrzymem. Wyrazy jego miały coś z gromu i coś z burzy, coś z szalonego junactwa i coś z rozpaczy. Świerzyński dawno był milczał, a Zabielskiemu jeszcze w uszach dzwoniły słowa: „I wtedy, rekrucie, smyku, niedołego... żołnierzem... jesteś!”

Zabielski otrząsnął się z wrażenia i jakby chcąc wrócić urok, który go przejął – szepnął machinalnie:

– Mówcie... mówcie jeszcze, sierżancie!...

Świerzyński spojrzawszy na pana Tadeusza, parsknął raz, drugi, uściśnął go za głowę i rzekł cicho:

– Nie, smyku... rekrucie... ty... bierz... cię... diabli... będziesz żołnierzem!

Od tej chwili dziwna harmonia zapanowała między instruktorem a rekrutem. Pierwszy kłął może zapalczywiej, goręcej, lecz spoglądał czasem tak dziwnie, że panu Tadeuszowi śmiałości nie stawało, żeby się oburknać lub niehumor objawić. Aż sam tego pojąć nie mógł. Sierżant nie żałował ani strofowań, ani dosadnych napomnień, ani opryskliwych szarpnięć nierówno lub niewłaściwie wyprostowaną czy zgiętą ręką Zabielskiego, a jednak w surowej twarzy Świerzyńskiego, w głosie chropowatym, w każdym odezwaniu się było coś, co pana Tadeusza obezwładniało, czyniło powolnym, uległym, baczny, coś, co pętało mu serce, co synowski budziło szacunek.

Nauka postępowała szybko. Jeszcze tego samego dnia Zabielski mógł sobie oddać sprawiedliwość, że nabrał ogólnego wyobrażenia o służbie frontowej. Dzień następny był mozolniejszym o wiele, sierżant bowiem wyprosił sobie z drugiego pułku dobosza, lecz za to zakończyło naukę znaczące mruknięcie: „Bierz cię diabli... smyku... rekrucie... idzie!...”

Definicja ta niezmierną uciechę sprawiła panu Tadeuszowi. Musztry takie trwały cztery dni z rzędu, przerywane czasem niezbędnym wypoczynkiem, lada jakim posiłkiem lub odwiedzinami imć pana Melchiora, mistrza krawieckiego, który z rozkazu pani Dąbrowskiej gotował umundurowanie Zabielskiemu.

Biedny pan Melchior nie lada miał utrapienie z tym mundurem; jak sam mówił, wolałby czterem adiutantom całą wyprawę szyć, niż ten żołnierski uniform gotować. Przyczyną takich wyrzekań był Świerzyński, który z całym skupieniem asystował przy miarze, każdą zmarszczkę upolował, po dwakroć kazał białe rabaty zwęzać, raz mu podszycie było zbyt lichym, to znów stan nie dość wcięty, kołnierz odstającym, a potem rękawy za szerokie, guzy za słabo przyszyte, numer pułku na szlufach niezgrabnie wycięty. Pan Tadeusz, znudzony tymi sporami, jakie sierżant wiódł nieustannie z krawcem, a daleki od lubowania w strojeniu, już za trzecią miarą oświadczył się za mistrzem i zaopiniował, że mundur jest bez zarzutu.

Sierżant aż zębami zgrzytnął na taką herezję.

– Milczeć, rekrucie, smyku! To jest mundur? Worek! Bierz cię diabli! Nie pozwolę! Fałda pod pachą!

– Sierżancie, obciągnie się pasem i uleży się – sumitował imć pan Melchior. – Dalipan, uleży się!

– Na nic, powiedziałem! Bierz cię diabli! Wam szyć mundury! Pudermantle, gałgany, wiechcie!...

– No, no! Daj Boże tyle szczęścia, ilu oficerów odziałem i na paradę!...

– Kto? Kogo? Milczeć! Precz z tym! Nie pozwolę!... Nie ma mistrzów, nie ma krawców... Był jeden w pierwszej legii, Duszyński! Jak skroił – et... Takiego nie będzie! Bierz cię diabli! Tu podciąć, a tu przesyć – zobaczymy!... A smyk, rekrut, baczność, ani pary z ust! Nie wiesz, co mundur, co rabat, co guz, a co szlufa... więc milcz i słuchaj!

Nareszcie pan Melchior zdołał jako tako zadowolić sierżanta i złożyć uniform do skrzyni, w której już leżały nadesłane przez panią generałową rzemienie i potrzeby żołnierskie.

Świerzyński wówczas udał się z raportem do pułkownika. Czas był po temu największy, ile że dwa bataliony ósmego pułku gotowały się już do wystąpienia w pole. Godebski dał rozkaz, aby mu sierżant sprezentował rekruta, a wówczas wyznaczy mu kompanię. Przedstawienie miało się odbyć nazajutrz rano, przed ruszeniem batalionów.

Sierżant był poruszony do głębi tym rozkazem, do późnej nocy przy świetle łożówki przepowiadał z panem Tadeuszem obroty, wykladał mu, jak trzymać się należy w kolumnie, jak łamać front, jak zachodzić a formować się w czwórki, trójki i szóstki. O świcie sierżant zerwał się na nogi, zbudził pana Tadeusza i rozpoczął sam odziewać ochotnika. Każdą część ubrania jeszcze po kilka razy obejrzał, otrzepał, każdy rzemyk przetarł, zanim zapiął.

Potrzeby, nadesłane przez panią Dąbrowską, były w przednim gatunku. Sierżant z zadowoleniem je rozpatrywał, a od czasu do czasu zdobywał się na stosowną uwagę:

– Smyku, rekrucie, widzisz... klamerka kuta... a srebrzona w ogniu!... Kula nie liźnie, a rdza nie chwyci!... Bierz cię diabli!...

– Prawda! – przyznał Zabielski chcąc przyśpieszyć ubieranie.

– Prawda! Dużo wiesz!... Prawda! Pyta się kto go o to!... Albo te lederwerki!... Piersi równo... lederwerki świńskie!...

– Chyba nie najgorsze?...

Sierżant aż się zatrząsł na taką herezję.

– Świńskie są najlepsze, smyku, rekrucie, niedołego! Nie masz nad świńskie! Takich lederwerków może w całym pułku nie znajdziesz!... Są psie, wołowe, cielece, ale nie świńskie!... Tamte na deszczu miękną, a na wietrze i słońcu trzaskają!... Dwie godziny poleruj woskiem co dzień, a zmatuje ci na byle wilgoci! Ba, a gniecie i uwiera! Ale świńskie! Smyku, rekrucie!... Świńskich lederwerków to... i sam cesarz nie ma!... Bierz cię diabli!...

– Chyba cesarz...

– Milczeć!... Nie ma, powiedziałem! Milczeć! Co to za rezony!...

Subordynacja, bierz cię diabli!... Ubrdało się smykowi, że cesarz w lederwerkach chodzi! Rób z takiego żołnierza... bierz cię diabli!... Stać, powiedziałem!... Kaszkiet na głowę!... Równo! Toć nie szlafmyca!... Obróć się!... Ładownica już ci zezuje!... Z łapy kułaka nie rób!... Naści karabin!... Baczość! Na ramię... broń!...

Sierżant pokręcił wężą i zmierzył błyszczącym spojrzeniem Zabielskiego. Jeszcze raz brwi ściągnął, jakby chciał coś zganić... daremnie. Zabielski stał wyprostowany jak struna, uniform pasował tak, że zdawał się z rekrutem jedno stanowić ciało.

Świerzyński odchrząknął i ozwał się cicho:

– Jest jeszcze dosyć czasu... pułkownik jeszcze rannych raportów nie odprawił!... Hm!... U mnie jesteś, musi więc być po mojemu... nie po farmazońsku! Rozumiesz?!...

– Nie, sierżancie!...

– Ehe! Może ci także po głowie chodzą jakie herezje! No?!..., Przyznaj się, przyznaj, smyku, rekrucie, a uszu nakręcę! Patrzcie go, lada młokos! Ani mi się waż!... Co tam cesarz ma z papieżem, to... to... ich sprawa, a nie twoja żołnierska!... Słyszałeś, smyku, rekrucie?!... Baczość!... Marsz na prymarie³⁵, grzeszne cielsko przed majestatem Pańskim upokorzyć!... Bierz cię diabli!...

Tego samego dnia jeszcze, według zapowiedzi sierżanta, zaprezentował on pułkownikowi pana Tadeusza. Pułkownik z upodobaniem przyglądał się zuchowatej postawie ochotnika i dosyć wprawnie wykonywanym na komendę ćwiczeniom. Gdy sierżant skończył popis i zwrócił niepewne spojrzenie na dowódcę, Godebski rzekł łaskawie:

– Dzielnie, wybornie!... Winszuję ci, sierżancie, rekruta, na zucha wyjdzie! Acanowi zaś życzę dalszego wytrwania. Tylko cóż ja z acanem pocznę, trzeba ci do Modlina iść... tu, widzisz rozprawa będzie, a już serca bym nie miał na bitwę cię ciągnąć! Świerzyński, jakże myślisz?!...

– Smyk, rekrut... bierz cię diab... kurczę, panie pułkowniku!...

– Tak... tak!... Mogą się zacząć długie marsze, pochody! Żołnierzowi wyćwiczonemu nie dotrzymasz, opadniesz na siłach!...

Pan Tadeusz posmutniał. Pułkownik potrząsnął głową, jakby samego siebie chciał utwierdzić w postanowieniu, i zagadnął:

– A może Modlin ci się nie uśmiecha? Może wolisz do Częstochowy, pod pułkownika Stuarta, wielki żołnierz!

– Panie pułkowniku, jeżeli wolno mi wybierać...

– Mów śmiało! Pragnąłbym szczerze coś dla acana uczynić...

– Jeżeli wolno, to chciałbym być w plutonie sierżanta Świerzyńskiego!...

Sierżant brwi nastroszył, Godebski poruszył się niecierpliwie.

– Ba!... Chwałę wybór! Tylko nie wiesz, na co się deklarujesz!... Sierżant dowodzi plutonem, który idzie w mojej eskorcie!... A w tej bywa czasem kaducznie gorąco!...

– I... dlatego, panie pułkowniku, tym bardziej proszę!...

– Smyk... rekrut! – mruknął Świerzyński.

Godebski wzbraniał się i tłumaczył:

– Acan wybij to sobie z głowy! Acanowi przywidziało się! Zapał zapałem, lecz do niego potrzebna jest eksperyencja, sprawność! Nadto nie zapominaj, że nic tak nie psuje szyku, nie utrudnia zadania, jak gdy między starym żołnierzem znajduje się rekrut! Wybij sobie z głowy tę myśl!...

– Wybij sobie, smyku, rekrucie! – przytwierdził sierżant.

– Szkoda by cię było!...

– Panie pułkowniku... pan generał rozkazał mi w każdej potrzebie adresować się do pana pułkownika!

– I tego się trzymaj! Możesz liczyć na mnie!...

– Więc ja najmocniej śmiem obligować, aby mi wolno było... iść pod sierżantem!... Nie święci garnki lepią!... A już tam moją osobą kłopotu nie przyczynię, a może i na coś się zdam!

Godebskiego ta odpowiedź chwyciła za serce.

– Niech i tak będzie! Jeden warunek tylko, że sierżant zgodzi się wziąć cię pod swoją opiekę!... Bo to zadanie ciężkie! Hm!... No jakże, Świerzyński?!...

– Cóż, panie pułkowniku... smyk... rekrut... niedołęga... Bierz cię diabli, niech idzie!... Będzie co... uszu nakręcę i tego... bierz cię diabli!...

– Skończone!... Na noc ruszamy za batalionami pod Nadarzyn!

Pułkownik skinął i oddalił się spieszenie do swej kwatery kończyć ostatnie przygotowania do wymarszu swego oddziału.

Po odejściu Godebskiego Zabielski zbliżył się do sierżanta i ozwał się nieśmiało:

– Sierżancie... dziękuję wam za przyzwolenie wasze!... Świerzyński zachnął się, jakby go osa ukąsiła, zmierzył pana Tadeusza piorunującym wzrokiem i zgromił:

– Milczeć! Rekrut... smyk! Równaj się! Ani pary z gęby! Bierz cię diabli! Taki pucak sobie myśli!... Z pułkownikiem gawędy tnie!... Zuch! Plunie raz bateria, to mu cały humor w łydki

³⁵ Prymaria – pierwsza msza poranna.

zapędzi! Napiera się!... Jemu do eskorty! Bierz cię diabli! Broń złożyć – trzy godziny luzu, a potem do roboty! Marsz!...

Zabielski skorzystał z otrzymanego zwolnienia i wybiegł na miasto poczynić zakupy żołnierskich drobiazgów, na których mu zbywało. Na Starym Mieście u rymarza wpadł mu w oko błyszcząca a mięsisty pas sierżancki. Pan Tadeusz wspomniawszy swego instruktora i zatargował pas. Rymarz drożył się i prawie rozstać się z nim nie chciał, lecz gdy mu Zabielski pokazał dukata, zmiękł i pas oddał.

Powróciwszy do swej izdebki, pan Tadeusz, chcąc zrobić sierżantowi niespodziankę, nieznacznie powiesił na kołku przy mundurze Świerzyńskiego nowy pas, a stary schował.

Nad wieczorem, po skończonej mustrze, którą niestrudzony sierżant raz jeszcze odbył z rekrutem – ordynans pułkownika nadbiegł z rozkazem, żeby za godzinę Świerzyński z Zabielskim byli gotowi do drogi.

Sierżant natychmiast jął się zbierać, oka nie spuszczał z rekruta. Zabielski atoli spisywał się dobrze. Tornister miał zapakowany bez zarzutu, według instrukcji Świerzyńskiego, streszczającej się w słowach: pęczek nici, szczotek dwie, sukienko i deszczułki do guzów, воск, czernidło, dwa postronki, rzemyk, gałgan, w gałganie szarpie, w szarpjach puzderko, w puzderku igła!... Koszul dwie, onucze, buty drugie i tam dalej bielizna!... Kociołek! Łyżka za cholewą! Sierżant jeszcze opatrzył Zabielskiego, obciągnął na nim mundur, poprawił lederwerki, wygładził i sam wreszcie zaczął się odziewać.

Pan Tadeusz spoglądał spod oka na Świerzyńskiego, czekając, rychło sierżant za pas chwyci. Jakoż Świerzyński zaciągnął halsztuk, wdział mundur, zdobny szewronami³⁶ a krzyżami, guzy zapiął i sięgnął na kołek po pas. Ręka jego dotknęła mięsistego, lśniącego rzemienia i zatrzymała się ze zdziwieniem. Sierżant z miną znawcy jął przyglądać się pasowi.

– Oficerska sztuka! – mrucał do siebie. – Bierz cię diabli... świński!... Półtoraczny³⁷ prawie! Klamra zamczysta, dwa koniki... Phi!... Bierz cię diabli... generalski rzemień!... Jak się to śmieje, a świeci... Psianoga... No, ale gdzie mój?... A skąd ci ten?

Sierżant spojrzawszy spod oka na Zabielskiego i zagadnął gniewnie:

– Smyku, rekrucie... bierz cię diabli... cóż?... Nie widziałeś mego pasa, gdzie się podział, do diaska?

Zabielski uśmiechnął się filuternie.

– Macie go, sierżancie, w ręku.

Świerzyński szarpnął się.

³⁶ Szewron – naszywka na rękawie munduru wojskowego oznaczająca rangę lub liczbę lat służby.

³⁷ Półtoraczny – zawierający półtorej miary.

– Ten pas!... Cóż ty?... Ja miałem kiedy taki?... Tfy!... Kapitan takich nie nosi... Gdzie mój?!

– Sierzancie, klnę się, że swój własny macie w ręku.

Świerzyński zmierzył badawczym spojrzeniem Zabielskiego i spuścił oczy na błyszczącą klamrę pasa.

– Taki pas! – szepnął do siebie. – Świński pas!... Półtoraczny!... Kafarek z legii trzy by z niego wykroił zamaszyste!” Dwa koniki i jedna zapinka... Taki pas!... Klamra kuta, nie lutowana, srebrzona, polerowana!... Bierz cię diabli!...

Sierzant urwał nagle i huknął surowo:

– Smyku, rekrucie... sam tu, bierz cię diabli!

– Według rozkazu! – odpowiedział ochoczo pan Tadeusz.

Świerzyński zmarszczył się i rzucił przez zęby:

– Przekupstwo w wojsku!... Smyku, rekrucie! Wiesz, co to jest przekupstwo?... Na odwach trutnia!... Patrzcie go, farmazona! Kubana³⁸ mi dał! Tfy! Smyk, rekrut... niedołęga, bierz cię diabli!... Mnie kubana!... Raport do pułkownika... Przepędzę, niesubordynacja, uchybienie randze... bierz cię diabli... taki pas!

Zabielski zmieszał się tym niespodziewanym wybuchem gniewu, lecz wzrok Świerzyńskiego znów padł mimo woli na klamrę pasa, złagodniał nagle, twarz Świerzyńskiego rozpogodziła się. Machinalnie rozwinął go, zapiął pas na sobie i wykręcił się na miejscu.

– Co?!... Smyku?!... Idzie, hę?!...

– Jakby ułał, sierzancie! – przyznał z ukontentowaniem pan Tadeusz.

– Hę, ułał? Smyku, rekrucie, przekupstwo w wojsku! Mnie, Świerzyńskiego, sierżantamajora ósmego pułku, pierwszego batalionu, grenadierskiej kompanii... będziesz kubanami raczył... jać nauczę... bierz diabli!... Taki pas!... Świński!... Półtoraczny!... Tfy... Jeszcze marudzisz! Zbieraj się, rekrucie, smyku!... Kubana ci się chciało, dam ja ci kubany, dam!... Karabin w garść!... Za mną!

Świerzyński pośpiesznie zarzucił na siebie lederwerki, przypiął tornister, ładownicę i, wzięwszy za broń, wyprowadził Zabielskiego przed podjazd domu zajmowanego przez pułkownika. Przed podjazdem czekał już wóz, sianem usłany, a wyładowany rzeczami pułkownika.

Po małej chwili ukazał się Godebski z adiutantem, skinął łaskawie prezentującemu broń sierżantowi i ozwał się:

– Cóż, stary, ruszamy!

– Według rozkazu, panie pułkowniku!...

– Jutro o tej porze będziemy pewno w ogniu!... Phi! Świerzyńsiu, a cóżeś to za pas założył?

Sierżant poczerwieniał i zaraportował z przejęciem:

– Melduję pokornie panu pułkownikowi przekupstwo w pułku!...

Godebski spojrzał ze zdumieniem na sierżanta.

– Co tobie, stary?!...

– Tak, panie pułkowniku, przekupstwo! Rekrut, smyk... niedołęga, kubany rozdaje, niesubordynację kaptuje sobie!...

– Kto? Co?

– Ten, panie pułkowniku, smyk. Kubany!... Taki pas świński, półtoraczny, dwa koniki, zapinka, kłamra srebrzona, polerowana! Daje kubany, a... a... a... sierżant-major pierwszego batalionu grenadierskiej kompanii bierze!...

Pułkownik roześmiał się szczerze, lecz sierżant nie dał się zbić z tropu.

– Przekupstwo, panie pułkowniku, tego smyka, rekruta niedołęgi... i... chciwość starego karabina!...

– Ho, ho, mości Świerzyński! – odparł śmiejąc się Godebski. – Policzymy się z waszecią! Jak go teraz na zucha nie wypromujesz, będzie źle. Ale myślę, że wstydu ci nie uczyni!...

– Licho wie, panie pułkowniku, czasem smyk taki mocny... a w potrzebie cała siła w nogi mu rejteruje!

– Zobaczymy, zobaczymy! Dalej! W konie! Czekaają nas! Pułkownik wskoczył żwawo na wóz, obok niego usadowił się adiutant, Świerzyński z Zabielskim zajęli miejsca na tyle, przy tobołkach. Konie ruszyły żwawo ulicami Warszawy ku Jerozolimskim rogiom.

Pan Tadeusz rozglądał się dokoła ciekawie. Warszawa zgoła mu się inną wydała.

Rozgwar ucichł, rozpląnął się w opustoszałych ulicach. Wrzące jeszcze wczoraj miasto okryło się całunem ciszy ponurej, głuchej, trwożnej. Zdawało się, że ta potężna gromada murów zaparła oddech, stłumiła bicie serca i nadsluchiwała, kędy wśród pól snuła się zwarta wstęga karabinów, kędy na powitanie skowronków ciągnęły orły, kędy miast ligawek pastuszych wiosnę pozdrawiały bębny.

Warszawa zaparła oddech, wyteżyła wzrok w dal chmurną i patrzyła – w ślad za tymi, którzy odeszli z wiarą, z otuchą, odeszli, aby może nie powrócić. Odeszli! Czyli na zwycięstwo, na tryumf? Czyli na krwawą ofiarę?!...

³⁸ Kuban – łapówka.

Znów mgły, znów kłęby dymów armatnich, znów jutro, zawisłe, na ostrzach bagnatów, na obłoczkach wiodących granaty. Odeszli z pieśnią!

Warszawa-matka z dumą poglądała na zapał synów, z rozradowaniem wsłuchiwała się w ich pełne nadziei wróżby, była mężną ich męstwem, była silną ich wiarą. Rozpromienionych żegnała rozpromienionym obliczem; łąza jej była hardą i była wstydliwą, bo nie ze słabości się poczęła, ale z mocy, z dobrej woli, z tego, co ludy budzi, co porywa, co wiedzie.

Lecz gdy za ostatnimi szeregami zamknęły się błękity horyzontów, gdy ostatnie odezwy pobudek zbratały się z poszumami wichrów, gdy zabrakło naraz i trudu, i tych gorączkowych przygotowań, i tych serdecznych trosk o amunicję, oręż, kawał rzemienia, płat sukna – ogarnął ją smutek, rozterka.

Z lic jej znikły odblaski zapału.

rzyszłość ponure snuła wróżby.

Ta cisza grobowa zalegająca miasto poruszyła pana Tadeusza tak, że nie mógł zapanować i szepnął z cicha do Świerzyńskiego:

– Sierzancie! Toż jakby wszystko wymarło!

Świerzyński spojrzał ostro na Zabielskiego i mruknął gniewnie:

– A cóż ty, rekrucie, smyku... chciałbyś, żeby za piecem siedzieli?

– Nie... ale tu ani żywego ducha.

– Głupiś! – uciał sierżant i wskazał ręką na czerniejące w dali masy ludu. – A tam co?

– Tam?

– Okopy, smyku, rekrucie, niedołęgo! – wrzasnął z takim impetem sierżant, że aż pułkownik się odwrócił

– A cóż ty, stary?

– Nic, panie pułkowniku, tylko... smyk...

– Pofolguj mu!... Nie burcz!...

– Kiedy... bo... melduję pokornie, androny plecie... okopów nie widzi! Coraz tępszy!

– Cicho, cicho, stary... nie dokuczaj... Kubana ci dał – żartował pułkownik.

– Właśnie, panie pułkowniku, do przekupstwa to... to... diabła samego by, tym pasem skusił. Tfy! Smyk, rekrut, bierz cię diabli!... A okopów nie widzi!

VI

Było południe. Słońce, przebiegłszy połowę swej niebieskiej drogi, zawisło nieruchomo pod rozbłyszczonym błękitem i słało swe snopy złotopióre na równiny Mazowsza, przezierając każdy zakątek leśny, przeglądając się w modrych wodach Wisły, grzejąc kręte a wezbrane koryta Pilicy i Rawki.

Ziemia mazowiecka, jak gdyby chcąc zabiec drogę światłu i ciepłu, garbiła się, wyciągała ku niebu korony lip, jodeł, dębów, olch, brzóz i wierzb, wychylała spośród zieleniejących traw białe główki pierwiosnków, chwiała krzakami jałowca, głogu i cierni, wciągała pełną piersią oddechy zefirów. Tylko lasy tarczyńskie, strojące Mazowsze grzebieniem sosen od południo-zachodu a lubiące drzemać o tej porze dnia, a wypoczywać po długich rozhovorach – szumiały, dygotały w posadach, brzmiały pomrukiem pomieszanych głosów.

Tu i owdzie, na skraju od Sękocina, z poszycia leśnego wychylały się trwożne, wystraszone oczy, migwały nastawione słuchy, a potem sunął w dali spłoszony szarak. Lasy huczały. Zwierz drobny mknął, pędzony jakąś niepojętą nagonką, a nie lada być ona musiała, kiedy odyniec, co lata przetrwał, co go raz jeden z matecznika królewskie polowanie ledwie ruszyć zdołało, co onej pamiętnej potrzeby nosił dotąd chlubne oznaki – kulę zarosła w grzbiecie i bliznę po zębach zajadłego ogara – stanął na drodze do Falent, zarył z pomrukiem kłami o ziemię i wypadł na równinę, krwawym tocząc spojrzeniem.

A snadź pomruk lasów tarczyńskich nie był obojętnym dla milczącej okolicy, bo gdy w łonie ich pierwsze ozwały się odgłosy – z równiny raszyńskiej jęły się zrywać gromadki widet ułańskich. Jedne z nich zawracały konie i pędziły wyciągniętym galopem ku Warszawie – drugie parły lekkim truchtem naprzód z pistoletami w rękę i ostrożnie zapuszczały się w lasy, pragnąc cienie ich przeniknąć, odgadnąć.

Krótkie to były wywiady. Zanim słońce ruszyło ku zachodowi, zanim z poszumu leśnego dobyły się zgrzyty armatnich łańcuchów – padły pierwsze strzały. Widety ułańskie wyrwały się z gąszczów leśnych, tuż za nimi ukazały się karabiny austriackich wołyżerów.

Raz jeszcze ułani zdarli konie, odwrócili się na siodłach i dali ognia z pistoletów. Wołyżerowie odpowiedzieli salwą. Ułani szarpnęli cugłami. Konie wyciągnęły szyje, rozwarły chrapy i pomknęły.

Na czele wracającego rekonesansu galopował koń bułany niosąc na swym grzbiecie zakrwawioną kulbakę oficerską.

Lasy tarczyńskie, w ślad za wołtyżerami, wyrzuciły ze siebie pułk za pułkiem, batalion za batalionem, baterię za baterią.

Generał Mohr objeżdżał szeregi i czekał na ostatnie rozkazy arcyksięcia Ferdynanda. Ordynans nadjechał niebawem od strony Nadarzyna. Rozkaz był krótki. Uderzyć natychmiast na pozycję nieprzyjaciela całym korpusem – wojska nadciągające będą wspierały atak.

Mohr przyłożył lunetę do oczu i badał długo rozpościerającą się przed nim równinę – po czym odwrócił się do adiutantów. Z ust jego jęły dobywać się rozkazy lakoniczne, nerwowe. Trąbki i bębny zagrały. Sztandary pochyliły się. Pałasze zabłysły w słońcu. Korpus generała Mohra ruszył do boju. Armaty zatoczyły na skrzydłach dwa kręgi, przyczały się na pagórkach i ryknęły, wyrzucając ze swych gardzieli grad kartaczy.

Piechota wołoska pochyliła karabiny – krata bagnetów najeżyła się, drgnęła i podwójnym krokiem jęła sunąć ku szeleszczącej w dali olszynie, kędy stała przednia straż wojska polskiego, wysunięta przed wezbrane koryto wartkiej Rawki.

Generał Mohr nie omylił się w rachubach, wiadomości o zajętej pozycji nie zawiodły. Szyk bojowy wojsk Księstwa Warszawskiego choć sformowany przezornie a rozważnie, nie zdawał się trudny do przełamania! Ba, zgniecionym musiał być za pierwszym atakiem, bo składał się z młodego żołnierza, bo miał za szczupłe sił do obrony tak szerokiego frontu, który by zabezpieczał dostęp do miasta, bo pułki swoje i szwadrony zbyt zawiadacko rozproszył,

Korpus arcyksięcia Ferdynanda szedł tuż za generałem Mohrem, szedł trzema kolumnami: od Piaseczna, Nadarzyna i Tarczyna dla zagrodzenia mu drogi wojsko polskie zajęło Jaworów, Raszyn i Michałowice, szukając osłony w paśmie Rawki, a pierwsze bataliony swe wysunąwszy do Falent dla rozpoczęcia bitwy, dla osłabienia ataku.

Lecz cóż te osiem tysięcy wojska znaczyło wobec trzydziestodwutysięcznego korpusu arcyksięcia, co ta garść pod Falentami zdziałać mogła przeciwko sprawnej i trzykroć liczniejszej dywizji Mohra?!

Armaty austriackie grały łomocząc kartaczami bez wytchnienia. Snopy dymów słały się strojąc mglistymi wstęgami pagórek na którym stał Mohr ze swoim sztabem.

Generał zaczął się niecierpliwić. Pułk Wołochów zdawał mu się następować nie dość szybko... Nareszcie odetchnął. Sztandar pułkowy był już na końcu równiny.

Wtem, w oddali, rozległy się chrapliwe dźwięki trąbki, a tuż z nimi salwa karabinowa i huk baterij. Kolumna Wołochów zniknęła wśród dymów, potem widać było, jak rzuciła się naprzód, zaszamotała i rozpadła się na części.

Mohr skinął na Wukassowicza. Stary pułkownik pierwszego pułku Wołochów odgadł był rozkaz. Zeskoczył z konia i z dobytym pałaszem porwał za sobą świeży pułk.

Baterie polskie zdwoiły ogień. Wukassowicz musiał się cofnąć. Mohr, patrząc na przebieg nieudanego ataku – zatrząsł się z gniewu i, zawoławszy na adiutantów, rzucił się naprzód ku cofającym się.

– Wukassowicz! Sprawiaj szeregi! Stać w miejscu!... Pod granatami się formować!

– Generale!... – próbował tłumaczyć się pułkownik.

– Milczeć! Rozkaz!... Wołać pułkownika von Poelten!...

Nieszczęsny dowódca pierwszego ataku stanął przed generałem.

– Zebrać pułk natychmiast! Pójdzie naprzód! Lecz pamiętaj, pułkowniku, że za wami staną huzarzy cesarscy! Jedno drgnięcie, a każę rozstrzelać was końmi!... Naprzód!

Upłynęła długa chwila, zanim Wołosi zdołali wyciągnąć się, przywrócić porządek kompanii, zewrzeć bataliony i w czworoboki wydłużone się ustawić,

Mohr ostatnie już wydawał rozkazy, gdy adiutant wskazał mu na wysuwającą się z lasu wstęgę bagnatów.

– Civalard! – zawołał z ukontentowaniem generał, rozumiejąc, że, mając za sobą dywizję Civalarda, może wszystkimi siłami uderzyć i nie osłabiać się rezerwami.

Mohr zlustrował gorączkowo oddziały – korpus drgnął i jał następować szeroko rozwiniętym frontem.

Na przedzie łańcuch tyralierów, idących półkolem. Za tyralierami pułk von Poeltena – pułk, idący teraz krokiem zapamiętałym, rozpaczliwym, pułk idący ratować honor, idący na śmierć. Po bokach piechota Wukassowicza, rozdzielona na dwie kolumny, mająca wgrzyźć się w ramiona linii nieprzyjacielskiej. Za von Poeltenem błyszczący w słońcu huzarzy cesarscy, a za nimi w dali nadciągające pasma bagnatów Civalarda.

Korpus maszerował, hardo chwiejąc sztandarami, głuszac swym groźnym krokiem warczenie bębnow. Każde jego drgnięcie, każdy krok śledziły baczne baterie Gileta i z ponurym rykiem łomotały w dal, jakby drogę miotac żołnierzom do zwycięstwa.

Mohr z zadowoleniem poglądał na swoją kolumnę. Jeszcze chwila, a garść nieprzyjaciela stopi się w ogniu, legnie pokotem, ciałami uściele przestwór do wdarcia się w środek pozycji obronnej.

Lecz zawodne były wróżby Mohra, zawodne – bo choć jako na dłoni widział, że przednia straż polska nie liczyła więcej jak dwa bataliony i cztery działa, choć wyliczył i odsiecz tego batalionu, co stał w dali przed groblą raszyńską, choć miał dwunastu żołnierzy na jednego, choć każde odezwanie armaty nieprzyjacielskiej zagłuszał rykiem swych baterij... nie

przewidział największej przeszkody, nie odgadł jej, nie odczuł... Przednia straż polska opierała się o lasek olszowy. Strategia nauczyła Mohra baczyć na bory, na gąszcze, na porosłe drzewami parowy – lecz nie przestrzegła go przed wątłym zagajnikiem, przed gromadką olch, co zdawały się niezdolne być ani do osłony pozycji, ani do ukrycia zasadzki, ani do schronienia tyralierów!

Olchy! Wieszczyki tęsknic, potulne, ciche, ledwie niekiedy szeptem tajemniczym kołysane, dotąd wśród leśnej szlachty na szarym chadzające końcu.

Jawor miał piastowy indygenat, dąb Jagiełłowe wspominał czasy, lipa czarnolaskich słuchała pieśni, a pszczelne roje żywiła, kiedy to jeszcze ludy na Kupałę się zbierały, jodły słynęły zadumą i pieśnią, brzoza żalostí, modrzew kraj cały dworkami zasiał i symbolem ich prawości się stał, grab z bukiem już się do zacniejszego towarzystwa napraszał – jedna olszyna, mimo że także od wieków swojej trzymała się ziemi, mimo że smukłe jej pnie padały gęściej pod toporem, nic nie miała krom smętku.

Lata szły! Mijały wieki!

Aż oto pod cieniem jej stanęła przednia straż wojska, w chwili gdy znów odwracała się karta dziejów narodu.

Olszyna, przeszyta kulami baterii Gileta, załopotana gałęzmi tak smutnie, tak żalostí – że aż Sokolnicki stojący na lewym skrzydle batalionu Godebskiego głowę podniósł ku wierzchołkom drzew.

– Gorąco zaczyna być! – mruknął do pułkownika.

– Miotą kulami! – dorzucił Godebski.

– Szlusuj! – huknął głos Małachowskiego na tyłach kolumny.

– Ubytek okrutny! – ciągnął Sokolnicki wodząc okiem po kurczących się co chwila szeregach.

– Ciężka będzie robota.

– Byle niedaremna. Generale, może by czas zaczynać... żołnierz młody... może nie ustać... patrz... gorączkuje się!

Sokolnicki spojrział ku szeregom batalionu ósmego pułku, który stał na przedzie. Godebski miał słuszność – szeregi falowały... Generał chwili się nie namyślał, zdarł konia i jak piorun spadł przed front. Kule tyralierów, dostrzegłszy stosowany kapelusz Sokolnickiego, spowiły go chmurą ołowiu. Generał z zimną krwią osadził konia, wzniósł szpicrutę i zawołał groźnie:

– Stać w miejscu! Przyjdzie na was kolej!... Broń do nogi!

Kula tyralierska jakby spod ramienia generała wyrwała się nagle i przeszła kaszkiet stojącego w pierwszym szeregu żołnierza. Żołnierz zbladł i sięgnął mimowolnie ręką, aby osunięty na lewe ucho kaszkiet poprawić. Sokolnicki spostrzegł ten ruch.

– Widzisz, trutniu! Patrz, jaką masz zuchowatą minę! Nie poprawiaj! Teraz dopiero nie na ciurę wyglądasz!

– Generale! – zawołał nadjeżdżający adiutant. – Ruszyli. Idą!...

– Prosimy bardzo! – odparł z flegmą Sokolnicki. – Niech Sołtyk zaczyna! Patrzcie, chłopcy, ile tej sieczki wali się! Będzie kapusta!... Kto tu jest z adiutantów? Dobiecki!... Co koń wyskoczy do Biegańskiego!... Niech Górski łomocze od Michałowic... Widzisz tam... nowa bateria! Co koń wyskoczy!

Dobiecki rzucił się na przełaj ku Michałowicom. Sokolnicki stał, przez chwilę, mierząc bystrym spojrzeniem czworoboki nieprzyjaciół – a potem zawrócił konia i stanął przy dobozach.

Bębny polskie zadygotały spazmatycznie, trąbki zawtórowały im gorączkowo – bateria Romana Sołtyka spowinęła się dymem i ryknęła pełną piersią ze swych czarnych paszcz, witając idące do ataku pułki, lecz pułki te szły, zbliżały się... Już tyralierzy austriacy zaprzestawali strzałów, już słyszeć było stukot i chrzęst blaszanych manierek żołnierskich, już prute kulami powietrze zionęło na batalion Godebskiego oddechem dwóch tysięcy ludzi.

Sokolnicki spojrział na Godebskiego. Pułkownik usta zacisnął – dobył szpady i zakomenderował swym stalowym głosem:

– Bacność!... Cel!... Pal!...

Salwa karabinowa zmieszała na okamgnienie pułk von Poeltena, lecz nie zatrzymała go. Poelten szedł po śmierć. Atoli Godebski nie ustał – ledwie kolby karabinów oderwały się od naprężonych ramion – rozległa się już komenda: „Nabijaj!”... i znów: „Cel!” i „Pal!”...

Batalion Godebskiego zdawał się przeistaczać w ziejącego ogniem potwora.

Żołnierz ginął w skłębionym dymie. Już tylko jakieś jedno wielkie cielsko chrzęściło, dzwoniło stemplami, darło ze zgrzytem zębów pakuły ładunków i chmurą ołowiu uderzało w Wołochów.

Lecz ci szli – szli, każdy krok okupując dziesiątkami ofiar, szli na śmierć, szli z rozpaczliwym zapamiętaniem, szli, prowadzeni przez von Poeltena, szli, mając na tyłach posuwających się huzarów.

Strzały polskiej piechoty stawały się coraz bliższe, coraz celniejsze, coraz śmiertelniejsze... aż nagle umilkły armaty austriackie, ucichły działa Sołtyka... w powietrzu rozległ się piorunujący głos Godebskiego:

– Stój! Baczność!... Do ataku broń! Podwójny krok!... Marsz!

Batalion ósmego pułku porwał się z miejsca, pochylił rozpalone bagnety i runął na Wołochów.

Teraz już dwa ciała, dwa kadłuby zwały się ze sobą i zaczęły się mocować. Starcie było tak gwałtowne, tak rozpaczliwe, tak zaciekle, że w jednej chwili walczący stracili linię, szcepili się i, zacisnąwszy się gromadami niby dwie rozczapierzone ku sobie szczotki, szamotali się, pluąc krwią a łomocząc padającymi ciałami.

Pan Tadeusz stał w drugiej linii batalionu ósmego pułku około Świerzyńskiego, tuż za Godebskim, w plutonie ochraniającym pułkownika. Kiedy Wołosi pierwszy przypuścili atak, a działa jęły wybijać swe basowe akordy – Zabielskiego dreszcz przeszedł i ściał mu krew w żyłach. Sierżant dostrzegł alterację pana Tadeusza i sięgnął nieznacznie do manierki.

– Napij się, smyku, a za kulami nie ślepij! Patrz przed się... widzisz, jak to ku nam się wała! Nie!... Zobaczysz!... Pierwsza linia! da im radę... Ty nie!... Żeby cię łapa nie zaświerzbiała!...

Pan Tadeusz ujrzał niebawem tuż przed sobą o kilka kroków¹ skotłowane ciała Wołochów, patrzył na żniwo śmierci, kostniał na widok pokancerowanych kadłubów. Lecz gdy Wołosi cofnęli się, gdy nadszedł drugi atak – wszystkie, pulsa zadygotały w Zabielskim, oczy rozetliły się skrami, karabin drżał z lekka w ręku. Pan Tadeusz ledwie mógł na miejscu dostać. Świerzyński upominał ciągle a strofował:

– Cicho, rekrucie, smyku!... Idą – niech sobie!... Broń do nogi!... Komenda nie dla ciebie! W ochronnym plutonie jesteś – ładunki masz nie na salwy!... Trzymaj je w garści... zdadzą się!... Robota przyjdzie sama!... Pułkownik dziś rwie! Widzisz, jak mu szczęki dygoczą!... Twoja rzecz, żebyś jego kapelusza z oka nie stracił!... Bierz cię diabli!...

Godebski właśnie był rozpoczął witać strzałami Wołochów.

Świerzyński obejrzał się po swoim plutonie i zakończył:

– Gotuj się! Będzie robota!

Naraz rozległa się komenda do ataku. Sierżant plunął już w garść i karabin ścisnął – kiedy wtem Godebski dostrzegł ruch swej eskorty i zawołał ostro:

– Pluton ochronny w miejscu! Do nogi broń!!!

Świerzyński zbladł i zwiesił głowę ponuro, gdy ją podniósł, batalion już się zwał z nieprzyjacielem. Pułkownik Małachowski wysuwał się ze swoim batalionem na front.

Sierżant z ponurym błyskiem wzrok wyteżył i poglądał, kędy wśród zbitej masy ludzi, ponad grzebieniem wzniesionych kolb i pięści, widać było srebrne buliony Godebskiego, kędy jego pałasz zataczał koła ponad kaszkietami żołnierzy.

Sokolnicki, który nie spodziewając się tak zażartego natarcia Wołochów, niecierpliwie wyglądał rozstrzygnięcia walki, a tymczasem ordynansów słał do Biegańskiego, aby ciągnącym w dali oddziałom austriackim nowy zgotować opór – stanął tuż przed osamotnionym plutonem.

– A wy co tu robicie?

– Eskorta pułkownika Godebskiego!

– Tu? Kiedy pułkownik wasz w ogniu!

– Pułkownik kazał nam czekać... panie generale.

– Do czarta! – mruknął Sokolnicki poglądając niespokojnie ku walczącym. – Gotowi mu!... Tfy!... Ani go widać!

– Na prawo, panie generale, jest!

– Prawda, prawda! W najbardziej wysuniętym klinie! Małachowski! Baczość!

Zaledwie Sokolnicki rzucił słowa tej komendy, gdy wał ludzi zadygotał mocniej, gwałtowniej. Na tyłach batalionu Godebskiego ukazały się zielone mundury Wołochów, a równocześnie prawic w dali zapadł się kapelusz pułkownika i pograżył w fali kaszkietów.

Świerzyński ryknął zajadle i skoczył do Sokolnickiego.

– Panie generale... pułkownik! My... eskorta... pozwól!

Generał chciał odpowiedzieć – lecz sierżant huknął już na swój pluton:

– Za mną, smyki, za pułkownikiem! Na bagnety! Nie psuj prochu!...

Pluton rzucił się za Świerzyńskim, roztrącił gromadę cofających się żołnierzy ósmego pułku i wżarł się bagnetami w wysunięty oddział Wołochów. Sierżant postępował pierwszy, mając z lewej Zabielskiego, a z prawej dwóch Ryszkiewiczów. Za tymi dopiero parł kapral Krzyżanowski z resztą plutonu, tworząc rozszerzenie klina, którego sierżant był ostrzem.

Pan Tadeusz, porwany komendą, na pół przytomny, wpadł ze Świerzyńskim w tłum. Z początku widział tylko zewsząd wyciągnięte ku sobie pięści, kolby, zaczerwienione ostrza, czuł pod nogami drgające ciała, słyszał dokoła charkot ponury, dziki. Wiew rozpalonych oddechów bił nań zewsząd.

Zabielski dźgał na oślep, odpierał razy i taczał się za sierżantem. Ten ostatni atoli już odzyskał był zimną krew i gdy przedtem biegł, zapalczywie tratując i roztrącając przed sobą śmiałków, co mu drogę zastępować chcieli – teraz skupił się w sobie, głowę pochylił i następował świadom celu, kresu. Już o kilka kroków od siebie widział był, jak około pułkownika walczyło na śmierć kilkunastu żołnierzy... widział, jak Wołosi sierpem cisnęli Godebskiego...

Świerzyński krok za krokiem szedł naprzód, a raz po raz i o bokach swych pamiętał, a wśród największego zamętu pluton do porządku przywodził.

– Mocno, smyki! Bierz cię diabli! Ryszkiewicz, tnij tego po gardzieli, niech ci tak nie sapie! Rekrut!... pilnuj się! Folguj, nie nachylaj się, bo się potkniesz! Krzyżanowski, rozpychaj bokami!... Za lufy nie brać... ładunki zepsujecie, na panewki czas!... Mocniej!...

Jeden z Ryszkiewiczów, cięty pałaszem, jęknął i osunął się na ziemię.

– Nic, chłopcze! Zaraz ci cyrulika wyspekuluje! Rekrut!... Nie sforuj się, niedołego... bo cię dziobną psiekrwie! Kupą... teraz... jeszcze ich!... Baczość! Broń do oka! Pal!...

Żołnierze plutonu nieomal w samym środku gromady Wołochów, idąc za komendą sierżanta, dali ognia, przykładając im prawie lufy karabinów do piersi.

Skutek był piorunujący. Wołosi, którym i tak już zwarty a wypoczęty pluton dawał się we znaki, odsunęli się gwałtownie, roztwierając przed Świerzyńskim krwawą polanę.

Sierżantowi tego było właśnie trzeba.

Za mną, smyki! Do pułkownika!

Pluton wpadł był teraz na sierp Wołochów otaczających Godebskiego.

Czas był po temu największy. Pułkownik na czele garstki drugiej kompanii zaciekle stawiał opór. Wołosi jednak nacierali coraz gwałtowniej. Pułkownik wziął już był cięcie po ramieniu, lecz ustępować nie myślał. Kula zabłąkana zerwała mu z głowy kapelusz – srebrne epolety, poszarpane, zbluzgane krwią, trzymały się resztkami nici.

Wołosi walczyli na śmierć, prowadzeni przez samego von Poeltena.

– Poddaj się! Poddaj! – wołał już kapral Wołochów po niemiecku do pułkownika.

– Głębocki!... Bij zuchwalca!

Kapral pchnięty bagnetem padł na ziemię.

Von Poelten wyrwał się w środek pierścienia i natarł sam. Wołosi, zagrzeni przykładem swego dowódcy, rzucili się gwałtowniej.

Pułkownik jeszcze odpierał razy, jeszcze ostrzem pałasza czerwienił mundury Wołochów – lecz oto von Poelten, zawoławszy na swoich, wskazał im Godebskiego.

– Wołaj pardon!

– Nigdy! – odpowiedział Godebski i ciał znów najbliższego. Dwa bagnety pochyliły się ku piersi dowódcy ósmego pułku.

Gdy naraz – zanim pchnąć zdołały – uderzone gwałtownie kolbą, rozprysły się w kawały. Kolba zatoczyła błyskawiczny krąg i spadła na głowy Wołochów. Równocześnie dał się słyszeć gromki głos Świerzyńskiego:

– Melduję pokornie, jest pluton!... Pierwszego batalionu... ósmego pułku!

Sierżant każdy wyraz swego raportu znaczył zajadłymi razami.

Zabielski, rozgrzany walką, wypadł zza ramienia sierżanta i doskoczył do cofającego się von Poeltena.

– Rekrut, psianoga! Bierz cię diabli!

– Nic, sierżancie... dokończę za was meldunku!... Ósmego pułku... sierżanta Świerzyńskiego!

Von Poelten osunął się w ramiona żołnierzy. Godebski, widząc przy sobie eskortę, natarł z furją.

Sokołnicki upilnował tę chwilę, a dostrzegłszy wyłom w murze walczących, wskazał go Małachowskiemu.

Małachowski zrozumiał. Pół batalionu sformował czwórkami i rozstrzygnął atak...

Pułk von Poeltena rozбитý, zdziesiątkowany, cofnął się ku huzarom, pozostawiając na placu wał rannych i zabitych.

Lecz sunące już nowe szeregi nieprzyjaciół, wtórujące ponuro armaty – mówiły, że to był dopiero początek.

Sokołnicki miał tyle zaledwie czasu, że szczątki batalionu Godebskiego zdołał przesunąć za batalion Małachowskiego; tam nakazał mu sprawienie się – gdy już natarł Wukassowicz.

Atak ten był równiejszym, silniejszym. Żołnierz uderzał pewniej, spokojniej. Na pchnięcie odpowiadano pchnięciem, na raz – razem, raną płacono za ranę, za śmierć śmiercią. Ogień artylerii Gileta zasypywał Godebskiego tak, że ten musiał cofnąć się ku rzece. Tam dopiero nakazał był pułkownik krótkie opatrzenie się.

Żołnierze przewiązywali sobie wzajem draśnięcia, wypróżniali chciwie manierki, nabijali broń, osłabieni porzucali tornistry, a niekiedy zamieniali ze sobą zdania krótkie, urywane.

Zabielski stał znów ze swoim plutonem około pułkownika. Mimo zmordowania, zmęczenia trzymał się zuchowato i nie poddawał się Godebskiemu cyrulik przewiązywał rozcięte lewe ramię. Adiutant Dobiecki rzeźwił go wódką. Pułkownik ledwie że na nogach mógł ustać, a niecierpliwił się i fukał na cyrulika:

– Spiesz się acan!... Marudzisz, do czarta!

– Panie pułkowniku, trzeba mocno bandażować!... Ambulanse dopiero pod rogatkami.

– Oszalałeś! – zachnął się Godebski. – Z tym do ambulansów?

– Panie pułkowniku – ozwał się z perswazją Dobiecki. – Jesteś zmęczonym!...

– Ja? Masz gorzałkę? Nie? Kto ma? Świerzyński! Dawaj!... Pragnienie! Oddycham... zmordowało!

Pułkownik odsapnął ciężko i uśmiechnął się do sierżanta.

– A co, stary? Trzymamy się. Myślałem, że się bez ciebie obejdem! Przydałeś się! Ba! Ale ten twój rekrut – toć on zwał pułkownika!

– Zwał!

– Mówiłem ci... Co?

– Taki smyk, panie pułkowniku, a bierz cię diabli, łupi.

– Do nagrody go przedstawić... do nagrody!... Pamiętaj, Dobiecki! O... przechodzi! Małachowski stoi?

– Murem!

Zabielski stał w pobliżu pułkownika przy sierżancie. Słowa, które go były doszły przed chwilą, napełniły go nie znanym mu dotąd uczuciem rozradowania i zapału. Pan Tadeusz hardo poglądał przed siebie. Był w bitwie, wyszedł z niej prawie nie tknięty i zasłużył na pochwałę pułkownika. A przecie przed kilku godzinami jeszcze wątpił o sobie samym, a potem, stojąc śród deszczu pocisków – Bogu Jankę polecał.,.

Zabielski podkreślił zuchowato wąsika, obciągnął mundur i spojrział na wspartego na karabinie sierżanta.

Świerzyński poglądał niespokojnie ku walczącym, a od czasu do czasu zwracał głowę ku Godebskiemu, jakby stamtąd czekając rozkazu,

– Sierżancie! – zagadnął cicho Zabielski.

– Czego?

– Pójdziemy znów?...

Sierżant brwi nasunął.

– Pilno ci do wywczasu!... Nic, smyku... bierz cię diabli... za godzinę... ani chybi rozpocznie się bitwa!...

– Bitwa, mówicie? – podchwycił niepewnym głosem pan Tadeusz. – A toż przecież!...

– Nic, nic dotąd jeszcze! Pierwsze starcie! Początek!... Ale pójdzie!... Widzisz tam, pod lasem, te ciemne plamy śród kłębiących się dymów? Z tymi dopiero będzie robota!... No i, bierz cię diabli... naszych jeszcze nie ma!

– Bacność... nabijaj broń! – rozległ się nagle głos Sokolnickiego.

Godebski porwał się na równe nogi i stanął przed swoim oddziałem.

Stemple zadzwoniły w lufach karabinów, lecz zaledwie zdołały zasunąć się w swe łożyska, gdy wtem ciemna linia bojowa, dzielnie broniona przez batalion Małachowskiego, wygięła się w pałąk... raz jeszcze drgnęła, jakby chciała się wyprężyć... aż naraz złamała się... rozpadła...

W otwartej gardzieli linii bojowej ukazał się szwadron huzarów cesarskich, pędzących w szalonym galopie na oddział Godebskiego.

Okrzyk zgrozy dobył się z piersi żołnierzy.

– Stać! – huknął w tejże chwili Sokolnicki. – Macie, chłopcy, po huzarze na dwa karabiny! Cel! Wytrzymaj!... Pal!...

Salwa karabinowa z ciał koni i jeźdźców utworzyła w jednej chwili obronną redutę dla żołnierzy Godebskiego, a drugi i trzeci szwadron zatrzymała w rozpędzie. U tego żywego wału wybuchnęła nowa, zaciętsza walka. Batalion bowiem Małachowskiego szukał odwetu, a rozdarty na dwoje, gniótł bagnietami nieprzyjacielską konnicę – środkiem Godebski piekielnym ogniem raził.

Jeszcze jeden atak został odpartym, zatrzymanym w miejscu, obezwładnionym w rozpędzie.

Lecz Mohr czuwał. Widząc, że rozsunięcie frontu Wołochów Wukassowicza i niespodziewana szarża huzarów nie zdołały wyprzeć nieprzyjaciół z pozycji – pchnął dwa świeże bataliony wołyżerów z dywizji Civalarda.

Gdy trąbki polskie zagrały odwrót, już tylko Godebski stawiał czoło Austriakom, lecz ci parli naprzód, jakby własnymi ciałami chcieli zgasić ziejący ku nim rotowy ogień karabinów.

Sokolnicki zrozumiał grozę położenia – wśród gradu kul stanął przed frontem batalionu.

– Godebski... w tył... na pozycję!..

– Ani myślę!... Palcie, chłopcy!...

Koń Sokolnickiego, smagany świstem ołowiu, wspiął się. Generał szarpnął go cugłami i doskoczył do pułkownika.

– Służba... psiakrew!... Rozkaz!... Cofać się!

– Godebski się nie cofa!

– Cyprianie!... Na Boga!...

Z ócz pułkownika trysnęły błyskawice.

– Ósmym pułkiem jesteście!... Ani kroku!... Albo naprzód, albo tu lec!...

W tejże samej prawie chwili wołyżerowie, ośmieleni milczeniem polskiej baterii, ruszyli podwójnym krokiem. Godebski jeszcze stał, jeszcze nawoływał... lecz fala ludzi porwała go, zmiotła, zmusiła do szukania oparcia poza idącym w dali oddziałem Turny.

Wołyżerowie wydali okrzyk tryumfu i bez komendy sunęli za uciekającymi.

Generał nie posiadał się z gniewu. Gdyby nie upór Godebskiego, nie brawura – Austriacy nie wzięliby olszyny.

Lecz może więcej wzburzonym był sam pułkownik. Bez czapy, w poszarpanym kulami mundurze, z białym bandażem na lewym ramieniu, na którym krew rysowała coraz szersze

zygzaki – piorunował, Sokolnicki atoli nie darował uchybienia, a zdybawszy Godebskiego, zawołał nań surowo:

– Mości pułkowniku! Patrz – skutki! Stracona pozycja!... Raport do sztabu złożę! Słuchać! Tu nie czas na junackie przechwałki!

– Mości Sokolnicki!... Ja...

– Milczeć!... Cofnąć się za linię!... Tumo nadchodzi!...

Godebskiemu w oczach pociemniało. Zgrzytnął zębami, i, miast dać znak sygnalistom do ustąpienia, wyrwał z omdlałych rąk podoficera sztandar ósmego pułku i stanął przed swoim postrzępionym oddziałem.

– Baczność!... Widzicie tę olszynę?... Odebrali ją nam, żołnierzom ósmego pułku! Na bagnety, na śmierć, za naszą, za olszynę!...

– Niech żyje Godebski! – odpowiedzieli żołnierze. – Na bagnety! Na śmierć!...

Godebski z łopoczącym sztandarem rzucił się naprzód i pociągnął za sobą oddział.

Stało się to tak szybko, że nie było czasu na powstrzymanie morderczego ognia, jakim Sołtyk z Biegańskim rozdzielali dwie linie bojowe. Polskie granaty i kartacze nie uszanowały amarantowych lamowań ani własnego sztandaru. Pruły trzewia, rozrywały kadłuby, bluzgały mózgiem, pluły krwią. Zdawało się, że tu na tym piekielnym skrzyżowaniu ogniowych wstęp niesforny batalion znajdzie grób – lecz nie. Oddział zapadł się w odmęt pocisków, krwawą złożył ofiarę i z Godebskim na czele natarł na piechotę Civalarda, ledwie sposobiącą się do tyralierskiego ognia. Natarcie było równie gwałtowne, jak niespodziewane.

Atak Godebskiego, atak bezładny, rozszalały, rozpaczliwie zawadiacki, był samobójczym. Hasłem jego była „olszyna”, odzewem „śmierć”.

Bataliony Civalarda były karne – pierwszy szereg, rozdarty bagnetami, nie zdołał zatrzymać Godebskiego, lecz drugi pochwycił tętno bębnow i pochylił karabiny. Bitwa w kilka sekund utraciła linię bojową, podzieliła się na kilka pólek. Na środkowym dowodził Godebski z adiutantem Dobieckim – obok Godebskiego, choć rozdzielony Austriakami, walczył Uziębło, dalej porucznicy Młocki i Płonczyński swoje prowadzili gromadki, nawet sierżanci: Wieluń, Dobrzański i Sakowicz, własne mieli komendy.

Sokolnicki toczył koniem, poglądając, rychło chwiejający się pośród piechoty austriackiej sztandar Godebskiego zniknie. Sztandar atoli zanurzał się coraz to głębiej w bataliony Civalarda. Turno poskoczył do Sokolnickiego.

– Generale, może by ich wesprzeć?...

– Ani myślę... ostatnie dwa bataliony... Wyrwał się postrzeleniec, niech ginie!

– Generale, toć Godebski!

– Gina! – przekładał Turno.

– Małachowski!... Łańcuch tyralierów!

Małachowskiemu nie trzeba było powtarzać rozkazu. Żołnierze jego rozdzielili się i rozpoczęli ogień, skradając się ku olszynie.

Mohr nakazał odwrót. Godebski był w olszynie.

Ustąpienie batalionów Civalarda i Wukassowicza było hasłem dla Gileta, który przed chwilą, nie mając dość pewnego celu, milczał, obawiając się, aby własnych nie razić szeregów. Więc kiedy na skraju olszyny wionął znów hardo sztandar ósmego pułku – dwadzieścia cztery działa rzygnęły nań żelazem, obsypały go złomami granatów, poświęciły gałązkami olszyny.

Armaty grzmiały, sztandar furkotał wśród poświstu kul w omdlałych ramionach Godebskiego – historia po raz pierwszy kartę dziejową rozpoczynała wyrazem „olszyna”. Olszyna zdobyła tu imię potężniejsze od wawrzynu, wznioślejsze od gajów oliwnych, dumniejsze od palm.

Za trzecią salwą Gileta porucznik Dobecki padł bez jęku u stóp Godebskiego. Pułkownikowi łza w oku zabłysła. Wsparł się na drzewcu sztandaru i pochylił się ku adiutantowi. Dobecki miał oczy otwarte – z okaleczonej piersi jego krew biła strumieniem.

– I ty... zacny chłopcze?! – wyszeptał ze wzruszeniem Godebski.

– Nasza... nasza olszyna!... Odchodzę!... Podaj mi rękę, pułkowniku!

– Masz kogo z bliskich, kogo z rodziny?!

Dobecki podniósł rękę i oparł ją o ziemię, na której leżał.

– Mam ją tylko!

Kapitan Uziębło zawołał na dwóch szeregowych. Żołnierze wzięli Dobeckiego w ramiona i ponieśli szybko ku grobli, lecz zaledwie z olszyny się wydobyli – adiutant ósmego pułku skonał. Tymczasem około Godebskiego skupiła się gromadka żołnierzy mogących ustać na nogach. Żadnemu z nich na myśl nie przyszło, że stojąc tu, w najmocniejszym ogniu, na pewną śmierć się naraża, nikogo już ani huk armat nie ogłuszał, ani maszerujące gorączkowo kolumny austriackie nie straszyły. Żołnierze z flegmą dobywali z tornistrów szmaty, przewiązywali sobie rany, częstowali się manierkami, wypełniali puste ładownice nabojami poległych, osadzali obluźowane na karabinach bagnety.

Porucznicy Młocki i Płonczyński, odebrawszy ciężkie kontuzje, wywlekli się na rękach z olszyny. Przy Godebskim, został już tylko Uziębło, Świerzyński i piętnastu żołnierzy.

Garstka ta musiałaby tu grób znaleźć, gdyby nie Sokolnicki, który natychmiast nakazał pułkownikowi Turnie zająć olszynę, a Sołtykowi wymierzyć armaty na artylerię Gileta. Gilet

nie pozostawał dłużnym, w olszynie zapanowała chwila wytchnienia. Sokolnicki spotkał się oko w oko z Godebskim.

– Na Boga... panie Cyprianie! – ozwał się gorąco. – Szanuj się!...

– Siebie, ale nade wszystko jego! – odparł pułkownik potrząsając drzewcem sztandaru.

Twarz generała drgnęła, stalowe rysy jego zmiękły.

– Daruj, przebacz! Tyś bohaterem! Tyś wodzem... lecz, do stu par diabłów... wiedz, że i Sokolnicki zdechnąć potrafi! Tu żyć trzeba, prowadzić, bronić, a nie pewnej szukać śmierci! Masz rodzinę, masz dzieci.

Pułkownik potrząsnął głową smutnie.

– Tak, generale, tak! Lecz dziś dzień niezwykajny... dziś trzeba, dziś nas, legionistów, na zapasy wyzwano!...

– Pluń na to! Zostawili nas, wysunęli na straż przednią i co? Czekają widocznie, żeby nas tu wysiekli do nogi! Piękny plan!

Sokolnicki zwrócił lunetę w stronę lasów tarczyńskich i aż się na siodle pochylił z alteracji.

– Do stu par diabłów... armia cała wali ku nam... godziny nie wytrzymamy. Czapami nas zduszą. Trzech ordynansów wysłałem do księcia – nic! Dosyć! Pułkowniku, idźcie na tyły... Poślę ci Małachowskiego! Ja z Turną wytrzymam! Ale przedtem poślę księciu ministrowi pozdrowienie.

Wzrok Sokolnickiego padł na Zabielskiego, który stał w gromadce żołnierzy za Godebskim.

– Jesteś tu acan?!...

– A jak się sprawa! Starych żołnierzy przeszedł! – wtrącił pułkownik.

– Na ordynansa cię biorę! Siadaj na mego konia. Do Raszyna, do księcia!

– Generale, twój koń! – upomniał pułkownik.

– Nie ma innego! Siadaj! Widzisz, co się dzieje! Powiesz księciu ministrowi, że przednia straż ostatkiem sił broni się armii! Połowa żołnierzy legła.

Zabielski bez wahania wskoczył na siodło i zawrócił konia ku Raszynowi. Koń generała atoli ledwie na powolnego klusa się zdobył. Daremnie pan Tadeusz szarpał go cugłami, cisnął nogami a zachęcał głosem. Zmordowany rumak dyszał ciężko, sapał i ustawał. Zabielski, słysząc za sobą coraz zajadlej ryczące działa a rozpoczynający się znów łomot bitewny, był w rozpacz. Każda minuta opóźnienia mogła nieobliczone sprowadzić następstwa. Droga nadto tym więcej była utrudnioną, że tuż za Falentami służba ambulansowa zwijała namioty i

przenosiła gorączkowo rannych za groblę, a oprócz niej dziesiątki żołnierzy czołgało się na rękach, krwawe za sobą pozostawiając wstęgi.

Szamotanie się Zabielskiego z koniem dostrzegł jeden z wypoczywających na ziemi żołnierzy i zakrzyknął nań:

- Bratku! Masz zdrowe nogi... nie morduj szkapy,
- Ordynans do księcia.
- Na pieczętę byś prędeej! Zatnijże go dobrze!...
- Nie mam czym!...
- Najeżdżaj na mnie... ja ci poradzę!...

Zabielski zwrócił konia. Żołnierz uniósł się z wysiłkiem na ziemi, ujął za karabin i dźgnął konia bagnetem w bok. Koń spiął się z bólu i pomknął szalonym galopem ku Raszynowi.

W Raszynie tymczasem sztab gotował się powoli do wyciągnięcia w pole. Zbierano rozpostarte kredensy, ostatnie spełniano wiwaty i, bez zbytej skwapliwości, kulbaczone konie. Fiszer wprawdzie naglił do pośpiechu i z niepokojem wsłuchiwał się w oddalony huk armat, lecz świta księżęca nie podzielała jego obaw żartując sobie po cichu z Sokolnickiego, który zaledwie starłszy się z pikietami, dwa już raporty był nadesłał. Zresztą księżę Józef po nie przespanej nocy jeszcze był wypoczywał.

Trzeci wysłaniec Sokolnickiego był przyjęty ironicznymi uśmiechami. Karmazynowi adiutanci księcia nie mogli się powstrzymać od złośliwych uwag, wymierzonych przeciwko generałowi, który tak często im dokuczał, a który teraz dla, zwykłej utarczki taki gwałt podnosi. Fiszer atoli, mimo przedłożeń Rautenstraucha, zbudził Poniatowskiego.

- Trzeba przekonać się! – zdecydował księżę.

Słowa te porwały na nogi główną kwaterę. Spoza stołów ruszyła świta hukając na służbę, dzwoniąc butnie ostrogami a troszcząc się o każdy drobiazg, za nie dość błyszczącą sprzączkę fukając na pacholców, przebierając w koniach a zmieniając kułbaki.

Fiszer stał na ganku przed karczmą i spoglądając na to zamieszanie, zęby zaciskał, a w końcu, nie mogąc pohamować zniecierpliwienia, zawołał ostro:

- Mości panowie, nie na kawalkadę się zbieracie... na koń!

Kamieniecki chciał coś powiedzieć, gdy wtem rozległ się dźwięczny głos księcia Józefa:

– Mości panowie... zechciejcie pamiętać, że bezpośrednim waszym dowódcą jest generał, szef sztabu, Fiszer... Przy mnie zostanie tylko imię Skrzynecki!

Świta pochyliła głowy. Księżę, ten zazwyczaj uprzejmy, łagodny, pobłażliwy a wyrozumiały na wszystko wódz a towarzyszy, ukazał się jej naraz w zgoła innym świetle. Wczoraj jeszcze ten sam Kamieniecki żartował sobie z Fiszera w przytomności księcia,

wczoraj jeszcze najmłodszy z podporuczników świty mógł z całą poufałością prowadzić z księciem rozmowy! Wczoraj jeszcze milczący szef sztabu był tylko przenudnym odludkiem, od którego rozkazów i zleceń zawsze był regres do Poniatowskiego. Wczoraj jeszcze porucznicy Szumlański i Nowicki, mający stać z Roźnieckim pod Nadarzynem, bez pytania pozostali w Raszynie!

Zanim świta zdołała ochłonąć z wrażenia, Fiszer zakomenderował:

– W prawo naprzód... marsz!...

Świta ruszyła z rozkazem.

– Stój! – komenderował generał. – Odwróć front w lewo! Wyciągnij szereg!

Kiedy szef sztabu jął ustawiać świtę książęcą, wśród której widniały gęsto pułkownikowskie epolety, nawet trzy generalskie pióropusze – książę zawrócił wolno konia ku wyciągniętym poza karczmą dwóm szwadronom ułanów drugiego pułku pod Tyszkiewiczem.

Na widok dwubarwnego pasma chorągiewek, które zdawały się być jedną nierozdzieloną wstęgą, rozpiętą na ostrzach lanc – twarz księcia rozchmurzyła się. Rzucił kilka łaskawych słów ułanom i, jakby chcąc się nacieszyć widokiem ulubionego pułku, kazał Tyszkiewiczowi wykonać kilka zwrotów.

Pułkownik z fantazją zatoczył koniem, jednym poruszeniem pałasza zwinął front, złamał go na czwórki i, kreśląc nimi zygzaki tuż około księcia, przeprowadzał, dając mu poznać, jak konie łeb w łeb iść umieją, jak żołnierz zrasta się w każdym ruchu z wierzchowcem, jak w lot odgaduje komendę.

Poniatowski aż pokraśniał z zadowolenia. Tyszkiewicz, spostrzegłszy ukontentowanie księcia, sadił się na zwroty coraz zawilsze.

Armaty huczały w dali, a tu odbywała się parada. Książę oka nie spuszczał z ułanów, gdy wtem, kiedy Tyszkiewicz nakazał formowanie plutonów w rozwiniętym kłusie, łańcuch ułanów złamał się w środkowym ogniwie, zakotłował i utworzył bezładną gromadkę. Poniatowski aż na siodle się rzucił i skoczył do niesfornego plutonu. Tyszkiewicz z przeciwnej strony wpadł z furią na żołnierzy, szukając winowajcy. Jakoż znalazł go niebawem. Był nim żołnierz piechoty, który, dostawszy się między manewrujące szeregi, zwałił się razem z koniem, na którym jechał, i zepsuł szyk. Tyszkiewicz wzniósł był pałasz do oplazowania śmiałka dobywającego się z trudem spod kopyt końskich.

– Co tu robisz, trutniu?

Żołnierz podniósł śmiało głowę.

– Nie ma winy, panie pułkowniku!

– Nie widziałeś, że tu musztra?!

– Nie! Wiem tylko, że pod Falentami nie musztrują się, ale... giną!

Poniatowski zwrócił się do winowajcy.

– Wziąć go i odprowadzić na odwach! Zbiegostwo już się zaczyna!

– Wasza książęca mość – zawołał żołnierz, którego już dwaj ułani brali między siebie – wysłuchaj przedtem ordynansu generała Sokolnickiego!

– Tyś jest ordynansem?

– Tak, wasza książęca mość!

– Sokolnicki mało ma jeszcze oficerów! – mruknął niechętnie Tyszkiewicz.

– Co masz do powiedzenia?! – rzucił gorączkowo książę.

– Dwa ataki odparte, pozycja w olszynie stracona i odebrana! Nieprzyjaciel całą armią następuje.

– Szalonyś!... Jak się nazywasz?! Znam cię skądś!

– Z tego, że po raz drugi sądzonym mi jest groźne wieści przynosić i posłuchu nie znajdować!

– Imć Zabielski?

– Tak, wasza książęca mość?

– A rezerwa generała Biegańskiego ?

– Poszła do boju!

– Chyba ci się pomieszało w głowie! Musiał być popłoch! Gdzie generał Sokolnicki?

– Oddał mi swego konia... a sam stanął na czele batalionu szóstego pułku pułkownika Turno.

Poniatowski spojrział na tarzającego się na ziemi konia, na czaprak futrem bramowany a gwiazdami srebrnymi strojny i dobył pałasza.

– Generale Fiszer!... Zaczynamy! Konia temu ordynansowi. Niech prowadzi! Naprzód!

Zabielskiemu podano konia. Poniatowski odrzucił zwieszającą mu się na ramionach narzutkę i zawołał raz jeszcze na Pana Tadeusza:

– Prowadź... prowadź acan!

Zabielski nacisnął konia obcasami i ruszył wyciągniętym kłusem. Tuż za nim jechał książę ze Skrzyneckim i Rautenstrauchem, za nimi dopiero, w pewnym oddaleniu, ciągnął Fiszer otoczony błyszczącą kawalkadą świty. Ułani zamykali pochód.

Droga szła przez las sękociński. Poniatowski wsłuchiwał się w rozbrzmiewające po lesie echa salw armatnich, a od czasu do czasu rzucał pytania Zabielskiemu, jakby jeszcze wiary

nie dając wieściom. Pan Tadeusz, rozgorączkowany – plątał się w odpowiedziach, książę wąpił.

Tymczasem na skraju lasu ukazał się sznur wozów ambulansowych, wozów uginających się pod ciężarem ciał ludzkich a dygoczących od skarg i jęków.

– Wasza książęca mość... to dopiero pierwsi!

Poniatowski spiął konia ostrogami i, wydostawszy się z lasu, stanął na małym wzgórzu. Jednym rzutem oka objął i ciemne pasma nieprzyjaciół rozwijających mięsistą linię frontu od Michałowic aż po Jaworów, i kolumny łomoczące pod olszyną ostatnie szeregi przedniej straży polskiej, i rozpaczliwie szamoczącą się w ogniu baterię Sołtyka, i ziejące kłębamii dymu armaty austriackie. Za księciem stanął generał Fiszer – narychtował lunetę, badał przez chwilę okolicę, a potem z olster wyciągnął plan odręczny.

Koń Poniatowskiego bił niespokojnie kopytami a łbem wyrzucał.

– Generale?!

– Przyjmujemy bitwę?

– Natychmiast!

Fiszer salutował i zwrócił się ku świcie książęcej.

Z ust jego padać zaczęły rozkazy krótkie, urywane a gromkie. Adiutanci, wywołani po nazwisku, przykładali ręce do kaszkietów, pochylali się na siodłach i w szalonym galopie pędzili ku rozrzuconym po lasach, dolinach i pagórkach oddziałom. Zaledwie ostatni oficer znikł na zakręcie drogi – gdy od Raszyna iść już zaczęły alarmujące odezwy sygnałów.

Poniatowski odwrócił się teraz ku ułanom.

– Za mną! Naprzód!

– Mości książę! – upominał Fiszer.

– Nic! Zostań, generale! Pilnuj ataku drugiego pułku... podwójnym krokiem niech idzie na groblę tyralierów pod Falentami! A ja spróbuję wesprzeć Sokolnickiego.

Ułani ruszyli z kopyta za księciem ku olszynie.

Odsiecz przybyła za późno. Mohr świeżym pułkiem natarł na Sokolnickiego i po raz wtóry zmusił go do cofnięcia się ku grobli, mimo zaciętą obronę, mimo gwałtowny ogień Sołtyka, mimo pomoc Biegańskiego, który skupiwszy znów batalion pierwszego pułku po rannym Małachowskim, chciał rozpaczliwym atakiem dorównać Godebskiemu.

Piechota austriacka tym razem nie tylko zatrzymać się nie dała, lecz nadto tak zajadle runęła w olszynę, że gdyby nie Godebski, który ze swej strony, zebrawszy garść swoich żołnierzy, stanął w asekuracji pod dotykającą olszyny wsią i spoza chat raził bezkarnie nieprzyjaciela celnymi strzałami – Mohr byłby już panem grobli na rzeczce.

Ukazanie się księcia nowym zapalem przejęło żołnierzy. Roman Sołtyk z resztą swych kanonierów dopadł do porzuconych przed chwilą armat i sypać zaczął kartaczami, pragnąc szybkością strzałów nagrodzić ubytek dwóch dział zdemontowanych eksplozją. Biegański wtórował mu równie gorąco. Jednak strzały polskiej artylerii ginęły wśród huków armat Gileta.

Sokolnicki wskazał księciu na szeregi paszcz spiszowych, znaczących swe gardziele błyskami ognia.

- Armat, mości księżę, nie mamy! Bez piechoty, bez konnicy dadzą nam radę.
- Teorie mi wywodzisz, generale!... Gdzie Godebski?!... Nie widzę go na stanowisku!...
- Zeszedł dopiero co, wypoczywał!...
- Po rejteradzie! – odrzekł porywczo Poniatowski.
- Nie – po trzech atakach! – rozległ się tuż za Sokolnickim wzbudzony głos Godebskiego. Księżę stropił się, a dostrzegłszy na ramieniu pułkownika białe bandażę, rzekł łagodniej:
- Jesteś ranny, pułkowniku?!
- Dopiero dwa razy!...

Księżę chciał coś odpowiedzieć, gdy naraz olszyna zakołysała się mocniej, bagnety łysnęły w słońcu i mrowie nieprzyjaciół ruszyło znów do ataku, wyginając linię ku Falentom. Ruch ten był tak szybki, tak gwałtowny, tak niespodziewany, ile że nie poprzedzony żadnym sygnałem, żadną pobudką, tak mistrzowski, że polskie oddziały całym frontem ustępować zaczęły ku grobli.

Austriacy dotarli do Falent, wyrugowali tyralierów i jęli gwałtownie sposobić się do ataku na groblę i na Raszyn.

Poniatowski, porwany prądem cofających się żołnierzy, znalazł się pod armatami Sołtyka wraz z Sokolnickim, Godebskim i Turną. Na widok porażki wszystka krew zagrała w księciu. Rozognionym wzrokiem spojrzął na pomieszane szeregi i rzucił Sokolnickiemu rozkaz:

- Pułk Potockiego natychmiast! Pozycja musi być odebrana!
- Skrzynecki ruszył z kopyta. Księżę zaś, poglądając ku Sokolnickiemu, dodał niedbale:
- Formuj łańcuch! Potocki wam pokaże, jak się zdobywa stanowisko.
- Sokolnicki zagryzł do krwi wargi.
- Mości księżę... imię pan Potocki nie ma tu nic do pokazywania. Za późno się jawi...

Olszynę wziąć nie sztuka... ale niech w niej wytrzyma!

Poniatowski zrozumiał przymówkę i odparł gwałtownie:

- Generale, nie czas na przechwałki! Potocki nadciąga! Zobaczycie, jak się atak rozwija!

Sokolnicki krwią nabiegłymi oczyma powiódł po bladych, namarszczonych twarzach Godebskiego, Małachowskiego i Tumi i zawołał ochrypłym głosem:

– Słyszeliście, mości panowie?... Mamy tu lekcję odebrać od imię Potockiego... Do stu piorunów, Godebski!... Turno! Jeszcze i od nas można się czegoś nauczyć!

Godebski w odpowiedzi wyrwał karabin stojącemu najbliższemu żołnierzowi.

– Generale, uderzmy!

– Naprzód! – zakomenderował Sokolnicki.

– Naprzód! – wołał na swoje bataliony Turno.

Zanim książę zdołał postrzec, co się dzieje, Sokolnicki z Godebskim rzucili się ku Falentom, pociągając za sobą pluton Świerzyńskiego – za tym plutonem ruszyli żołnierze trzeciego pułku z Turną.

Po dwakroć żołnierze polscy ustawiali, nie mogąc złamać linii Wołochów, po dwakroć Austriacy mieli rozstratować garść zapaleńców, lecz po dwakroć Sokolnicki z Godebskim z karabinami w rękę darli się w największy odmet bitewny!

Na widok dowódców idących krok w krok na przedzie, komenderujących nie na tyłach batalionów, nie uderzeniami bębnow, ale pchnięciami bagnatów – w żołnierzy zapal wstępował coraz silniejszy, coraz cięższy. Każda rana, każdy trup budził w pozostałych przy siłach a życiu większą zaciekłość. Mimo znaczny ubytek w szeregach atak rósł, potężniał – zdawał się być owym potokiem górskim, co im niżej spada, im bardziej się rozpryskuje, im więcej w biegu swym traci wody na spienione bryzgi – tym bije gwałtowniej, tym głębsze żłobi bruzdy.

Aż pod olszyną raz jeszcze załopotał szarpany kulami sztandar ósmego pułku.

Poniatowski, który był śledził przebieg bitwy a gotował na tyłach osłonę z batalionu Małachowskiego i ze spieszonych ułanów – spadł jak wichura między wypoczywających w olszynie bohaterów.

– Sokolnicki! Godebski! Turno! Dzielnie! Niech żyje pierwszy batalion ósmego pułku.

Godebski uśmiechnął się smutnie – za Świerzyńskim stało już tylko sześciu.

Uziębło leżał ranny pod drzewem.

– Okryliście się sławą! – mówił Poniatowski.

Sokolnicki potrząsnął głową.

– Mości książę! Tylko przekonaliśmy cię, że potrafimy zdobywać!...

– Zgoda! No, a ja pokażę wam teraz, iż tu utrzymać się można!...

– Ani myśli! Zaczynają ogień! Grają do ataku!

– Nic, generale! Staś Potocki jest!

– Więc ja ustępuję!

– Rzetelnie zapracowałeś na spocznienie! Pozwól jemu teraz! Małachowski, do mnie!

Sokolnicki z Godebskim i Turną zeszli z pozycji, zbierając po drodze rannych.

W olszynie stanął batalion pierwszego pułku Małachowskiego, a za nim mocne rozwinął linie pułk drugi. Sołtyk przeciągnął swoje armaty ku Biegańskiemu i znów zaczęła się ponura rozmowa baterii.

Zabielski tymczasem, który był pozostał przy generale Fiszerze, nie wiedział, co mu czynić należy. Po ruszeniu księcia pod Falenty chciał był zejść z konia i wrócić do swego plutonu na linię bojową, lecz Fiszer skinął nań, aby mu trzymał papiery. Pan Tadeusz ledwie mógł dosiedzieć na koniu, nie pojmując dziwnej obojętności ani flegmy naczelnika sztabu, który zdawał się teraz uwagi nie zwracać ani na huk armat, ani na dobywające się zewsząd odezwy pobudek. Pochylony na kułbace, kreślił na polowej mapie niezrozumiałe znaki i słuchał obojętnie Rautenstraucha, który przez lunetę śledził przebieg bitwy, a równocześnie rozmawiał z Hebdowskim, badającym okiem okolicę i pilnującym ruchu wojsk austriackich. Od czasu do czasu Fiszer obracał się na siodle i poglądał niespokojnie ku Warszawie bądź dzielił się uwagami z Rautenstrauchem. Kiedy Poniatowski dosięgnął Falent, a Wołosi opanowali Falenty – Rautenstrauch nie mógł opanować wzruszenia.

– Generale... Nasi cofają się!... Księżę w niebezpieczeństwie.

Fiszer wzruszył ramionami.

– Sokolnicki wystarczy.

– Atak!... Znów atak – szaleństwo!... Nasi rzucają się!... Zwarli się!...

– Widzisz! – mruknął Fiszer. – Nie w tym rzecz. Weź, generale, na oko tyły nieprzyjacielskie... Czy oni nie maskują ruchów?

– Pozwól, generale... Masz słuszność!... Czworobok piechoty zwraca się ku Michałowicom.

Fiszer spojrzał ku Zabielskiemu.

– Ruszaj do generała Polentza!... Zawieź mu ten oto rozkaz!

Pan Tadeusz odebrał papier z rąk szefa sztabu i przyłożywszy rękę do kaszkietu, chciał był zapytać, w której stronie ma szukać generała saskiego, gdy wtem koń Zabielskiego, uderzony złomem granatu, zachwiał się i padł na miejscu. Pan Tadeusz szczęśliwie zdołał zeskoczyć.

– Na piechotę będzie ci wygodniej!... Generał Polentz stoi za lasem... masz bliżej na przełaj!

Zabielski bez namysłu jął biec we wskazanym kierunku. Droga atoli była ciężką do przebycia. Granaty Gileta padały coraz gęściej i coraz zajadlej wdzierały się w gąszcz leśny, jakby chcąc odciąć straż przednią od rezerw polskich. Zabielski co chwila musiał padać na ziemię i wyczekiwać, póki granaty nie zaryją się ubezwładnione rykoszetami. Lecz rozkaz

Fiszera, a bardziej świadomość śmiertelnej walki, której odgłosem huczała ziemia – budził w panu Tadeuszu nowe siły, do pośpiechu naglił.

Zabielski biegł, padał i znów zrywał się, znów wyteżał wzrok, utkwiony w zrąb lasu, poza którym miał znaleźć Polentza. W lesie zatrzymał się dla zaczerpnięcia powietrza, dla chwilowego wypoczynku. Rozpalone czoło przyłożył do pnia sosnowego i tak dyszał, nie zważając ani na trzask łamanych gałęzi, ani na kule harcujące po lesie a skaczące i tarzające się po murawie, ani na jęki rozlegające się w dartym ołowiem poszyciu. Zabielski odetchnął głębiej, zdarł z siebie ładownicę, która mu ciążyła, i powlókł się dalej. Siły atoli zaczęły go opuszczać – ból suchy, drętwy w lewym ramieniu przypomniał mu dopiero rozżartą twarz Austriaka, który mu, gdy szedł ze Świerzyńskim, zadał uderzenie kolbą. Pan Tadeusz jeszcze szedł czas pewien, jeszcze wmawiał w siebie, że jeno wola w nim osłabła – aż w końcu upadł pod krzakiem bezwładny.

Kiedy obudzony z odrętwienia zewem rozkazu, który znów mu w uszach zadźwięczał, podniósł głowę – zobaczył przed sobą młodego podoficera w austriackim mundurze, Zabielski oczy przetaił i spojrzał ze zdumieniem na stojącego przed nim. Podoficer uśmiechnął się przyjaźnie i rzekł łamaną polszczyzną:

– Panie Zabielski! Panie von Zabielski!... Pan tutaj!... Co panu jest? Niech się pan napije!...

Zabielski przyłożył machinalnie usta do flaszki.

– A co?! Lepiej panu?! Wszystkiego się spodziewałem, ale żeby pana tu znaleźć!

Pan Tadeusz otrząsnął się, a nie mogąc poznać stojącego przed nim żołnierza – zapytał niespokojnie:

– Coś ty za jeden?! Nie znam cię!... Nie wiem!..

– Pan nie wie?!... Przecież jestem Franc... dawny ordynans pułkownika von Wassenfeld!...

– I ty tutaj...

– I nie tylko ja, ale cały nasz pułk jest!... Byliśmy w brygadzie generała Bronowacki'ego, a teraz nas przenieśli do Civalarda... nasz pułkownik pewno generałem zostanie!... Ale co pan, panie von Zabielski! Myślałem, że to ranny żołnierz!...

– Hm!... Tak!... Zapewne!

– Mnie wszystko jedno!... Niech pan tylko stąd uchodzi, bo tu może być bitwa!...

Na potwierdzenie tego ostrzeżenia las zabrzmiał silniejszym odezwe armatnim.

– Niedługo będzie koniec! – zakonkludował obojętnie Franc. – Jeszcze się trzymają, lecz nasi ich zgniotą – niosę właśnie rozkaz!...

– Rozkaz, mówisz?! Pomóż mi powstać!... Dziękuję ci!... Jakżeś się tu dostał!...

– Ha, panie... przyczołgałem się prawie!... Cha! Cha! A wie pan, jak się to stało, zem pana poznał?... Oto chciałem z pana ściągnąć ten mundur!... Rozumie pan – w moim mogą mnie poznać! Ale nic!... O, tam leży jakiś ranny!... Muszę biedakowi zrobić przykrość!,,

Franc podbiegł do leżącego nie opodal rannego żołnierza i zaczął pośpiesznie obdzierać go z uniformu i, zrzuciwszy swój austriacki, ubierać się weń.

Pan Tadeusz spoglądał ze zdumieniem na tę scenę, nie rozumiejąc jej znaczenia.

Franc szybko załatwił się z odzieżą rannego, nie zwracając nawet uwagi na pogróżki tego ostatniego i przekleństwa, a kiedy zaciągnął pas, raz jeszcze zbliżył się do Zabielskiego.

– A co, panie burmistrzu, wyglądam jak polski piechur!... Cha! cha!... Żeby tak stanął pod tyralierami... to rodzony brat wzięłby mnie na cel!... Idę już!... Niech pan także nie bałamuci! Ogień się posuwa... Ale... czy też pan nie wie, gdzie stoi generał Polentz ze swoją brygadą?!...

– Polentz? Polentz?! – powtarzał ze zdumieniem Zabielski.

– Właśnie!... Saski generał!... Adiutant mówił, w tej stronie!... A tu żywego ducha!

– Więc ty do Polentza idziesz?! Do Polentza?...

– Niby tak! – odparł podoficer spoglądając podejrzliwie na pana Tadeusza.

Zabielski zawahał się.

– Do Polentza!... Hm!... To idziemy razem!...

Franc poruszył się niespokojnie.

– I pan, panie von Zabielski?!... – zagadnął przeciągle.

– Głupiś – odrzekł spokojnie pan Tadeusz. – Daj mi ramię, niech się na tobie wesprę!... Ruszajmy!... Ja też muszę! Byle prędzej!...

Franc ujął pod rękę Zabielskiego i zawrócił z nim razem w głąb lasu.

Pan Tadeusz z wolna odzyskiwał siły i coraz zimniej zastanawiał się nad tym niezwykłym spotkaniem; nadto ten żołnierz z pułku von Wassenfelda przypominał mu żywo Ostrów. Po dwakroć chciał Zabielski zagadnąć Franca o nowiny... po dwakroć powstrzymywał się, dręczony obawą. Podoficer atoli pierwszy nawiązał rozmowę:

– No... no, ale co pana burmistrza tu bym się był nigdy nie spodziewał!...

– Dawno wyciągnęliście z Ostrowa?

– Już bodaj ze dwa tygodnie!... Dywizja ścierała się w Hły!... A pan, panie burmistrzu, przepadł jak kamień w wodę!... Pułkownik co dzień mnie posyłał dowiadywać się, czy pan nie powrócił!... Aż potem, jak się rozszedł słuch, że pan za granicę wyjechał – zaprzestał!

– Co za słuch?...

– At, ja tam niewiele wiem! Tak powiadali!... Burmistrz podobno nowy!... Z Lublina przyjechał!

– Taak! A u mnie w domu?... Nie wiesz?...

– Pewnie, bom na wartę chodził.

– Na jaką wartę?

– To pan nic nie wie?... Zwyczajnie, jak napletli, że pan uciekł... więc zjechała jakaś komisja, dom zrewidowała, a panią burmistrzową pod straż wzięła.

Panu Tadeuszowi w oczach pociemniało.

– Pod straż?... Ją?... A teraz?... Gdzież jest?

– Nie wiem... Jak myśmy wyciągali, to jeszcze była, bo, pamiętam, pułkownik prosił za nią nowego burmistrza. Odwach zajął trzeci batalion wołtyżerów.

Złowieszcze przecucie szarpnęło Zabielskim. Franc nie zwracał na to uwagi i prawił dalej, rozglądając się bacznie dookoła:

– Et! Stać się jej nic nie stało! Kto by tam taką gładką niewiastę chciał skrzywdzić! Ba! Toć ten nowy burmistrz tak na nią poglądał...

– Milcz!

Franc stropił się.

– Kiedy pan nie chce – mnie nic do tego! Jeno pośpieszajmy! Więc pan powiada, generał Polentz tu stoi?

Pan Tadeusz otrząsnął się i rzucił ostro:

– A tobie na co generał Polentz?

Franc zmrużył filuternie lewe oko.

– Na cóż by?... W odwiedzinie idę do niego.

Zabielski nachmurzył się.

– Odpowiadaj bez kpin!

– Więc... czegoż, pan pyta?... Albo mnie generał kum czy swat?... Kazali, ot idę!

Zabielski schwycił podoficera za rękę.

– Muszę wiedzieć.

– Co panu?... Skąd?... Służba!...

– Nie puszczę cię inaczej!... Rozumiesz?

Franc roześmiał się sucho.

– Panie von Zabielski, niech pan się zastanowi! Rozkaz! Żebym pana nie znał... tobym...

Zabielski rzucił się na podoficera i schwycił go za gardło.

– Właśnie że mnie nie znasz jeszcze!

Franc targnął się gwałtownie i uderzeniem pięści powalił pana Tadeusza na ziemię.

– Masz teraz dosyć! Ale poczekaj, panie von Zabielski!... Za moje dobro! Zaraz zrobimy porachunek... Ciekawy jesteś?... Powiem ci... A potem poproszę, żebyś zachował tajemnicę...

Franc zaśmiał się sucho i, cisnąc kolanami obezwładnionego pana Tadeusza, jął krępować mu ręce i nogi.

– A miałem dobre przeczucie... Jak cię zobaczyłem pod krzakiem, to myślałem sobie: niech zdycha!... Żal mi się zrobiło i doczekałem się ciekawości! Widzisz, miałem cię za dobrego człowieka, a tyś mnie chciał zadławić! Leżysz teraz jak baran... Słuchaj, panie von Zabielski... Wiesz, z czym idę do generała Polentza?... Jak ci się zdaje?... Z rozkazem, kochanku... żeby się ruszył i wam Polaczkom, niespodziankę wyprawił! Rozumiesz?!... Rzucasz się! Teraz, kiedy wiesz, trzeba żebyś nie mógł powtórzyć. Mógłbym cię zabić – ale nie mam serca... idzie tylko o tajemnicę.

Franc obwinął sobie lewą rękę kawałem szmaty i pochylił się nad Zabielskim. Pan Tadeusz w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co z nim Franc uczynić zamierza. Wątpliwości były krótkie.

Podoficer uchwycił go prawą ręką za szczękę i jął mu ją roztwierać.

– Tylko języczek, panie Zabielski... Tylko języczek!

Pan Tadeusz bronił się rozpaczliwie. Tarzał się, wykręcał głowę, zaciskał szczęki, a równocześnie czuł, że traci z wolna siły. Podoficer stracił cierpliwość i, zaparłszy się kolanami o piersi Zabielskiego, silniej wpił palce w ścięgna szczęk.

– No, spokojnie!... Bez korowodów! Twoja tajemnica, a mój język!...

Franc już był wtłoczył pięść w usta pana Tadeusza, już miał schwycić za język, gotował się, aby szarpnąć zań – gdy wtem rozległ się za jego plecami ostry głos:

– Co wy tu robicie, do czarta... Bijatyka teraz?... Precz, bo cię rozplątam!...

Podoficer odskoczył od Zabielskiego – przed nim stał porucznik; w bogatym, karmazynowym mundurze.

– Spod czyjej komendy?! – zapytał znów porucznik; lecz Franc, w odpowiedzi, uderzeniem pięści powalił go na ziemię i rzucił się w gąszcz leśny.

Porucznik zerwał się z ziemi i chciał gonić śmiałka, lecz Franc znikł już za krzakami. Porucznik odsapnął, zaklął z cicha, a posłyszawszy stękanie Zabielskiego – pochylił się nad nim i rozciął krępujące go rzemienie.

– Wstawaj, pójdziesz ze mną do najbliższego posterunku!... Tamtemu płazem nie puszczę...

Pan Tadeusz podniósł się z wysiłkiem, a spojrzawszy na porucznika, wyjąkał:

– Porucznik... Skrzynecki!...

– Waćpan... waćpan tutaj znów?

Pan Tadeusz opowiedział pokrótce swoją przygodę. Skrzynecki załamał ręce.

– Waszmości chyba się zdaje?! Do generała Polentza goniec od Austriaków!... Nie może być!...

– Znałem go!... Był w pułku!... W moich oczach się przebierał!...;

– Do licha!... Głowę tracę!... Konia mi ubili, jak wracałem z ordynansu do drugiego pułku! Co tu robić!... Gdyby Sasi zdradzili!... Klęska, pogrom!... Strach pomyśleć!...

– Trzeba śpieszyć z rozkazem do generała!

– Na co?! Ten nicpoń... dotrze prędzej!... Polentz stoi tuż za lasem! Jeżeli zdrada jest uplanowaną – przepadło wszystko! Kawalerii trzeba! Na Boga, ruszajmy stąd!

– Ledwie nogami włóczę!...

– Zostać tu nie możesz!... Naprzód! W głowie mi się mąci, co począć!

Skrzynecki, podpierając Zabielskiego, zawrócił w bok od pozycji saskiego korpusu. Na szczęście, po ujęciu kilku staj, las zaczął rzednąć. Unoszące się kłęby dymów armatnich i coraz mocniejsze odgłosy wskazywały, że plac boju musi być niedaleko. Na skraju lasu Skrzynecki z Zabielskim spotkali wóz ambulansowy. Porucznik bez namysłu dopadł do niego, nie bacząc na protesty idącego przy wozie chirurga, kilku cięciami pałasza poprzecinał powrozy uprzęży.

– Mości adiutancie! Gwałtu się dopuszczasz!

Skrzynecki w odpowiedzi wskoczył na najbliższego konia i zakrzyknął na pana Tadeusza, aby na drugiego siadał. Chirurg groził, zwoływał wlokącą się za wozem służbę na pomoc, lecz Skrzynecki puścił konia, Zabielski poszedł za jego przykładem.

Kiedy już oddalili się od ambulansu, porucznik zwolnił.

– Musimy pod Raszyn!...

– Nie dojadę!...

– Zmagaj się waćpan!... Możesz, być potrzebnym! Sam nie wiem, co czynić!... Nigdzie wojska! Wszystko musiało ruszyć... a tu na tyłach zdrada!...

– Poruczniku... lepiej by mu zawieźć ordynans od generała Fiszera!

– Toć mu go zawieziemy!... Byle choć dwie kompanie piechoty!

– Lędźwie mi mdleją!

– Czekać!... Chodź na moje siodło! Siadaj za mną i trzymaj się!...

Pan Tadeusz przysiadł się na koniu porucznika. Skrzynecki spiął go ostrogami i pomknął w stronę traktu prowadzącego do Warszawy. Już prawie pod samą karczmą raszyńską, która

teraz z głównej kwatery przeistoczyła się w szpital polowy – dostrzegł porucznik oddział strzelców konnych z wolną posuwających się drogą. Skrzynecki bez namysłu zawrócił ku niemu.

– Kto dowodzi? – zakrzyknął z daleka porucznik.

– Kapitan Grabski, do usług!

– Ile koni?...

– Pół szwadronu!

– Ruszaj za mną!

Kapitan Grabski ściągnął konia i rzekł niechętnie:

– Pomyliłeś się, panie adiutancie!... My tu jesteśmy poza... wszelkimi rozkazami! Eskortujemy bagaże.

Skrzynecki targnął się na siodle i zdarł konia.

– Pamiętajże waćpan... jeżeli klęska wypadnie... jeżeli księżę minister padnie ofiarą – będziesz odpowiadał, boś odmówił...

– Gdzie księżę?

– W ogniu!

– Więc ten oddział...:

– Potrzebny mi jest dla przeszkodzenia zdradzie!...

– Prowadź waszmość!

VII

Kolumna saska właśnie była się zbierała i szykowała do marszu, tworząc zwarty a zamknięty w sobie czworobok. Dwa bataliony piechoty z bronią do nogi stanowiły silną obronę flanków – dwanaście armat z mocną obsługą były jądrem korpusu, za armatami trzeci batalion rezerwowy, a za nim jeszcze szwadron huzarów w odwodzie.

Generał Polentz ostatnie wydawał rozkazy, stojąc pośrodku swego sztabu a ze zmarszczonym czołem rozpatrując trzymane w ręku papiery. Troska jakaś czy wahanie biła z twarzy generała. Od czasu do czasu Polentz zwracał się do pułkownika artylerii i zamieniał z

nim urywane zdania. W końcu zniecierpliwienie jakieś dokuczyło Polentzowi, bo ozwał się gniewnie:

- Bronowacki oszalał! Takiego trutnia przysyłać, licho wie teraz! Rekonesans nie wrócił?
- Nie, generale!
- Tu można w matnię wpaść!
- Sądziłbym – rzekł szeptem pułkownik – że moglibyśmy ruszać.
- Dokąd? Manewr na tyłach! Gotów nas zapłatać! W razie nieszczęścia nawet w Dreźnie nas się wyprą!

– Jada! Jada! – rozległy się stłumione głosy pośród sztabu.

Polentz odetchnął.

– Przecież się czegoś dowiemy! Prędzej!... Prędzej!...

Rekonesans przyprowadził ze sobą żołnierza w mundurze wojsk Księstwa Warszawskiego.

Polentz nie posiadał się z gniewu. Młody oficer huzarów stanął przed generałem.

– Straciłeś pan zmysły?

Oficer w odpowiedzi podał generałowi papier.

Polentz rozwinął pośpiesznie, rzucił okiem i bąknął pod nosem:

– No... no, przecież... nareszcie... Dobrze... dobrze! Wracaj pan do szwadronu! – za czym, zwracając się do pułkownika artylerii, dodał: – Sygnały natychmiast! Mohr umie się brać do rzeczy! Ale... powiedz pan... w razie czego, wszyscy oficerowie otrzymają awans o dwa stopnie i żołd podwójny za cały rok!...

Pułkownik kiwnął konfidencjonalnie głową.

– Więc w każdym razie ruszamy natychmiast?!

– Powoli można!... Sztab niech będzie przy mnie!... Gwałtowne ruchy zwrócą uwagę!

Pułkownik chciał był powtórzyć adiutantom rozkazy generała i dobierał jeszcze w myśli półsłówki – kiedy z lewego skrzydła dano znać o zbliżaniu się oddziału strzelców polskich.

Polentz zaklął, lecz dostrzegłszy z daleka karmazynowy mundur adiutanta, uśmiechnął się do siebie i polecił przepuścić oddział – do pułkownika zaś szepnął:

– Ręczę, że gwałtowny ordynans, bo mu dla pewności eskortę przydzielono!

Na dany znak batalion piechoty rozstał się przed najeżdżającym półszwadronem pierwszego pułku. Strzelcy jak burza minęli szeregi piechoty, wdarli się pomiędzy armaty, a prowadzeni przez Skrzyneckiego, stanęli przed Polentzem.

Generał już wyciągnął rękę do kapelusza, aby odpowiedzieć na oczekiwany ukłon wojskowy, lecz Skrzynecki zakomenderował ostro:

– Formuj dwójki! Za mną! Marsz!...

Za czym nawrócił konia i zatoczył nim tak, że jadący za nim strzelcy opasali cały sztab saski.

– Stój!... Odwróć front do środka!... Baczność!... Cel!...

Strzelcy podnieśli karabinki do oka. Kapitan Grabski nie posiadał się z alteracji.

– Mości poruczniku!... Co czynisz?!

– Dowiesz się natychmiast!... Rozkaz!...

Lecz bardziej od Grabskiego zmieszali się oficerowie sascy, zobaczywszy przed sobą lufy karabinków. Polentz zbladł.

– Panie adiutancie! – huknął ostro. – Jesteś chyba pijanym, chcesz, abym cię na szablach kazał roznieść?!

Skrzynecki podniósł trzymany pistolet na wysokość ramienia.

– Ale najpierw pan, generale, zginiesz!...

– Co to ma znaczyć?!

Oficerowie sascy dobyli szabel.

– Jeszcze jeden ruch, a żaden z was żywym nie ujdzie!...

Pan Tadeusz zsunął się z konia i podał Polentzowi rozkaz Fiszera. Generałowi ręce tak drżały, iż nie mógł go odczytać – oddał go więc pułkownikowi. Pułkownik rzucił okiem i wzruszył pogardliwie ramionami.

– Wezwanie, abyśmy zajęli pozycję na drodze za Raszynem!

Polentz spojrział pytającym wzrokiem na Skrzyneckiego.

– Zapytuję więc, czy masz zamiar, panie generale, wypełnić rozkaz?

Polentz zębami zgrzytnął.

– Pan śmiesz pytać?... Dosyć tego – precz stąd!... Dopuszczasz się gwałtu! Pan będziesz... rozstrzelanym!... Ja tego płazem nie puszcę!...

– Być może!... Ale tymczasem proszę o odpowiedź!...

Generał saski oburzył się.

– Pan śmiesz pytać?... Dosyć tego – precz stąd!...

– Baczność – huknął znów Skrzynecki, a potem dodał spokojnie: – Zechciej, panie generale, wydać rozkazy – obecny tu kapitan Grabski powtórzy rozkazy twoim żołnierzom – ja zaś mam obowiązek pełnić i nadal służbę pańskiej gwardii przybocznej!...

– Będziesz wisiał! – syknął przez zęby Polentz.

Skrzynecki w odpowiedzi skinął na stojącego w pobliżu wachmistrza szefa. Polentz zwrócił się był tymczasem do pułkownika i, wściekłym wodząc wzrokiem po otaczających go strzelcach, wydawał mu ciche rozkazy.

W oddali rozległ się chrzęst zbliżającego się truchtem szwadronu strzelców, snadź zaalarmowanego przez któregoś z oficerów. Lada chwila miała paść ostatnia iskra.

Generał saski, po naradzie z pułkownikiem, zwrócił się znów do Skrzyneckiego – chłodniejszy, pewniejszy siebie – gdy naraz stało się to, czego zadufany Polentz, nawet w razie stawienia go przed Radą Wojenną Księstwa, spodziewać się nie mógł. Oto wachmistrz szef, zebrawszy pluton żołnierzy, przecisnął się niepostrzeżenie przez łańcuch strzelców, wpadł pomiędzy gromadkę saskich sztabowców i w jednej chwili tak ich poprzegradzał, że każdy oficer miał za plecami lufę pistoletu.

Polentz wpadł we wściekłość – dwóch żołnierzy trzymało go między sobą.

– Słuchaj ty! – wołał chrapliwym głosem. – Czy ty wiesz, z kim masz do czynienia?

Zabielski, stojący tuż przy Skrzyneckim, wskazał na myszkującego między sztabem saskim człowieka. Adiutant dał znak dwóm najbliższym żołnierzom. Polentz umilkł. Franc, wystraszony, stał już pod konwojem i bełkotał szczegóły swego ordynansu.

Polentz zmiękł. Jeszcze się odgrażał, jeszcze klął się na zemstę jego królewskiej mości – lecz w końcu pod stalowymi lufami uległ i udając szczere oburzenie, jał wydawać rozkazy swemu korpusowi. Rozkazy odbierał Grabski i rozwoził. Skrzynecki pilnował każdego ruchu, a czując w pozornej uległości zasadzkę, bez ogródek nakazywał zmianę.

Oddziały saskie szły karnie za głosem komendy – z początku dziwiły się, że przed nimi harcuje kapitan polskich strzelców, że nie widzą adiutantów Polentza, lecz mając przed sobą pióropusz generalski, nawet w głowie nie miały, żeby temu pióropuszowi grozić co mogło.

Polentz stygł z wolna i z właściwą sobie przebiegłością ratował swoją sytuację, troszcząc się, aby ruchy jego kolumny oddały istotną przysługę polskim oddziałom, aby dostrajały się do planów, aby sekundowały innym manewrom. Skrzynecki jednak go nie opuścił. Obawiając się nadto tej pozornej uległości saskiego generała – przywołał do siebie pana Tadeusza.

– Jakże waćpan się czujesz?!...

– Jeżeli trzeba czego!...

– Pytasz?!... Ja stąd odjechać nie mogę... raportować naczelnikowi sztabu... muszę! Zbierz waćpan siły!... Ty jeden znasz sprawę!... Bodaj batalion postawić im na plecach!...

– Konia!...

– Bierz, którego chcesz!... Hej, mości panie adiutancie! – zawołał Skrzynecki po niemiecku do młodziutkiego oficera huzarów, siedzącego na roslym anglezie. – Zsiądź, proszę, z konia!...

Oficer poczerwieniał.

– Mnie może tylko rozkazywać mój zwierzchnik.

– Et, ceregiele! Sierżant, pomóż zejść panu porucznikowi!...

Huzar chciał stawić opór, lecz musiał ulec przed przeważającą siłą.

Pan Tadeusz parł prosto ku Falentom, spodziewając się tam znaleźć naczelnika sztabu.

Las powoli zaczął rzednąć i przeświecać szarzyzną. Zgiełk i wrzawa dobywały się coraz wyraźniej z huku armat, kule warczały.

Zabielski, kołując między drzewami, zdołał wydostać się nareszcie z lasu– lecz tu spotkał go zawód. Oto cały przestwór wolny tonał w nieprzeniknionej mgłę dymów, wśród których widać było zaledwie niepewne cienie snujące się tu i ówdzie. Czasem kula armatnia darła zasłonę, ukazywała rąbek stojącej kolumny i wpadała do lasu, a za nią mgły znów zasnuwały wyżłobioną drogę. Czasem w dali silniej, żywiej błysnęła smuga ognia, czasem wśród skłębionego dymu ukazała się wstęga ułańskich chorągiewek.

Zabielski był w rozpacz – nie wiedział, ani w którą stronę się udać, ani w którym punkcie się znajdował. Przed nim ciemń ponura, straszna, hucząca, za nim las drżący w posadach, mnożący każdy odzew, każdy jęk ziemi.

Pan Tadeusz chciał być zawrócić konia do lasu, gdy wtem z toni dymów ujrzął dobywającego się jeźdźca. Zabielski bez wahania zawrócił ku niemu.

– Hej – zawołał gorączkowo. – Gdzie naczelnik sztabu? Gdzie generał Fiszer?!...

– Ranny! – ozwał się chrapliwy głos.

– Na Boga!... Jadę z ordynansem – gdzie sztab?!

– Skręć na lewo, w tę stronę – znajdziesz pewno Rautenstraucha!... Ale radzę ci zaniechać!... Lada chwila będą tu Austriacy.

– Co waszmość?!... Gdzie księżę?!...

– W ogniu!... Daremnie!... Pogrom!... Sokolnicki ranny... Godebski... kona!... Falenty się palą!...

Zabielski chciał jeszcze pytać, lecz jeździec wysunął się na bok i pomknął ku lasowi.

Wskazówka była dokładną – o paręset kroków zaledwie, we wgłębieniu leśnym stał Rautenstrauch pod osłoną półszwadronu ułanów. Około niego na noszach polowych leżał ranny Fiszer...

Garść adiutantów kupiła się około generałów, rozpraszala się, ginęła w dymie i zbierała się.

Zabielski ledwie mógł rozpoznać oficerów. Barwne, lśniące ich mundury a potrzeby szerniały, okryły się strzępami, pozłociste blachy pociemniały, na srebrem haftowanych rękawach, na zawieszistych szlufach bielily się szmaty krwawe... Na twarzach sztabowców, twarzach osmolonych prochem, obryzganych krwią – groza osiadła.

Rautenstrauch, a za nim adiutanci za każdą przywiezioną wieścią, za każdym mocniejszym odgłosem zgiełku, za każdym wyraźniejszym dźwiękiem pobudek pochyłali się ku noszom i z posiniałych ust Fiszera rwali rozkazy i powtarzali je walczącym szeregom.

Zabielski jak wichur wpaść między sztabowców i głosem urywanym zdał krótki raport. Raport straszny. Nikt nie pytał już teraz pana Tadeusza, skąd wziął wiadomość, kto go przysłał i jakim prawem ordynansem został.

Rautenstrauch stracił głowę. Po dwakroć kazał sobie powtarzać szczegóły wykrycia szacherek saskiego generała, po dwakroć oglądał się po swych adiutantach, jakby rady ich szukając, wreszcie pochylił się do Fiszera.

– Generale! – rzekł ze drżeniem w głosie. – Słyszałeś?!

Naczelnik sztabu podniósł na Rautenstraucha mgłą przysłonięte oczy.

– Łotr! Nikczemnik!... Podejrzewałem go... nie ufałem!...

Głuchy łomot bębnow rozległ się w pobliżu. Fiszur ożywił się.

– Co to? Jaki oddział? Dokąd?

– Ostatnie dwa bataliony drugiego pułku piechoty! – odrzekł Rautenstrauch. – Leczą cóż one zaważają... gdy na tyłach pogrom nam gotują?!

.Na bladej twarzy naczelnika sztabu ukazały się krwawe wypieki.

– Rautenstrauch! – zawołał z mocą. – Zwróć bataliony na tyły!... Niech staną na flankach Polentza – dać je Skrzyneckiemu pod rozkazy!

– Generale!... A tam... czeka książę... tam nie wytrwają, tam lada chwila złamią linię!... Generale – słyszałeś? Olszyna wzięta... Falenty zapalone granatami!... Sam książę w niebezpieczeństwie!

– Mówisz... książę?... – Nie – ojczyzna!... Naprzód!...

– Generale! Czy podobna?!

Fiszur uniósł się na noszach i huknął na stojących w pobliżu ułanów:

– Konia!...

– Generale! Na Boga!... Co zamierzasz uczynić? Bacz na ranę!...

– Nic! Obejmuję dowództwo sztabu! – odrzekł sucho Fiszur i, nie zważając na błagalne przedłożenia Rautenstraucha, kazał się wsadzić na konia, popręgiem w pół przywiązać i do siodła przytroczyć. Dwóch ułanów wzięło między siebie naczelnika sztabu. Rautenstrauch poglądał ze zdumieniem na swego szefa. Leczą szef sztabu Księstwa jakby odżył. Nacisnął z fantazją podany mu kapelusz i zawołał swym stalowym, nie znającym oporu głosem:

– Rautenstrauch! Słyszałeś... rozkaz!... Marsz! A my, mości panowie, pójdziemy naprzód!... Tam każde ramię może zaważyć!...

Fiszer zwrócił się do towarzyszących mu ułanów, aby wypuszczali konie. Adiutanci ruszyli śmiało za swym szefem. Widok generała, którego dopiero co mieli za straconego – obudził w adiutantach zapał, jakąś gorączką napelnił ich serca, żarem przepoił.

– Za mną! – huknął rażno Fiszer.

– Niech żyje szef sztabu! – zawołała świta i wypadła bezładną gromadą w odmet kłębiących się dymów.

Już nieomal o zmroku arcyksiążę Ferdynand sam postanowił spróbować szczęścia. Zebrał dwie mocne kolumny i podczas gdy jedną z nich rzucił na trakt raszyński – drugą zaszachował lewą stroną pozycji, obiecując sobie przeprawę przez położone w tym miejscu bagna.

Szesnaście armat przywitało Austriaków na trakcie – osiem na bagnach. Rozprawa była krwawa. Armaty rychtował Poniatowski z Pelletierem – Sołtyk z Biegańskim podpalali zapaly. Polentz, dowodzący teraz swej nagłej prawomyślności, stawiał się mężnie na czele piechoty.

Lecz plan arcyksięcia był mistrzowskim. Wojska ustawiono tak, że atak za atakiem miał następować, i to coraz silniejszy, coraz cięższy. Noc zapadająca utrudniała obronę, osłaniała austriackie kolumny – grenadierzy cesarscy mieli już ostatni cios zadać, gdy wtem od strony Warszawy rozległy się dźwięki marsza wojskowego, a wraz z nim potężna a znana żołnierzom Księstwa – pieśń.

Sztab polski się zdumiał. Czterech adiutantów ruszyło na wywiady, lecz zanim powrócić zdołali – już do pozycji, gdzie Poniatowski pracował przy armatach, doszło szalone szczęściem, pijane radością zawołanie: „Dąbrowski idzie!”

Książę zdumiał się i przyzwał Rautenstraucha.

– Co się dzieje?!... Dąbrowski tutaj?!...

– Dwunasty pułk piechoty Księstwa Warszawskiego nadciągnął z Kalisza i czeka rozkazów waszej książęcej mości! – meldował znajomy głos.

Poniatowski odwrócił głowę od lawety i ledwie oczom własnym mógł uwierzyć: o dwa kroki przed nim stał pułkownik Weysenhoff.

– Z nieba mi spadasz! Gdzie twój pułk?!

– Idzie! Już go słyhać!... Generał Dąbrowski wysłał mnie po rozkazy! Za nami osiemset ochotnika toruńskiego pod Rybińskim!...

– Dzielnie! Niech żyje Dąbrowski! Marsz na lewe skrzydło! Widzisz, jak się czają ku nam te smugi?... Naprzód!

Weysenhoff ruszył galopem do swego pułku.

Przybycie odsieczy zniweczyło plan arcyksięcia – lecz czy odsiecz to była zasługa?!...

Zanim dwunasty pułk pochodowy szyk zmienił na bojowe kwadraty, zanim dotarł do wyznaczonego mu miejsca – Austriacy już dostać nie mogli, już ustępowali, już chwiali się – bo żołnierz Księstwa krzepił się zawołaniem: „Dąbrowski jest”... A kiedy nadto na placu mignął się generalski pióropusz, gdy padły z jego ust powitania rubaszne, urywane, lakoniczne, jednosylabowe czasem, a zawsze płynące z niepożytego męstwa, z serca – żołnierze Księstwa podnieśli głowy i jęli dowodzić w oczach generała pochlebnych jego mniemań.

Około ósmej z wieczora ogień armatni zwolniał. Tyralierskie strzały rzedyły – trąbki grały na zbór oddziałów.

Wojska nieznacznie, każdy krok waząc, jęły cofać się. Mocne widety zajęły ich stanowiska, oddziały rezerwy, gotowe do odparcia napaści, stanęły w pogotowiu, a za nią dopiero jęły rozpalać się ogniska obozowe, skupiać przetrzebione szeregi.

Zmordowany aż do znieczulenia żołnierz teraz dopiero czuł upadek sił, teraz dopiero, ściągając z siebie poszarpany na szmatę mundur, postrzegał niekiedy i sine plamy na swym ciele z odebranych kontuzji, i na wpół zasklepione cięcia, a czasem i rany obrzęknięte, nie wyjaśnione, nie wytłumaczone ani z tego, że mu tyle godzin walczyć pozwoliły, ani z tego, czym były zadane.

Na krwawym cmentarzysku leżało już dwa tysiące żołnierza – a tu, u obozowych ogni jeszcze śmierć i niemoc, i kalectwo obfity plon zbierało, i tu ten, co układał się do spoczynku, nie był pewien, czy się podniesie, czy zaogniona rana prędzej doczeka się opatrunku niż gangreny.

Sztabslekarz Puchalski z chirurgami: Przybylskim, Przyszańskim i Kochem – chodzili wśród ognisk niby drwale po lesie wybierający drzewa pod topór – jeno gdy tam w lesie nacięcie kory jest wyrokiem śmierci, tu postawiony felczer znaczył, iż nadzieja życia nie zagasła. Żołnierz to rozumiał, odgadywał i w ponurym milczeniu poglądał, czy przywołają doń nosze, czy go wezmą do ambulansów... czy ciało jego uznają wartym zwoju szarpi i kawałka bandaży.

VIII

Warszawa nie spała. Około Jerozolimskich rogatek tłumy ludzi zebrały się z pełnym grozy lękiem przezierając wlokące się wozy ambulansowe. Z zapartym oddechem, ze ściśniętymi ustami witano każdy furgon wypełniony bezładną masą ciał ludzkich, ciał dyszących ciężko, niekiedy skurczonych już, zastygłych...

Czasem spod białej płachty wozu wyjrzała twarz blada, zakrwawiona, naznaczona cierpieniem, i szklane swe oczy wpijała w falującą cizbę – czasem na spojrzenie to odpowiadał okrzyk zgrozy, czasem tylko spazm żalony, przejmujący.

Ambulanse ciągnęły długą, nieprzerwaną wstęgą, bo gdy idące przodem zdołały uwolnić się z krwawego ciężaru – wypuszczały konie i bocznymi ulicami dążyły znów na pobojuwisko, aby po raz wtóry i trzeci zabrać nowy ładunek ciał i znów pełznąć w szeregu.

Tak mijały godziny. Tłum stał jeszcze. Aż nagle rozszedł się między nimi grobowy szept:

– Godebski jedzie! – Szept zakołysał tłumem, przeniknął go wskroś i zaparł w nim oddech, stłumił serc bicie.

Na drodze, pomiędzy łańcuchem wozów, ukazała się bryczka otwarta. Dwóch żołnierzy prowadziło za uzdy młode, zrywające się konie. Dwóch innych szło po bokach, trzymając zapalone pochodnie.

Tłum odkrył głowy na powitanie i wzrokiem rozpalonym, niespokojnym spoglądał ku bryczce, nie rozumiejąc z początku tego dziwnego widoku.

Bryczka istotnie osobliwie wyglądała. Na pierwszy rzut oka zdawała się być marami. Gdy atoli wzrok opanować zdołał blaski migocących pochodni, przeistaczała się w łoże, na którym rysowała się sylwetka leżącego na wznak pułkownika, a ponad nią cienie kilku ludzi. Dopiero kiedy kto zdołał przysunąć się do plecionego wezglowia bryki, kiedy pochwycił coś z urywanych słów, które cienie ze sobą zamieniały – wówczas rozumiał, czym była ta bryczka, wówczas dreszcz zimny wskroś go przenikał i ścinał mu krew w żyłach. Bryczka była lazaretem.

Chirurg Przysański z rękami zakasany po łokcie a ociekającymi jakąś czarną, straszną pianą... opatrywał Godebskiego. Nie opatrywał, lecz walczył z porwanymi żyłami, z podartymi tętnami... Dwóch cyrulików pomagało mu w pracy...

Przysańskiemu ręce omdlewały ze zmęczenia – lecz jeszcze nie ustawał, jeszcze nie dawał za wygraną. Stalowymi szczypcami chwycił weny³⁹, zakręcał, wiązał, naciągał niby struny... Struny jednak wyslizgiwały mu się, uciekały w głąb rozwartych ran i stamtąd buchać zaczynały potokami krwi. Przysański znów je chwycił, znów zaciskał i znów naciągał na

żelaźce. Wreszcie, po zażartej walce odetchnął ciężko – struny życia były namotane, lecz życie samo już prawie że spłynąć zdołało.

Chirurg spojrział ku wezgowiu, na którym sierżant Świerzyński trzymał głowę pułkownika, i rzucił przez zęby:

– Oddycha?!

Sierżant skinął głową.

– Dajcie mi pić! – szepnął z wysiłkiem pułkownik.

– We...dług rozkazu! – wybełkotał sierżant i drżącymi rękoma przytknął do ust Godebskiego kubek z przygotowanym napojem. Napój orzeźwił Godebskiego, rozjaśnił mu spojrzenie.

– Kto przy mnie?

– Świerzyński... sierżant... panie pułkowniku!

– Ty... ty, stary? Wszak... widziałem... byłeś ranny!

– Nie... nie, panie pułkowniku! Bierz... diabli... nic mi!...

Godebski uśmiechnął się.

– Patrz... a mnie się zdawało... że wszyscy!... Dookoła mnie tylko czerwono, krwawe zasłony... tylko poszarpane ciała... tylko trupy!... Dlaczego tak cicho?! Armaty nie grają?!... Gdzie jesteśmy?

– Warszawa...

– Warszawa... Warszawa... A mnie marzyło się... że już odszedłem daleko... od swoich... od ziemi... że już nie powrócę, że już nie zobaczę... moich chłopaków!... Jak ciemno!...

– Noc, panie pułkowniku!

Na twarzy Godebskiego zarysował się skurcz niepewności.

– Sierzancie!...

– Uważam, panie pułkowniku!

– Nieprzyjaciel?!...

– Rej... zrejterował, panie pułkowniku!

– Podnieś mnie!

– Mości pułkowniku, zaklinam, ani ruchu! – upominał Przysański.

Lecz Godebski targnął się i uniósł głowę. W tejże samej chwili ból drętwy, palący złamał go i powalił na ręce sierżanta.

Pułkownik jęknął głucho.

³⁹ W e n a (łac. vena) – tu: żyła, naczynie krwionośne.

– Teraz wiem! – szepnął siniejącymi wargami Godebski. – Teraz przypominam sobie!... Olszyna wzięta... Dobiecki... Potem. atak za atakiem!... Bez pomocy!... Pogrom – straszny! Grenadierska kompania wycięta w pień!... Świerzyński!... Podaj mi rękę!... Umieram!...

– Dąbrowski, Dąbrowski! – zawołał nagle tłum rozstępując się przed nadciągającym generałem, który jechał nasepiony z Zajączkiem i Szczanieckim. Gdy zrównał się z bryką wiozącą Godebskiego – zdarł konia i zagadnął żołnierzy niosących pochodnie :

– Kto to?

– Pułkownik Godebski!

Dąbrowski zeskoczył z konia i podszedł ku bryczce. Zajączek i Szczaniecki poszli za jego przykładem.

Dąbrowski ujął pułkownika za rękę i rzekł z przejęciem:

– Panie Cyprianie!... Szukałem was!... Nie poznajecie mnie?...! Dąbrowski!

– Generał tutaj?!... Myślałem, że was już nigdy nie będę oglądał!...

– Cóż znowu!... Pułkowniku!... Nie dawać się zwątpieniu...

– Ja też nie wątpię!... Podnieście mnie! Generale... dwóch chłopaków zostaje... wdowa! Wspomnijcie na nich, niech na poniewierkę nie idą!...

– Pułkowniku!... – zawołał z energią Dąbrowski. – Precz z mazgajstwem!... Rana ci nie pierwszyczna!

– Ja się też nie skarżę! Generale! Pamiętajcie na Gavarda!... Majora Gavarda. Stawał jak lew... widziałem go z daleka, jak prowadził!... Jemu odznaczenie się należy... awans!

– Gavard?! – szepnął dziwnym głosem Dąbrowski. – On już i awans wziął, i... nagrodę najwyższą!...

Godebski odetchnął z trudem.

– Najwyższą, mówisz? Wielki oficer... generale... A kto tu stoi z drugiej strony?!

– Zajączek!... Nie poznajesz mnie, pułkowniku?

Na twarzy Godebskiego zajaśniał uśmiech. Omdlałymi rękoma ujął dłonie Zajączka i Dąbrowskiego.

– Wy razem? Wy obok siebie?!... Boże!... Więc ulitowałeś się, więc natchnąłeś tych najdzielniejszych duchem miłości!... Słuchajcie!... Pieśń zwycięstwa gra mi w sercu, pieśń tryumfu! Wy razem!... Toć od dziś nie postanie u nas nieprzyjaciół, toć ulec musi! Teraz naprzód!... Teraz do ataku, na bagnety!... Przebaczcie umierającemu!... Lecz niech zobaczę!... Podajcie sobie ręce... Boże, Boże, czym ja śnił o takim szczęściu!... Teraz... pójdę stąd... z głową podniesioną... a jeżeli powołają do raportu raszyńskiego – to powiem Mu... jako wobec

niebezpieczeństwa... wobec nieprzyjacielskich zastępów – nie masz żadnej myśli małej... żadnej intencji mizernej!... Jezu!

Godebski pobladł, usta zacisnął, oczy mu kołem stanęły – jeszcze targnął się raz, spojrzał zbolałym wzrokiem na trzęsącego się jak liść sierżanta i omdlał.

Chirurg z cyrulikami pochylił się nad pułkownikiem i badał puls długo, gorączkowo – wreszcie podniósł z wolna głowę i wyszeptał cicho:

– Skonał!...

Generałowie zdjęli kapelusze i, stojąc wciąż przy Godebskim, trzymali w niemym uścisku stygnące dłonie pułkownika.

Lud, otaczający brykę, pochwycił wyrok chirurga i powtórzył go dalej stojącym gromadom.

– Skonał! – powtórzyły tłumy.

– Skonał!... Skonał! – podchwyciły echa ulic Warszawy.

Bryka stała bezwładnie przez czas pewien, jakby bojąc się z miejsca ruszyć, jakby stukotem kół nie chciała mącić bolesnego skupienia ludu.

Aż Dąbrowski podniósł pierwszy oczy łez pełne i spojrzał ku Zajączkowi.

Zajączek za całą odpowiedź padł w ramiona Dąbrowskiego.

Sznur ambulansów z bryką pośrodku potoczył się znów ku miastu.

Bryka wioząca ciało pułkownika opustoszała. Chirurg z cyrulikami przeniósł się do ambulansu, pochodnie zgasty, żołnierze, trzymający konie i pilnujący boków – poszli za chirurgiem. Został się tylko woźnica, ledwie mogący się uporać z szamocącymi się i zrywającymi do kłusa końmi, i sierżant pochylony nad zwłokami swego dowódcy.

Przez czas pewien woźnica jechał w milczeniu, kołując bocznymi uliczkami, byle się co prędzej do środka miasta dostać – aż, dojrawszy nareszcie wieże kościoła Ojców Misjonarzy, obrócił się na siedzeniu i ozwał się do sierżanta, nie patrząc na zwłoki Godebskiego:

– A gdzie zajechać?... Panie żołnierzu!... Hej!... A gdzie każecie?

Świerzyński podniósł głowę, spojrzał martwym wzrokiem na woźnicę i mruknął przez zęby:

– Ani słowa!... Nie widzisz... pułkownik!...

Chłopak przeżegnał się zabobonnie, a uczuwszy na sobie groźny wzrok sierżanta – zaciął konie i pomknął ku Staremu Miastu.

Klucząc na oślep woźnica przejechał Piekarską, Podwale i Miodową. Pod Marywilem zagroził mu drogę oddział gwardii narodowej. Chłopak zagadnął przechodzącego gwardzistę:

- Wielmożny... ady bo z tym oficerem nie wiadomo, gdzie jechać!
- Ranny?! Do koszar mirowskich!

Woźnica odetchnął i, nie zważając na sierżanta, zaciął konie. Bryka niebawem zajechała przed koszary. Chłopak zeskoczył z bryki, a dojrawszy gromadę żołnierzy, wezwał ich do pomocy. Byli to właśnie lżej okaleczeni maruderzy, którzy tu przyszli szukać opatrunku, posiłku i wiadomości o swoich pułkach, które z oczu stracili.

Każdy tu był zajęty sobą, cisnąc się do kilku oficerów, którzy sporządzali naprędce spisy i starali się między maruderami ład zaprowadzić. Chłopak długo wzywał, zanim któryś z żołnierzy dał się uprosić i poszedł za nim do bryki.

- No, więc czego?! Nie piszcz tak!... Co?!... Umarł?!... Jedź z nim dalej!
- Kiedy bo, panie żołnierzu... ten drugi, żywy... nie dają!
- Co ja wam poradzę?! Kogo tu się zapytać?...
- Toć mówili, oficer!
- I cóż z tego?! Zamarł, toć legło ich dzisiaj, legło! Dla każdej szarży jeden dół wspólny, jedna mogiła... Pod Wolę z nim!

– Co to za bryka? – dał się słyszeć nagle dźwięczny głos.

Żołnierz obejrzał się, a dostrzegłszy oficera gwardii narodowej, Sawickiego, który wartę trzymał w koszarach mirowskich, zdał mu sprawę ze skargi chłopka.

Sawicki skoczył do bryki.

– Hej ty, stary! – zawołał surowo. – Schodź mi zaraz z bryki! Słyszałeś?

Świerzyński mocniej objął ciało pułkownika ani myśląc poruszyć się z miejsca. Sawickiego rozgniewało nieposłuszeństwo.

– Co? Opór! Baczność, do pioruna!

Na głos Sawickiego kilkunastu najbliższych żołnierzy otoczyło brykę.

Już ku sierżantowi wyciągnęły się ręce, już dwie najbliższe uchwyciły go za kołnierz – gdy naraz spośród żołnierzy dało się słyszeć gromkie zawołanie;

– Precz z łapami, bo łby poroztrącam!

Żołnierze cofnęli mimo woli ręce. Sawicki rzucił się ku miejscu, skąd padła groźba.

– Kto śmiał? Kto się ważył?!

Żołnierze rozstąpili się. Przed porucznikiem stanął młody piechur w poszarpanym mundurze.

– Jak śmiałeś?! Chcesz kulą w łeb?!

Piechur odtrącił oficera, a stanąwszy przy bryce, ozwał się śmiało:

– Ani kroku dalej! Baczność!... Czapy z głowy! Tu leży pułkownik ósmego pułku piechoty!

– Godebski! Godebski! – odezwały się bezładne głosy.

– Co acan pleciesz?! – zawołał stropiony porucznik. – Toć patrzcie sami... a nie tykajcie go!...

– Subordynacja, bierz cię diabli! – ryknął sierżant.

W zwiększającej się gromadzie żołnierzy powstał rozgwar. Wszyscy teraz cisnęli się na prześcigi, byle spojrzeć na twarz wielkiego pułkownika.

– On! On!... Nasz najmężniejszy! Wszystkich przeszedł! – szeptano dokoła.

Sawicki pobiegł do koszar szukać pułkownika Kilińskiego. Wieść o przywiezieniu zwłok bohatera Olszynki lotem błyskawicy rozeszła się po koszarach. Tłum rósł, Kiliński wezwał pod broń stojący tu oddział gwardii narodowej i na jego czele podszedł do bryki. Żołnierze wyciągnęli szpaler. Czterech podoficerów zbliżyło się z płaszczem oficerskim, aby na nim przenieść zwłoki. Kiliński z Sawickim stanęli za nimi. Lecz i tym razem spotkała ich niespodziewana przeszkoda – sierżant wyciągnął pięść ku gwardzistom, z taką zjadłością, że wątpić nie można było, iż miażdżyć będzie.

Sawicki chciał uspokoić zapaleńca.

– Ustąp! Oszalałeś?... Bacz, pułkownik Kiliński przed tobą stoi!...

– Milczeć! Subordynacja! Nie znam innego pułkownika!... Naprzód... Ubroczę... bierz cię diabli...

– Sierzancie! – wtrącił z perswazją Kiliński. – Co wam? Pułkownik tu pozostawać nie może! Ułożymy go w koszarach! Usuń się, niech go wyniosą!...

– My eskorta... bierz cię diabli! Naprzód!

– Sierzancie – ozwał się łagodny głos. – Mnie... mnie chcecie?...

Świerzyński poruszył się niespokojnie i tytnął białkami.

– Ktoś ty?!

– Nie poznaliście mnie?... Toć ja... Zabielski... rekrut!...

– Smyk... niedołęga?! – mruknął sierżant. – To dobrze!... Bardzo dobrze!... Pluj w garść... i do mnie! My eskorta!... Był cały pluton!... Zwaliło!... Nic... Noga piecze!... Byle naprzód!...

Sierżant odwrócił się, a zobaczywszy, że żołnierze zdołali, już ponieść ciało pułkownika – ryknął z wściekłością, rzucił się, jakby chcąc z bryki wyskoczyć, i padł na przepojoną krwią słomę.

– Broń... smyku... nie daj! Pierz! On nasz pułkownik!

– Sierzancie, toć umarł... nie żyje...

– Kto? Kto nie żyje?! – zagadnął głucho Świerzyński.

– Pułkownik! Jemu już nie eskorty trzeba, nie plutonu twego, nie pułku... jeno ziemi!...

Odszedł już... a nam pora, sierzancie...

Świerzyński otworzył szeroko oczy i powiódł ręką po twarzy, jakby sen odpędzając, jakby zmorze się broniąc.

Umarł... nie żyje! Smyku! Nie – niepodobna! My eskorta... nie możemy dopuścić! My kule brać powinniśmy! My osłaniać! Niedołęgo, smyku, pleciesz! On... on by, miał lec, kiedy ja żyję?!

IX

Po krwawej bitwie raszyńskiej Rada Wojenna z księciem Józefem chciała gotować się do obrony Warszawy, lecz generał Dąbrowski oparł się podobnemu zamysłowi, poczytując go za zgubny, ile że nie było zadość wojska na obsadzenie rozległych murów stolicy.

Z tego powodu rozprawy były gorące, bo najdzielniejszym oficerom polskim wydało się zbrodnią wydać Warszawę Austriakom.

Głos atoli wodza legionów zwyciężył. Bohaterski Fiszer, Sokolnicki stanęli przy Dąbrowskim. Szło tu przecież nie o jedno miasto, lecz o losy wojny. Szło nie o tanią pochwałę mieszczuchów, lecz o przyszłość narodu.

Wódz austriacki arcyksiążę Ferdynand skwapliwie przyjął podyktowane mu warunki wydania Warszawy, mając dla się za chwałę to, co niebawem miało się przyczynić do jego zguby.

Konwencja została zawarta, a w godzinę rozpoczął się już wymarsz pierwszych oddziałów na Pragę i ruch wojskowy furgonów. Warszawa zrazu nie zdawała sobie sprawy, czemu ściągano wojsko z okopów, czemu ładowano na wozy kancelarie pułkowe, akta Rady Stanu, archiwa ministerialne, czemu opróżniano na gwałt Arsenał, Prochownię, a zbierano starannie cały żołnierski dobytek. Dopiero pod wieczór wiadomość o konwencji i wydaniu Warszawy Austriakom dobyła się z antykamer pańskich i gruchnęła po mieście.

W okamgnieniu rozproszona ludność zbiła się w ponure masy i zaległa ulice i place, wyciągając pięści ku tym, którzy ją zaprzędali. Okrzyki, bunty, złorzeczenia i przekleństwa padały już i na tych, co dnia wczorajszego jeszcze imieniem swoim budzili nadzieję, wiarę, zapal i uspokojenie. Wzburzenie było tak zajadłe, tak nieubłagane, iż nikt teraz nie poważał się tłumaczyć, nikt nie ośmielił się przemówić do tłumu. Na ulicach i placach stanęło wojsko z karabinami w rękę i spoglądało chmurnie na szalejące tłumy. Wojsko otaczało każdy wóz, wojsko konwojowało każdy pojazd, wojsko biwakowało przed pałacami i kwaterami członków rządu, generałów i wszystkich tych, którzy przewodzili Księżtwu.

Niekiedy ze zbitej gromady rozszalałego tłumu wypadał kamień i krwawił kołnierz granatowy lub spod żołnierskiego kaszkietu dobywał sople purpurowe... Niekiedy pomruk złowróźbny przebiegał szeregi, a chrzęst karabinów zapowiadał odwet. Lecz jedno surowe zawołanie oficera przyprowadzało ciszę.

Nie tak było z gwardią narodową. Ta, na pierwszą wiadomość o konwencji, chciała z ludem iść i do wyjazdu nie dopuścić. Wypowiedziała posłuszeństwo tysiącnikom i spod okopów darła się do śródmieścia. Na Marszałkowskiej atoli zagroził jej drogę Sokolnicki. Padły strzały. Dwa szwadrony strzelców wpadły na gwardię, rozbiły ją, oplazowały i rozbroiły.

Było południe. Ostatnie pojazdy uwożące ministrów do Tykocina wyciągnęły już na Pragę. Huk bębnow zbierał rozstawione na ulicach pułki. Około pałacu Pod Blachą ruch panował gorączkowy. Masztalerze książęcy kończyli kulbaczyć konie i wygotowywać zaprzęgi. Oficerowie sztabowi, adiutanci, ordynansi oczekiwali już na ukazanie się księcia Józefa.

Oczekiwały na niego i dwa szwadrony, eskorta z ułanów Tyszkiewicza, oczekiwała na niego i zbity ciżba ludu, rozciągająca się od bramy Krakowskiej aż po brzegi Wisły. Lud stał w głuchym milczeniu, z zapartym oddechem wsłuchując się w miarowy tupot i chrzęst przechodzącej kawalerii, krwią nabiegłymi oczyma spoglądając poprzez zwarte szeregi piechoty w stronę Zamku.

Poniatowski zwlekał. W narzuconej burce, w naciśniętym na oczy kaszkiecie ułańskim stał wsparty na głównej pałasza, jeszcze wając się, jeszcze odkładając chwilę spotkania się ze wzrokiem ludu.

Skrzynecki po dwakroć zaraportował księciu, że przygotowania do drogi ukończone zostały. Zajączek z Rautenstrauchem szarpali temblakami, dzwonił ostrogami; wyznaczeni do asysty pułkownicy, cała generalicja objawiała zniecierpliwienie, zezując mimo woli ku Dąbrowskiemu, który stał na uboczu oparty o framugę okna – zimny, skamieniały.

Pelletier, chcąc przerwać oczekiwania, zbliżył się do Poniatowskiego i rzekł pogłosem:

– Wasza książęca mość, czas w drogę!

Książę drgnął z lekka i odparł szeptem:

– A gdyby zostać?...

– Niepodobna – konwencja podpisana!...

– Lękam się, czy wraz z nią nie podpisałem mojej hańby!

– Tylko zyskać możemy na tej konwencji! – odpowiedział gorąco dowódca artylerii Księstwa. – Austriacy tu ugrzęzną – my na prawym brzegu Wisły nabierzemy dopiero rozmachu!... Wasza książęca mość, czekamy!

Poniatowski obejrzał się niepewnie i rzekł z wysiłkiem:

– Czas, prawda! Ruszajmy!... Niech kto przodem... asysta niepotrzebna!... Nie miejsce na paradę!...

– W takim razie generał Dąbrowski może rozpocznie! – wtrącił szydlerczo Rautenstrauch.

Poniatowski skinął machinalnie głową. Dąbrowski skłonił się księciu, wyszedł przed pałac. Podano mu konia. Szczaniecki z dwoma ordynansami stanął za Dąbrowskim. Wódz legionów zaciął wierzchowca szpicrutą i pomknął ku Wiśle.

Na widok generalskiego munduru tłum zakółysał się.

– Uciekają!... Tchórze!... Sprzedawczyki! – ryknęły głosy.

– Zatrzymać go! Niech tu zdycha!... Z nami – zawtórował tłum i, podnosząc pięści, runął na szpaler piechoty, tak że wygiął go w pałąk.

Dąbrowski zdarł konia i przeszedł w stępa, poglądając dumnie na złorzeczącą mu tłuszcę. A siedział tak spokojnie, tak równo, tak wolno jechał, jakby nie widział ani kłębiącego się tłumu, ani tych pięści, jakby nie słyszał tych obelg. Dąbrowski zdawał się uwagi nie zwracać na to, co się wokół niego dzieje, dopiero gdy niemal spod kopyt końskich głos dziecka rzucił mu słowo „zdrajca” – wódz legionów pokraśniał, mięśnie twarzy mu zadrżały.

Dąbrowski podniósł głowę i zwrócił się do tłumu. A taka z oblicza jego spłynęła hardość, taka szlachetność trysnęła z jasnego czoła – iż tłum jakby ugiął się pod tym wejrzeniem uląkł się własnej śmiałości, przeraził własnym zaślepieniem.

– To on... Dąbrowski – zaszemrano w ciżbie.

– On nasz!... On jeden!...

– On podpisywał układy!...

– Kłamstwo! – zaprzeczyły głosy. – On zawsze z nami!

– Niech żyje Dąbrowski! – podchwyciły tłumy. Lud, który tu stał zebrany, aby przeklinać, aby nienawidzić, bluźgać, plwać – kołysał się wzruszony, szczęśny widokiem ukochanego generała!

W tym wybuchu przywiązania było coś niewytłumaczonego, niewyjaśnionego! Nie było może w owych czasach męża, którego by tylekroć razy oskarżono, któremu by nie czyniono najcięższych zarzutów, nie pomawiano o pychę, nie wyrzucano służalstwa, którego by, w pojęciu tłumów, więcej pognać chciano, zbeczcześcić silniej, zburzyć nawiązaną z ludem nić uwielbienia. Tego samego ranka jeszcze ciche a stanowcze chodziły wieści, że to Dąbrowski zaprzedał miasto, że on z Austriakami mataczyny prowadził, że on do konwencji namawiał. Lecz nie pomogły podszepty – lud mocą potężnego przeczucia odgadł, iż w tym prawym żołnierzu nie mogła powstać myśl podła. Lud wyciągał ręce do Dąbrowskiego, odkrywał głowy i żegnał ze łzami w oczach.

Zaledwie Dąbrowski znikł w perspektywie mostu łyżwowego – od pałacu ruszył Zajączek z Hornowskim i Pelletierem. Okrzyki w okamgnieniu umilkły i przeszły znów w pomruk. Za Zajączkiem ciągnęli bezładnymi gromadkami generałowie, sztabowcy i adiutanci – na końcu jechał książę Józef ze Skrzyneckim, za plecami zaś Poniatowskiego ciągnęli strzelcy, ułani, a na ostatku szeregi piechoty, które zwijały szpaler, łączyły się w równe kwadraty i cofały ku mostowi. Na widok świty księżęcej lud warknął, a zoczywszy czapę Poniatowskiego – zawył. Spoza szeregów grad kamieni i błota posypał się na mundury generalskie... a wraz z nim zerwała się burza przekleństw, wymysłów i hańbiących obelg. Im bliżej był Poniatowski mostu – tym zajadłość i rozwścieczenie tłuszczy wzmagало się, rosło. Najsilniejsze roznamiętnienie panowało tuż u wjazdu na most, gdzie pułkownik sztabu głównego, Kossecki, z pułkownikami Redlem i Hurtigiem stali w pogotowiu z kompanią saperów i pół-batalionem trzeciego pułku Żółtowskiego i wydawali już rozkazy skupionym około pierwszej łyżwy mostu żołnierzom.

Tu zaciekłość była największa, ile że wybrzeże pełne było wozów ładownych dobytkiem, że tu tłoczyli się ci, którzy chcieli ująć z Warszawy przed nadciągnięciem nieprzyjaciela, którzy miasta opuścić nie zdążyli... a którym wzbroniono dostępu na most. Setki ludzi z bezsilną wściekłością spoglądały na czynione pod pierwszą łyżwą przygotowania – odważniejsi darli się ku pochylonym bagnietom, słabsi wyciągali błagalnie ręce ku oficerom.

– Pozwólcie nam odejść!... Nie ściągajcie mostu! Bodaj godzinę czasu nam zostawcie!...

Oficerowie milczeli; rozkaz był wyraźny: po wstąpieniu na drugie przęsło mostu ostatniego żołnierza – pierwsze w okamgnieniu zniszczyć, aby nie dopuścić tłumy na Pragę, gdzie lud utrudniałby tylko poruszanie się swobodne wojska. Gdy Poniatowski zbliżył się do mostu – tłum ryknął głucho, rozumiejąc, iż ostatnia dlań wybiła godzina. Kossecki rozkazał ścisnąć szeregi i zagrozić ludowi – groźba wręcz przeciwny wywołała skutek. Gromada przekupek warszawskich runęła na piechotę i jęła mocować się z nią. Kolby podniosły się do

góry, krew tryskać zaczynała, oficerowie płazowali pałaszami, lud ze skarp nadbrzeżnych wyrzucał kamienie i obrzucał nimi walczących.

Redel zakomenderował: „Na bagnety!”, lecz było już za późno – przekupki, napierane z tyłu przez zbitą ciżbę, szły na oślep na nastawione ostrza. W okamgnieniu łańcuch wojska został zerwany. Księżę Józef znalazł się pośród rozszalałej tłuszczy. Za tłuszcza przedostał się ku mostowi szereg wozów i wózków, wiozących dobytek i uchodzących. Zamęt i popłoch powstał tak gwałtowny, tak nieprzewidywany, że na razie Kossecki stracił głowę.

Poniatowski, znalazłszy się pośród tłumu kobiet, starców, dzieci, mrowia wielkemiejskiego, pijanego gniewem, dyszącego chęcią zemsty – pobladł z lekka, lecz, nie tracąc na chwilę przytomności, przeciskał się z wolna koniem ku mostowi, jakby nie słysząc miotanych tam obelg, jakby nie czując zadawanych kamieniami razów.

– Zdrajca! Sprzedawczyk! – wyły bez wytchnienia przekupki. Milczenie Poniatowskiego powiększało zaciekłość tłuszczy. Tęga baba o krwią nabiegłych oczach, która śmiałością swoją przewodzić zaczynała innym, podsunęła się do konia i, mimo naciskającego ją z boku Skrzyneckiego – schwyciła źrebca książęcego za uzdę. Żrebiec wspiął się, lecz baba uwiesiła się mu oburącz przy pysku i wrzeszczała zajadle:

– Do mnie sam tu! Ściągnąć go!... Niech chociaż bratanek tu z nami zdycha!...

– Puszczaj! – huknął groźnie Skrzynecki i uderzył płazem pałasza, ale baba skrzyła się na drugą stronę – pałasz rozpruł powietrze. Na pomoc babie rzucili się najbliżsi, otoczyli księcia i rozdzielili go ze Skrzyneckim. Poniatowski ujrzał ku sobie wyciągnięte pięści.

W księciu krew nagle zagrała – odrzucił burkę, błysnął ostrzem pałasza.

Ciżba warknęła szydlerczo, lecz na widok stali zakreślającej groźne koliska zawahała się. Baba, mocująca się ze źrebem, dostrzegła ociąganie się tłumu i napominała z pianą na ustach:

– Skończyć z nim!

– Skończyć! – zawyla ciżba i, zakołysawszy się silniej, wpadła na Poniatowskiego. Lecz w tejże samej chwili nieomal pod kopytami książęcego konia zatoczyły się taczki, pchane silnym ramieniem młodego żołnierza. W taczkach słaniał się bezwładnie stary sierżant spowinięty szmatami. Taczki siłą swego naporu zagroziły dostęp do książęcego konia.

Tłum w pierwszej chwili wziął je za narzędzie nowego ataku, ale gdy młody żołnierz, opuściwszy taczki na ziemię, wyrwał drąg najbliższej stojącej babie i stanął przy księciu w obronnej pozycji – tłum runął na niespodziewanego przeciwnika. Żołnierz atoli nie dał się nastraszyć – ujął drąg oburącz i, wywijając nim nad głową, wpadł na kotłujące się mrowie, krwawe rozdzielając razy. Tłum cofnął się gwałtownie w tył i już miał rzucić się powtórnie,

aby śmiałka na sztuki poszarpać – kiedy w opróżniony na chwilę przestwór wpadli na koniec ułani i kratą lanc otoczyli księcia i nieznanego wybawcę; zamieszanie jednak było tak wielkie, że porucznik ułanów w pierwszym rozgorączkowaniu schwycił żołnierza za kołnierz i, zwracając się do żołnierzy, zawołał z wściekłością:

– Na szablach mi go roznieść!... Brać!... Na stryk i do siodła!

Poniatowski dostrzegł fatalną pomyłkę.

– Ani mi się waż go tknąć! Życie mu winienem! – Za czym zwracając się do żołnierza; zagadnął łagodnie: – Z którego pułku?! Jak się nazywasz?!...

– Ósmy! Godebskiego!... Wiozę sierżanta... pierwszej kompanii grenadierskiej... Nie puszczają na most!...

– Nic!... Ruszaj za mną! Nazwisko?!...

Żołnierz podniósł z wolna swe jasne oczy i rzekł spokojnie:

– Także się zmieniam, że wasza książęca mość... poznać mnie nigdy nie możesz?!...

– Imć Zabielski! – szepnął ze zdumieniem książę.

– Tak, ten sam, ten sam! – powtórzył głucho pan Tadeusz.

– Stawałeś w Olszynie?!... Jesteś porucznikiem!... Podążaj za mną – natychmiast odbierzesz instrument!...

Zabielski uśmiechnął się smutnie.

– Wasza książęca mość! Gdzie mnie!...

– Zbieraj się tylko!... Hej!... Pomóżcie tam który! Widzicie, ledwie poradzić może!...

Dwóch strzelców najbliższych zeskoczyło z koni i ujęło za taczki. Zabielskiemu podano konia.

Kiedy książę znalazł się za mostem – odwrócił się ku miastu i rzekł ponuro do jadącego przy nim pana Tadeusza:

– Pomnisz twoje wyrzekania?!... A patrz, czy bodaj uszanowano we mnie żołnierza, co przecież z nimi zawsze szedł?... Nikczemne miasto, mocy trzeba nie lada... aby nie rzucić mu pod nogi pałasza, aby go nie kłać!...

– Prawda!... Lecz wasza książęca mość... zważ na rozpacz! Spójrz tylko! Saperzy już przeszło mostu ściągnęli!... A tam przecież tysiące narodu rade by za waszą książęcą mością iść, byle na hańbę nie patrzeć!

Poniatowski zbył milczeniem uwagę pana Tadeusza i, zleciwszy Skrzyneckiemu, by go wziął w opiekę – sam udał się do przygotowanej dla siebie kwatery.

Praga zawrzała życiem. Wojsko na rozkaz Dąbrowskiego porwało za łopaty i jęło sypać szańce i zataczać armaty, wystawiając spiżowe paszcze ku Warszawie. Major Hornowski,

któremu powierzono dowództwo wystawionej naprędce fortecy – zaciągnął linię pikiet wzdłuż Wisły i rozsyłał rekonesanse, bacząc na ciągnącą się z tej strony Wisły granicę austriacką i bez długich namysłów obstawiając nieprzyjacielskie przykomórki i burząc słupy graniczne.

Zabielski tymczasem, przeprowadzony przez Skrzyneckiego do zacisznej szopy na Pradze, kędy mieściły się lazarety polowe, oddał Świerzyńskiego pod opiekę chirurga, a sam, namówiony przez adiutanta książęcego, dał się pociągnąć do kuchen oficerskich na posiłek. Skrzynecki raczył go gościnnie a serdecznie, czym w niemałe zdumienie wprowadził posilających się tam oficerów, którzy pojąć nie mogli, że adiutant Poniatowskiego deklaruje się na taką zażyłość z piechurym, i to oberwańcem, co go na nowy mundur nie stać było. Zdziwienie się powiększyło, gdy ordynans służbowy wezwał pana Tadeusza do księcia.

Poniatowski przyjął Zabielskiego łaskawym słowem – zapewnił uroczyście, że jeden z pierwszych zapisany został do wojskowego krzyża zasługi i podany doń będzie w raporcie mającym się wyprawić do Drezna, a następnie, wręczając mu parę epoletów porucznikowskich, prosił, żeby sobie sam pułk obrał, w którym by dalszą służbę chciał odprawiać. Pan Tadeusz podziękował księciu i prosił o zwłokę, sumitując się, że mu się nie godzi opuszczać sierżanta Świerzyńskiego. Książę Józef przychylił się do życzenia, napominając jednak, aby mu nazajutrz się stawił, ile że wojsko stąd wyciągać zacznie i ambulanse będą wyprawione dalej.

Pan Tadeusz z ciężkim sercem powrócił do wyznaczonej mu kwatery, sam nie wiedząc, co począć. Boć szlufy odebrane śmiały się doń i wabiły, a rozbudzona ambicja podniecała do szukania, dalszych szczytów – tu znów leżący bez ducha sierżant trzymał, a zrywający się w nim, niepokój targał i ciągnął do Ostrowa.

Od spotkania w lesie raszyńskim z żołnierzem pułku von Wassenfelda Zabielskiego najstraszniejsze szarpały przeczucia bał się myśleć o Jance, bał zastanawiać nad następstwami, które jego ucieczka wywołała, a równocześnie na chwilę nie mógł zagłuszyć w sobie niepokoju, nie mógł obronić się ponurej myśli. Biegłby bodaj samotnie do domu – może poradziłby coś ze Świerzyńskim – ale cóż pocznie w Ostrowie sam? Czy nie pogorszy sprawy? Jak i czym usprawiedliwi swoją nieobecność? A jeżeli Rudzki, którego lada chwila Austriacy na wolność wypuszczą, pomyśli albo już pomyślał o zemście?

Stary sierżant przychodził powoli do siebie – gorączka, trawiąca go przez cały czas aż do przewiezienia na Pragę, ustąpiła nagle, tak że gdy Zabielski przyszedł nazajutrz go odwiedzić, Świerzyński poznał go.

– Jesteś, smyku, rekrucie? – rzekł cicho. – A mnie się śniło, że cały nasz pluton... bili zajadle!...

– Cóż z tego! – zawołał rażno pan Tadeusz, siląc się na wesołość. – Niby to tak łatwo znieść im było grenadierską kompanię!... Rozpędzili nas trochę... ot i tyle!

– To źle! – uciął oschle sierżant. – Nasze psie prawo było gardła dać!... Niedołęstwo, tchórzostwo, bierz cię diabli!... Jeden z drugim nic niewart! Pod sąd polowy i wystrzelać!...

– Sierżancie – a toż dlaczego?!...

Świerzyńskiemu oczy krwią nabiegły.

– Pytasz... pytasz się jeszcze! – wybuchnął z gniewem. – Wiesz ty, kim był Godebski?!... Kto mu dał zginąć, kto go pozwolił zarabować, gdzie eskorta?!... Chodzisz po świecie i jeszcze mundur nosisz?! Gdzie twój pułk, gdzie pułkownik, gdzie sztandar, bierz cię diabli!... Żelazem palić takich łotrów!... Rwij mi z rękawa szewrony! Było Marengo, była Mantua, Hohenlinden, Friedland, Gdańsk... a teraz... będzie degradacja, wstyd, sromota, bierz cię diabli!

Sierżantowi oczy kołem stanęły, rwał na sobie mundur, zdzierał szewrony i chciał, bandaże targać, lecz go Zabielski siłą powstrzymał.

– Na Boga, sierżancie, zastanówcie się, nie dawajcie się rozpaczy!

– Głupiś, smyku! Niechże powiedzą chociaż... że... pułkownika kulom wydał, sztandar zaprzepaścił, ale... przynajmniej zdechł w porę!... Nie ma sztandaru, nie ma pułku!...

– Ale co wam, sierżancie?... Sztandar jest!... Dalipan, jest!... Adiutant Skrzynecki powiadał... Ranny Uziębło ma go odwieźć do Modlina... tam nakazano zbieranie się pułku!...

Świerzyński spojrział z niedowierzaniem na Zabielskiego.

– Jakże, przecież widziałem, jak Austriacy go zagarnęli... pułkownik upadł...

– Odbił go Biegański!... Klnę się wam, że prawda! Powiem wam więcej... mianowano nowego pułkownika!... Będzie nim Stuart, komendant Częstochowy!

– Stuart... mówisz!... Hm!... Toć... nasz z legii... artylerzysta!..., Tęgi oficer... to uważasz, smyku... może ten... znajdziesz w obozie jakiego mistrza! Rozumiesz? Rekrucie, niedołęgo!...

– Nie, nie wiem, o co idzie!...

– Nie wie!... Nic nigdy nie wiesz!... Szewrony, bierz cię diabli, trzeba!

Sierżant spojrział na pana Tadeusza i drgnął. Na ramionach Zabielskiego błysnęły mu porucznikowskie epolety:

– Bo tego... bierz... co to waszmość... mundur cudzy wdział?!...

– Przecież nie poznajecie go? To ten od Melchiora!...

– Ale bo szlufy?!...

– Podobało się księciu... I wystroili mnie!

– Pan porucznik!... Smyk, niedołęga... po... porucznik!... To... melduję pokornie!... Pan porucznik daruje staremu.

– Sierzancie, dla was... jeno zawsze smyk!

– Jakże to?! – wyjąkał Świerzyński łypiąc białkami.

– Będziesz sierżantował porucznikowi! /

Świerzyński wytarł nos z hałasem.

– Toć przecież a coś! Taki niedołęga, rozbity karabin... drwa nosić powinien, za markietanką tobołki dźwigać... i to za wiele zaszczytu!... Pułkownika kulom wydać! Tfy! I że to jeszcze człowieka święta ziemia nosi!

– Nie, sierzancie!... Nie wasza wina, jeno taki wyrok boski! Byle się z ambulansu wydostać, to i wrócisz znów do regimentu.

Świerzyński dźwignął niecierpliwie obandażowaną nogę. Ucieliby to psiarstwo... choćby człek mniej wstydu miał... bodaj nogą by się wyłgiwał!...

Pan Tadeusz tłumaczył sierżantowi, uspokajał go i do rezygnacji namawiał, pocieszając nadziejami odwetu krwawego. Świerzyński słuchał, a niekiedy na szlufy Zabielskiego poglądał i pomrukiwał:

– Smyk, rekrut... niedołęga! Do sztabu się przysądził i już awansik liznął!... Jak to gada! Bierz cię diabli!... Wczoraj w komendzie ledwie szeptał, dziś porucznikuje, a jutro gotów batalię prowadzić... Niedołęga!...

Zabielski mimo uszu puszczał uwagi sierżanta, a w duchu kłopotał się tylko, co z nim począć. Rana na nodze nie goiła się, chirurg zapowiadał długie leczenie, a to z przyczyny, że Świerzyński od razu opatrzenia należnego nie miał. Sierżant zrywał się niby na nogi i do pułku chciał wracać, lecz były to jedynie gorączkowe wysiłki, bo gdy dla przekonania pana Tadeusza zmógł się i podniósł – ból go tak gwałtowny chwycił, że omdlał. Ta niefortunna próba pogorszyła stan sierżanta. Chirurg oświadczył panu Tadeuszowi, iż mowy być nie może, aby przenieść Świerzyńskiego bodaj do Modlina, i że tu pozostać musi na Pradze, dopóki przynajmniej opuchlina nie zginie.

Zabielski miał zatem do wyboru: albo zostać w okopach z oddziałem majora Hornowskiego, który miał trzymać w obserwacji Warszawę, albo ruszać na główną kwaterę do Nowego Dworu. Zważywszy jednak, że powrót do pułku nie tylko rozłączy go z sierżantem, ale od domu jeszcze bardziej oddali wyprosił się przez Skrzyneckiego, aby mu z Hornowskim pozwolono zostać.

We dwa dni później Praga opustoszała, wojska wyciągnęły do Zegrza i Serocka – Hornowski sam pozostał.

Arcyksiążę Ferdynand tymczasem, umiawszy swoje wojsko zielonymi gałązkami, odprawił uroczysty wjazd do Warszawy. Witały go puste ulice, pozamykane okiennice, ponure spojrzenia ludu i garstka Prusaków, usiłująca wrzaskiem kilkuset głosów starczyć za okrzyki tysięcy.

Kiedy już pierwsze dni przygnębienia przeszły – a arcyksiążę rozwijał daremne zabiegi, aby Warszawę ku sobie pociągnąć, rozerwać ją wyprawianymi widowiskami a balami i uciechami wypędzić z niej myśl o wojnie, o losach wojska, o przyszłości – zdrętwiałe miasto istotnie ożywiło się i... zaczęło od rana do nocy zalegać Góry Dynasowskie i wypatrywać z Pragi bodaj znaku o tym, co działo się po tamtej stronie rzeki. Praga milczała. Arcyksiążę zaś rozlepił wielkie proklamacje, odezwy, nakazał drukować gazetkom szumne relacje o działaniach wielkiej armii austriackiej i z dnia na dzień przepowiadał zniszczenie orłów francuskich.

Warszawa odczuwała całą obłudę tych wróżb i nowin, lecz nie mając widomego zaprzeczenia posepniała.

Aż oto ku zgrozie i przerażeniu warszawian na rogach ulic Austriacy zaczęli obębniac zwycięstwo odniesione przez arcyksięcia Karola pod Ratyzboną!... Ferdynand ruszył ze świetnym sztabem do katedry na *Te Deum* – wojsko wystąpiło w gali, armaty jęły wybijać wiwaty.

Warszawa struchlała.

Tymczasem, kiedy na Saskim dziedzińcu arcyksiążę kończył hałaśliwą paradę wojskową i przy ogłuszających okrzykach żołnierzy miał zawracać do Zamku na Pradze huknęły działa... Arcyksiążę się zdumiał, wojsko oniemiało, lud warszawski rzucił się na Góry Dynasowskie...

Baterie Hornowskiego grały miarowym, spokojnym basem... na okopach łopotały sztandary, sznury bagnetów błyszczały w słońcu. W Warszawie zrozumiano, że i tam obchodzą jakąś uroczystość, że i tam nie lada musi być przyczyna do takiej gali... lecz jeszcze obawiano się zaufać nadziei, oddać się zawodnej otusze.

Hornowski odgadł niepewność miasta i potrafił ją rozpędzić.

Armaty polskie umilkły nagle, dopiero kiedy noc zapadać zaczęła, Praga znów zawrzała życiem. Baterie ozwały się teraz silniej, race jęły pruć powietrze, brzegi Wisły ozdobiły się setkami pochodni... bębny warczały bez wytchnienia.

Lud wyległ znów na ulubione miejsce swej przechadzki, swych tęsknych spojrzeń, rzucanych ku bratnim okopom – wyległ mimo gęsto rozstawione straże austriackie i patrzył na gorejące brzegi i wsłuchiwał się w łomot armat i huczenie bębnow.

Naraz w ciemnościach nocy ukazał się wielki transparent.

Tłum rozkołysał się i ledwie oczom chciał wierzyć. Na okopach praskich potokami światła bił ognisty napis:

„Austriacy pod Ratyzboną pobici – cesarz idzie na Wiedeń”.

Tak major Hornowski rozpoczął rozmowę z Warszawą. Odtąd nie było dnia, aby na okopach nie było nowiny. Gubernator Saint-Julien obsadził Góry Dynasowskie, zabronił zbliżania się do brzegów, lecz i ten zakaz nie zdołał przerwać komunikacji. Warszawianie przenieśli się na dzwonnice Bernardynów, stąd wypłoszeni, wdrapywali się na banię karmelicką, a potem noc w noc w dymnikach domów na staromiejskim Powiślu ukryci – czekali na transparenty...

Powoli, prócz tej, inna jeszcze komunikacja z Warszawą została ustanowiona, komunikacja tak pewna, tak niechybna, że fale Wisły zdawały się nie na to ziemię sarmacką przerywać, aby ją dzielić, lecz aby tym mocniejszym, trwalszym skuć łańcuchem. Nic tu nie pomogły groźby doraźnego rozstrzelania, nic mur żołnierzy, gotowych każdą podejrzaną łupinę wychylającą się z toni wodnej rozbić kulami... Oto nad brzegiem stawał najczęściej niepozorny chłop w jełowicznych butach i siermiędze i z oznakami szacunku przypatrywał się szyldwachom póty, póki między jednym a drugim nie znalazł wolnego wylotu na rzekę...

Gdy taki wylot upolował – jednym susem rzucał się i ginął w nurtach... Dziesiątki kul rozpryskiwało fale, byle bodaj gdzie na dnie zuchwalca upolować... łodzie strażnicze odbijały na czaty... na próżno... Chłop ginął, przepadał.

Dopiero po godzinie czasem na przeciwnym brzegu dawał się zauważyć popłoch...

Pierwszym posłańcem Warszawy do Hornowskiego był, ku wielkiej radości pana Tadeusza, Karaś.

Zabielski ucieszył się wielce rybakowi i chciał go pociągnąć za język, bo mu tajemnicza figura Kazimierczaka spokoju nie dawała, lecz Karaś i tym razem się wymówił – ostrzegając jeno pana Tadeusza, aby się na baczności miał, bo Rudzkiemu wolność wrócono, a nawet, jak słyhać, z drugim oczajduszą, Karlewiczem, sutą obdarzono władzą. Rudzki, wedle relacji Karasia, miał przy wojsku iść, aby niechętnych Austriakom obywateli wskazywać i sądom ich wydawać. Pan Tadeusz chciał był szczegółowiej badać Karasia, lecz ten, powołany do majora Hornowskiego, znikł z Pragi równie szybko, jak się ukazał.

Dnia czwartego maja ordynans księcia ministra przyniósł rozkaz dzienny o krwawej bitwie pod Górą. Dwa tysiące niewolnika i pięciuset poległych stracił nieprzyjaciel. W obozie praskim zapanowała radość szalona – radość z niesłychaną szybkością przebyła Wisłę i dosięgnęła murów Warszawy... Równocześnie z wieścią o zwycięstwie nadszedł raport spod Kocka, Szef szwadronu Berko Joselewicz, legł w bohatersko prowadzonej szarży na dwakroć przemagającą liczbę huzarów palatyńskich.

Te nowiny przyspieszyły działanie Hornowskiego. W dwa dni później ruszyły już dwie kompanie piechoty na drogę lubelską – druga wyprawa, pod dowództwem kapitana Łagowskiego, gotowała się do wyprawy na Puławy i Sandomierz.

Kiedy Zabielski dowiedział się o tej ekspedycji – przyszła mu myśl, żeby z okazji skorzystać i w rodzinne strony wywędrować. Kapitan Łagowski, co był pamiętał pana Tadeusza od owego uwolnienia go z rąk halabardników imci pana Węgrzeckiego, bardzo chętnie przyjął ofiarowanie się Zabielskiego, obiecując wyrobić dlań ordynans u majora, jako dla człowieka znającego dokładnie okolicę. Hornowski zezwolił. Pozostał jeszcze Świerzyński.

Zabielski poszedł do sierżanta uwiadomić go o swym postanowieniu. Świerzyński, który ledwie o kiju mógł się z miejsca przewlekać, wysłuchał w milczeniu wszystkich obaw i nadziei pana Tadeusza – a gdy ten skończył, ozwał się opryskliwie:

– Ano cóż... bierz cię diabli... pan porucznik... Co ja?... Dziad! Kaleka bez mała... Ani starszeństwa do dawania nauki, ani rozumu do rady.

– Właśnie chciałbym waszego zasięgnąć...

– Próżna fatyga!.. Stary grat, połamany karabin, dziurawy tornister!... Wczoraj smyk, rekrut... niedołęga... dziś szlufami łyska, pałasikiem dzwoni... Jajo porucznikuje kurze!

– Widzicie, mnie trzeba... a wy cóż ze sobą?

– Ja? Bierz diabli... byle do regimentu, a przecież swojak się znajdzie, co człowieka poratuje... Nic!... Była kompania grenadierska, był pułkownik... był smyk, rekrut, niedołęga... poszli sobie, bierz diabli... zdechnąć się nareszcie potrafi...

– A gdybyście tak z nami?!

– Gdzie?!... Albo mnie ta psiawiara zatracona chce nosić!...

Pan Tadeusz nie nalegał, natomiast zmówiwszy się z kapitanem Łagowskim – wygotował sierżantowi wygodne siedzenie na tyle furgonu wojskowego. Chirurg wprawdzie boczył się i nie chciał zezwolić na drogę, ale że Zabielski zapewnił go, iż zakrzątnie się, aby Świerzyńskiemu medyka sprowadzić i pieczę go otoczyć ustąpił.

Zabielski ledwie doczekać się mógł ruszenia ekspedycji Łagowskiego. Bo też to, co się działo, przechodziło najśmielsze zamysły pana Tadeusza. Korpus księcia maszerował już do Lublina... a stamtąd miał na Zamość iść i na Sandomierz. Według słusznych rachub podjazdy polskie staną prędzej w Ostrowie, niż można się było spodziewać... Zabielski więc mieć będzie wolny powrót... już go tam ani Rząd Cyrkularny, ani Mólski, ani żaden komisarz austriacki nie dosięgnie, nie stanie na przeszkodzie, aby do Janki swej powrócił i wywiózł ją w bezpieczne miejsce, choćby do Jastkowa do rodzica, imć pana Bonawentury Głuskiego.

Pan Tadeusz pod wpływem tych myśli zmienił się nie do poznania, nabrał humoru, pewności siebie a takiego impetu, że stary sierżant ledwie go poznawał.

– Niby, bierz cię diabli... trzech zliczyć nie umiał, lederwerki chciał sobie na brzuchu zapinać, ładunku rozgryźć nie potrafił... trusia... smyk... rekrut... do przekupstwa jeno sprawność miał... bierz cię diabli... A teraz! Gdzie, mina gęsta, kaszkiet na ucho, wąs do góry... rób, co chcesz, bierz cię diabli, salutuj... bo ci oficerem został... żołnierka z nóg weszła mu na ramiona! Niedołęga!

X

Cichy wieczór majowy kołysał do snu sandomierskie niwy, chwiały piórami młodych zbóż, lśnił w gąszczach fosforami robaczków świętojańskich i marzył sam, i marzeniem przenikał.

Na ganku ostrowskiej burmistrzówki siedział imć pan Bonawentura Głuski i, wsparłszy głowę na łokciu, poglądał przygasłym wzrokiem ku przechadzającemu się przed gankiem halabardnikowi. Monotonne, miarowe ruchy halabardnika zniecierpliviły snadź pana Bonawenturę, bo sięgnął do tabakierki, pociągnął tęgi niuch, trzasnął palcami o przykrywkę i zawołał półgłosem:

- Piętka!
- Sługa wielmożnego pana! – odrzekł halabardnik przystając przed gankiem.
- Długo będziesz mi tu austriackiego draba symulował?...
- Cóż wielmożny pan... burmistrz kazali – stójka, mówi...
- Bodaj go, mospanie!... Cap jeden!... Pokurcze!... Niech teraz nie gra ze mną, bo popamięta!... Mało mi dziewczynę nadręczył... Obwieś taki!

– Pewnie, wielmożny panie!... A czy ja tu po dobrej woli? Utrapienie jedno... w domu wszystko zalega, nic – rzuć wszystko i pilnuj!... Jeszcze kogo!...

– Przyjdzie na moje jeszcze, przyjdzie!... Instancję wniosę, za samowolę, za przemoc moresu nauczę krętacza!... Mnie przewodzić, mnie bez trybunału, bez procesu na uwieźi trzymać?!... Hola, mospanie! *Veto!*⁴⁰

– Proszę jegomości do wieczery! – rozległ się cichy głos tuż za plecami pana Bonawentury.

– A to ty, Łukaszu?!... Do wieczery?! Ano, pomóż mi!...

Pan Bonawentura wsparł się na ramieniu starego sługi i powlókł się do izby, gdzie już za stołem siedziały Marysia i Janka, Pan Głuski osunął się ociężale na krzesło, powiódł badawczym wzrokiem po wybladłych twarzyczkach córek, odsapnął i mruknął z alteracją:

– I cóż! Asińdżki jakby z krzyża zdjęte?!... Co tam?! Polewka! Jeść, łyżkami po zębach nie dzwonić!... No! Aśćkom drugi raz nie powtórzę!...

Janka i Marysia pochyliły się nad swoimi miseczkami. Pan Bonawentura sięgnął po łyżkę, nabrał polewki i westchnął. Samemu czegoś nie było mu do jadła.

– Janka?! – zagadnął po chwili. – A ten obwieś przyjdzie dzisiaj?!...

– Nie wiem, proszę jegomości, ale pewnie nie chybi...

– Że takiemu czelności starczy!... Mospanie, cierpliw jestem!

– Toć przez wzgląd na Tadeusza! – szepnęła błagalnie Janka,

– Nie ma względów! Nie.ma zgody! *Veto*, i koniec! – huknął pan Bonawentura uderzając pięścią o stół. – Mólski nicpoń – półaustriacki, a co ten... ten Himmel, to bodaj go święta ziemia nie nosiła.

– Sługa najniższy imć pana posła dobrodzieja! – rozległ się przy drzwiach chropowaty głos.

Pan Bonawentura odwrócił się ku w pół zgiętej figurze, mruknął coś pod nosem i pochylił się nad polewką.

Przybysz zdawał się być wcale nie stropionym tym przyjęciem, bo postąpił ku stołowi i zwrócił się do Janki:

– Pani burmistrzowej dobrodziejce!... Może przeszkadzam?!..

– Niech pan komisarz siada! – wykrztusiła Janka.

– Pokornie dziękuję!... Imć panna Marianna zawsze jak różyczka!.... Właśnie idę od pana von Himmla... Zapytuje o zdrowie!...

⁴⁰ *Veto!* (łac.) – Protestuję! Nie pozwalam.

– Mości Mólski! – przerwał gwałtownie pan Bonawentura. Jeżeli się acan dlatego fatygował – to kłaniam!...

– A jednak pan burmistrz niezmiernie się troszczy...

– Że nam aż drabów stawia!...

– Co robić – co robić! Czy pan burmistrz by miał serce?... Któż winien?... Żeby nie imć pan Tadeusz...

– Acan mi duby smalone prawisz!...

– Papiery jednak z Rządu Cyrkularnego wyraźnie powiadają, jako imć pan Zabielski do insurgentów⁴¹ miał przystać.

– To i co z tego? Bodaj nawet do Belzebuba samego przystał, to żona ma odpowiadać za niego?!... Żona ma pokutować?!... Pokaż mi acan statut!... *Horrendum!*⁴² Waszeci się zdaje, że... ja sam uszu bym nie natarł?! Na to mu dałem żonę – żeby mi ją rzucał?! Mało mam kłopotów?! Zdało mi się, człek spokojny, nie zawierucha, urzędu pilnować będzie... domu strzec, a masz diable redutę... Tfy!... Aż się dusza otrząsa!...

– Prawda, prawda! – przyznał uroczyście Mólski.

Pan Bonawentura białkami łypnął, zerknął ku zarumienionej twarzyczce Janki i wybuchnął:

– Co mi acan prawdujesz?! Jaki sobie jest, to jest – moje rodzicielskie prawo sądzić, a waszeci zasię!

– Pan poseł dobrodziej bardzo gorąco bierze sprawę! – wycedził z pobłażliwym uśmiechem Mólski.

– A cóż słyhać o wojnie?! – wtrąciła Janka obawiając się, aby pan Bonawentura żywszego nie wywołał sporu.

– Wszystko, jak się można było spodziewać – odparł z ukłonem Mólski – po wzięciu Warszawy wszystko rozproszone, rozbite na gromady!... Takie wojsko gdzieżby dostać mogło!...

– Dobrze im tak... dobrze!... Niech, mospanie, nauczą się instancję po bożemu wnosić, a nie z pałasikami się porywać!

– Są nawet wiadomości i od głównej armii... Napoleon rozbity – siła Francuzów legło... mordercza była bitwa!...

– No, przecież i Austriaków także choć trochę?!...

– Oczywiście, jak w bitwie – ale mniej, mniej znacznie!

⁴¹ Insurgent – uczestnik powstania zbrojnego.

⁴² Horrendum! (łac.) – Okropność!

– Dziw – dziw, mospanie!... Bo żeby tak Austriaków trochę nadpsuł, tobym mu sprawy nie wytoczył!... Co?!...

Mólski obejrzał się niespokojnie.

– Nie wiadomo !...

– Żal ci Austriaków?

– Trudno rzec!... Zawsze rząd!... Ale... bo ja właśnie od pana burmistrza... jutro urodziny mu wypadają... więc chciałby, czułby się szczęśliwym... gdyby pani burmistrzowa dobrodziejka i imię panna Marianna, i imię pan poseł dobrodziej raczyli nie odmówić...

Siostry spojrzały na siebie i poruszyły zadartymi noskami. Pan Bonawentura wąsy nastroszył, odsapnął i uciał z ogniem:

– Wielce obligowany – wolim siedzieć!...

– Kto wie?... Imię pan poseł dobrodziej zapomina, że pan burmistrz i tak ma nie lada zachód z Rządem Cyrkularnym! Nie jego wina – nie jego – fiskus⁴³ izbicki złość żywił do pana Zabielskiego – doniósł... aż podobno z Warszawy denuncjacje przysły... Nakazały uwięzić... Pan von Himmel wiele czyni – zaręczenie dał od siebie... a i sługa pokorny imię panny Marianny... według możliwości się przyczynił, byle oszczędzić zmartwienia! Waszmość państwo zaś rzetelne nasze intencje za nic sobie mają! Dobrą wolą lepiej nie gardzić!...

Pan Bonawentura westchnął ociężale i jął bębnić palcami po stole. Janka podniosła swe jasne oczy na Mólskiego.

– Waszmość źle sobie tłumaczy naszą odmowę! Gdzie nam do zabawy!... Proszę podziękować imię panu burmistrzowi!

– Szkoda, niepowetowana szkoda!... Lecz jeszcze nie tracę nadziei! Rzecz warta rozmyśłu... będzie mandatariusz opatowski z córkami, podsędek z Osieka, komisarz wąchocki, trzech fiskusów, imię pan Wojski z Bodzechowa!... Nie tracę nadziei!... Sługa najniższy...

Po wyjściu Mólskiego w izbie zapanowała głęboka cisza. Janka i Marysia siedziały zamyślane z pochylonymi ku ziemi główkami, pan Bonawentura objaśniał machinalnie świecę skwierczącą w mosiężnym lichtarzu i zaciskał kurczowo pięści. Ciszę przerwał drepczący dookoła stołu stary Łukasz.

– Proszę jegomości, powiadali dziś na targu...

– Co powiadali?

– Ze niby nasi pod Kazimierzem!...

– Kto taki?!

– No, niby nasi, żołnierze...

Imć pan Bonawentura zachnął się niecierpliwie.

– Koszałki opałki, mospanie!... I cóż?! Zbójectwo się zaczyna!... Konfederacja – kryminał!... Tfy!... Chwili spokoju!... Tu ci taki gryziپیórek straszy a Rządem Cyrkularnym wygraża, a tu znów szalone pałki! Juści chyba nigdy statku nie będzie!

– Może ksiązę Józef! – zauważyła nieśmiało Janka.

– Co mi aśćka tu z księciem!... On by skąd?!... Zresztą wszystko na nic – póki sejm nie postanowi *unanimiter*⁴⁴, póki potencjom memorandum⁴⁵ swego nie przedłoży, praw swych nie wywiedzie, nic położenia nie zmieni!... Sejm jeden – rozumiesz, aśćka?... Inaczej *interregnum*⁴⁶, kaptur⁴⁷ gospodaruje, potencje wojskiem zalewają, kandydatów promować swoich chcą – ale niech co do czego, to *veto*... i koniec!

– Jednak, proszę jegomości... Pan Tadeusz!...

– Postrzeleniec jest! Nie miał dachu nad głową, urzędu, żony, kęsa chleba? I co? Poderwało go, poniosło, lichu wie dokąd... Wojaczka mu zapachniała... Zapomniał mojej *conditio*⁴⁸ przed zrękowinami: doma siedzieć, chudoby pilnować, bo nie na to dają ci dziewczynę, aby mi nad uchem płakiwała i wyszła w końcu ni na wdowę, ni na rozwodnicę!... Mało mu było przykładu na Staszku Gotartowskim?! Zagarnęli go, dom cały zajechali, zniszczyli – a dlaczego? Bo bratu jego, imć panu Florianowi, podobało się szabelką dzwonić za Napolionem!

Panna Marysia fryknęła zadartym noskiem, łzy zabłyśły jej w oczach. Pan Bonawentura trzasnął tabakierką i dodał łagodniej:

– Takiego i żałować nie ma czego!... Sam może i nie winien tyle... za brata go wzięli – taka ich prusacka niesprawiedliwość... ale co z imć panem Tadeuszem, cięższy będzie porachunek!...

– Sprawie publicznej chciał służyć!...

– I wyrwał się na harce!... Tfy!... Potrzebny był tam bardzo!... Wiem, czyja w tym robota! Ani chybi pan Podhorodeński go nabechtał... trafię na niego! Mospanie, lepiej nie mówić – bo jeno złość człowiekiem trzęsie!... Ale za późno się rodziłem, żeby się z tym bezprawiem rozmaitym połapać, albo o całych dwadzieścia pięć lat za wcześniej!... A cóż Łukasz tak oczyma strzyże?!

⁴³ Fiskus – w zaborze austriackim urzędnik skarbowy.

⁴⁴ Unanimiter (łac.) – jednomyślnie.

⁴⁵ Memorandum (łac.) – pismo traktujące o zagadnieniach będących przedmiotem rozmów dyplomatycznych.

⁴⁶ Interregnum (łac.) – bezkrólewie.

⁴⁷ Kaptur – tu: sąd nadzwyczajny w czasie bezkrólewia.

– Bo nic... proszę jegomości, ale jakby bębny!... Musi regiment wracać!...

– Już by spod Warszawy?!

– O... jak to huczy!... Wojsko!...

Pan Bonawentura machnął niecierpliwie ręką.

– Niech sobie wojsko!... Co mi tam, mospanie!

– Pójdę zobaczyć!...

Łukasz wysunął się z izby na ganek.

Tymczasem przez otwarte okna, z głębi ulic miasteczka, iść zaczęły dźwięki coraz wyraźniejsze, pełniejsze. Z grzmotu bębnow wyłaniały się powoli trąbki i rozbrzmiewały jakąś nutą ochoczą, gorącą.

Marysia i Janka poruszyły zadartymi noskami i zwróciły głowy ku oknom. Pan Bonawentura bezwiednie jął wybijać za bębnami takt marsza.

Dźwięki rosły i potężniały – aż naraz zabrzmiały melodią krakowiaka.

Imć pan Głuski poczerwieniał.

– Grają, psiajuchy! – mrucał pod nosem. – Myślałbyś!...

Naraz dźwiękom bębnow i trąbek zaczęły wtórować okrzyki – z początku niepewne, drżące wzruszeniem, lękliwe, a potem silniejsze, zapamiętałe, pijane szczęściem...

Imć pan Bonawentura porwał się z miejsca i skoczył do okna. Marysia i Janka poszły za przykładem ojca. Śród mroków nocy od radomskiej ulicy ciągnęła na rynek zwarta, ciemna fala, migocąca pochodniami a łyskająca bagnetami.

– To nie austriackie mundury!... – zakrzyknęła z przejęciem Janka.

– Granat z amarantem – przytwierdziła Marysia.

– Cicho mi być! Mores, ani mru-mru!... Już im się przyśniło! Amarant im w głowie!... Dosyć!... Nie ma zgody!... *Veto*, mospanie... Okna zawrzec..., i do alkierza! Na burdę się jakąś zanosi!...

Marysia i Janka poruszyły z alteracją zadartymi noskami i już zawróciły potulnie za rozkazem rodzica, gdy naraz drzwi od sieni z trzaskiem się rozwarły. Do izby wpadł Łukasz, zatoczył się jakby pijany, zaczerpnął pełną piersią powietrza i, nie mogąc dobyć głosu, zaparł się rękoma o róg stołu i dyszał.

Imć pan Głuski, na widok bladej twarzy starego sługi, skoczył do niego, schwycił za ramiona i, targając nim, badał gwałtownie:

– Co się stało?!... Mów mi całą prawdę! Mów, do kroćset!...

Łukasz starł pot z czoła, zachłysnął się, aż nareszcie zmógł się i huknął gromkim głosem:

⁴⁸ Conditio (łac.) – warunek.

– Nasi idą!... Nasi, chłop w chłopu!

Pan Bonawentura oniemiał.

Nasi? Co za nasi?... Jacy nasi?... Oszalałeś!...

– Wojsko, proszę jegomości! Białe rabaty!... Austriaków pędzą!...

– Gdzie, gdzie?... – bełkotał imć pan Głuski. – Ruchawka??.. Nie ma zgody!... *Veto*, mospanie, i... i... koniec!...

Wtem z rynku nucony chórem krakowiak wdarł się do izby, wyłaniając dźwięczny, mocny głos zawodzącego:

Zerwał się Austriak

Z nami iść na boje,

Hejże, bracia! Społem

Odbierzmy, co swoje!..

Imć pan Głuski machnął kraciestą chustką i mrucał gniewnie:

– Dziewczyny!... Mores!... Co on tam?... siaki taki.. odbierzemy i *veto*, nie pozwalam, mospanie!...

Stawił się w Raszynie,

W Grochowie, pod Górą

Armatami straszyl,

Aż zapłacił skórą!

– Skórą zapłacił!... Bodaj ich!... Janka – sam tu!... Kij!..... Kiedy ruchawka, to niech ruchawka!...

– Wiwat!... Niech żyją bracia nasi! – wołał tłum.

– Wiwat! *Veto*!... Nie ma zgody! – wołał imć pan Bonawentura drąc się do sieni przy pomocy Marysi i Janki.

– Proszę jegomości, może lepiej zaczekać! – próbowała tłumaczyć Janka.

Pan Bonawentura się obruszył, łzy mu w oczach stanęły.

– Ani mru-mru!... Mores!... Wam, dziełatkom, czas... a mnie, staremu, aby jeszcze przychwycić... tego... tego śpiewania!... Trzymajcie!... O cóż bo ucichli!... Łukasz, zobacze... a żwawo!...

Łukasz wybiegł do sieni, lecz w tejże samej chwili przed dworkiem wszczął się tumult. Janka i Marysia wystraszyły się, lecz pan Bonawentura dreptał naprzód a kijem postukiwał.

– Dziewczyny, mospanie!... Ja tu jestem! Ani mru-mru! *Veto*, mospanie! Ruchawka! Iść to iść, odbierzemy, co swoje, i koniec, nie ma zgody!...

Imć pan Głuski postąpił jeszcze parę kroków, gdy wtem we drzwiach sieni zarysowała się postać młodego oficera i runęła do nóg Jance.

– Co to? Kto to?... Mospanie!... Imć pan Tadeusz?!

Lecz Zabielski oderwać się nie mógł od Janki.

– Kochanie moje!... Oglądam cię, widzę!

– Mój, mój... jedyny! – szeptała wzruszona Janka. Marysia fyrkała zadartym noskiem, imć pan Bonawentura sapał a dygotał, a rwał się do pana Tadeusza, głaskał go po głowie, szczypał Jankę za policzki a dogadywał:

– Jużci, masz swego marcypana! A brody jej nie odkaś! Mores! Najpierw mu polewki nagrzej, a potem gęby nadstawiaj!... Dosyć!...

Janka jak fryga zerwała się około stołu zakrzętnąć. Zabielski oczy przecierał, rozpatrywał się po drogich mu kątach i ledwie że odpowiadać mógł na bezładne pytania imć pana Bonawentury. Starego to roztargnienie zirytowało.

– Cóż acan mi tu duby smalone! Porządkiem!... Skąd?! Co?! Jak?... Którędy?... Sejm zwołają – czy nie?... Powiadali mi, że w Warszawie coś tam odprawili... – ale ja *veto*, rozumiesz acan – nie ma zgody... Gdzie Napolion? Hę?!

– Proszę jegomości – wmieszała się Janka, za którą pan Tadeusz dreptał. – Niechże wytchnie... Toż z pierwszego impetu nie wie, od czego zacząć!...

– Jest, jest mecenas! Znalazł już sobie patrona!... Jest palestrant w spódnicy!...

– Niech jegomość pozwolą! – ujęła się Marysieńka.

– Mores! A to dopiero!... Jeszcze mi ta będzie dowodziła!... *Horrendum!*

Naraz imć pan Bonawentura zmierzył od stóp do głów pana Tadeusza i skinął na niego surowo.

– Chodź tu acan bliżej!... Co tu wasze masz na ramionach?!...,

– Na ramionach?!

– No tak, co to za szuchy?!...

– Te? Nic, proszę jegomości, to są szlufy!...

– Jakie szlufy? Co za szlufy?!...

– Porucznikowskie!

Imć pan Bonawentura zaperzył się.

– Więc to tak?... Porucznikowskie! Proszę acana!... Porucznikowskie szlufy... a zrękowiny acan pomnisz, a dane *verbum*⁴⁹?... To ja na to ci córkę dałem, abym ją miał niańczyć i hołubić, kiedy acanowi fantazje świtają i bałamuctwo po świecie ciąga?!

Pan Tadeusz zmieszał się.

– Obowiązkiem moim, mniemałem, kiedy zdarzała się okazja...

– Gdzie okazja? Chyba do bisurmaństwa!

– Idą dziś już wszyscy!...

– Co waszeci do nich!... Mores!... Starczy ich bez acana!... *Verbum* dałeś! Rozumiesz?

– Ale nie na to, żebym jak sobek, jak pasożyt siedział i patrzył spokojnym okiem, jako się ziemia rozstępuje, a nieprzyjaciel nowe nam gotuje pęta!

Imć pan Głuski chciał odpowiedzieć, lecz niespodziewanie ujęła się za panem Tadeuszem Janka.

– Moja w tym wina, proszę jegomości! Jam go podmówiła; jam nie wstrzymywała... a niechby co do czego... to pierwsza bym obligowała... bo takich, co za piecem siedzą a na drugich się oglądają, jest już zadość!...

Pan Bonawentura na taką śmiałość uległej ojcu a potulnej Janki aż posiniał gniewem i, sapiąc, gotował się do surowego napomnienia, gdy do izby wszedł kapitan Łagowski z dwoma porucznikami.

Po prezentacjach i powitaniach potoczyła się rozmowa gwarna, ożywiona. Łagowski opowiadał o przygodach pana Tadeusza, chwalił jego odwagę, wspominał położone zasługi a szeroko rozprawiał o wypadkach i spodziewaniach wojennych. Janka z Marysią słuchały z rozgorączkowaniem. Jeden imć pan Bonawentura nie dzielił ani wesela, ani nie współczuł roztaczanej grozie. Siedział zimny, zasepiony, trzaskał tabakierką i ledwie że raz zagadnął niecierpliwie:

– Tedy cóż?!... Oddaliście Warszawę, zrejterowaliście!... I hukacie po Ostrowie!

– Mylisz się waszmość! Księżę jest już w Lublinie!... Wielkopolska zbroi się; jeszcze miesiąc, a cała ziemia porwie za broń!... Austriak osłabił się, bo w stolicy musi garnizon trzymać, a my tymczasem do Galicji... brać, co nasze!

– Więc to konfederacja?...

– Nie, wojsko!

– A... gdzież stany?... Gdzie senatorowie?!...

– Stany – odparł Łagowski – w szeregu pod karabinem, na koniu!... Innych nam nie trzeba!...

⁴⁹ Verbum (łac.) – słowo.

– Acan swoje!... Któż podpisał uniwersał?

Łagowski wyciągnął zza rękawa arkusz papieru.

– Widzisz waszmość... co napisano?... „Główna kwatery”, a tu... „pułkownik drugiego pułku”... no i masz nasze uniwersały, nasze rady! Plujemy w garść i naprzód!

Imć pan Głuski białkami łypnął i znów zapadł w milczenie. Rozmowa potoczyła się dalej. Naraz we drzwiach ukazał się wachmistrz służbowy. Łagowski porwał się zza stołu.

– Ordynans z głównej kwatery! – zaraportował przybyły.

Kapitan wybiegł do sieni – po chwili wrócił zamyślony. Oczy zebranych zwróciły się ku kapitanowi, lecz on skinął na pana Tadeusza i do sąsiedniej izby go poprowadził.

– Rozkaz nowy! – zaczął gorączkowo Łagowski. – Księżę Józef jest w Trześni! Będą dobywali Zamościa i Sandomierza!...

– Możesz to być?! – zawołał z rozradowaniem pan Tadeusz.

– Wojska już ruszyły!... Mnie kazano natychmiast do Opatowa! A stamtąd na Klimontów... języka trzeba zasięgnąć, zarekwirować furaze i drogę sandomierską obstawić placówkami! Cóż, waszmość?

– Ja? Nie wiem sam!

– Hm! Miarkuję ja, że ci nie po myśli nasza ekspedycja! Lecz chcę właśnie waszmości przedłożyć! Tu i tak trzeba, żeby jeden z nas został!... Ochotnika zebrać, co się da, ład w mieście zaprowadzić!... Przecież nikt nad waszmości nie jest na to zdatniejszym! Więcej nad pluton żołnierzy ci dać nie mogę, ale myślę, że dobierzesz sobie wolontarzy! Ten Mólski z tym burmistrzem siedzą już pod kluczem. Możesz ich potrzymać lub, zresztą, jak będziesz uważał. Ja od siebie raport złożę, za trzy, cztery dni czy z Lublina, czy z Trześni będziesz miał już dokładną instrukcję!

Zabielski przystał bez namysłu na propozycję Łagowskiego. Kapitan raz jeszcze zalecił mu surowe przestrzeganie ładu i pożegnawszy serdecznie pana Tadeusza, ruszył do gotowego już do marszu oddziału.

Zaledwie ostatnie dźwięki trąbek i bębnow przebrzmiały, Zabielski, mimo nocy i spóźnionej pory, jął urządzać co żywo swój posterunek. Więc zwołał co przedniejszych mieszczan, obwieścił im nowe rządy w imieniu panującego króla a księcia warszawskiego i do pomocy wezwał. Nie było niechętnych. Kto żyw, deklarował się na służbę. Pan Tadeusz wyznaczył dziesiętników, sformował trzy zmiany straży, oddał je pod nadzór pozostawionych mu czterech starych żołnierzy i dopiero najpierwszą czynność załatwiwszy, powrócił na burmistrzówkę i tu zaczął pisanie odezw i listów.

Janka, Marysia i dwóch pisarzy magistrackich pomagało mu w tej czynności. Nawet imć pan Bonawentura obaczywszy papier, inkaust i pieczęcie udobruchał się, a po kilkakroć odczytując proklamacje i rozkazy księcia ministra – mrucał łaskawie:

– Hm! Mospanie, niby jeszcze nie to, co być powinno... ale przecież jakieś ludzkie odezwanie się jest...

Zabiegliwość a energia pana Tadeusza bujne wydała owoce. Już dnia następnego około południa ściągnęły pierwsze podwody z prowiantem zaofiarowanym do zakładanych magazynów wojskowych, a za podwodami ze wsi okolicznych jęli się zbiegać ochotnicy. Cichy, odrętwiały w powszedniości swych trosk i kłopotów Ostrów zawrzał życiem szerokim, pełnym zapału.

Po załatwieniu co najpilniejszych czynności, pan Tadeusz wspomniął na Świerzyńskiego, który był u Piętków kwaterował, i przeniósł go do siebie, za czym dopiero narodził się z Janką, co mu czynić wypada z trzymanym pod strażą burmistrzem Himmlem, Mólskim i kilku Niemcami magistrackimi. Nie chcąc sobie samemu sprawiedliwości wymierzać ani też więziami się kłopotać, gdy mu nadto spod Waśniowa przyprowadzono dwóch winkelsreiberów⁵⁰ i jednego fiskusa, kazał ich razem wszystkich z Himmlem, Mólskim i więziami na podwody wsadzić i pod pieczęć kilku mieszczan do Lublina wyprawił.

Tydzień zleciał panu Tadeuszowi na tych zabiegach, z Lublina od Rządu Tymczasowego i z głównej kwatery doszły go już były pierwsze odpowiedzi, zawierające obok instrukcji nader pochlebne wyrazy dla zasług Zabielskiego, co zaś najwięcej ucieszyło pana Tadeusza – nowiny z pola walki. Zamość i Sandomierz prawie jednego i tego samego dnia, po bohaterskich szturmach, zostały wzięte i odebrane Austriakom. Instrukcje zalecały nadto panu Tadeuszowi wielką ostrożność i przestrzegały, że według doniesień mocne oddziały nieprzyjacielskie przeszły Wisłę i łańcuchem idą do Galicji, należy więc mieć się na baczności i w razie niebezpieczeństwa – uchodzić przed nimi.

Zabielski nie zwrócił uwagi na ostrzeżenie, z nowin o odebraniu Sandomierza i Zamościa wziął asumpt⁵¹ do tym gorętszych odezw, uroczysty obchód zwycięstwa sprawił i tym śmielej działał.

W kilka dni po odezwie z głównej kwatery, gdy pan Tadeusz, wypoczywając na ganku, próbował godzić imć pana Bonawenturę ze Świerzyńskim, którzy do przyjacielskiej komitywy doszedłszy, raz w raz zacięte prowadzili sprzeczki, bo gdy jeden stał ciągle na gruncie „instancyj” i „protestu”, drugi całą przyszłość widział w rotowym ogniu i „praniu”,

⁵⁰ Winkelsreiber (niem. Winkelschreiber) – pokątny pisarz.

⁵¹ A s u m p t - zachęta, pobudka.

dano znać Zabielskiemu o ukazaniu się na drodze od Wąchocka plutonu huzarów austriackich. Pan Tadeusz ledwie uszom własnym mógł uwierzyć. Wiadomość ta zbiła go z tropu. Setnik czekał na rozkazy.

– Ilu ich jest?!

– Będzie sześciu! – odrzekł setnik.

– Kaptur złożyć i obwiesić, mospanie! – poradził pan Głuski.

– Kaptur? Może być i kaptur, ale na głowę... języka wziąć, a potem ręce w tył, pół kompanii... na plac... i rozstrzelać, bierz diabli! – ozwał się Świerzyński.

– Bez sądu palcem tknąć nie wolno!... Ani mi się waż! *Veto!*...

Acan, imć sierżancie, na rebelizantkę tożes się udał! Kaptur rządzi!...

– Kula rozstrzyga, proszę jegomości!...

Obie rady nie wydały się imć panu Tadeuszowi. Rozpytawszy się więc dobrze setnika, nakazał mu, aby strażę rogatkowe pościągał i poukrywał, tak aby huzarom pozorów nie dać nieprzyjacielskich zamiarów i pozwolić im swobodnie do miasta wjechać, dopiero u wylotu na rynek otoczyć i żywcem wziąć.

Setnik co do joty rozkaz wypełnił. Huzarzy, choć z wielką ostrożnością podjeżdżali do Ostrowa, zwiedzeni, że uprzedzeni mieszkańcy widokowi ich ani dziwili się, ani nimi nie zajmowali, zapuścili się śmiało w ulice, tym bardziej że przemyślny setnik na jednym z dworców chorągiew austriacką zatknął. Przed samym rynkiem, kiedy już huzarzy zupełnej nabrali ufności, upadła ich zwarta gromada wolontarzy. Huzarzy nawet nie próbowali stawić oporu. Ściągnięto ich z koni, rozbrojono, powiązano i stawiono przed panem Tadeuszem.

Na widok huzarów i uroczystego raportu setnika o pojmaniu niewolnika na ganku powstał rejwach i zamieszanie. Świerzyński chciał zaraz brać jeńców na spytki, imć pan Bonawentura sąd składać, Janka kłopotowała się, czy aby „niewolnik” nie jest głodnym. A że nadto kto żyw z mieszkańców Ostrowa zapragnął naocznie przekonać się, czy Austriakom aby dobrze jest w postronkach, przeto około ganku burmistrza powstał tumult.

Imć pan Tadeusz spróbował zadać kilka pytań huzarom, a odebrawszy jeno bałamutne a niejasne odpowiedzi, postanowił ściśle się zastosować do odebranych instrukcji. Kazał podwodę sprowadzić, wyznaczył straż i, sporządziwszy krótki raport, huzarów do Trześni wyprawił.

Zaledwie podwoda, odprowadzona przez rozozochocony tłum, zniknęła na zakręcie ulicy, a złośliwe okrzyki na cześć pojmanych przebrzmiały, na ganku nowe wynikły kwasy, co gorsza – wszystkie zwróciły się przeciwko panu Tadeuszowi.

– Co nagle, to po diable!... Potrzebnie ich było wyprawiać! zaczął imć pan Bonawentura.

– Rozkaz z głównej kwatery!...

– Rozkaz!... Bardzo im trzeba tych kilku drabów!... Mało mają pułków, mogą mieć swego niewolnika... a my swego!..

– Ależ, proszę jegomości, tu idzie o wiadomości!...

– Właśnie, do stu!... – przerwał z impetem Świerzyński stukając kulą. – O języka szło!... Cóż... pan porucznik!... Sierzancie, ani pary z ust, subordynacja... bierz cię diabli!... Udław się, doczekałeś się smyka, rekruta, niedołęgi!... Był język i nie ma języka!...

– Język jest! Właśnie dobędą z nich prawdy i lepiej się zorientują niż my!...

– Lepiej!... Proszę!... Piękny posterunek!... A nas nic już nie obchodzi, czy nieprzyjaciel jest stąd o staję, czy o dziesięć mil?!

Zabielski zmieszał się.

– Pewnie że nie...

– Należało węgielki szczygłom pokazać, zagrozić, a bodaj, i przypiec!...

Pan Tadeusz wzdrygnął się.

– Rakarzem nie byłem nigdy!... Niech sobie inni!..

– Racja, mospanie!... Waszeć, mości sierzancie, zaraz do gwałtów, do jatek!... Obwiesić nie neguję... ale nie, tfy, w oprawcę się zabawiać?

– Wojskowe prawo i wojna!

– Bodaj was z takim wojowaniem!...

– Za uchybienie wojskowej instrukcji!...

– Co mi acan pleciesz!... Nie znam żadnych instrukcji – *volumina legum*⁵² wieki były i na wieki całe zostaną, choćby nam tu dwie austriackie justycje⁵³ wsadzili!...

Pan Tadeusz z Janką jęli uspokajać pana Bonawenturę, a Świerzyńskiego na stronę odciągać. Na skutek tych przedstawień zapanował rozejm chwilowy, oparty na oświadczeniu zarówno imci pana Głuskiego, jak i sierżanta, że „z takim nie ma co”. W myśl tego rozejmu przeciwnicy unikali wprost wszelkich rozpraw, a gdy zdarzyło się, że pan Głuski wpadł w humor i znów swoje postulaty *de publicis*⁵⁴ wywodził, sierżant mocniej zęby zaciskał i postukiwał kulą, imć pan Bonawentura znów sierżantowi odpowiadał albo trzaskiem tabakierki, albo podśpiewywaniem krakowiaka.

⁵² *Volumina legum* (łac.) – księgi praw (mowa o zbiorze praw obowiązujących w Polsce przedrozbiorowej).

⁵³ Justycja – sprawiedliwość.

⁵⁴ *De publicis* (łac.) – w sprawach publicznych

Pan Tadeusz tymczasem, wzięwszy do serca uwagę Świerzyńskiego o Austriakach, wezwał do siebie Piętkę, kazał mu dobrać dwunastu ludzi i pod Iłżę wyciągnąć, a języka zasięgnąć.

Tak upłynęło znów kilka dni. Z Trześni nadeszło ze sztabu podziękowanie za okazaną sprawność w pochwyceniu rekonesansu austriackiego i zalecenie, aby i na przyszłość burmistrz ostrowski równie energicznie sobie postąpił. Piętka zaś ze swoim oddziałem nie wracał.

Pan Tadeusz zaczął się już niepokoić i przemyślał o nowej ekspedycji, gdy pewnej nocy obudziło go gwałtowne dobijanie się setnika dyżurującego na odwachu. Zabielski, poruszony niespodziewanym alarmem, wybiegł do setnika.

– Co tam?! Co się stało?!..

– Przychwyciliśmy, panie burmistrzu... kolaskę z oficerem austriackim!

– Z jakim oficerem?

– Musi duży oficer! Kolaska ładowna mocno!

– Gdzież on jest?

– Siedzi przed odwachem i wydziwia, ale kto go tam zrozumie! Pewnie się do pana burmistrza naprasza, bo powtarza ciągle; pan von Zabielski... von Zabielski!..

Pan Tadeusz ręce zatarł, rozumiejąc, że istotnie ktoś ze znaczniejszych oficerów wpadł w jego ręce i że nowa dlań zdarza się okazja przysłużenia się głównej kwaterze. Palony ciekawością wybadania nowego jeńca, kazał go czym prędzej do kancelarii prowadzić, a sam skoczył odziać się przystojniej i pisarza swego podręcznego, dla większej powagi, obudzić i wziąć do boku. Kiedy zaś nareszcie dano mu znać, że jeńiec znajduje się w kancelarii, pan Tadeusz przeczekał chwilę, aby pojmanemu wdroić zachowanie dla urzędu, przed którym staje, i z powagą, poprzedzany przez pisarza, wszedł do kancelarii. Zaledwie atoli rzucił wzrokiem na stojącego pośród groźnie skupionych gwardzistów jeńca, zbladł i wyjąkał z trudem:

– To pan... panie pułkowniku! U nas!...

Jeniec uśmiechnął się dobrodusznie, odsunął stojącego przy nim setnika i ozwał się łamaną polszczyzną:

– *Herr von Zabielski!*... Jakie tu u pana porządki!... Do niewoli mnie zabrali te paupry!...

Witam!... Serdecznie się cieszę!... Co, ani się pan spodziewałeś!..

– Prawda... istotnie...

– Cóż, wojna!... Dzisiaj tu, jutro tam... Ja sam nie myślałem, żeby tak prędko przyszło tędy jechać! Bardzo dobrze pan robi!... Ostrożność potrzebna! Z początku gniewała mnie ta

napaść, ale widząc zapał tych pocziwców, nie chciałem im zrobić przykrości!... Tutaj nareszcie jestem jak w domu!... Bodaj jeden dzień wypocząć!... Myślałem, że pana nie zastanę, boś tak przepadł... a szło mi o panią burmistrzową!... No, niech pana uściskam!... Ale, cóż to, pan jesteś jakiś nieswój?...

– Ach, cóż znowu!...

– No, no!... A wy, moi strażnicy, możecie sobie odejść... macie tu za fatygę... a pamiętajcie każdego tak... pochwycić i do burmistrza!...

Setnik spojrzał zdumiony na pana Tadeusza. Zabielski dał znak przyzwolenia. Gwardziści odeszli skonfundowani. Wassenfeld znów nabrał humoru.

– Nie bardzo mi pan jesteś rad!... Wybaczcie, że was budziłem, lecz nie ja, tylko twoi pacholki!... Nie śmiałybym cię fatygować!... Ano cóż, wzięłeś mnie z kocza, więc teraz nakarm i napój, bo mi diabło głód dokuczył! Cztery mile jednym tchem!... No, jakże?!

– Owszem, siadajcie, pułkowniku! – bąknął pan Tadeusz i zwróciwszy się do pisarza, wydał mu rozkazy, aby do kuchni i kredensu pobiegł i piwa zagrzać kazał i przynieść, a i rzeczy pułkownika z pojazdu zabrać. Kiedy pisarz się oddalił, Zabielski zebrał na odwagę i zagaił pierwszy:

– Darujcie, że nie proszę was, panie pułkowniku, dalej... ale to noc... tymczasem tu musicie...

– Doskonale. Niczego mi więcej nie trzeba!... Kał, i koniec!... Na tym oto tapczanie!... Królewskie leżenie!... Dawno takiego nie miałem!... Podaj mi, panie burmistrzu, rękę, niech ją uścisknę, nie lada stracha miałem o was! Bo to, rozumiecie, ledwie się rozniosła wiadomość o waszym wyjeździe, zaraz za nią poszły i plotki!... Czego nie opowiadali!... Dzięki Bogu, żeście wrócili szczęśliwie i do urzędu wrócili, bo już bym chyba spokoju nie miał, zem rękę przyłożył. Ale, nie naszły was tu jakie oddziały nieprzyjacielskie?!

– Nieprzyjacielskie?! – powtórzył przeciągle Zabielski. – Nie... nie słyhać dotąd.

– To dziwne!... Bo mam wiadomości, że i tu bobrowali!... Lecz tym lepiej dla was, panie burmistrzu, boć ja rozumiem, położenie przykre, niby nieprzyjaciel, a zawsze toć nieobcy... jedna ziemia, jeden język!... Dlatego też jego arcyksiążęca mość ma całe zachowanie dla wojsk Księstwa Warszawskiego!... Stolicy ani im tknął, puścił im armię, byle krwi rozlewu i zniszczenia miasta uniknąć!...

– U nas mówili, że po bitwie rasyńskiej byłoby mu ciężko do szturmować!...

– Plotki!...

– No, a pod Grochowem, pod Górą??...

Wassenfeld się zmarszczył.

– Drobne potyczki!... Owszem, ja pierwszy oddaję sprawiedliwość męstwu polskiemu!...
Dzielnie się stawiają... ale cóż, daremne wysiłki, gdzie tu się z naszą armią mierzyć!...
Omamiło ich!... Rachowali na Bonapartego, nie poradzi teraz, jemu samemu kuso!...

– Wygrał przecież bitwę pod Ratyzboną!

Wassenfeld się zmarszczył.

– A to znowu skąd takie wieści? Rozumiem ja te gadaniny!... I do was musieli trafiać z odezwaniami!... Lecz cieszy mnie niezmiernie, żeście się nie dali zwieść, i chwałę szczerze te przedsięwzięte ostrożności!... Niech się trochę wyklaruje, a nagroda was nie minie!...

– Cóż znowu!

– Nie broń się, panie von Zabielski, ręką na to!... Honorem się klnę! Żeby tak wszyscy postępowali, oszczędziliby i sobie, i nam wielu chwil przykrych!

Pan Tadeusz milczeniem zbył sentencję pułkownika, a upatrzawszy chwilę sposobną, ile że służba stół zaczęła jadłem zastawiać, zamówił się niby po wino do piwnicy i wybiegł do Janki, aby i samemu zebrać myśli, i o niespodziewanym jeńcu ją uprzedzić.

Janka przeraziła się nowiną. Wysłuchiwała uważnie relacji męża o tym, że Wassenfeld nie podejrzewa nawet prawdy, i zagadnęła raptownie:

– Co zamierzasz z nim uczynić?!...

– Sam nie wiem!... Rozkaz mam wyraźny!... Powinienem go dziś jeszcze do Trześni wyprawić!

– Lecz tego z nim uczynić niepodobna!

– Gościem naszym jest! – przyznał pan Tadeusz.

– Odplacać mu zdradą nie możesz!...

– A jednak prawo wojenne nie zna ustępstw! Pułkownik może mieć papiery... posiadać wiadomości!...

– Papiery masz prawo mu odebrać!...

Zabielski wahał się jeszcze, zastanawiał, aż w końcu uradził, żeby dać pułkownikowi spokojnie wypocząć, do dnia doczekać, nazajutrz zaś wręcz mu położenie przedstawić, papierów zażądać i luzem puścić drogą do Iłży. W ten sposób ani gościnność naruszona nie będzie, a i rozkazom głównej kwatery, choć w części, stanie się zadość.

Nazajutrz Zabielski zerwał się wcześniej, a dowiedziawszy się, że i pułkownik zaczyna się zbierać, poszedł do niego.

Wassenfeld powitał go dobroduszną wymówką:

– Czekałem na pana wczoraj, na gawędę się szykowałem...

– Chciałem, lecz Janka mi niedomagała!... Ale lepiej już – odrzekł wymijająco pan Tadeusz, a chcąc co prędzej zakończyć odgrywanie komedii z pułkownikiem, zagadnął zniechęcająco:

– Czy pan na długo do nas?

Wassenfeld spoważniał.

– Prawda! Rad bym z duszy, z serca zostać jak najdłużej.. Zestarzałem się, stetryczałem!... Ciężko mi!... Zmienili mi brygadę!... Jestem teraz w dywizji Civalarda! Eh! Nie mówmy o tym! Powiedzcie mi nareszcie coś o sobie!.. Jakże tam?... Cóż słychać?... Musieli się bardzo zdziwić twemu powrotowi!... Himmel musiał się zżymać! Ale że tak szybko go wyrugowałeś!

– I bardzo nawet! – odparł flegmatycznie Zabielski. – Kazałem mu po prostu łańcuszki nałożyć i wyprawilem go pod strażą do Lublina!

Wassenfeld spojrział ze zdumieniem na pana Tadeusza.

– Łańcuszki Himmlowi?! Żartujesz chyba?!...

– Przeciwnie, pułkowniku!... Chcę tylko wyprowadzić cię z błędu... otóż dowiedz się, że jestem urzędnikiem Księstwa Warszawskiego... a równocześnie porucznikiem piechoty!...

Pułkownik ledwie że własnym uszom mógł uwierzyć.

– Pan... pan?... – powtarzał z drżeniem w głosie.

– Tak, ja! – potwierdził śmiało pan Tadeusz. – Niech cię to nie przeraża, byliśmy przyjaciółmi i pozostaniemy nimi!... Nauczyłem się w tobie cenić i szanować prawego żołnierza!... Dziwi cię moje odstępstwo od was? Powiedzże sam, z ręką na sercu... czy, będąc w moim położeniu, uczyniłbyś inaczej?!

– Nie wiem... może! – mruknął pułkownik trąc niespokojnie czoło.

– Stało się!... Jesteś, mości pułkowniku, moim jeńcem.

– Szaleństwo!...

– Tak jest!... Lecz ani myślę o wyrządzeniu ci jakiegokolwiek krzywdy... Wystarczy mi twoje słowo, że nie posiadasz żadnych papierów wojskowych przy sobie... odjedziesz stąd wolnym.

– Panie von Zabielski! – wybuchnął von Wassenfeld. – To są dzieciństwa!... Pan chcesz zgubić samego siebie! Oszło mi cię wątpliwe zwycięstwo raszyńskie... nie wiesz, co się dzieje dokoła!... Ja nie chcę wiedzieć o niczym!... Rozumiesz? Ratuj się!...

– Bardzo żałuję – odparł chłodno pan Tadeusz – ale obaw pańskich nie podzielam!... Wiem, na co się deklarowałem, mam świadomość mego obowiązku i od niego nie odstąpię!...

Wassenfeld chciał odpowiedzieć, gdy nagle, z dali, skradać się zaczął równomierny, niejasny odgłos. Pułkownik podszedł ku oknu. natężył słuch i nagle ozwał się ze wzruszeniem:

– Panie... czy pan słyszysz?! Stań pan tu!... Teraz?!...

Pan Tadeusz zbladł. Z bezładnego odgłosu zaczęły się wyłamać bębny... za bębnami fajfry.

Wassenfeld poglądał wciąż pytająco na Zabielskiego, ten milczał, jeszcze wątpiąc. Lecz niepewność tę przerwał stary Piętka, który wpadł zadyszany do izby.

– Austriacy idą... ćma tego... mrowie!...

Pan Tadeusz oprzytomniał.

– Alarm obębnić!... Leć do żony mojej. Podwody natychmiast!...

Wassenfeld zastąpił drogę Piętce i zawołał na Zabielskiego:

– Na ucieczkę za późno!... Mnie posłuchaj! Ściągnąć placówki, rozbroić, w domach się pozamykać... ja nic nie widziałem... nic nie słyszałem! Zamęt będzie... nie spostrzegą się na zmianie frontu!...

Pan Tadeusz, nie zważając na pułkownika, wybiegł na rynek, aby samemu jak najszybszą zarządzić ucieczkę, lecz na rynku zapanował już popłoch. Wolontarze na pierwszy sygnał o zbliżającej się regularnej armii nieprzyjacielskiej porzucili odwach i rozpierchli się po miasteczku, siejąc przestrasz.

Pan Tadeusz nawoływał, zaklinał, wzywał do porządku, wreszcie sam chciał wózek zaprzęgać, było jednak za późno, Austriacy byli w rynku. Zabielskiemu ręce opadły. Zawrócił na burmistrzówkę i tam osunął się bezwładnie na ławkę.

Imć pan Bonawentura nie posiadał się z alteracji, stukał tabakierką, sapał i ze złością poglądał ku oknu, spoza którego coraz wyraźniej szły odgłosy niemieckiej komendy i chrzęst broni. Świerzyński nie mniej był poruszony zjawieniem się Austriaków, lecz widząc przygnębienie pana Tadeusza, miną nadrabiał i mruczał:

– A cóż... teraz ich na wierzchu... bierz diabli!... Głowy nikomu nie zdejmą... bo i nie mają za co! Mówiłem od razu: szpiegów obwiesić, na węgliki wziąć... języka powziąć... może niejedno byłoby inaczej... może... Et! Niedołęstwo i... tam... tfy!...

– Powiedz acan: warcholstwo!... Z potencją taką lada ruchawką się nie poradzi! – zaoponował imć pan Bonawentura.

– Ani językiem także!...

Imć pan Bonawentura znów chciał dociąć sierżantowi, gdy do izby wpadł pułkownik von Wassenfeld, pozdrowił wybladłą Jankę i zwrócił się do Zabielskiego.

– Na miły Bóg! – zaczął gorączkowo. – Ratuje jeżeli nie siebie, to choć żonę!...

– Cóż mogę... niech się dzieje, co chce!... Całe miasto zalane wojskiem!...

– Nie traćże, waćpan, przytomności! – nalegał von Wassenfeld. – Brak oporu zwiódł Bronowacki'ego: żadnemu ze sztabowców na myśl nie przychodzi posądzać was o zdradę... Bronowacki mnie zapytywał, dałem najlepsze opinie... Nabierz pewności siebie... roześlij po mieście, żeby który z mieszkańców czego niepotrzebnego nie wypaplał... rzecz może się ułożyć!... Pozoru nie dawać!... Bronowacki za dwa dni ruszy stąd, ja wproszę się na załogę!... Popeliłeś waćpan krok szalony, nierozważny... ja cię chcę przed samym sobą wytłumaczyć, byleś się opamiętał, oprzytomniał!... Chwili czasu nie trać, zbierz radnych i Bronowacki'emu się melduj.

Pan Tadeusz zawahał się.

– Pułkowniku... jakże ja spojrzę w oczy Bronowacki'emu?! Czy nie lepiej prawdę wyznać?

– *Donnerwetter*⁵⁵! – zaklął ze złością von Wassenfeld. – Wojna do licha!... Nie ma romansów!... Bronowacki skrupułów mieć nie będzie... całe miasto z dymem puści... takie wam jatki sprawi... że żywa dusza nie zostanie!... Jeszcze się namyślasz?!...

– Bo zaprzeć się muszę najdroższych mi uczuć.

Pułkownik, wzburzony skrupułami pana Tadeusza, zwrócił się do Janki, lecz ta jeno poczerwieniała silniej i, spojrzawszy na męża, wyszeptła z wysiłkiem:

– Nie ja, lecz on musi stanąć!...

Wassenfelda złość zdjęła.

– Ludzie, zastanówcie się!... Obowiązkiem waszym jest się ratować! Daliście się porwać, unieść niewczesnemu zapałowi, ja was tłumaczę... ja może bym was usprawiedliwił... ale sąd polowy nie ma dwóch odpowiedzi!

Janka zachwiała się. Pan Tadeusz głowę zwiesił,

– Wola Boża – odrzekł z mocą. – Symulować wierności nie będę. Jestem porucznikiem wojsk Księstwa Warszawskiego i szarży mojej zapierać się nie mogę.

Wassenfeld strzepnął bezradnie rękoma.

– Więc także usilnie chcesz własnej zguby?...

– Nie, mości pułkowniku, nie zguby pragnę, jeno rozumiem, że nareszcie nadszedł czas, żeby małoduszności się wyzbyć, głowę hardo podnieść i zaprzaństwa się wyrzec...

– Ludzie, was chyba złe opętało!... Rozmyślnie odpychacie ratunek. Bronowacki nie wie o niczym!... Bez trudu unikniesz waćpan indagacji!

– Tak, lecz musiałbym się zaprzeć! – upierał się Zabielski.

Wtem z kąta izby dobył się spokojny głos Świerzyńskiego:

– Zaprzec się?... A cóż?... Można!...

– Sierzancie! Co powiadacie?!

– No, a pewnie! – potwierdził Świerzyński stukając kulą. – Gębą można się wypierać co godzina, choćby częściej, byle nie sercem! Wojna! Ordynans, smyku, rekrucie, rozkaz przez linię nieprzyjacielską przemycić!... Zbierasz manatki, mundur zrzucasz, kij czasem w garść i niby dziadyga albol włóczęga jaki idziesz, bierz cię diabli!... Nieprzyjaciel cię wypatrzył, dopadł, a ty nic... wypierasz się samego siebie i jeno baczysz, jakby czmychnąć... Badanie pierwsze skończone. Biorą cię do przysięgi, przysięgasz, łzesz, a w duchu się modlisz. Nie uwierzyli, więc cię wiążą, nożem po gardle wodzą... żyły prują... o ty, smyku, rekrucie, nic... prawdę takes zasunął głęboko, że łatwiej im ducha ci wziąć niż do niej się dobrać!...

– Tedy, myślicie?! – zagadnął niepewnie pan Tadeusz.

– Nic, uszy do góry!... Ucapili, przydybali... tedy im zaprzysiąc... ucztę sprawić... a okazja się zdarzy... to im skórę tak potarrosić, żeby ich ochota odeszła od przyjaźnielstwa.

Von Wassenfeld spojrział zdumiony na sierżanta.

– Masz pan, widzę, piękne zasady, nie ma co!...

Świerzyński brwi zaciągnął.

– Nie pytaj mnie jeno, panie pułkowniku, od kogo się ich nauczyłem!...

Wassenfeld się naszożył, lecz Janka szepnęła doń z perswazją:

– Nie gniewajcie się – stary żołnierz, ranny... miejcie wzgląd!...

Pułkownik machnął pogardliwie ręką i zwrócił się do pana Tadeusza.

– Jakże zamierzasz uczynić?...

Zabielski zawahał się, spojrział na Świerzyńskiego i rzekł po namyśle:

– Kiedy tak trzeba... idę z wami.

Pułkownik zawrócił natychmiast ku wyjściu, zalecając panu Tadeuszowi przytomność umysłu i radząc, jak ma się tłumaczyć dowódcy.

Rady Wassenfelda nie zawiodły. Bronowacki jak najłaskawiej przyjął ostrowskiego burmistrza, wysłuchał cierpliwie dosyć zagmatwanej opowieści o pobycie oddziału polskiego, powinszował ładu w mieście i, zaleciwszy zająć się wraz z komisarzami wojskowymi zgromadzeniem prowiantów – odprawił pana Tadeusza.

Cała rozprawa poszła tak gładko, że aż dziw zdjął Zabielskiego. Na burmistrzówce zapanowała radość. Burza, która groziła całemu miastu, rozproszyła się, przeminęła szczęśliwie. Mieszkańcy Ostrowa, instynktem kierowani, pochowali broń, mundury i

⁵⁵ Donnerwetter! (niem.) – Do pioruna!

wszystkie widome znaki swej insurekcji⁵⁶. Jedynym człowiekiem świadomym całej istoty wypadków był von Wassenfeld, lecz ten ani słowem nie zdradził się przed Bronowackym, nawet tak wychwalał burmistrza, że aż to zwróciło uwagę generała.

– Pułkowniku von Wassenfeld – rzekł Bronowacky – widzę, żeś tu mieć musiał serdeczne jakieś relacje z tymi ludźmi!...

– Istotnie, panie generale! – odrzekł bez wahania pułkownik. – Przywiązałem się do nich szczerze... zasługują na to...

– No-no!... Nie śmiem ci przeczyć, kiedy ich tak dobrze znasz... ale nie podzielam twego zdania!

Tymczasem do Ostrowa nadciągać zaczęły coraz to świeże oddziały wojska, tu sprawiały krótkie biwaki, zaopatrywały się w prowiant i ruszały dalej. Dzień i noc cichy dotąd Ostrów dygotał w posadach od łomotu wieczornych armat, dudnienia pociągów wojskowych, furgonów, podwód wieśniaczych i tupotu koni. Szczęk broni, pomruk bębnow i zawodzenie trąbek na chwilę nie ustawało.

Pan Tadeusz po całych dniach przebywał poza domem, czyniąc rozpisy liwerunkowe i rozsyłając nakazy furazowe. Bolało Zabielskiego, że wszystkie zapasy, jakie był przygotował dla wojska Księstwa, wpadły w ręce Austriaków i że co zdrowszych i tęższych młodzieńców, którzy iść mieli do Trześni na wolontariuszów – Bronowacky cichaczem wyłapywał i do pułków wcielał. Lecz temu wszystkiemu nie tylko dziwić się nie było wolno panu Tadeuszowi ani na to wyrzekać, lecz jeszcze udawać zapał i gorliwość.

Na trzeci dzień po przybyciu wojsk austriackich do Ostrowa, kiedy Tadeusz stawił się u Wassenfelda, jako u komendanta placu, zastał go niezwykle chmurnym i zamyślonym. Pułkownik ledwie okiem rzucił na przyniesione mu przez pana Tadeusza rozpisy i ozwał się nagle:

– Mości Zabielski... chyba nie wątpisz, że ci dobrze życzę... Trzeba, abyś stąd odjechał!...

– Jam gotów, byle można było!...

– Otóż właśnie należy uczynić wszystko z rozważą!... Powiem ci otwarcie... Denuncjacje na ciebie idą zewsząd... Dotąd je niszczę – ale kto wie, czy nie trafią do Bronowackiego... Nadtoś dokazywał!... Mieliśmy ruszyć dalej... lecz nadeszły nowe rozkazy... Cała dywizja tu stanie dla obserwacji... Denuncjacje mogą się powtórzyć... a wówczas śledztwo...

– Niczego innego nie pragnę, jak wyjść z tego dwuznacznego stanowiska.

Wassenfeld pokiwał smutnie głową.

– Łatwo ci przyszło zapomnieć o obowiązkach...

⁵⁶ Insurekcja – powstanie zbrojne.

– Chciałeś powiedzieć, pułkowniku, że późno o nich sobie przypomniałem!...

Pułkownik szarpnął niecierpliwie temblakiem.

– Dałeś się opętać, otumanić!... Nie czynię ci wyrzutów! Płacę, jak mogę, za serdeczność zaznaną pod waszym dachem – lecz obawiam się, żebym się nie stał bezsilnym!... Posłuchaj mnie!... Dziś, dla większej niepoznaki, spraw wieczerzę dla sztabu... postawi cię to dobrze w oczach oficerów i odwróci wszelkie wątpliwości... Jutro zaś, skoro świt, pod pozorem odwiedzenia krewnych, wypraw żonę, siostrę i ojca, a potem myśl sam o ucieczce! Radzę ci tylko daleką wybrać metę, bo na długą wojnę się zaniosło, a podobno ani w dawnym Księstwie, ani w Galicji spokoju byś nie zaznał...

Moja rada na Litwę prosto jechać i tam czekać amnestii cesarskiej!...

Pan Tadeusz nie dał sobie po dwakroć zachęcania tego powtarzać – uścisnął serdecznie rękę von Wassenfelda i pobiegł na burmistrzówkę. Tam zwołał po cichu naradę, złożoną z sierżanta, Janki i starego Piętki – po czym, zleciwszy żonie, aby zarządziła suty poczęstunek, udał się w gości prosić sztabowców. A że był sobie uprzejmością pozyskał wielu oficerów, więc ci tak zaprosiny szczerze wzięli do serca, że panu Tadeuszowi drogę do samego Bronowacky’ego ułatwili i tyle sprawili, że i ten obiecał na burmistrzówkę zajrzeć.

Wszystko układało się jak najpomyślniej. Janka z Marysią uwinęły się tak żwawo, iż na wieczór nie tylko misy jadła czekały na gości, ale i tobołki podróżne leżały przygotowane. Zabielski, za radą von Wassenfelda – nawet nie krył odjazdu żony i, nie pytany, rozповідаł o nim, tłumacząc, iż chce rodzinę odesłać za Kraków, aby spokojnie mogła przetrwać zawieruchę wojenną, która łącznie może Ostrów ogarnąć. Oficerowie to postanowienie znajdowali zupełnie naturalnym i słusznym, a sami jeszcze doradzali, by obrać drogę ku Lwowu, gdzie insurekcja nie zdołała osiągnąć.

Zaledwie mrok zapadł – burmistrzówka uderzyła potokami światła. Muzyka wojskowa używana przez dowódcę strzelców hałaśliwym marszem obwieściła początek uczyty. Pan Tadeusz z żoną stanął na ganku, aby czynić honory domu. Burmistrzówka napełniła się niebawem zwartym tłumem mundurów.

Poczęstunek był zawieszony – miodu i wina pod dostatkiem. Z czupryn kurzyć się zaczynało, wiwaty stawały się coraz hałaśliwsze, coraz bardziej wyzywające. Przepijano ze wszystkich stron do pana Tadeusza, wznoszono toasty za pomyślność potrzeby, na zagładę nieprzyjaciela, na wiecznotrwałą potęgę Austrii.

Zabielski wychylał kielichy, poddawał się narzucanym wiwatom – lecz równocześnie chmurniał. Jakaś złość bezsilna zdejmowała go na *myśl*, że tu symulować musi najświętsze uczucia i udawać uciechę z wróżb o zagładzie współbraci. Odraza i bunt wewnętrzny tak

silnie przejęły pana Tadeusza – że aż to zwróciło uwagę kilku oficerów. Von Wassenfeld dopadł w kącie Zabielskiego.

– Co waćpan wyprawiasz... Herr von Zabielski!... Chcesz się zgubić?... Nie okazuj takich min, bo z tego wynikną domysły!...

– Kiedy mnie dławi... za gardło chwyta!

– Toć jeszcze godzina, i koniec!

– No-no! Herr von Zabielski! – ozwał się raptem Bronowacky. – Prosimy do kompanii! Coś ci nie po myśli nasze wiwaty!

He? Pan Tadeusz na to zawołanie jął ociężale przeciskać się ku Bronowacky'emu – gdy naraz we drzwiach ukazał się oficer służbowy. Generał skinął nań, odebrał zapieczętowaną kopertę i zagadnął sucho:

– Skąd?!... – Z Wąchocka!... Raport majora Kirchnera!...

Bronowacky rozerwał pieczęć i zaczął czytać. Dokoła generała zaległa cisza. Generał czytał, przewracał papiery i znów je odczytywał. Czoło jego okryło się bruzdami. Po chwili wzrok generała oderwał się od papierów i podniósł ku górze, a odszukawszy stojącego pośród oficerów pana Tadeusza, zatrzymał się na nim. Zabielski zmieszał się. Bronowacky uśmiechnął się dziwnie i rzekł półgłosem do Wassenfelda:

– Kirchner donosi mi, że prawie nie ma wątpliwości, że rekonesans, wysłany przez niego ku Sandomierzowi, dostał się w ręce nieprzyjaciół... Co dziwniejsze... że, według zebranych wiadomości, rozbroiła go ludność tutejsza i odprowadziła do obozu polskiego!...

– Czy tylko Kirchner się nie myli?...

– Ba, zdaje tak szczegółowy raport!... Tyle nadto komunikuje ciekawych szczegółów!... A wszystkie zmierzają ku temu, żeby strzec się jak ognia tutejszej ludności... bo ta, mimo pozorną uległość, całą siłą dała się opanować posłańcom Poniatowskiego i knuje na każdym kroku...

– Bez wątpienia, że mogą się znaleźć...

– Ależ, pułkowniku, pełno ich wszędzie! Nawet tam, gdzie byś nie przypuszczał!... A... prawda... toć pan Zabielski będzie mógł nam dać wskazówki... Czy pan nie przypominasz sobie podjazdu, ułożonego z sześciu huzarów palatyńskich, brygady von Geringera?!...

Zabielski ledwie mógł ukryć ogarniający go niepokój – lecz, zdobywając się na śmiałość, odrzekł po namyśle:

– A... sześciu huzarów palatyńskich... prawda... przypominam sobie istotnie... mówiono mi o nich... przejeżdżali nie zatrzymując się wcale...

– Proszę... a nie wiadomo, w którą udali się stronę?!...

– Trudno mi odpowiedzieć... zdaje się, że dążyli sandomierskim traktem!...

– No, toć zawsze coś wiemy!... Tak-tak, moi panowie, musicie wszędzie i zawsze mieć się na baczności. Co byście, na przykład, powiedzieli, mości panowie, gdyby miły, a tak gościnny gospodarz jak pan von Zabielski był szpiegiem Poniatowskiego?!... No, przypuśćmy!... Oceńcie teraz wasze położenie?!...

Po tym odezwaniu się generała pośród oficerów grobowa zaległa cisza – porównanie, nawet najzapalczyszym, wydało się zbyt dotkliwym. Pan Tadeusz, uczuwszy na sobie dziesiątki spojrzeń – podniósł hardo głowę i rzekł groźnie:

– Panie generale... żart za daleko posuwasz!

– Istotnie, panie generale! – ujął się von Wassenfeld. – Pan von Zabielski nie zasłużył sobie, żeby nawet w przypuszczeniu najniewinniejszym ujemnie go sądzić... o ile go znam...

– Więc go nie znasz wcale, panie pułkowniku! – odparł gwałtownie Bronowacky. – Dla przekonania cię!... Ordynans!... Uwięzić natychmiast pana von Zabielskiego!...

Rozkaz ten był tak niespodziewany, że zdumiał obecnych. Oficerowie jęli spoglądać na siebie, jakby szukając usprawiedliwienia, wytłumaczenia niespodziewanego rozkazu. Oficer ordynansu stanął przy Zabielskim. Von Wassenfeld pobladł z lekka.

– Panie generale – rzekł – muszą być poważne powody, dla których pozbawiasz wolności urzędnika w jego własnym domu!...

– Nie panu będę zdawał sprawę!... Rozkaz!... Mości panowie, możemy sobie powinszować, że byliśmy na poczęstunku u szpiega i sprzedawczyka!... Odprowadzić go na odwach!

Zabielskiemu oczy krwią nabiegły – chciał bronić się, chciał rzucić się na Bronowacky'ego – gdy wtem poza plecami ordynansa, posłyszał dobrze mu znajomy chichot. O kilka kroków stał Rudzki zgięty w pół, wykrzywiony szyderczo. Pan Tadeusz zrozumiał, że ziemia mu się spod nóg usunęła, że jest zgubionym, i naraz rozpaczliwa chwyciła go determinacja.

– Łatwo ci napadać na bezbronnego, panie von Bronowacky.

– Precz z nim! – huknął generał. – W łańcuchy szpiega!...

Zabielski odtrącił następującego nań ordynansa i wyrzucił zajadle:

– Nie szpiegiem jestem, rozumiesz? Tylko porucznikiem wojsk Księstwa Warszawskiego, a instrument swój wziąłem z krwi utoczonyj wam w raszyńskiej olszynie!.. Wiesz teraz!... Bronię własnej ziemi i nie jestem tak jak ty najmitą austriackim!...

– Słyszysz, panie Wassenfeld?!

Pan Tadeusz wyciągnął pięść, lecz w tejże chwili przyzwana straż pochwyciła go za ręce i, mimo błagań zrozpaczonej Janki, poniosła w stronę koszar.

Bronowacki ze złością nasunął kapelusz i, skinąwszy na Rudzkiego, wyszedł. Po oddaleniu się generała wśród oficerów zerwała się burza. Wobec wyzywającego zachowania pana Tadeusza nikt nie mógł wątpić o winie. Niedawna zyczliwość przerodziła się w chęć zemsty za oszustwo, za wyprowadzenie w pole. Szable jęły trzaskać, pogrożki zrywać się ze wszech stron, zapalczywsi napominali, aby, nie czekając wyroku, z ziemią zrównać szpiegowskie gniazdo. Gwałtowniejsi tłukli dzbany i półmiski, łamali ławy, darli się do świeczników. Zapamiętałe okrzyki zlewały się z jękami Janki i Marysi, okrzykami zgrozy przerażonej służby, brzękiem szkła i hukaniem imię pana Bonawentury.

– Podpalić ich!... Z dymem puścić!... – wyły rozwścieczone głosy.

Śród wzrastającego zamętu dwóch młodych poruczników dopadło Marysi i Janki i zaczęło je ciągnąć ku drzwiom.

– Was szkoda, turkaweczki!... Wojny chciałyście!... Chodźcie do niewoli!

Janka i Marysia próbowały się opierać, lecz porucznikom przybył do pomocy kapitan. Już je mimo obrony pochwycono i uniesiono na rękach, gdy naraz, niby spod ziemi, wyrósł Świerzyński, za szlufy porwał poruczników, szarpnął, potem ręce złożył... Porucznicy uderzyli z całym impetem o własne głowy. Kapitan dobył szabli. Sierżant atoli już miał kulę w rękę i jednym uderzeniem wytrącił kapitanowi broń. Dookoła niespodziewanego obrońcy błysły szable.

– Rozsiekać go!... Dalej naprzód!... Nacieraj!

– Mości panowie, bierz diabli!... oficerami jesteście, nie zbójami!... – próbował tłumaczyć Świerzyński, lecz nikt go nie słyszał ani nie rozumiał. Sierżant skupił się w sobie i, mimo pewności, że lada chwila rozniesionym zostanie na sztuki, bronił się a usiłował osłonić ucieczkę Jance i Marysi. Naraz pomiędzy warczącą bez wytchnienia kulę sierżanta i skradające się ku jego piersi ostrza pałaszy wpadł von Wassenfeld.

– Broń schować, do pioruna – zakomenderował groźnie – bo ze mną będziecie mieli do czynienia!...

Najbliżsi oficerowie na widok pułkownika opuścili broń ku ziemi – lecz dalsi nawoływali ze złością:

– Żywcem ich upiec!... Niech giną!...

– Ani kroku! – gromił von Wassenfeld. – Na bezbronnych chcecie się rzucać?!... Na szpiega jest sąd polowy!... Rozbójnikami jesteście... chcecie grabić... dowodzić swej odwagi na starcach i kobietach?!... Także szanujecie honor oficerski i te mundury, które nosicie?!...

W izbie zaległa cisza, Wassenfeld odetchnął – gdy tuż przed nim stanął pułkownik von Strauch.

– Kolega tu nie masz prawa komenderować! – zaczął rozdrażnionym tonem. – Zapominasz, że są tu równi ci rangą!...

– Ja też nie komenderuję, jeno zapobiec chcę splamieniu mundurów!...

– Proszę... Myślałem, że idzie ci o dalsze protegowanie szpiega... osłonięcie go przed sprawiedliwym oburzeniem!...

– Panie von Strauch! Jeżeli zaczepki szukasz, jam i bez niej gotów stanąć na placu – jednak tak wysoce cenię twój honor oficerski, że wierzę, iż na moim miejscu inaczej byś nie postąpił!

– Dziękuję za piękne mniemanie... ale co taki łotr mojej pomocy by się nie doczekał!...

– Przede wszystkim – odparł chłodno von Wassenfeld – sąd dopiero winę ustali... Winę może wielką, zasługującą na najcięższą karę, ale z naszego punktu widzenia... boć z przeciwnego zdrada może wyglądać inaczej zupełnie!... Ujmuję się, bronię, kiedy kolega tego chcesz, domu szpiega, bo w domu tym zaznałem gościnności, bo mi tu wiele serdecznych chwil upłynęło, bo za przestępstwo odpowiadać powinien winowajca... bo niewiadomym jeszcze jest ani rodzaj przestępstwa, ani rozmiar... Zresztą, zwracam się do waszego honoru... jeżeli on powiada wam, że należy ten dom spalić, krwią bezbronnych, a może niewinnych zbryzgać... ustępuję, czyńcie...

Słowa te uciszyły burzę. Von Strauch próbował zbić Wassenfelda, lecz oficerowie jęli się usuwać ku drzwiom, wychodzić pospiesznie a broń chować. Ci, co najbardziej nastawali – znikali najpierwsi, jakby wstydząc się własnej porywczosci. Von Strauch, nie znajdując słuchaczy, którzy by po jego stronie się opowiedzieli – zakonkludował swoją odpowiedź zgryźliwą uwagą i odszedł. Wassenfeld został sam z domownikami. Janka, która była otrząsnęła się z pierwszego przerażenia, przypadła do Wassenfelda.

– Ratuj go, pułkowniku, nie opuszczaj! Ty jeden możesz wiele!... Wspomnij na przyjacielstwo!... Nie daj mu zginąć!...

Wassenfeld potrząsnął smutnie głową.

– Nie na wiele już się zda moja pomoc! Słyszałaś pani... jak mnie generał potraktował... a niestety miał słuszość! Mąż pani zaszedł za daleko... Gdybym był przypuszczał, że ważył się na otwartą napaść na nasz rekonesans, pierwszy kazałbym go pochwycić!...

– Maszże, pułkowniku, nam za zbrodnię, że daliśmy się porwać chwili, że poszliśmy za głosem obowiązku?...

– Więc czegoż zostawialiście tutaj? Należało odejść stąd, a oszczędzilibyście i sobie, i mnie niejednej goryczy!

– Pułkownik, jego trzeba ratować!... Radź!... Co mam czynić?... Może wykupu trzeba – oddamy wszystko!...

– Najpierw musi być śledztwo... a potem – sąd...

– Może do Wiednia trzeba szukać wstawiennictwa!...

– I Wiedeń nic nie poradzi!... Sąd – to sąd polowy... jutro może być wyrok!...

Janka pobladła śmiertelnie.

– Jutro wyrok! – powtórzyła głucho.

Wassenfeld ujął ją łagodnie za rękę. – Pocieszać pani nie mogę, lecz do męstwa chcę nakłonić. Nie wiadomo jeszcze, jakie dowody ma Bronowacki... jeżeli tylko będą niedostateczne... możesz zaufać honorowi oficerskiemu... Niestety chcieli, że mąż pani uniósł się nie w porę i niemal do winy się przyznał!...

Von Wassenfeld, zleciwszy Jance, aby przypilnowała, by sierżant skorzystał z zamieszania chwilowego i uszedł, zanim odeń zażądata porachunku – przyrzekł uprzedzić ją o postanowieniu zapadłym w sztabie i oddalił się.

Mimo smutnych wróżb, którymi Wassenfeld zastraszył Jankę – sam nie stracił był nadziei, że sprawa pomyślny weźmie obrót, i z tym przekonaniem poszedł do kancelarii sztabowej. Lecz tam już zastał wezwanie dla siebie do wzięcia udziału w sądzie polowym, wyznaczonym na godzinę pierwszą po północy. Ten niebywały pośpiech poruszył do żywego starego pułkownika. Generał oczywiście działał tu pod wpływem rozdrażnienia. Wassenfeld postanowił natychmiast wystąpić z protestem. Opowiedział się więc ordynansowi Bronowacky'ego. Generał przyjął pułkownika szyderczym uśmiechem.

– Co masz mi do powiedzenia, pułkowniku?

– Generale, odebrałem przed chwilą rozkaz wzięcia udziału w sądzie nad Zabielskim!...

– Nie cieszy cię to?! Mniemałem, że uczynię ci przyjemność, boć to dla ciebie nowa sposobność do wstawienia się za nim!...

– Być może... lecz, panie generale... sąd dzisiaj, w nocy?! Bez śledztwa, bez pozostawienia oskarżonemu potrzebnego czasu do zebrania dowodów na usprawiedliwienie?!

– Cha, cha! Więc pan się łudzisz jeszcze!...

– Pragnąłbym tylko, aby pośpiech nie uchybił sprawiedliwości!...

Bronowacki skrzywił się.

– Panie pułkowniku!... Z przykrością muszę cię uprzedzić, że mimo całego uznania dla twych zasług i lat służby – będę zniewolonym złożyć raport do głównej kwatery... Przyjaźń twoja dla tego sprzedawczyka nazbyt daleko sięga!...

– Wola twoja, panie generale!... Lecz jak teraz ta przyjaźń pragnęłaby jedynie, aby zanim sąd się zbierze nad sprzedawczykiem, wyszumiało choć wino, które u niego spijaliśmy!

Bronowacki zęby zacisnął.

– Stanie się tym razem tak, jak rozkazałem!... Uwaga pańska będzie zamieszczona w raporcie!... Trzeba, żebyś postarał się o przeniesienie do innej brygady!

– Będę sobie miał za obowiązek pójść za rozkazem generała! – odparł zimno von Wassenfeld i zawrócił ku drzwiom.

Odprawa otrzymana od Bronowackiego poruszyła w pułkowniku całą energię.

Pułkownik, znając na wylot ustawy wojskowe – wiedział, że mimo nawet nakazu Bronowackiego sąd może postanowić odroczenie – więc należało z poszczególnymi członkami sądu się porozumieć. Nie tracąc czasu Wassenfeld wziął listę sędziów z kancelarii sztabu, a postrzegłszy obok swego nazwiska – nazwisko von Straucha, udał się natychmiast do niego.

Strauch pomimo niedawnej sprzeczki z Wassenfeldem przyjął go z ugrzecznieniem i wysłuchał cierpliwie wszystkich dowodzeń o rozwadze i zastanowieniu – obowiązującym zwłaszcza sąd polowy, jako wydający ostateczny wyrok. Dopiero kiedy Wassenfeld skończył przekonany, że Straucha sobie pozyskał – tenże odezwał się spokojnie:

– Czy kolega przeglądałeś papiery, jakie zdecydowały o uwięzieniu Zabielskiego?!

– Nie – nie jeszcze!

– A czy wiesz, że zjechał tu, prócz tego, tajny komisarz rządowy... i zjechał właśnie tylko dla zdemaskowania pana burmistrza!...

– Chyba to pomyłka!

– A czy wiesz, że ten twój pan Zabielski i burmistrzem nie jest... bo został usunięty z urzędu za samowolne opuszczenie stanowiska... a burmistrz prawdziwy, von Himmel, został przez tego pana Zabielskiego pochwyconym i odesłanym do Lublina?!

– Ach... przecież nie mówię, żeby Zabielski był bez winy. Lecz dajcie mu się wytłumaczyć – nie gubcie człowieka za lekkomyślność...

– Nikt też tu nie nastaje na niego! Wezwano go przy mnie, odczytano oskarżenie, przyznał się bez wahania do wszystkiego! Naszym więc obowiązkiem jest skrócić mu chwile oczekiwania!... Im prędzej wyprowadzą go na plac – tym lepiej dla niego!

Wassenfeld zwiesił głowę na piersi.

- To, co mi kolega powiadasz, dźwięczy okrutną prawdą!.. Macie słuszność.
- Kolega odchodzisz!... Toć za chwilę czas na sąd!...
- Pójdę rozmówić się z oskarżonym!...
- Co za nierozwaga!... Chcesz dać nowy powód do domysłów i uwag?...

Wassenfeld nic nie odrzekł na tę przestrożę – nacisnął kapelusz i powłókł się ociężale ku odwachowi. Tam opowiedział się dowódcy warty i bez przeszkód został wprowadzony do ciasnej izdebki, w której pod strażą dwóch żołnierzy siedział pan Tadeusz.

Pułkownik dał znak żołnierzom, aby się oddalili, a sam, założywszy ręce na piersiach, stanął naprzeciw Zabielskiemu.

– Przychodzę ostrzec cię! – lada chwila wezwą cię na sąd!... Zbierz przytomność!... Nie zapominaj o znanym ci zapewne rozkazie Poniatowskiego, w którym pod karą śmierci zapowiada, że kto nie będzie z nim, ten przeciw niemu... Jest to okoliczność łagodząca!

Pan Tadeusz spojrział ze spokojnym zdumieniem na pułkownika.

- I cóż mi z tego przyjdzie?!... Wassenfeld szarpnął się niecierpliwie.
- Do pioruna, ratować się musisz!... Samobójcą być ci nie wolno!...
- Nalegali... nie mogłem zapanować nad sobą – powiedziałem wszystko...
- Możesz okazać skruchę!
- Chyba w tym, że w przedsięwzięciach moich byłem zbyt niedołęznym!...
- Wiesz, co cię czeka za zdradę?

Zabielski rzucił się na ławie.

– Za zdradę?... Kto mi tu śmie zdradę wyrzucać?... Gdzie wasze prawo?... Zdradzałem, prawda, lecz póty, póki udawałem waszego sługę. Rozumiesz, mości pułkowniku?!?

- Nie chcesz się więc ratować!...
- Ale nie podłością, nie zaprzaństwem nie plwaniem na to, co w piersi mej mniemam być najświętszym, najdroższym...

Wassenfeld chciał odpowiedzieć, gdy u drzwi wchodowych dało się słyszeć pukanie. Do izby wszedł dowódca warty.

- Panie pułkowniku!... Północ!... Mam rozkaz stawienia więźnia przed sądem!...

Wassenfeld targnął bokobrody i wyszedł z celi.

Sąd zebrał się niebawem w kancelarii sztabowej. Wassenfeld – w myśl rozkazu – objął przewodnictwo. Zabielskiego wprowadzono pod strażą.

Pisarz sztabowy jął odczytywać kolejno punkty oskarżenia, które rozpoczynało się samowolnym porzuceniem urzędu burmistrza i napaścią na Rudzkiego, a kończyło jawnym wspieraniem insurekcji. Po skończeniu czytania Wassenfeld zapytał przytłumionym głosem

pana Tadeusza, co ma na swoje usprawiedliwienie. Zabielski podniósł spokojnie głowę i odparł bez namysłu:

– Nic – zgoła!...

Pułkownik, nie bacząc na to oświadczenie, kazał wezwać świadków. Wprowadzono przede wszystkim kilkunastu mieszczan i Żydków ostrowieckich. Badanie było krótkie – mimo całej życzliwości swej dla pana Tadeusza – świadkowie, zastraszeni ostrym napomnieniem von Straucha, jęli się plątać, mieszać, aż przyciśnięci do muru krzyżowymi pytaniami, wygadali wszystko, począwszy od wejścia oddziału polskiego aż do uwięzienia Himmla, Mólskiego, fiskusów i rozbrojenia huzarów. Po spisaniu tych zeznań wszedł Rudzki i, złożony swe papiery wierzytelne od gubernatora warszawskiego, hrabiego Saint-Juliena, jął kreślić obraz zbrodni popełnionych przez pana Tadeusza. Chwilami przenikliwy, świdrujący wzrok Rudzkiego ze złością i nienawiścią zatrzymywał się na jasnym, pogodnym czole Zabielskiego, a wówczas głos tajnego komisarza austriackiego przechodził w głuchy, przejmujący charkot.

Rudzki opisał w jak najbarwniejszych wyrazach wszystkie szczegóły pamiętnego spotkania w Radomiu i zabierał się do nakreślenia zająć w Warszawie – gdy Zabielski przerwał mu spokojnie:

– Mości Rudzki, mniemam, że daremnie się wysilasz!...

– He, he!... Panie burmistrzu... trzebaż, żeby cię panowie sędziowie poznali!...

– Niewiele z tego im przyjdzie – mam jedno życie do wzięcia... chyba że chcesz się pochwalić swoimi szpiegowskimi sztuczkami!...

Rudzki zgrzytnął zębami.

Zabielski uśmiechnął się pogardliwie. Rudzki zwrócił się do sędziów, lecz Wassenfeld ozwał się ostro:

– Możesz pan odejść, dosyć!...

– Za pozwoleniem, mam jeszcze ważne poczynić zeznania!..

Von Wassenfeld obejrzał się po członkach sądu i dodał surowo:

– Zachowaj je pan dla siebie!... Nie mają one znaczenia, bo zbyt wiele w nich osobistej urazy i złości!...

– Jestem tajnym komisarzem Rządu Cyrkularnego!...

– Kim jesteś – wiemy aż nadto dobrze!... Ordynans! Wyprowadzić świadka!

Skoro drzwi się za Rudzkim zamknęły, Wassenfeld zwrócił się do Zabielskiego.

– Co masz pan do powiedzenia na swoją obronę?!...

– Że każdy z was, panowie sędziowie, postąpiłby tak samo!

– A! – podchwycił zręcznie pułkownik. – Masz na myśli pogrożki w proklamacjach Poniatowskiego!... Tak, to istotnie ważne!... Nie wiem, czy panowie znacie tę proklamację!... Poniatowski groził śmiercią wszystkim opornym!...

Sędziowie jęli rozpatrywać podany papier. Von Strauch ozwał się przychylnie:

– Istotnie!... Poniatowski dosyć chytrze przemówił do swych współrodaków galicyjskich – niejeden mógł stracić równowagę i ulec!...

– O to właśnie i chodzi! – przyznał z naciskiem von Wassenfeld. – Trudno zaprzeczyć, oskarżony nie wiedział, kogo słuchać – ratował życie.

– Bez wątpienia! – rozległy się za stołem sędziowskim przychylnie głosy – gdy, naraz, Zabielski postąpił ku przodowi i ozwał się śmiało:

– O ile wnoszę z rozmów waszych, jesteście, panowie, w błędzie!... Za podłość bym sobie poczytał, by groźba lub przymus miał mnie dopiero nakłonić do tego, co najświętszym moim jest obowiązkiem!

Wassenfeld targnął się niecierpliwie. Sędziowie zaszemrali. Strauch rzekł w głos:

– Tu nie ma rozpraw! Tu jest wyzwanie!

Wassenfeld podniósł się i kazał wyprowadzić więźnia.

Narada była krótką. Zaledwie Zabielski zdołał ochłonąć z gorączki, która nim targnęła, powołano go ponownie przed sędziów. Cisza grobowa powitała więźnia. Pan Tadeusz spojrział pytająco na Wassenfelda i dreszcz go mimo woli przejął. Pułkownik był trupio bładym – ręce, w których trzymał zwój papieru, drżały mu febrycznie – oczy, spuszczone na dół, błąkały się nerwowo. Po chwili dopiero odetchnął pełną pierśią i jął odczytywać formułkę wyroku.

Pan Tadeusz słuchał, ledwie co rozumiejąc z uroczystych niemieckich zwrotów – gdy naraz chropowaty głos Wassenfelda wymówił przejmującym szeptem:

– Skazanym zostaje na śmierć przez rozstrzelanie!...

Zabielski podniósł znów wzrok na pułkownika, a dostrzegłszy dziwny grymas na jego spokojnej zwykle twarzy – uśmiechnął się do samego siebie. Lecz naraz w uszach pana Tadeusza jakieś echo zaczęło powtarzać ostatnie słowa Wassenfelda:

„Na śmierć przez rozstrzelanie!... Na śmierć... Na śmierć!...”

Zabielski powiódł oczyma dokoła sali i pytał samego siebie, dlaczego już światła gaszą, dlaczego oficerowie, a za nimi niższe stopnie wychodzą, oddalają się. Panu Tadeuszowi przyszła myśl, aby wprost zapytać się, czy nareszcie wolno mu wracać na burmistrzówkę – gdy znów zawył mu nad uchem nieubłagany głos:

„Na śmierć... przez rozstrzelanie!...”

Pan Tadeusz otrząsnął się i jął wzrokiem szukać Wassenfelda, gdy stojący przy nim podoficer, dowodzący strażą, trącił go z lekka.

– Za mną! – rzekł sucho.

Zabielski powlókł się ociężale za podoficerem i osunął się na ławę w izbie więziennej.

– *Herr von Zabielski! Herr von Zabielski!*

Pan Tadeusz podniósł głowę – przed nim stał Wassenfeld i ścisnął go za rękę.

– A to pan... pułkowniku?!...

– Przecież bo... nie dawać się!... Mężczyzną jesteś!...

Zabielski kiwnął twierdząco głową.

– Bo... panie von Zabielski, stało się! Ale bo ja właśnie przychodzę...

– Z czym?! – zagadnął pan Tadeusz, nie rozumiejąc, dlaczego pułkownik jąka się i blednie.

– Ja do was! Bo pan wie... pan ma prawo żądać!

– Czego?!...

– No, pan ma prawo – powtarzał, mieszając się pułkownik – widzieć się czy dać polecenie...

Zabielski zrozumiał.

– Więc kiedy? – zapytał cicho.

– Jutro!...

– Już jutro! – powtórzył głucho pan Tadeusz.

– Chcecie odwlec! – podchwycił pośpiesznie Wassenfeld – przedstawię Bronowacki'emu.

Pan Tadeusz potrząsnął głową.

– Lepiej jutro! Na co przedłużać oczekiwanie?...

– Wola wasza!

Pułkownik zaciągnął gwałtownie rzemień temblaka i odwrócił głowę.

– Odchodzicie!...

– Muszę teraz!... Dałem słowo! Powrócę jeszcze... Idę na burmistrzówkę!

– Na Boga, nie czyń tego!...

– Dałem słowo!...

– Więc nie powiadaj nic o wyroku – niech nie wie przed czasem... potem, lżej będzie!...

Darłaby się do mnie, a ja nie chcę jej widzieć, nie chcę patrzeć na jej rozpacz – tak lepiej!...

Gdy już stąd odejdę – wówczas możecie, a teraz ani słowa jednego!... Zaklinam!...

– Coś powiedzieć muszę...

– Że jeszcze wyrokują, że ledwie na wieczór skończą badanie, że sprawa ciężka... ot i wszystko!...

Wassenfeld przyrzekł dochować tajemnicy, ale za ledwie, stanął na progu burmistrzówki, cały plan ukartowanego kłamstwa go opuścił, a gdy w pierwszej izbie spostrzegł wybladłe, rozgorączkowane twarze Janki i Marysi – stracił resztę władania nad sobą.

Janka jednym spojrzeniem odgadła całą prawdę – rzuciła się ku Wassenfeldowi, uchwyciła go rozpalonymi rękoma za rękawy munduru i zawołała z rozpaczą:

– Ja muszę wiedzieć całą prawdę! Słyszysz, pułkowniku?!.. Mów... Skazany?!... Przeczysz?!... Przysięgnij!... Czytam w twoich oczach!... Zabiliście go, zamordowali!

– Pani, na Boga, przysięgam... żyje!...

– Więc jakież wyrok?...

– Nie ma wyroku!...

– Kłamiesz! Oszukujesz mnie!... Widzę to... Przeczucie mnie nie zawiodło!...

– Ale cóż znowu... dopiero jutro...

– Więc i pan, któremu tak ufałam!... Byłam trzy razy pod odwachem... mówił mi Rudzki!...

– Łotr! – wybuchnął Wassenfeld.

Janka padła do nóg pułkownikowi.

– Ratuj go pan, ocal!... Ty jeden nie opuszczaj!... On musi uciec!... Słyszysz?... Na przekupienie starczy!...

Wassenfeld wzdrygnął się i podniósł Jankę.

– Żołnierzem jestem, póki sił stało, broniłem...

– Więc pójdę do Bronowacky'ego!. Padnę mu do nóg!...

– Generał nic tu nie pomoże!... Wyroku nie można zmienić!

Janka zachwiała się.

– Nikt, nikt!... Bez ratunku – bez pomocy, porwali go, zasądzi! Boże miłosierny!

– Pani, nie rozkrwawiaj rany – bacz, że i jemu jeszcze powinnaś dodać męstwa!...

– On nie może zginąć!

– Wojna ma swoje nieubłagane prawa, nielitościwe zbrodnie!...

– Idę do Bronowacky'ego!

– Pani, nie czyn tego, powtarzam, to daremny krok... próżny... nie wysłucha... uczynić tego nie może...

– Więc nie ma już odwołania się żadnego?!... Nie ma instancji... nie ma... siły, która by przemoc waszą mogła powstrzymać?...

– Jest arcyksiążę... temu wolno ulaskawić, lecz do niego daleko... nie wiadomo nawet!...

Wojsko w pochodzie. Z Warszawy ruszył już!

– A gdzie polska główna kwatera?!

– Bez wątplenia w Trześni... lecz co pani chcesz uczynić?!... Zastanów się!.. Nie ma wątpliwości, że polski obóz jest otoczonym... Spodziewamy się decydującej bitwy!...

– Panie, przyrzecz mi, że do pojutra rano włos nie spadnie z głowy Tadeusza!...

– Ależ, to nie w mojej mocy!...

– Zaklinam cię, błagam, do pojutra!... Tej jedynej żebrzę przysługi odwlecz wyrok, a jeżeli, to – niech się dzieje wola boska!...

Wassenfeld wzdragał się, tłumaczył, lecz w końcu uległ. Za ledwie atoli wyrzekł słowo o dotrzymaniu żądanej zwłoki, a chciał wyrozumieć zamiary Janki, ta wyrwała się z objęć tulącej ją Marysi i rzuciła się ku drzwiom wiodącym na rynek.

Pułkownik podążył za Janką, aby ją zatrzymać, uspokoić, nakłonić do rozwagi, wyperswadować szaleństwo – lecz Janka znikła mu na skrócie ulicy.

XI

Zabielski noc całą spędził niespokojnie. Targany myślami, oka nie zmrużył – a za lada szmerem poza oknami zrywał się z ławy, mniemając, że Wassenfeld doń wraca z wiadomościami.

Pułkownik atoli nie nadchodził. Pan Tadeusz po kilkakroć zapytywał dozorującego go wachmistrza, lecz ten mu odpowiedział obojętnym wzruszeniem ramion.

Przyszło na myśl Zabielskiemu, że może odłożono wykonanie wyroku, lecz zapytany o to sierżant potrząsnął głową i odparł ze współczuciem:

– Co ci przyjdzie z tej wiadomości? Świt nadejdzie, będziesz miał dosyć czasu na wszystko!...

Godziny upływały, straż przy Zabielskim luzowała się w równomiernych odstępach; oficer służbowy po kilkakroć wpadał do izby, przyjmował raport od wachmistrza, że wszystko w porządku, i oddalał się, nie patrząc nawet na skazańca. Nareszcie pochmurny świt jął zaglądać do izby. Pana Tadeusza opanowała gorączka rozmówienia się z Wassenfeldena, przekazania

mu ostatnich poleceń, ostatnich słów pożegnania. Nie mogąc dłużej zapanować nad zniecierpliwieniem, zwrócił się do służbowego oficera z prośbą, aby zawiadomił pułkownika von Wassenfelda, że on, Zabielski, chce się z nim zobaczyć.

– Rad bym panu pomóc, ale toć ledwie dzień!... Nie mam prawa nachodzić pułkownika ani ślać do niego!... Gotów by się urazić!...

– Panie, wszak,.. w moim położeniu wolno mi żądać...

– Owszem, lecz musisz bodaj dnia doczekać... Chociaż ręczyć ci mogę, że go zobaczysz wkrótce... Pułkownik, jako przewodniczący sądu, musi być obecnym!...

Pana Tadeusza dreszcz przeszedł.

– Powiem przy raporcie!... Teraz nie mam okazji!...

– Lecz pamiętaj pan, że przecież wyrok!... Może go odłożono?!...

– Nie sądzę – kompania stoi gotowa pod bronią!...

– Więc może dopuścicie do mnie księdza?!

Oficer skinął przyzwalająco głową. Po długiej chwili – miast księdza – w izbie zjawił się Waassenfeld. Zabielski powitał go jak zbawcę.

– Na Boga! Myślałem, żeś pan zapomniał o mnie, że chcesz usunąć się, uchylić od ostatniej może posługi!...

Wassenfeld potarł sfałdowane czoło i zapytał niecierpliwie:

– Jestem, więc czegoż żądasz?!...

Pan Tadeusz uraził się.

– Niczego!... Miałeś mi wiadomości przynieść z domu... ale..

– Cóż, tam... wszystko dobrze!...

– Janka?...

Pułkownik zawahał się.

– Nic!... Uczyniłem, jak chciałeś... nie wie...

– Dzięki ci stokrotnie!... Niech nie wie o niczym... dopiero potem... kiedy mnie będziecie grzebać mieli... chciałbym, by i z jej ręki padła grudka ziemi... To wszystko!

– Bo widzisz pan, nie wiadomo... dziś nie... dopiero jutro!...

Zabielski pobladł.

– Dopiero jutro!... Jeszcze dzień cały i noc oczekiwania?!... Czy odebraliście nakaz, aby mi przed śmiercią zadawać męczarnie?!

– Ależ... tak się złożyło!... Bronowacki nawet nie chciał... lecz dałem słowo – ledwie członkowie sądu... To jest... właściwie, *Herr* von Zabielski, taki u nas porządek... nie można było...

Wassenfelda korciło, aby powiedzieć szczerze o słowie danym Jance i o jej zniknięciu – lecz w porę przyszło mu na myśl, że powiększy tylko udręczenie Zabielskiego, Więc jakże, żona nie napraszała się mnie widzieć?...

– Oczywiście – wytłumaczyłem się zakazem!...

– A gdyby... przecież można nie mówić, że to na pożegnanie... Gdybyś ją, pułkowniku, przywiódł...

Wassenfeld postrzegł nowe niebezpieczeństwo.

– Ani myśli!... Pamiętaj pan – jeżelibyś osłabł, jeżeli przy rozstaniu zabrakłoby ci mocy, panowania, na jakie byś cierpienia ją wystawił...

– Masz słuszość, pułkowniku!... Tak lepiej będzie!... Tylko ta noc znów... to oczekiwanie!...

– Uczynię, co tylko będzie w mojej mocy!... Daruj mi, że dałem ci tak długo czekać na siebie – ale służba mnie zniewoliła... Czasem tak się złoży!... Nie mogłem ci nawet dać znać!...

Zabielski uspokoił się nieco. Wassenfeld pożegnał go wkrótce, przyrzekając odwiedzić po południu.

Reszta dnia zeszła panu Tadeuszowi dosyć szybko. Pułkownik po kilka razy zaglądał doń, próbował rozerwać rozmowę, pamiętał, aby na jadle i napoju nie zbywało więźniowi. Nad wieczorem dopiero rozdrażnienie skazańca się wzmogło. Wassenfeld, mimo wszelkich wysiłków, tracił grunt pod nogami – sam ledwie hamował wyczerpanie. Na szczęście w izbie zjawił się kapelan pułkowy. Zabielski powitał go ponurym spojrzeniem. Kapelan, Słowak z pochodzenia, nie dał się zniechęcić i dał znak pułkownikowi, aby się oddalił.

Wassenfeld wyszedł z izby, zajrzał na burmistrzówkę, a nie mogąc się dopytać o Jankę ani u łzami zalanej Marysi, ani u piorunującego na bezprawie austriackie imię pana Bonawentury – powrócił, aby skoro tylko kapelan wyjdzie, pośpieszyć do pana Tadeusza.

Von Wassenfeld ze strachem myślał o tym, czym zdoła zająć Zabielskiego. Wyrzucał sobie samemu słabość, która sprawiła, że uległ nedorzecznemu żądaniu Janki, a nie tylko pana Tadeusza naraził na daremną zwłokę, ale i jej szalony jakiś zamysł podniecił. Pułkownik uspokoić się nie mógł. Żał mu było Zabielskiego, żał szczerze dawnego kompana a dobrego towarzysza – żał zburzonego szczęścia całej rodziny, lecz równocześnie prosta jego natura żołnierska nie dopuszczała nawet myśli, żeby wyrok polowego sądu mógł być nie spełniony.

Na tym krążeniu dokoła zabudowania, mieszczącego prowizoryczne więzienie Zabielskiego, zdybał go von Strauch.

– No, kolego – zaczął wesoło – masz taką minę, jakbyś knuł spisek!... Jeszcze ci ten skazaniec w głowie siedzi? Mówiłem ci wczoraj – nie zwlekać, nie odkładać egzekucji – dziś ci gorzej?!..., Widzisz!... Do nowegoś zatargu przyszedł z generałem... i coś zyskał?...

– Sam tego żałuję!...

– I temu biedakowi niedźwiedzią wyświadczyłeś przysługę!... Żebyś był wyjednał u Bronowacky’ego przedstawienie o łaskę – nie mówię, warto byłoby czekać na odpowiedź!...

– A może by dał się namówić?...

– Te, te! Próżna fatygą. A kolega, gdyby łaska od ciebie zależała... uwolniłbyś?!...

– Nie! – odrzekł po namyśle Wassenfeld.

– Aha! Trudno ci samemu!... Ba, a bacz, żeby nam ten ptaszek nie uciekł – narobiłbyś i sobie, i drugim ładnego śledztwa!...

– He! He! Próżne obawy pana pułkownika: są tacy, co go upilnować potrafią! – rozległ się nagle szyderyczy głos za plecami von Straucha.

Wassenfeld i Strauch odwrócili się i poznali w mówiącym tajnego komisarza Rządu Cyrkularnego.

– Nie wiem, co dałbym, żeby tę bestię nauczyć rozumu! – wybuchnął von Strauch.

– Bądź co bądź zawdzięczamy tę siurpryzę generałowi!... Szpiegów nam nasyła!...

– Sprawy tej płazem nie puszczę!... A tobie, kolego, najusilniej doradzam, żebyś Zabielskiego zostawił jego losowi – boć tu oczywiście czają się, aby cię skompromitować!...

Wassenfeld zwrócił głowę ku domostwu, w którym mieściło się więzienie pana Tadeusza, a spostrzegłszy wychodzącego kapelana, odrzekł pośpiesznie:

– Muszę wytrwać do końca!... Do widzenia się!...

Pułkownik, mimo napomnień Straucha i szyderyczego uśmiechu Rudzkiego, podążył bez namysłu do Zabielskiego.

Pan Tadeusz powitał go wdzięcznym spojrzeniem.

– Przyszedłeś znów, pułkowniku!... Czym ci odpłacę za dobroć?!... Niestety, już jestem w tym położeniu, że przyjmując, nie mogę myśleć o odwzajemnieniu!...

– Nie zaprzataj sobie tym głowy!... Ale, powiedz mi... z tym Rudzkim musisz mieć na pieńku!

– Z Rudzkim!... At – ja nie mam nic!... Zły człowiek, sprzedajny!... Wykryłem go – mści się!... Niech się mści – byle na mnie!... Niechże Bóg strzeże Jankę!...

– Bądź pan spokojnym, już on tu nikogo nie ugryzie!

Pułkownik głowę pochylił i umilkł. Pan Tadeusz nie przerywał zamyślenia Wassenfeldowi. Przez długą chwilę siedzieli obadwaj naprzeciw siebie zapatrzeni w jakąś dal niezmierną. Nareszcie von Wassenfeld otrząsł się z zadumy.

– Wybaczcie, przyszło mi nie wiadomo skąd. O czym żeście mówili?!...

Pan Tadeusz położył rękę na ramieniu pułkownika.

– Wam by czas na spoczynek!...

– Wasza wola, lecz przy was zostanę!...

– Trzeba, byście stąd odeszli – narażacie się bez wątpienia!... Toć nie trzeba długo zastanawiać się, aby odgadnąć wasze położenie... a mnie niczego nie trzeba...

Wassenfeld się obruszył.

– Zaniechajcie tych przedłożeń, krzywdy mi nie czyńcie!...

– Więc, pułkowniku, zgódźcie się na układ... Zostawcie mnie, a na swoje miejsce przyslijcie mi Świerzyńskiego sierżanta – znacie go przecież!... Świerzyński jest mówny – w razie bezsenności potrafi zająć i siebie, i mnie... A natomiast rano – przyjdziecie wy i jedną jeszcze oddacie mi przysługę...

– Rozkazujcie!...

– Powiecie mi nowiny ze sztabu!... Zgoda?!... Przecież ich nie zdradzę... a chciałbym wiedzieć...

– Dobrze! Świerzyńskiego wam przyślę, tylko pamiętajcie... gdyby znów wzięła was ochota i jego odesłać – w takim razie... każę natychmiast się obudzić... Ale, jeszcze jedno, nie wiem, jak wam to powiedzieć... niechże was Opatrzność strzeże od jakiej szalonej myśli... Dałem słowo za was... lecz nie o mnie idzie – jesteście pod zdwojoną wartą... najmniejsza chęć, i powstanie alarm... a wtedy mogłaby was spotkać nielitościwa kara!...

Bądź spokojny, pułkowniku!... Oto moja ręka!...

Wassenfeld bez zwłoki udał się na burmistrzówkę, a zdybawszy Świerzyńskiego w izbie czeladnej, skinął nań. Sierżant zwlókł się ociężale z ławy i mruknął nieufnie:

– Ano jestem!... I cóż?...

– Pan Zabielski chce z wami mówić!...

Świerzyńskiemu oczy błysnęły.

– Porucznik... rekrut!... Według rozkazu!...

– Ale... może wam sił nie stanie? Chciał was mieć przy sobie – lecz gdyby was samych desperacja...

– Mnie desperacja?... Tfy!... Bierz diabli! – huknął dawnym głosem sierżant. – Mało takich widziałem?... Bierz diabli!... Iść – to iść!...

Wassenfeld, rad z tej odpowiedzi powiódł Świerzyńskiego, przeprowadził przez wartę i, zatrzymawszy się przed drzwiami prowadzącymi do izby, w której był Zabielski, napomniął raz jeszcze:

– Byle ostro!... Nie dopuszczajcie doń myśli, lepiej niech nie pamięta...

– To się wie! – mruknął sierżant i z impetem ruszył do drzwi.

Pan Tadeusz ucieszył się widokiem Świerzyńskiego.

– Cóż, stary!... Myślałem, że nie przyjdiesz!... Jakże tam!... W domu pewno ani przypuszczają?...

– Ano tak!...

– No, a Janka?... Także! Nie spodziewa się!... Tak właśnie chciałem!... Lepiej!... Uwinęli się ze mną!... He?!... Nic nie mówisz!...

– Bierz diabli!...

– Także mnie to adresujesz?!... Hej! A gdyby wina?!

Sierżant skinął potwierdzająco. Zabielski zameldował strażującemu wachmistrzowi, ten z kolei złożył raport służbowemu porucznikowi. Pozwolenie przyszło niebawem, a wraz z nim dzbanek tęgiego węgryzyna. Zabielski aż się roześmiał do niego.

– W wasze ręce, sierżancie! Niech tam!...

– A niech!...

– Dajcie wasz kubek!... Nasz Michałko się spisał!... Jakby wiedział, na jaką to uroczystość!... Pijcie!

– Piję!...

– Jeszcze!... Uf!... Grzeje!... Może ulży do reszty! Cóż wy nie mówicie nic?!...

– Hm!... Bo niby co?... Bierz diabli!...

– Świerzyńsiu, nie odsyłajże mnie do piekła!

– Przymówisko takie, panie poruczniku!...

– No, pijcie jeszcze!... Zeszło mi, co?!... Nie myślałeś chyba, żeby mi tak prędko przyszło!...

Sierżant łypnął oczyma i machnął ręką.

– Smyk... rekrut!... Nowomodne czasy!...

Pan Tadeusz po raz czwarty wypełnił kubki i zachęcał znów do picia. Sierżant ciągnął wino, obcierał wąsiska, sapał i milczał zawzięcie. Zabielski próbował jeszcze wyciągnąć Świerzyńskiego na rozmowę, lecz zrażony monosylabowymi odpowiedziami – umilkł także.

W izbie zaległa cisza, przerywana od czasu do czasu głośnym cmokaniem i smakowaniem wina. Zabielskiego znów smutne myśli opanowywać zaczęły a ciężar jakiś tłoczył piersi. Pan

Tadeusz żałował prawie, że wezwał do siebie Świerzyńskiego. Obecność sierżanta przygnębiała go, przywodziła na pamięć wszystkie refleksje.

Tak zeszło kilka godzin. Pan Tadeusz już zbierał się, aby sierżanta namówić do powrotu na burmistrzówkę – gdy naraz Świerzyński porwał się z ławy i zaczął nadśłuchiwać.

Zabielski spojrział na sierżanta jak na szalonego, daremnie chcąc wyrozumieć, co w panującej dookoła ciszy wykrył sierżant.

Świerzyński nie zwracał uwagi na pełne zniecierpliwienia ruchy pana Tadeusza i ze skupieniem chwycił jakieś nieodgadnione dźwięki.

Wtem coś, jakby pył, posypało się w kominie... Pan Tadeusz targnął się niecierpliwie na ławie. Pył posypał się po raz wtóry – tym razem dłużej, hałaśliwiej. Zabielski nie mógł zapanować dłużej.

– Cóż wy tam... wiatru w kominie słuchacie?!

Świerzyński brwi ściągnął.

– Bitwa, panie poruczniku!

– Co wam, gdzie?

– Pod Sandomierzem – albo i lepiej!...

– Wino mocne!... – zauważył kwaśno Zabielski.

– Bitwa, bierz diabli!... Zaczęli!... Druga bateria... trzecia!... czwarta!... Zagrali!... Rotowy ogień wtóruje!...

– Sierzancie, co wam?!...

Świerzyński chwycił Zabielskiego za rękę.

– Bitwa, powiadam!... Słyszysz?! Rekrucie ucho, choć porucznikowski instrument... Do ziemi ucho!...

Pan Tadeusz poszedł mimo woli za rozkazem sierżanta i pochylił się ku polepie. Świerzyński spoglądał tryumfująco na Zabielskiego.

– Zagadała do ciebie rodzona!... Hę?!... Może nie?!...

Zabielski istotnie usłyszał teraz łomot i huk głuchy, idący z głębi ziemi.

– Poczekaj, mości poruczniku, rekrucie, jeszcze chwilę, a łono jej się rozkołysze, zagada wyraźniej... Słyszysz, szyby zadygotały!...

– Możeż to być? Możeż to być... sierzancie?!... – zagadnął niepewnie pan Tadeusz.

– Zaczęli dopiero!...

– Ale kto z kim?!

– Austriacy chcą do Sandomierza się dobrać!... Siła ich pewnie!... Ale nic – bierz diabli... z naszymi niełatwa sprawa... Sokolnicki – bierz diabli... Nie ugryzą!... Sokolnicki zdobył...

Sokolnicki obroni! Musi mocno następują!... Ucichło?... Bateria waruje... plunęli teraz!... Kapusta w szeregach... Austriacy zawzięci – idą – a nasi prażą!... Niedoczekanie!... Sokolnicki się nie da!... Trzy kompanie zbierze, bagnety nasadzi i cichaczem runie na wycieczkę – skotłuje aprosze⁵⁷, kilka dział zagwoździ i... znów za okopy się cofnie, a patrzy, a zębami zgrzyta!... Hm!... A gdyby tam był nasz... pułkownik!... Gdyby on tam był!... Pffii,... Bierz diabli!... Za karabin sam – przed front i – za mną, dzieci! Rozumiesz, smyku!... Rekrucie! Gorzej teraz – dawniej, w legii, inaczej bywało!... Legia – bierz diabli – to niby rodzina – sztandarci nad nią furkotał a okrywał niby jednym dachem!... A jaki ci to był sztandar!... Sobieskiego!... Papież jegomość dał go imć panu Dąbrowskiemu!... Sobieski go na Turku zdobył i ku chwale niebieskiej w Rzymie zawiesił... Dwieście lat bez mała upłynęło – myśmy poń przyszli!... Furkotał zatraceniec tak, że człowiekowi serce rosło!... Szedłeś!... Buty dziurawe, żołdu ani poświeć, szewron ci obiecali, ale naszyć go nie ma na co – w brzuchu po dwa dni jeden pomidor ci się kołacze i żywność symuluje – a tu ci zagrają, a tu zawołają na cię tak, że ci bebechy jęczą, a tu huczy ci pieśń, jakby rodzona twoja zza gór cię wabiła!... Cóż!... Pięć zacisnąłeś – nabój w zębach ściskasz, żeby ci nie dzwoniły z alteracji, i idziesz w ogień!... Póki prac każą, pierzesz!... Wenecjany to Wenecjany – niesforne Lombardy, to bierz diabli – Lombardy!... Kłujesz Neapolitańczyków, Rzymian, Austriaków, co ci nad Salą wytrząsają, Tyrolczyków, co za arcyksiężącą mością ujmować się chcą – i tak pierzesz... A czasem od generalności rozkaz! Rozumiesz?... Rozkaz dzienny! Kapitana twego pochwalili!... A ciebie pod sercem ściska!... A czasem na leże wypędzą i o pokoju słuchy chodzą!... Skóra ci cierpnie, oczy krwią nabiegają, zgrzytasz, gryzłbyś!... Pokój!... Więc nic z wróżb – nic z zamysłów, pokój zawarli, bolę twoje zważyli i sprzedali!... Broń na kołek i powiadają ci – nic mi po tobie!... Zatracęcy!... Imć pan Dąbrowski do Dyrektoriatu, imć pan Wybicki do Napoliona, Kniaziewicz leży w namiocie a jęczy!... Rozumiesz, poruczniku, rekrucie?!... Naszymi garściami traktatu się dowojowali i powiadają: teraz nic nam do was!... Nędza!... Noce żrą człowieka, sny mordują – najmocniejszym konceptu nie staje... Płyną miesiące, aż ci znów zegrali!... Pobudka!... Broń zgrzyta pod szmatami!... Odezwa! Potem rozkaz i znów idziesz!... I tak lata... bierz diabli!...

– Prawda, wasza prawda... sierzancie... lecz toć teraz – lepiej!... Na swojej ziemi wojna, nie na obcej!...

– Lepiej?! – odparł przeciągle sierżant. – Głupstwo!... Gorzej!...

– Gdzież bo!...

⁵⁷ Aprosze – okopy wysunięte na czoło zasadniczej linii obronnej.

– Gorzej, powiadam... mości poruczniku... rekrucie!... Tam człek myślał, że gdy wracać będzie na zagon ojczysty, to mu nawet wierzby przydrożne chwiać będą gałęzmi, że naród jedną pierś mieć będzie – jedno zawołanie na ustach! A tuż nie widzisz, jako ci coraz to inaczej grają?... A nasz generał?!... Cóż wy, mości poruczniku, rekrucie... wiecie, co *znaczy* mieć swego generała?! Swego rodzonego, z którym razem śmierci zaglądałeś w oczy, z którym jednym przymierałeś głodem!... Myślisz, że jego krzywda nie jest twoją!... Bierz diabli – on zacnością cię ujął i pierwszeństwa ci ustąpił – ale, do stu piorunów, człowieka za gardło ściska, kole, szarpie!... Ryczałbyś!... Dąbrowskiego prawo!... Dąbrowskiego jeden przewód! Jego imię jest naszym zawołaniem!...

– Poniatowski! – szepnął nieśmiało pan Tadeusz.

Sierżant odsapnął.

– Poniatowski?! Może sobie być!... Widziałem go w ogniu! Stawa mocno!... Bierz diabli!... Sokolnicki może lepszy – a nasz pułkownik! A... Wielhorski! A Liberadzki!... Kniaziewicz, Żymirski!... Dziesiątki ci wymienię! Ale to nie to... Uważasz, powiedz no sobie – Dąbrowski! Co – grzeje, cię? Musi! Taki tylko może!... Inny, choć ma rozmach, nie starczy duchem!... Gdyby on... bierz diabli!... Zobaczylbyś!... Szliby inaczej, szliby wszyscy!...

Sierżant umilkł nagle i zapatrzył się w pełzające mroki poranku. Zabielskiemu powieki zadrgały.

– Ostatni raz was słucham!... Jutro o tej porze...

– Cóż... bierz diabli!... Kula!... Przewierci!...

– Ciężko!...

– A pewnie, bo do raportu trzeba stanąć – a jakby co, rekrucie, smyku, to aby butów nie uszyj! W mojej instrukcji chodziłeś. Dokuczyłem, ale złem nie odpłacaj!...

– Co wam, skądże?!

– No bo... bierz diabli – pułkownik... gotów zapytać, co eskorta! Tedy wyłożysz!... Dokumentnie! Powiedz mu, że się liżę, a jak tylko... to do pułku i w ogień!

– Et! Pożyjecie!... A zresztą w boju nie żal – ale tak, na placu, stawać pod cel!...

– Głupstwo!... Splunąłbym im, i koniec! Nie za niesubordynację, nie za uchybienie!... Za dobrą sprawę, tedy... i tego, łajdaki!...

Zabielski chciał odpowiedzieć, lecz w izbie zjawił się Wassenfald – uściskał w milczeniu rękę pana Tadeusza i zasiadł ociężale na ławie.

– Dzień! – ozwał się pan Tadeusz.

– Bodajby go zamroczyło! – mruknął sierżant.

– Mówicie co?...

– Nie, tylko tak!... Może wina!...

– Dojdę na trzeźwo!

Wassenfeld milczał, spoglądając niespokojnie ku drzwiom.

Za oknem rozległ się przeciągły łomot bębnow.

– Czy już?

– Apel! – objaśnił von Wassenfeld.

– Jednym na życie, drugim...

Zabielski nie dokończył. Drzwi otwały się z trzaskiem. Oficer służbowy stanął w izbie.

– Czas! – ozwał się krótko.

Pan Tadeusz uściskał sierżanta.

– Żegnaj mi, stary!... Krótkie było nasze przyjacielstwo... ale...

– Bierz diabli... bierz! – mruczał Świerzyński, a powiekami mrugał. – Byle... Niech psiawiary nie cieszą się słabością!...

– Proszę za mną!... Naprzód! – upomniał oficer.

– Równaj się!... Marsz! – huknął z impetem sierżant.

Pan Tadeusz poszedł za oficerem. Wassenfeld powlókł się za Zabielskim. Przed domem oczekiwała na pana Tadeusza warta, która go otoczyła i powiodła ku placowi za miasteczkiem.

W drodze pan Tadeusz obejrzał się znacząco ku Wassenfeldowi. Pułkownik podszedł do Zabielskiego.

– Trzeba wam czego?!...

– Przyrzekliście!...

– A! Słuchajcie więc!... Pod Jarosławiem była potyczka!... Wasz Roźniecki z ósmym pułkiem piechoty i kilku szwadronami strzelców konnych atakował nasz garnizon!... Dziewięciuset żołnierzy wzięto nam w niewolę!... Generał Schauroth starł się z Sokolnickim!...

– I co?!...

– Schauroth się cofnął!... Linia od Noteci do Częstochowy obsadzona przez Dąbrowskiego. Arcyksiążę ustąpił z Warszawy. Napoleon w Wiedniu, gotuje się do decydującej bitwy!... Pod Sandomierzem bitwa!... Sokolnicki broni się zawzięcie!... Wasz książę uszedł osaczenia!...

Zabielski pokraśniał.

– Czy aby mnie łudzicie?!...

– Parol oficerski!... W sztabie zamęt!...

– Tedy pewność was opuściła!

– *Herr* von Zabielski, przed wami nie mam co ukrywać! Nie wiadomo, co z tego wyniknie!... Lada dzień spodziewamy się wymarszu pod Kraków, może na Śląsk, a może pod Wiedeń! Lwów opanowany przez insurekcję!...

– Sam Bóg z nami!...

Wassenfeld spojrzał zdumiony na promieniejącą twarz pana Tadeusza.

– Że was to jeszcze obchodzi...

– Pułkowniku!... Nie tylko teraz, ale i potem!... Jeżeli danym mi będzie, dozwolonym z tamtego świata ku ziemi poglądać, to i wówczas szukać będę tylko tej mojej rodzonej – i wówczas każdy jej ból moim będzie, a każda jej radość – moją radością!...

Ostra komenda przerwała Zabielskiemu wątek myśli. Wassenfeld ujął go za rękę.

– Niech ci Wszechmocny użyczy siły!

– Na Jankę pamiętaj – powiedz jej, że ostatnie tchnienie moje, ostatnie uderzenie serca było dla niej!... Światłem mi była!... Jej zawdzięczam, że pierś ma nie skrzepla samolubstwem!... Żegnajcie!...

Pan Tadeusz odwrócił się od pułkownika. Kapelan wojskowy dał mu do pocałowania krzyż – po czym oficer dowodzący podprowadził go do wbitego na środku placu słupa i skinął na żołnierzy. W okamgnieniu związano Zabielskiemu ręce i nogi i przytroczono do słupa.

Zabielski ze spokojem poddawał się więzom i spoglądał na czynione przygotowania.

Widział, jak oficer komenderujący, odmierzywszy trzydzieści kroków od słupa, zakreślił końcem pałasza szeroką bruzdę, jak na tej bruzdzie ustawiał i równał pół kompanii strzelców, jak potem zdawał raport stojącemu obok Wassenfelda starszemu od siebie oficerowi i jak półkompania na trzy tempa opuściła broń do nogi. Zabielski widział i sznur doboszów ustawiających się z boków, i tłum zwarty żołnierzy cisnących się z dala, i schodzących się powoli oficerów.

Przygotowania atoli nie postępowywały tak szybko, jak tego chciał pan Tadeusz. Półkompanię po małej chwili cofnięto znów w tył, potem znów za rozkazem sztabowego adiutanta posunięto naprzód, a na koniec, po długiej naradzie, ponownie ku tyłowi wzięto.

Nareszcie ozwały się bębny, wybiły z furją grobową pobudkę i umilkły.

Pana Tadeusza mrowie przeszło od stóp do głowy. Rzucił wzrokiem ku błyszczącemu przed nim grzebieniowi karabinów, lecz ten trwał nieruchomie, skrząc się w słońcu. Oficer komenderujący stanął na lewym skrzydle półkompanii z dobytym pałaszem. Zabielski oczy zmrużył. Zdawało mu się, że lada chwila posłyszysz szcęk podnoszonych karabinów –

tymczasem znów nastąpiła długa, męcząca pauza, która skazańcowi każdą sekundę na lata rozciągała.

Bębny ozwały się po raz wtóry, a równocześnie z nimi iść zaczął ku Zabielskiemu zwarty tłum oficerów.

Pan Tadeusz ostatkiem sił opierał się osłabieniu. Skrępowane ręce i nogi drętwiały mu, tężały. Słońce palić zaczynało.

Tłum mundurów otoczył słup. Wassenfeld rozwinął podany mu przez adiutanta papier i zaczął odczytywać wyrok. Głos pułkownikowi drżał. Zabielski usiłował zrozumieć bodaj jedno słowo – nie mógł. Chropowate dźwięki głosu Wassenfelda zlewały się dlań w jakiś potwornie długi akord.

Wassenfeld skończył, a Zabielskiemu jeszcze huczały te dziwne a obce mu prawie wyrazy.

Naraz tuż przed Zabielskim, w tłumie oficerów mignęła się skulona postać Rudzkiego. Pan Tadeusz wzrok wyteżył. Był to istotnie Rudzki – podchwycił on snadź spojrzenie skazanego, bo wysunął się ku przodowi i ozwał się ironicznie:

– Żegnam pana burmistrza dobrodzieja! Sługa uniżony!... Ciepło nam!... He... He!... Nie trzeba było Rudzkiemu w drogę wchodzić ani wolontarza udawać!

Zabielski drgnął, zęby zacisnął i odparł z wysiłkiem:

– Bacz, żebyś nie wisiał!...

Rudzki coś odpowiedział, lecz bębny zagłuszyły jego słowa. Oficerowie odeszli. Komenderujący półkompanią odebrał z rąk Wassenfelda rozkaz.

Zabielski spojrzał w dal i pośród gromady ciekawych żołnierzy dostrzegł furażerkę sierżanta. Furażerka chwiała się a dygotała tak osobliwie, że aż to pana Tadeusza zastanowiło. Oczy zmrużył i szyję wyciągnął, aby lepiej sięgnąć wzrokiem – gdy wtem ciemń przerwała mu ostatnie spojrzenie. Zarzucono mu płachtę na głowę.

Pan Tadeusz zakrzyknął, że chce z otwartym czołem umierać, bębny zagłuszyły słowa protestu.

Oficer dowodzący stanął przed półkompanią i skinął.. Żołnierze nabili broń, zasadzili stemple i czekali.

Oficer przeszedł szereg, wrócił na prawe skrzydło pierwszego plutonu i wyciągnął pałasz.

Karabiny podniosły się na wysokość ramion – lufy zwróciły się do piersi skazańca.

– Cel! – zakomenderował oficer, a rzuciwszy okiem po lufach – odetchnął, jakby pragnąc impetu nabrać dla wydania ostatniego rozkazu – gdy nagle w gromadzie stojących na uboczu oficerów rozległ się okrzyk zgrozy i tak silny, że przedostał się nawet przez warczenie bębnow.

Oficer dowodzący oddziałem odwrócił się mimo woli, lecz zanim zdołał rozeznąć, co się dzieje, na półkompanię spadł jak piorun Wassenfeld.

– Do nogi broń! – huknął zajadle.

Karabiny osunęły się ku ziemi. Wassenfeld zachwiał się na nogach. Oficer pośpieszył mu z pomocą.

– Panie pułkowniku!.. Rozkaz!... Wyrok!... Na Boga! – uspokajał oficer.

– Ułaskawiony! – wybełkotał z trudem Wassenfeld.

Oficer, mimo całego uszanowania dla szarży pułkownikowskiej, wiary nie dawał, myśląc, czy to nie wybieg, czy to nie zbytek jakichś nowych względów dla skazańca lub rozpaczliwy protest. Von Strauch, a w końcu i adiutant sztabowy pośpieszyli z pomocą Wassenfeldowi. Ułaskawienie przyszło istotnie, i to z głównej kwatery arcyksięcia przez służbowego oficera ordynansu. Bębny umilkły. Półkompania wracała już do koszar, a dokoła Wassenfelda kupili się oficerowie, dociekając, skąd wzięła się ta niespodziewana względność arcyksięcia. Adiutant sztabowy zaprzysięgał się, że generał Bronowacki dotąd nie wysłał był raportu do głównej kwatery – więc wiadomość o sprawie Zabielskiego musiała dojść uboczną drogą. Strauch bez ogródek uściśnął dłoń Wassenfelda i rzekł wesoło:

– Wybornie, kolego! Zawsze mówiłem, że ty masz szczególniejsze względy u arcyksiążęcej mości!

Wassenfeld się zaklął, a tym samym silniejsze jeszcze obudził zaciekawienie. Domysły oficerów przerwało zawołanie, że Bronowacki nadchodzi. Rozprawiający rozstąpili się z uszanowaniem.

Generał z ustami zaciśniętymi szedł, mając za sobą ordynansa arcyksięcia, szedł do słupa...

Na rozkaz Bronowacky'ego zdjęto płachtę z głowy pana Tadeusza i rozcięto mu postronki. Generał uroczystym głosem obwieścił skazanemu zamianę wyroku śmierci na dozgonną służbę prostego żołnierza w wojsku austriackim, po czym, zwróciwszy się do Wassenfelda, dodał ze źle ukrywaną niechęcią:

– Weźmiesz go pan do swojego pułku!... Zdaje się, że urzeczywistnię w ten sposób twoje najśmielsze pragnienia i uprzedzę prośbę!...

– Dziękuję... ale, panie generale, zapewniam, że nie ja wpłynąłem...

– Wiem o tym! – przerwał niechętnie Bronowacki. – Właśnie ordynans mnie objaśnił. Ułaskawienie nastąpiło na skutek wystąpienia Poniatowskiego i uwolnienia przez niego dwóch wyższych oficerów!...

Bronowacki odszedł. Wassenfeld rzucił się ku panu Tadeuszowi.

– Ocalony!... Słyszysz? Jesteś ocalony!... abielski uśmiechnął się i chwiał głową bezwładnie. – Byle prędzej... byle prędzej, pułkowniku... już dwa razy po sto lat przeżyłem!...

Pułkownik teraz dopiero spojrzał uważniej na zmienioną, trupio bladą twarz pana Tadeusza i zatrząsł się ze zgrozy – głowa Zabielskiego była biała jak mleko.

Na drugi dzień zaledwie po przerwanej egzekucji pan Tadeusz przyszedł do siebie. Pułkownik roztoczył nad nim szczególniejszą opiekę – względy pułkownika odbiły się na obejściu wszystkich stopni, którym danym było przewodzić nad panem Tadeuszem.

Zabielski bez szemrania zniósł pierwsze napomnienia gefrajteraj; dopiero kiedy mu biały mundur wdziano, a kamaszami nogi opięto i stawiono przed Wassenfeldem, krew zagrała w panu Tadeuszu. Strzymać się nie mógł i ozwał się sucho:

– Wolejby mi było zginać niż w tym mundurze chodzić, a może jeszcze z bronią następować na bratnie szeregi!...

Pułkownik zmilczał, a kazawszy odejść feldfeblowi, z morałami a przedłoženiami zasiadł na Zabielskiego, obiecując go do kancelarii wziąć i niewyraźnie wspominając, że byle z pierwszego dozoru wyszedł, to potem już i skrócić sobie służbę zdoła sam, bez niczyjej pomocy.

Pan Tadeusz nabrał otuchy i jał z kolei napraszać się o widzenie z Janka. Pułkownik przyciśnięty do muru wyznał mu całą prawdę, że niewątpliwie w ułaskawieniu należy upatrywać skutku rozpaczliwego kroku.

Zabielskiego ponure napadły myśli, Janka wyrwała się sama. Jeżeli dotarła nawet do Trześni – to czy zdoła wrócić?... A jeżeli nie dostała się, jeżeli ułaskawienie było nie z jej wstawienictwa?... Pułkownik solennie przyrzekł pomoc swoją, lecz cóż on może?...

Pan Tadeusz, cichaczem, pod dozorem gefrajtera przemknął się do burmistrzówki. Rozgadał się z Marysią, z sierżantem, wysłuchał gorzkiej perory imć pana Bonawentury – wreszcie starego Piętkę skłonił, by natychmiast ruszył do Trześni na poszukiwania Janki.

Tak uspokojony nieco, wrócił na wieczór do koszar i rzucił się na tapczan, aby we śnie znaleźć zapomnienie przebytych mąk i trawiących go niepokojów. Lecz zaledwie powieki ołowiem nachodzić mu zaczęły a znużenie zwyciężać tok rozpalonych myśli – Ostrów zatrząsł się od gwałtownych pobudek, żołnierze zrywali się na równe nogi i pośpiesznie gotowali się do wystąpienia.

Zanim pan Tadeusz zdołał wyrozumieć, co się dzieje – spędzono go z tapczana, wciśnięto w mundur, obładowano tornistrem, sakwami i potrzebami, wetknięto karabin i wypędzono na rynek.

Pułk sformował się w długą, wężowatą kolumnę. Bębny zagrały.

Postój był krótki. Wassenfeld po kilkakroć zatoczył koniem dokoła pułku. Generał ozwał się do żołnierzy. A potem rozległ się okrzyk gorący, pijany szczęściem:

– Do Wiednia! Do Wiednia!

Pan Tadeusz zagadnął stojącego żołnierza obok

– Co?! Dokąd?

Żołnierz białkami łypnął i roześmiał się.

– Nie słyszycie?! Do domu wracamy! Do Wiednia!...

Zabielskiego mróz przeszedł.

Na froncie pułku zagrał sygnał. Bębny z fajframami uderzyły marsza. Głos komendy rozległ się po szeregach. Kolumna ruszyła.

XII

W trzy miesiące niespełna plan Dąbrowskiego święcił tryumf. Austriacy uszli. Od Torunia i Gniezna po Kraków, Modlin i Lwów łopotwały zwycięskie sztandary wojska polskiego.

Napoleon pod Wiedniem, na polach Wagramu, ostateczny zadawał cios Austrii. Po zwycięstwie pod Esling decydującą staczał bitwę, a raczej niweczył resztę potęgi wielkiej monarchii, a raczej nowym laurem skroń swą zdołał.

Walka pod Wagram była mordercza, zajadła; tysiąc armat grało nad falami Dunaju, tysiąc gromów śmiertelne wybijało salwy.

Aż po wyparciu Austriaków z obronnych pozycji, po rozpaczliwych zapasach piechoty, konnicy, chmur ołowiu i żelaza, Napoleon porwał kawalerię gwardii, cztery wyborne pułki, a między nimi słynny pułk polskich szwoleżerów.

I szwoleżerowie poszli do szarży jak wichry, i mietli przed sobą szczątki nieprzyjaciela, i własnymi ciałami zagwaźdzali austriackie armaty, i szli na prześcigi o lepsze z grenadierami i strzelcami, i kirasjerami.

Już armaty były prawie zdobyte, już na lawetach zwieszały się bezwładne kadłuby kawalerzystów, już z dala szły chrapliwe pobudki austriackie, wzywające do odwrotu – gdy z obłoków dymu i kurzawy stanęła przed szwoleżerami grenadierska kompania piechoty

austriackiej, kompania groźna, z rozpaczliwą zajadłością skupiona, zwarta w jedno ciało, plująca raz po raz rotowym ogniem.

Szwolężerowie uderzyli z całym impetem, lecz natrafiwszy na las bagnetów, rozpadli się ponoszeni przez krwią ociekające konie, stracili w okamgnieniu zamach do powtórnego natarcia. Józef Załuski z Sewerynem Fredrą chcieli utrzymać swoje plutony i na lewy flank kompanii uderzyć – na próżno.

Grenadierzy na komendę zwrócili front i udaremniłi manewr. Koziętulski z Krasieńskim pozostawili Załuskiego ze szwadronem dla złamania grenadierów, a sami ruszyli ścigać cofające się niedobitki dragonów Rysza i strzepy ułanów Schwarzenberga.

Załuski uformował szwadron i rozwinął półkole dokoła kompanii grenadierskiej. Kompania ani drgnęła. Z gotowymi do strzału karabinami, z ustami zaciśniętymi, z krwawymi plamami na białych mundurach, ze słaniającym się sztandarem pośrodku – wytrzymała, upatrując, zda się, gdzie by kule wyrzucić celniej, a gdzie potem bagnetem żgnąć bez zawodu.

Szwolężerowie, karbami zimnej krwi Załuskiego ujęci, zbliżali się stępa z pistoletami do strzału. Grenadierzy podnieśli broń do oka.

– Pardon wołajcie! – zakrzyknął Załuski.

Pułkownik, dowodzący kompanią, podniósł hardo pałasz do góry. Grad kul odpowiedział Załuskiemu. Szwolężerowie zaszamotali się na koniach, plunęli z pistoletów i wpadli na Austriaków z podniesionymi szablami. Walka zaczęła się zażarta, na bagnety, na białą broń, na kolby, na klingi, na pięści.

Przy pierwszym starciu grenadierzy, rozwarłszy piersi najśmielej niosącym koniom i z ich ciał wał sobie zrobiwszy – skłuli nielitościwie powalonych na ziemię szwolężerów i zdawali się mieć przewagę. Ale gdy Załuski ścisnął półkole i zamknął je na tyłach grenadierów, gdy sam wreszcie spiął konia ostrogami i w szalonym skoku wpadł między bagnety Austriaków – kompania grenadierska zachwiała się, zatoczyła i nikać, w oczach zaczęła topnieć.

Pułkownik chciał do odwrotu wezwać, było za późno – szwolężerowie następowali zewsząd, gniotąc nielitościwie Austriaków. Pośród grenadierów rozlegały się coraz częściej okrzyki rozpaczliwe: „Pardon”. Ale tam gdzie postrzępiony sztandar łopotał, gdzie rozlegał się jeszcze chrapliwy głos pułkownika, tam grenadierzy murem stali, padali bez skargi, ginęli bez jęku.

Młody wachmistrz szef Gotartowski bądź co bądź chciał dosięgnąć pułkownika. Zakrzyknął na swój pluton i sunął ku sztandarowi. Szwolężer Poniński wysunął się za wachmistrem z lancą ułańską, pochylił się na koniu i dźgnął sztandarowego grenadiera.

Żołnierz osunął się – sztandar wypadł mu z ręki. Szwoleżerowie wydali okrzyk tryumfu, lecz austriacki pułkownik schwycił za drzewce sztandaru – grenadierzy otoczyli go kołem. Gotartowski, rozumiejąc, że nic rozpędem nie poradzi, zdarł konia i jął, za przykładem innych, wyrąbywać przed sobą drogę. Tymczasem ku ginącej kompanii skradał się niepostrzeżenie jeszcze jeden wróg – straszny, nieubłagany, niespodziewany. Kompania stała śród stratowanego, lecz mocno dojrzałego i wyschniętego łąnu pszenicy. Łan ten, mimo strugi krwi, mimo zawały ciał, prażony promieniami słońca, orany granatami – zatlił się...

Snopy gryzącego dymu spowijały grenadierską kompanię, nieuchwytne języki ognia jęły pełzać po ziemi. Rwały i rzucały się konie, wili się z bólu ranni, własną krwią daremnie gasząc pożar.

Grenadierzy, skupieni dokoła sztandaru, nie zdołali jeszcze zdać sobie sprawy z tej ciemni, która już im zasłaniać zaczynała najbliższej nacierających szwoleżerów, gdy wtem, wraz z bólem wskroś przejmującym – postrzegli skry pnące się po ich odzieniu.

Nieludzki jęk dobył się z piersi grenadierów – najśmielszym broń wypadła z ręki.

Szwoleżerowie na oślep tratowali. Gotartowski ze swoim plutonem parł jeden z pierwszych, tnąc w nieprzeniknionym dymie, na prawo i na lewo.

Nagle wiew silny powietrza zdarł welony dymu z walczących i zwrócił języki ogniste w bok. Pośród szwoleżerów widniała już tylko bezkształtna gromada ciał, a ponad nią jeszcze chwiały się sztandar w rękę pułkownika.

Gotartowskiemu na widok sztandaru aż oczy się zaśmiały – zeskoczył z chwiejącego się pod nim konia i z wzniesionym pałaszem biegł ku sztandarowi. Lecz pułkownik austriacki, teraz dopiero postrzegłszy, że z jednym zaledwie, krwią oblanym żołnierzem został – zdarł sztandar z drzewca i z dzikim śmiechem rzucił go na pełzające w pobliżu języki... Gotartowski, w lot pochwyciwszy ten ruch – rzucił się, aby sztandar ratować, lecz było już za późno. Płomień objął go ze wszech stron. W Gotartowskim krew zagrała. Ścisnął pałasz i wpadł na pułkownika, aby mu głowę rozplątać – gdy nagle stojący przy pułkowniku żołnierz zawołał nań surowo:

– Bezbronnego chcesz mordować!

Na dźwięk polskiej mowy – Gotartowskiemu ręka opadła.

– Wołacie pardon?! – zapytał ostro.

Żołnierz wskazał na ślaniającego się bezwładnie pułkownika, na swe prawe ramię obwisłe a krwią ociekające i odrzekł:

– Powiedz, szpital, do czarta – boć tu nie ma kogo pardonować!...

– Biorę was do niewoli! – zakonkludował młody wachmistrz. – Dalej, za mną!...

Załuski zakomenderował na zbór szwadronu, upatrując, gdzie ma za pułkiem podążyć, lecz równina Marchfeldu milkła, wzgórze Wagramu okryły się orłami cesarskimi. W dali, niewyraźne echo niesło ostatnie wystrzały uchodzącej armii arcyksięcia Karola – bitwa była skończoną. Załuski naradzał się z Fredrą. Iść za pułkiem było już za późno, bo ani nie wiadomo było, dokąd poszedł, ani też wolno było porucznikom wyprawę przedsiębrać. Załuskiego jeszcze zdejmowały wątpliwości, co czynić, gdy w pobliżu dostrzegł galopującego oficera sztabu cesarskiego. Załuski wysunął się ku niemu i zagadnął. Oficer oburknął się niecierpliwie:

– Wracać! Po bitwie chcecie zuchów udawać! Nie widzisz pan?!...

– Lecz może pogoń?!...

– Ta już poszła! Na was za późno!

Załuski, zrażony szyderczym tonem sztabowca, zawrócił do szwadronu – kazał spędzić wziętych niewolników, potem z koni zsiąść i co silniejszych niewolników przybrać do poniesienia rannych.

Szwolężerowie dosyć żwawo zabrali się do spełnienia rozkazów – choć ledwie połowa po zejściu z koni mogła ustać na nogach, a najwytrwalsi szukali manierek. Szwadron dosyć liczny, prawie pełny, malał. Naprężone mięśnie, rozigrane nerwy, podniecające myśli – stygły. Rany zaczęły palić, draśnięcia doskwierać, pragnienie dokuczać, wyczerpanie obezwładniać. Dzielnie się trzymający na siodle żołnierz, po komendzie „na zsiadanie” – chwiał się, zataczał, ledwie nogami włóczył.

Po dłuższym dopiero wytchnieniu szwoleżerowie zdołali osłabłych towarzyszków pokrzepić, rannych zebrać, do nadciągających ambulansów podać i dopiero zająć się zbitą gromadką niewolników.

Gotartowski jeden z najpierwszych niewolnikami się zajął, aby z oczu nie stracić wziętego pułkownika austriackiego i samemu szefowi Koziatulskiemu go przedstawić. Młody wachmistrz, pokrzepiwszy się tęgim haustem wódki i kawałem suchara, oddał swą mocno okaleczoną kobyłę sierżantowi, a sam ją upatrywać między pojmanymi swego niewolnika. Jakoż dostrzegł go siedzącego na ziemi, a wspartego na ramieniu tego samego żołnierza Polaka. Gotartowski kiwnął głową z zadowoleniem.

– Dobrze, że tu jesteście! Zaraz pójdziecie w drogę!

Pułkownik milczał. Gotartowski spojrział na siedzącego obok żołnierza i dodał ze złością:

– Nie czulcie się tak do siebie, bo wstyd patrzeć!... Mości szczygłe austriackie, ramię sobie owiąż, bo ci krwawi! Tu noszy ani ambulansów zadość nie ma... na piechotę pójdziecie!... Tfy! Ot ci grenadier austriacki!... Cięli cię dobrze?!

– Niech sobie! – mruknął grenadier.

– I także swego pułkownika miłujesz?...

– Bo mi bratem był... opiekunem!..

– Patrzcie! Opiekuna sobie znalazł!... Nie bój się zmarniało was tu więcej, takich synów austriackich!... Dobrze wam, psiawiarom!... Na Francuzów broń podnosić, co nam braterstwo zaprzysięgli, co z nami i za nas idą!... Na nich iść?! W austriackich mundurach?!

Grenadier podniósł głowę i odrzekł ponuro:

– Bogu dziękuj, że go na sobie nie masz, a nie wytrząśnij!..

– Bobym go i nie wdział!...

– A jakby cię tak między pułk wcisnęli i popędzili?

Gotartowski, spojrzawszy uważniej na szerniałą od prochu twarz żołnierza – drgnął z lekka i zagadnął niepewnie:

– A wy skąd?!...

– Co wam do tego?!... Ot... może macie wody kroplę?! Nie dla mnie – lecz widzicie... mdleje!...

Gotartowski podał żołnierzowi manierkę, ten przytknął ją do ust pułkownika. Wachmistrz coraz pilniej przyglądał się grenadierowi.

– A nie mogliście to zrejterować do Francuzów wcześniej?!...

– Pewnie!... Było nas takich wczoraj kilkunastu!... Pochwycili!... Dwóch zatłukli... Ze mnie to szczęście nie spotkało – tom jemu winien także...

– Temu pułkownikowi?!..

– No właśnie!... Teraz się dziw, że przy nim siedzę!... Albo to jedno!..

– Słuchajcie! – ozwał się łagodniej Gotartowski. – Bo, do licha, widzi mi się, chyba nie...

– Bo co??... – rzucił niespokojnie grenadier, a zmierzwiwszy przenikliwym wzrokiem wachmistrza, wyjąkał: – Bo wy kto?!

– Gotartowski!

– Marce! – podchwycił grenadier.

– Ten sam właśnie! – przytakiwał niespokojnie wachmistrz.

– Toć pamiętam was – na zrękowinach Staszka!...

– Imć pan Tadeusz Zabielski! – zawołał ze zdumieniem Gotartowski. – Waćpan tu – w tym mundurze?... Na Boga!... Toć mi powiadaj!... Tak ci zostawać nie pozwolę!

Zabielski nie zdążył odpowiedzieć, gdy Gotartowski zawrócił do porucznika Załuskiego meldować mu o niespodziewanym spotkaniu a prosić za niewolnikiem. Załuski zezwolił wachmistrzowi zająć się panem Tadeuszem i do obozu, na wyspę Lobau, go odprowadzić.

Gotartowski, ucieszony tą względnością, powrócił do pana Tadeusza, aby go czym prędzej z gromady niewolników wydostać – lecz tu trafił na niespodziewany opór. Zabielski nie chciał pozostawić pułkownika. Dopiero gdy mu Gotartowski słowem zaręczył, że pułkownik znajdzie opiekę i zachowanie należne jego szarzy, że i tak, choćby chciał przy nim być, to tego nie dokaże, bo tak wysokich oficerów pod szczególniejszą biorą pieczę i w oddzielnych trzymają pomieszczeniach, i że, po złączeniu się z pierwszym konwojem szwoleżerów, który już był z ułanów i dragonów austriackich zebrał niewolnika – pułkownik niewątpliwie razem z pojmanym księciem Auerspergiem zaraz stawionym będzie przed samym wicekonetabłem, marszałkiem Berthier – pan Tadeusz dał się namówić i ustąpił.

Gotartowski, ucieszony niezmiernie, opatrzył ramię Zabielskiemu, pokrzepił z manierki i, skłoniwszy do pożegnania z pułkownikiem von Wassenfeldem, poprowadził go do obozu. Tam, w namiocie swoim ulokował, a wyprosiwszy chirurga pułkowego Girardota, aby do namiotu bodaj pod noc wstąpił – sam, jego wachmistrz szef a furier kompanii, zajął się gotowaniem posiłku. Nie było to rzeczą łatwą, bo wyspa od dawna była ogłodzoną, a mosty ku niej prowadzące od strony Wiednia tak od kilku dni zatarasowane były amunicjami, że o dowozie prowiantu mowy nie było.

Gotartowski więc zwołał kilku żołnierzy i wyprawił ich na pole bitwy po koninę, a sam na gawędę obok pana Tadeusza przysiadł. Ciężka atoli była sprawa z imć panem Zabielskim – długo zbywał wachmistrza urywanymi wyrazami, dopiero kiedy Gotartowski o domu wspomniał a ciężkie koleje brata swego Floriana jął rozpowiadać – szarpnęło coś pod sercem pana Tadeusza, zagadał i on nareszcie. Zagadał tak, że Marcelego mrowie niekiedy przechodziło. Gdy w końcu przeszedł do przymusowej służby i do owej zmowy, aby do Francuzów uciec – westchnął ciężko i zakończył:

– Ot dola naszła i gna po świecie!...

– Ale już i koniec tym szarpaniem się!...

– Tak sądzicie?...

– Jużci, Austriacy na głowę pobici!... Ani chybi ruszymy za nimi – a potem pod Warszawę!... – Hm! Może!... Dałby Bóg! Choć niepewność dławi!... Toć dom został na łasce boskiej!...

– Co wam? Trzeba mieć też wiary odrobinę a ufności!... Między swoimi jesteście – tu was nie opuścimy!... Nie ma co – radziłbym wam zaciągnąć się do pułku naszego!...

– Człowieku!... Chwałę wasze zapaly!... Lecz wy, gwardia honorowa... gdzie mnie!... Tam, na swojej ziemi, stawać gdyby przyszło – rzecz inna, lecz skąd do was!...

– Musicie! Potem bez trudności zwolnią, tymczasem inaczej nie można – samotrzeć przecież niepodobna wara wracać, bo licho wie, co by was w drodze spotkać mogło!

Pan Tadeusz próbował jeszcze się wymawiać, że służby konnej nie zna, że tylko kłopotu przyczyni Gotartowskiemu, że bodaj o kiju, a wracać będzie – Marceli jednak na wszystko znalazł odpowiedź, zaręczając, iż, jako porucznik wojsk Księstwa Warszawskiego, będzie przyjętym z otwartymi rękoma.

Jakoż Gotartowski nie zasypiał sprawy – udał się do porucznika Jankowskiego z przedstawieniem. Porucznik bez namysłu udał się do starszych rangą Załuskiego i Fredry. Wszyscy jednomyślnie przyrzekli poparcie u grosmajora Delaitre’a i u pułkownika.

Zabielski, dobrymi wiadomościami pokrzepiony, nabrał otuchy, a gdy nadto sam pan Józef Załuski, zaciekawiony przygodami Zabielskiego, do swego namiotu na butelkę wina – cichaczem wyszachrowanego od służby cesarskiej – zaprosił pana Tadeusza, ten Rok 1809 się do reszty rozchmurzył, jął obraz zaszłych w Księstwie wypadków malować z takim zapalem, że od razu zdobył najżywszą sympatię i życzliwość i Załuskiego, i Fredry, i Jankowskiego.

Pułk tymczasem nadciągnął był z pogoni ledwie na trzeci dzień, wioząc ze sobą nowe partie niewolników i dwa pełne ambulanse chorych i rannych. Gotartowski, pomny na pana Tadeusza, ile że wraz z nadejściem pułku rozeszła się była wiadomość o natychmiastowym wymarszu w stronę Znajmu – przypomniał się Załuskiemu. Porucznik natychmiast jął szukać szefa Kozietulskiego, będąc pewnym, że ten sprawę do serca weźmie. Kozietulski jednak był już w szpitalu polowym, obezwładniony ciężką kontuzją. Załuski chciał iść wprost do Wincentego Krasieńskiego, ale i ten był w ambulansach, ciężką trawiony gorączką, którą mu rana odebrana przyczyniła. Załuski, nie zrażając się niespodziewanymi, przeszkodami, zameldował się szefowi Łubieńskiemu. Ten wysłuchał cierpliwie przedstawienia i poradził zwrócić się do Delaitre’a, który z prawa starszeństwa obejmował dowództwo pułku w zastępstwie Krasieńskiego.

Delaitre, zmordowany odbytym pochodem, a już zasypany raportami szefów i zapytaniami kancelarii dowódcy gwardii – ledwie że zrozumiał, o co idzie Załuskiemu, i przerwał mu szybko:

- Więc dobrze! Chce służyć pod naszymi sztandarami?!...
- Jak o łaskę prosi!... Toć gwałtem go zagarnęli, przymusili...
- Skończone!... Nie on jeden jest w tym położeniu... Cesarz sam raczył pamiętać o Polakach wziętych do niewoli!... Właśnie już jest rozkaz!...
- A zatem, pan major pozwoli, że go wciągnę do mojej kompanii?...

– Poruczniku – oszalałeś?!... Rekruta będziemy zabierali w pochodzie?!... Wy sami niby już żołnierze, a parady nawet nie znacie!...

– Bośmy też, panie majorze, nie na parady się zaciągali! – odciął Załuski.

Delaitre nasrożył się.

– Dosyć! Powiedziałem!... Rozkaz cesarski!... Oto właśnie!... „Niewolników pochodzenia polskiego, którzy by chcieli zaciągnąć się do naszej armii – wcielić do legii nadwiślańskiej!... Kolumna pochodowa zbierze się natychmiast. Załatwić wybór niewolnika bezzwłocznie!...” Skończone!... Cesarz sam raczył pamiętać...

– Panie majorze! – próbował tłumaczyć Załuski. – Legia nadwiślańska jest w Hiszpanii...

– Dosyć!... Pojęcia nie masz o najelementarniejszym porządku! Rozkaz cesarski! Rozumiesz, poruczniku?! Jeżeli nie rozumiesz, to się śpiesz te rzeczy pojąć, bo nareszcie ja będę musiał między wami ład zaprowadzić! Żegnam!... Kamratów chcą sobie po drodze przybierać!...

Załuskiemu krew uderzyła do głowy – chciał odpowiedzieć, lecz zważywszy na Delaitre’a – zęby zacisnął, skłonił się i wyszedł.

W namiocie czekał nań Gotartowski. Z twarzy Załuskiego odgadł jakąś niepomysłną wiadomość, lecz gdy mu porucznik całą prawdę odkrył, Gotartowski uszom nie mógł uwierzyć.

Gotartowski wyszedł od Załuskiego oszołomiony – sam nie zdawał sobie sprawy, jak tę wiadomość powtórzy Zabielskiemu, i jeszcze przemyślał, do którego z oficerów pójść, gdzie by jeszcze zakołatać.

Około północy wśród biwaków gwardii rozległy się pierwsze sygnały na gotowanie się do wymarszu. Marcelli, który był ledwie zadrzemał około pana Tadeusza, zerwał się na równe nogi i z jakąś pasją jął zbierać swe manatki, klnąc i piorunując na żołnierzy. Zabielski na ten alarm podniósł się także, a nie mogąc dłużej znieść dręczących go wątpliwości, ozwał się do Gotartowskiego:

– Ruszacie w pochód?!...

– Za dwie godziny!...

– Dokąd?!...

– Pod Znajm!

– A... ja... co mam ze sobą zrobić?...

Gotartowski zmieszał się, a nie mając odwagi wyznać prawdy panu Tadeuszowi, bąknął coś i pobiegł do porucznika Fredry. Porucznik uściskał serdecznie dłoń wachmistrza i poszedł z nim do Zabielskiego.

– Mości poruczniku– zaczął Fredro – mam waszmości do zwiastowania rozkaz cesarski!...
Najpierw wysłuchaj, a potem sądz!...

Pan Tadeusz drgnął z lekka.

– Proszę, słucham!...

– Do naszego pułku wstąpić teraz wam niepodobna... Służba ciężka!... Tedy upatrzono dla was miejsce w legii nadwiślańskiej...

– W jakiej legii?!... Tu jest legia?!

– Ach, tu jej nie ma!... Znajduje się dalej!... Same wyborowe pułki... Chłopskiego...
Estki...

– Toć one są w Hiszpanii!...

– Nie wiadomo!... Doprowadzą do nich!... Chwili nie wątpię, że tam potraficie zjednać sobie zachowanie... Niewątpliwie rangę oficerską wam przyznają!

Pan Tadeusz potrząsnął głową.

– Dziękuję za łaskawość waszą – ale wolej mi do domu wracać!... Przecież się jakoś dostanę... niemiecki język znam – dam sobie radę!...

– Hm!... Tylko zapominacie, że to wojna!... Drogi obstawione wojskiem, nie przepuszczą...

– Bóg zapłać!... Lecz już taki pójdę, panie poruczniku!... Bardzo obligowany, lecz taki pójdę do swoich...

– Kiedy bo... musicie... tak trzeba!

Pan Tadeusz spojrział ze zdumieniem na Fredrę.

– Ale, żebyście mnie tam złote góry obiecywali, nie pójdę!...

– Lecz teraz, uważacie, niepodobna!... Rozkaz! Cesarz sam się zatroszczył, aby wam krzywdy nie było... jesteście przeznaczeni...

Zabielski powiódł błędnym wzrokiem dookoła i chciał coś rzec, gdy w progu namiotu ukazała się wyniosła postać kapitana kwatermistrza gwardii cesarskiej. Fredro i Gotartowski wyprężyli się.

Kwatermistrz odpowiedział łaskawie na ukłon wojskowy i przysunął do oczu papier trzymany w ręku, pochylwszy się ku zatkniętej pochodni.

– Wachmistrz Gotartowski!

– Jestem, kapitanie!...

– Wziąłeś do niewoli żołnierza austriackiego... Polaka... który podobno był przedtem porucznikiem!...

– Tak, kapitanie!...

– Dlaczego nie dostawiłeś go na zбір niewolników?! Gdzież jest?...

– Tu właśnie! – odrzekł Gotartowski.

Kapitan skinął na stojącego za nim przy wejściu do namiotu sierżanta i rozkazał sucho:

– Odprowadzić niewolnika!

Gotartowski jął ścisnąć i żegnać Zabielskiego. Kapitan zainteresował się tymi objawami przyjaźni. Fredro pośpieszył go objaśnić, prosząc, czyby nie dało się znaleźć środków dla zmiany rozporządzenia. Kwatermistrz wzruszył ramionami.

– Niepodobna... Cesarza nie ma... wicekonetabla także... Rozkaz!... Gdyby cesarz był tutaj... to kto wie... przez Constanta można byłoby uzyskać... Za późno! Kolumna pochodowa ruszy o świcie!...

– W istocie – przyznał sucho Fredro – lokaj cesarza mógłby zmienić rozkaz! Kwatermistrz udał, że nie rozumie przymówki, pożegnał ruchem ręki porucznika i, nakazawszy sierżantowi odprowadzić Zabielskiego na zbór niewolników – odszedł.

XIII

Cichy ranek niedzielny odgłosami dzwonów kościelnych budził z dobrze zasłużonego wczasu małą wioskę Berville pod Fontainebleau. Mieszkańcy otwierali powoli okiennice, z zadowoleniem witali złocistą tarczę wrześniego słońca i z wesołym pogwarem odziewali się odświętnie, spożywali na ławkach przed sieniami swych wysmukłych domków i kamieniczek śniadanie, rozprawiali o zbiorach tegorocznych, komunikowali sobie wiadomości o liście, który nadszedł z placu boju do matki Gertrudy, z chmurą na czole wspominali o zapewnieniu proboszcza, że gdyby do pokoju nie przyszło, to spodziewać się należy nowej branki rekrutów, aż zaczęli wylegać na wijącą się wstęgą drogę, kupić się w gromady i różnobarwnym pasmem ciągnąć do kościoła...

Naprzeciw tej wstędze już od kościoła szedł tymczasem człek wiekiem pochylony, w nasuniętym na oczy kapeluszu, w szarej siermiędze, dziwnej i krojem, i wyszyciami. Szedł, a kapelusze wieśniacze chyliły się przed nim, rozlegały pozdrowienia. Człek, wiekiem pochylony, odpowiadał cicho, uśmiechał się niekiedy łaskawie do mijających go dzieci i groził im z lekka palcem, gdy te ze swawolną ochotą wołały doń:

– *Bonjour, papa général!*⁵⁸

Człek, wiekiem pochyłony, snadź między gromadą miał wielu przyjaciół, bo gdy stary Jacques kołodziej ozwał się półgłosem do garbatej Zuzanny: „Taki niby generał, a tu nie wiadomo, dlaczego za piecem siedzi!...” – dwadzieścia głosów go zakrzyczało:

– Każdy wam zawadza! Toć zaszczyt dla całej wsi!... Słyszeliście, co mer mówił?! Nas poratował! A moją Żanetkę czytać nauczył! Mego chłopca pisać! I wspomaga. Dobrodziej prawdziwy!...

Stary Jacques pochylił głowę przed zdaniem większości.

Wstęga ludu ginęła powoli w rozwartych drzwiach kościółka, dzwony ostatnie wezwanie swoje wybiły i umilkły, dźwiękami organów przytłumione – gdy wtem z oddali iść zaczęły miarowe uderzenia bębnow.

Bębny, z początku ledwie głuchym łomoczące łoskotem – wybijały swe tempo coraz pewniej, coraz wyraźniej.

Lud, skupiony w kościele, drgnął, poruszył się, zaniepokoił. Skąd tu, w tym zapadłym kącie, zjawiały się bębny? Kilku ciekawych a bliższych drzwi wysunęło się naprzód ku drodze. Gdy zaś bębny zabrzmiały pełnią swego warczenia – lud wyległ i w osłupieniu spoglądał na ciągnący drogą pochód.

Dziwny niezwykle był to pochód. Na przodzie dwóch oficerów, konno, wyszarzanych, okrytych pokładami pyłu, za nimi ośmiu doboszów, dosyć zuchowato wyglądających, choć równie oberwane, za doboszami kompania strzelców, za nią zaś zbita gromada widm ludzkich, na wpół bosych, obrośniętych, jakimiś żołnierskimi strzepami okrytych, poobwiązywanych szmatami, z rękoma w gałganach, z głowami spowiniętymi bandażami, z ponurą determinacją w oczach, z goryczą na spieczonych ustach. Po bokach gromady znów łańcuch strzelców, za gromadą znów kompania strzelców, ośmiu doboszów i dwóch takich samych szarż oficerów jak i na przodzie.

– Zbrodniarze! – zawołano w tłumie wieśniaków i ze spokojną godnością i poczuciem swej uczciwości jęto przyglądać się konwojowanym.

Tymczasem pochód minął kościół, a dotarłszy do niewielkiego placyku pośrodku drogi – zatrzymał się. Oficerowie zsiadli z koni. Żołnierze częściowo broń ustawili w kozły, a częściowo siecią karabinów otoczyli gromadę. „Zbrodniarze” zaś osuwali się na ziemię tam, gdzie ich zatrzymano, dysząc ciężko, opatrując swe ubogie węzélki a zamieniając między sobą urywane zdania.

⁵⁸ B o n j o u r, p a p a g é n é r a l ! (franc.) – Dzień dobry, ojczy generale!

Wieśniacy, którzy byli pociągęli za pochodem – skupili się dokoła konwoju. Śmielsi zagadywali do żołnierzy, proponując im ugaszenie pragnienia. Ci, co mieli broń w kozłach, przyjmować zaczęli dzbanki z winem. Oficerowie zaś już rozprawiać zaczęli z merem, który ich na posiłek zapraszał.

Gwar i zamieszanie wzmagало się, pytania się krzyżowały.

– Skąd Bóg prowadzi?! – Spod Wiednia! – Nie widzieliście mego Ludwika? – Cha-cha!... W każdej kompanii znajdziecie ośmiu Ludwików! – Czy daleko stąd do Pithuvers, bo mamy tam nocować?! – Dobre kilka godzin konno! – A ci zbrodniarze do Tulonu?! – To niewolnicy! – Patrzcie, niewolnicy! – Na galery pewnie! – Idą do Hiszpanii, do pułków! – I to są Austriacy? – Naturalnie!

Równocześnie mer prowadził z oficerami nierównie poważniejszą rozmowę.

– W wasze ręce, panie kapitanie!... Kawał drogi uszliście?

– Coś miesiąc się wlecjemy!...

– Miesiąc!... No-no!... Podobno... już pokój zawarty?!

– Hm! Podobno!... Ale to może jeszcze...

– Mały kapral? Co?! Bo widziałem go dwa razy!...

– A ja wcale! – odrzekł melancholijnie kapitan.

Mer oczy rozwarł szeroko.

– Pan nie widziałeś go?!... Jakże to może być?...

– Ba, ano tak! Służba!... Ot i teraz!... Miesiąc w drodze z tą bandą! A jeszcze zejdzie!... Dopiero w Bajonnie nas zluzują!... A jeszcze trzeba było okrążyć!... Służba taka!

– Więc to niewolnicy do pułków!... Austriacy!...

– Polacy, ale to wszystko jedno!

– Polacy! Pozwól pan!... Przecież Polacy w naszej armii służą! Wiem z pewnością!...

Kapitan machnął ręką obojętnie.

– Ano są!... Ci się widocznie zbuntowali czy do nieprzyjaciela przeszli – będzie im za to, juści będzie!...

– A to dopiero!... Dobrze im tak!... – przytwierdził z przejęciem mer Berville.

Gdy się to działo, pośród wieśniaków ukazał się niespodziewanie kapelusz człowieka w siermiedze – kapelusz przybliżył się do konwoju. Nieznajomy oczy ręką przysłonił i jął rozbłyszczone wzrokiem przezierać niewolników. Po czym, pochwywszy kilka wyrazów, zatrząsł się i zwrócił nagle do mera. Mer, na widok nieznajomego, powstał z uszanowaniem, wysłuchał szeptem wyrzeczonych doń słów i zwrócił się do kapitana.

– Panie oficerze... tu mieszka u nas jeden dawny generał polski... prosi właśnie, żebyś pozwolił mu zamienić kilka słów z niewolnikami i dać im zasiłek... toć zawsze biedacy!...

– Pewnie... tylko sam nie wiem... zakazu nie ma...

– Panie kapitanie! – dodał ciszej mer. – To... to figura!... Z cesarskiej kancelarii, będzie temu trzy lata, przychodziły do niego posłania!... Dwa razy widział się w Fontainebleau z samym ministrem Fouche! A niedawno aż za Berlin jeździł!...

– Owszem, owszem! – odrzekł pośpiesznie kapitan, czyniąc przyzwalający ruch ręką w stronę nieznanego.

Nieznamy skłonił się na podziękowanie i zniknął we drzwiach stojącego w pobliżu domu. Po małej chwili ukazał się znów ze sporym mieszkem pod pachą i ze służącą, dźwigającą za nim mocno naładowany kosz – i wprost przez tłum wieśniaków szedł ku niewolnikom.

Łańcuch konwoju, uprzedzony już przez porucznika, któremu kapitan wydał polecenie – rozstał się. Nieznajomy wszedł między zdziwionych jego ukazaniem się niewolników, zdjął kapelusz i ozwał się:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!...

Na te słowa wyrzeczone po polsku – dreszcz przeszedł nędzarzy, usta ich złożyły się do odpowiedzi, lecz jeno spieczone wargi drgnęły w nerwowym skurczu. Nieznajomy skinął na służącą z koszem, pochylił się ku najbliższym i mówił cicho:

– Weźcie, bracia!... Ot, czym mogę!... Nie odmawiajcie!... I tak szedł i rozdzielał kubki wina, kromki chleba a pieniądze do rąk niewolników wciskał.

Obdarzeni nie dziękowali, jeno patrzyli na nieznanego z zapartymi oddechami, niekiedy żegnali się, niekiedy ręce do chleba wyciągali, niekiedy jakby sromali się przyjęcia datku. Tak krążąc między niewolnikami, nieznajomy doszedł do miejsca, gdzie jeden z niewolników, wsparłszy się na rękę trwał w odrętwieniu, nie wiedząc ani co się dzieje dookoła, nie słysząc słów napomnienia, które mu sąsiad szeptał do ucha.

Nieznamy dobrotliwie trącił po ramieniu odrętwiałego i podsunął mu kubek wina.

– Napij się, biedaku!

Niewolnik, a raczej jego spragnione usta wczepiły się w brzeg kubka i jęły chciwie chłonać pokrzepiający płyn. Nieznajomy przechylił kubek, aby go do dna wysączył, a potem podał mu chleb.

Niewolnik otrząsnął się i podniósł oczy ku nieznanemu. Nieznajomy spojrzał nań bystro.

– Hm! To dziwne!... Zdaje mi się, że cię skądś znam!...

Niewolnik, na dźwięk tego głosu, zatrząsł się całym ciałem i zakrzyknął ze zdumieniem:

– Kazimierczak! Wy... wy... tutaj?

– Imć Zabielski! Że ja tu jestem... lecz wy... wy... skąd?

– Pędzą nas!... Do Hiszpanii idziemy!

– Więc Karaś cię nie doprowadził?!

– Karaś! Prawda! Karaś!... Prawda– ogniem piekli. Potem Austriacy zagarnęli w Ostrowie, a potem Wagram... i ot teraz w świat... do legii!...

– Frymarczą wami!... Za liczman sobie mają!... A ci z tobą?!

– Toć z pułków galicyjskich... Musieli!... Walczyli – mordowali się z własnymi braćmi!... Teraz nas łaska spotkała... do Hiszpanii idziemy wojować!...

– Aby lud wolny ciemieżyć!... Dola!... Straszna!... Lepiej byłoby tych czasów nie dożyć!... A przecież nasi zwyciężyli!... A was pędzą znów... na zmarnowanie!... Lepiej nie mówić, nie myśleć, nie rozpamiętywać!... Daruj acan śmiałości, w potrzebie jesteś... przyjm ten ubogi zasiłek od rodaka...

Zabielski odsunął z lekka rękę Kazimierczaka.

– Wybaczenie!... Muszę wiedzieć, od kogo biorę!

– Toć poznałeś mnie przecież!...

– Nie, wy tak się zwać nie możecie!

Kazimierczak uśmiechnął się smutnie.

– I na cóż ci ta wiadomość? Mnie już nie ma na świecie!... Ciało się kołacze tylko... i to coraz słabiej!... Na co pusty wyraz?... Daj mi tak zostać!...

Pan Tadeusz chciał odpowiedzieć – gdy naraz niewolnik stojący obok i przysłuchujący się rozmowie zachwiał się, padł do nóg Kazimierczakowi i zawołał stłumionym głosem:

– Jezu! Toć nasz naczelnik!...

Nieznajomy pobladł i ujął za głowę klęczącego.

– Ktoś ty?!...

Niewolnik jęknął cicho.

– Dajcie tak!.. Boże miłosierny!... Kuczyński jestem!...

– Kuczyński?! Michał?!...

– Tak, naczelniku! Dziewiątego regimentu, batalionu strzelców pułkownika Mycielskiego, brygady Kamińskiego! – wołał z zadowoleniem stary żołnierz, a łzy mu, jakby ołowiem żalu brzemienne, skapywały po szerniałej twarzy...

– Pamiętam cię!... Byłeś!... Chorążym miałeś zostać za Sokółkę – ano i potem pogrom przyszedł!...

– Austriacy potem uwięzili, w kamasze wystroili i tak piętnaście lat bez mała!... A ot teraz szczęście... że cię widzę jeszcze, że cię oglądam!...

– Spokojnie! – szepnął cicho naczelnik i twarz w dłoniach ukrył.

Tymczasem słowo „naczelnik” obiegło już gromadki niewolników, przejęło wskroś, skupiło dokoła wodza. Równocześnie pośród przyglądających się tej scenie wieśniaków i żołnierzy konwoju powstał szmer podziwu. Kapitan zaniepokoił się – skinął na oficerów i skoczył na konia. Bębny zagrały pobudkę, komenda rozległa się po szeregach, żołnierze jęli ustawiać się do pochodu.

Zabielski przypadł do ręki Kościuszki.

– Błogosław nas!...

Naczelnik odkrył głowę. Niewolnicy pochylili się.

– Bracia!... Bóg niech was wiedzie. Ciężka, okrutna wasza dola – tak chciały wyroki Wszechpana. Idźcie z Jego imieniem na ustach; idźcie hardzi męczeństwem. Losy związały was z orłami Bonapartego, fatalność was ku niemu pchnęła – nie czas wracać! Lecz z tego morza krwi, ognia i żelaza ocalcie bodaj honor ziemi, która was wydała. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków amen! – odpowiedział chór głosów.

– Naczelniku! – zawołał gorąco Zabielski. – A ty?! Ty z nami idź!... Stań!

– Ja?! Umarłem już dawno! Żegnajcie, bracia!...

– Niewolnicy rzucili się do całowania rąk naczelnika, lecz bębny ozwały się silniej, łańcuchy strzelców zwarły się.

– *En avant!*⁵⁹ *En avant!* – zakrzyknęli następujący za niewolnikami żołnierze.

Pochód ruszył. Bębny warczały coraz, ciszej, coraz słabiej, aż hen zwały się w szepcie z poszumem zefirów.

Cztery lata przebył nieszczęsny pan Tadeusz na twardej służbie w Hiszpanii, lecz że prawość i dzielność charakteru w każdym otoczeniu, na każdym szczeblu zdobywa sobie szacunek i mir, więc gdy na koniec zacny żołnierzyk wrócił do swej stęsknionej Janki, gdy zasiadł z sierżantem Świerzyńskim do gawędy, do wspomnień, to nie tylko sierżant nie śmiał kapitanowi od smyków, rekrutów przymawiać, ale nawet imć pan Bonawentura wydziwiał, bo na piersiach pana Tadeusza Zabielskiego krzyż złoty polski błyszczał a śmiał się do sąsiadującej z nim wstęgi honorowej.

⁵⁹ *En avant!* (franc.) – Naprzód!

Korekta: Renata Sadowska